BRANDEBURGIA I POLSKA

W PIERWSZYCH LATACH PO TRAKTACIE OLIWSKIM.

Jednym z najciekawszych, najczęściej i najwierniej w dziejach ludzkości powtarzających się pojawów, jest fakt zguby i klęski, czy to państwowych organizmów, czy narodowych społeczeństw z ręki żywiołów, których szkodliwości nie przeczuwają, a na których niebezpieczeństwie poznają się dopiero, skoro już zapóźno a złe nieuleczone. Pojaw podobny powtarza się, rzecz dziwna, wskroś całych dziejów od ich początku do dni dzisiejszych, a dyagnoza najwytrawniejszych mężów stanu, najbystrzejszych lekarzy politycznych, nie jest w stanie, dotąd przynajmniej, korzystać skutecznie, z doświadczeń historyi. Grecya walczy z Persami, szczyci się zwycięzko z nimi stoczonemi bojami, by zginąć ostatecznie z rąk zrodzonej i wychowanej w świetle swéj cywilizacyi, odrodnej od siebie duchem, monarchii macedońskiéj. Rzym walczy ze Wschodem, z Afryką, Gallią, Hiszpanią, by spróchniały politycznie, przegniły moralnie, upaść pod ciosami nieznanych i lekceważonych przez się barbarzyńców.

W nowszych czasach, za dni po części już naszych, walczy Francya z domem habsburskim, by być strąconą ze stanowiska potęgi europejskiéj przez karmione własnym chlebem, głaskane w ciągu wieku XVII i XVIII własną ręką Prussy; jeszcze cztery lata zaledwie przed ostateczną katastrofą widzieliśmy całą publicystykę Francyi spieszącą z życzeniami zwycięztwa dla groźnego organizmu, z którego ręki miał na nią wypaść cios, omal że nie śmiertelny.

O ile podobne nauki i podobne doświadczenia *przeszłości*, gdy się spogląda na *teraźniejszość*, dałyby się według nader podstawnych obliczeń zastosować do *przyszłości*, nie naszém i nie téj tu rozprawy

zadaniem. Co natomiast ciekawsza dla nas, to ropatrzéć się w zagadnieniu, o ile powyższe spostrzeżenie można zastosować do naszych własnych dziejów. Wypełniają je, aż do początku XVIII wieku, głównie Szwedzi, Turcy i Tatarzy. Wiek XVII mianowicie, *wojennie* wiek Żółkiewskiego, Czarnieckiego, Sobieskiego, jakżeż, obok sterczących na drugim planie bojów z kozakami i Rossyą, pełen owych Szwedów, Tatarów i Turków, jakżeż zapomniana pośród ich wrzawy, blasku i dymu, owa skryta, poboczna, niepoznana w całej swej szkodliwej doniosłości choroba organizmu polskiego, jaka mu się gotuje przez wzrost Brandeburgii i Rossyi, przez ich coraz to głębsze zagnieżdżanie się i wnikanie w najdrażliwsze politycznie i geograficznie miejsca organizmu polskiego! Brandeburgia XVII wieku jest chorobą nieznaną dyagnozie współczesności polskiéj. Nie mędrsze, i nie więcéj przewidujące na przyszłość od Francuzów XVIII i XIX wieku, karmi i żywi dygnitarstwo polskie mianowicie Brandeburgią, wychowuje i pielęgnuje jéj przyszłą wielkość, konspiruje z jej władzcami najczęściéj wprost przeciw interesowi własnego kraju, i przeciw budzącemu się od czasu do czasu jasnowidząco poczuciu własnych królów.

Że się tak a nie inaczej działo *politycznie* a *współcześnie*, przypiszmy to częścią dziwnemu zaślepieniu nie pojmującemu szkodliwości podobnego postępowania, częścią zepsuciu obyczajów. Dziwniejszym natomiast, więcéj zastanowienia godnym może, fakt, że w naszych już czasach, po złém jakie się stało, *historyografia* nasza ulega ciągle jeszcze wrażeniu czy to „przewag szwedzkich“ Stefana Czarnieckiego, czy to zwycięztw wiedeńskich i chocimskich Jana III, zapominając o smutnym, ale nieuniknionym obowiązku prawdy historycznej — zwrócenia uwagi na genezę i szybkie postępy owej „choroby brandeburskiej“, której pierwszy pojaw za Jana Kazimierza, jest równie dostrzegalnym jak szkodliwym dla rzeczypospolitej. Pod *tym* względem należałoby się, jeżeli tak wolno powiedzieć, dzieło *„rewizyi akt“* dziejom Jana Kazimierza, Michała Wiśniowieckiego, Jana Sobieskiego, tém konieczniejsze, tém natarczywiéj o swe spełnienie wołające, że wydawnictwa zagraniczne i z zagranicznych archiwów dokonane ostatniemi czasy, uwagę *polską* w tę stronę zwracają. Czy to publikacye Theinera, czy dzieło Mörnera o traktatach politycznych Brandeburgii w ciągu XVII wieku, czy serya tomów wydanych nakładem i pod patronatem następcy tronu pruskiego, a obejmujących archiwalne dokumenta do dziejów tak zwanego *„wielkiego elektora“*, czy dokonane nakładem krakowskiej akademii umiejętności a staraniem i pracą p. Waliszewskiego, wydawnictwo aktów historycznych do panowania Jana III z archiwum

francuskiego, wszystko to razem składa się na jeden wspólny głos, dopominający się u dziesiejszych historyków polskich o wypełnienie tyle ważnej w dziejach drugiej połowy XVII wieku szczerby. Wypełnienie zaś to, o ile wolno nam wnosić z dostępnego i znanego nam materyału, jak z jednej strony bolesne i upokarzające, tak z drugiéj nie byłoby przecież bez pewnej względnéj pociechy i zadowolnienia.

Jeśli z jednej strony odsłania się nam, pośród tego mało znanego dziejów naszych epizodu, w smutném, ponurém świetle rozum i cnota wielu bardzo dygnitarzy rzeczypospolitej, jak Mikołaja Prażmowskiego, Władysława Reja, Jerzego Lubomirskiego, Jana Bąkowskiego podskarbiego pruskiego, nadewszystko zaś Morsztynów, Jana i Wacława Leszczyńskich, Krzysztofa Grzymułtowskiego, to z drugiéj jakże pocieszającą kompensatę stanowi, niewątpliwie stwierdzona historycznie prawda, że trzej królowie nasi owéj epoki, nie byli przynajmniéj ślepi na niebezpieczeństwo grożące rzeczypospolitej od Brandeburczyka. Czy to znękany i bierny, ale nie pozbawiony bynajmniéj jasnowidzenia politycznego Jan Kazimierz, czy to egoistycznie i ambitnie przenikliwa jego małżonka, czy to dobroduszny i słaby, ale szczerze polskich natchnień Michał Wiśniowiecki, czy to pomawiany niesłusznie o bezmyśl polityczną Jan Sobieski, wszyscy oni czują i widzą niebezpieczeństwo brandeburskie, usiłują kłaść mu tamy, o ile wewnętrzne środki i zewnętrzne okoliczności na to pozwalają, a zła wiara i wola domowych narzędzi nie przeszkadza. Najlepszym tego dowodem choćby tylko ów traktat z r. 1675 między Janem III a Ludwikiem XIV przeciw elektorowi brandeburskiemu, który tylko współczesna nawałnica turecka skazuje na pozostanie martwą literą.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy, przybyła na *téj* właśnie dziedzinie polskiéj historyografii w pomoc, nowa, drogocenna publikacya niemiecka. Jest nią dziewiąty tom, wspomnianych co dopiéro wyżej, dokumentów do dziejów „wielkiego elektora“, z archiwum berlińskiego. Nowy ten tom nosi tytuł *Politische Verhandlungen*, obejmuje akta dyplomatyczne między rokiem 1660 a 1663. Wydawnictwa podjął się profesor historyi uniwersytetu greifswaldzkiego, dr. Theodor Hirsch, głęboki i wypróbowany znawca dziejów prusko-polskich, autor znakomitéj historyi handlu gdańskiego za czasów zakonu. Większa połowa nowo-wydanego tomu, zawiera dokumenta i korespondencye dyplomatyczne dotyczące dziejów polskich, i składa się mozajkowo na dokładny, jak nigdzie dotąd, obraz stosunków brandebursko-polskich między rokiem 1660 a 1663, czyli między traktatem oliwskim a pieczętującym go ostatecznie hołdem Księstwa Pruskiego na rzecz elektora. Rzecz objęta dokumentami

i korespondencyą dyplomatyczną wydawnictwa profesora Hirscha wymaga kilku słów objaśniającego wstępu.

Wiadomy udział elektora brandeburskiego w wojnie Polski z Karolem Gustawem, znane kręte i zmienne drogi, jakiemi do głównego swego celu, zwiększenia potęgi domu swego, wyemancypowania się z pod władzy polskiéj zmierzał. Wiadomo jak, występując początkowo w neutralnéj między obu wojującemi stronami roli protektora obu Prus, rozpoczął układy z Karolem Gustawem, jak następnie wytargowawszy odeń niezależność księstwa pruskiego a mnóstwo obietnic w przedmiocie dalszych terytoryalnych na Polsce nabytków, zawarł z nim zaczepne i odporne przymierze, wtargnął pustosząc do Wielkopolski, stoczył z Janem Kaźmierzem zwycięzką bitwę warszawską, jak późniejjeszcze, widząc upadek sprawy Karoła Gustawa, zbliżył się znów do Polski i w zamian ofiarowanéj pomocy kazał sobie zatwierdzić, jakoby w nagrodę poprzedniego odstępstwa, niezależność dotychczasowego lennictwa zyskaną już od Szweda. Pozostaje wielkiém pytaniem, czy owa pomoc w chwili, w któréj ją elektor ofiarował, była Polsce istotnie potrzebną, a nadewszystko czy warto było i należało ją płacić, ustępstwami objętemi w zgubnych traktatach z dnia 19 Września 1657 w Welawie, z dnia 6 Listopada tegoż roku w Bydgoszczy.

Co do nas, niechaj nam będzie wolno upatrywać w nich, nie spowodowany żadną nieuniknioną koniecznością błąd polityki dworu polskiego, nadewszystko zaś źle obliczony manewr królowéj Maryi Ludwiki, pragnącéj pozyskać sobie już wtedy elektora brandeburskiego, podobnemi ustępstwami, dla swych planów sukcesyjno-tronowych w Polsce. Uprzytomnijmy sobie chwilę zawarcia wspomnianych dopiéro traktatów. Rakoczy był, dzięki zwycięztwom Czarnieckiego i Lubomirskiego, wyrzucony z Polski; Karol Gustaw opuścił spustoszone i zniszczone kraje rzeczypospolitej, pozostawiając tylko załogi w miastach pruskich Toruniu, Malborgu, Elblągu, Braunsbergu. Nadciągała Polsce pomoc cesarska; rozkołysana, wyrwana nareszcie z domowego spokoju szlachta wielkopolska, rozwojowała się na dobre, robiła groźne wycieczki w głąb brandeburskiego kraju, zmusiła ostatecznie w Sierpniu 1657 sama, bez pomocy wojska rzeczypospolitéj, załogi brandeburskie do ustąpienia z Poznania, Kurnika, Kościana, Zbąszynia i innych miast wielkopolskich. Jakkolwiek mogło grozić Polsce niebezpieczeństwo od, zajmującej jeszcze te i owe zamki i miasta na Litwie, Moskwy, nie był przecież elektor nigdy w stanie, przy usposobieniu zwłaszcza mieszkańców Księstwa Pruskiego, wymusić *siłą* na Polsce tego, co mu się poprzednio na jéj kłopotach ułowić powiodło. Mógł się

uważać za szczęśliwego, wracając co najwięcéj do stanu rzeczy przedwojennego, bez straty, ale téż bez zysku. Polityka dworu polskiego osądziła inaczéj, i obdarzyła wiarołomnego lennika dobrodziejstwami traktatów welawsko-bydgoskich. Jak wiadomo, zaręczały traktaty owe w pierwszym rzędzie elektorowi brandeburskiemu niezależność dotychczasowego lennictwa pruskiego, z zastrzeżeniem praw ewentualnych królowi polskiemu i rzeczypospolitéj, w razie wygaśnienia panującego w Brandeburgii rodu; warowały daléj mieszkańcom Księstwa Pruskiego wszelkie dotychczasowe prawa i przywileje, nadto swobodne wykonywanie wiary katolickiéj. Otóż *te* stypulacye traktatów welawsko-bydgoskich znane i wiadome dobrze. Niechaj nam za to, ze względu na przedmiot niniejszej naszej rozprawy, będzie wolno zwrócić *szczególną* uwagę, na dodatkowe i mniéj może znane i ważne stypulacye tychże samych traktatów.

I tak *po pierwsze*, zawierał artykuł ich dodatkowy zobowiązanie króla i rzeczypospolitéj polskiéj: „jako w nagrodę zbrojnej pomocy danéj przez elektora, król ustępuje mu miasto Elbląg wraz z terytoryum na zupełną własność, z zawarowaniem praw i przywilejów miasta i kościoła katolickiego, skoro tylko zeń Szwedzi ustąpią.“ Późniejszy traktat bydgoski zmieniał w osobnej klauzuli powyższą stypulacyą welawskiego. Ze względu, że Polska zrzekała się przyrzeczonych sobie artykułem 12-ym traktatu welawskiego przez elektora w razie wojny 1500 jeźdźców, poprzestając na *tysiącu*, zobowiązywał się elektor osobnym rewersem, zwrócić miasto Elbląg rzeczypospolitéj za wypłatą summy 400,000 talarów. Dzięki temuż rewersowi wychodził tedy Elbląg już nie na własność, lecz na zastaw dla elektora.

Po drugie, odstępowały traktaty welawsko-bydgoskie prawem lennictwa, takiém samém, jakiém je książęta pomorscy posiadali, elektorowi starostwo lawenbursko-butowskie, przyczém władzom Brandeburgii nakładały obowiązek odnowienia lennictwa za każdą zmianą tronu w Polsce, szanowania praw i przywilejów miejscowej szlachty, przestrzegania wreszcie, praw kościoła katolickiego, wraz z zabezpieczeniem jurysdykcyi kościelnej biskupowi kujawskiemu.

Po trzecie wreszcie, oddawały pomienione traktaty starostwo Drahimskie w zastaw elektorowi za dziewięcioletnią pomoc wojenną, któréj cenę obliczono z góry na 12000 talarów. Te trzy punkta traktatów welawsko-bydgoskich, stanowią w połączeniu z uznaniem zwierzchniczego prawa elektorskiego w Księstwie Pruskiém oś, około któréj obracają się przez trzy następne lata wszelkie negocyacye między Polską a Brandeburgią po traktacie oliwskim. O innych,

mniej znanych, choć w swoim rodzaju nie mniej ważnych może, pomówimy niżej.

Zobaczmy teraz, jak na zawarte owe w r. 1657 z elektorem traktaty wpłynęły późniejsze okoliczności i w jakim stanie je zastał późniejszy traktat oliwski z r. 1660. Przedewszystkiém nastąpiło, o ile uważamy, oziębienie między dworem polskim, Janem Kaźmierzem i królową Maryą Ludwiką a elektorem. Elektor nie przedstawiał już w roku 1660 dla Maryi Ludwiki w jéj planach sukcesyjnotronowych polskich czynnika téj saméj wagi i wartości, jakim był tzy lata poprzednio. Co najważniejsza, nastąpiło w ciągu negocyacyi oliwskich, za pośrednictwem francuskich reprezentantów de Lumbres'a i kawalera de Terlou, zbliżenie między Szwecyą a Polską, czyli lepiéj powiedziawszy, polityką Maryi Ludwiki. Francya podjęła sprawę królowéj polskiéj jako swoją, brała Szwecyą na swój żołd. Reprezentanci szwedzcy, mianowicie Krzysztof hr. Schlippenbach, zajęli w obec Brandeburgii jeśli nie wręcz wrogie, to co najmniéj, chłodne stanowisko, objawiali chęć ustąpienia z miast pruskich raczéj na rzecz Polski, aniżeli na korzyść elektora brandeburskiego. Traktat oliwski zatwierdzał wprawdzie w osobnym ustępie, mówiącym o sprawach Polski i Brandeburgii, nabytki i zyski elektora, zaręczone mu w poprzednich traktatach welawsko-bydgoskich, *wykonanie* jednakże napotkało poważne i nieprzebyte trudności, w czém nieostatnią rolę odgrywają poświęcający ostatnie dwa trofea wojenne w Polsce Szwedzi. Ustępując z małoważnego Braunsberga, nie mieli zapewnie czasu i chęci przeszkodzić, by tuż za *ich* wychodzącą załogą, nie wkroczyła do miasta załoga elektorska. Inaczéj działo się z Elblągiem. Zajmujący go feldmarszałek szwedzki von der Linde zwlekał, jak zobaczymy szczegółowo niżej, wymarsz swój z miasta tak długo, dopóki go nie zluzowała *polska* załoga pod dowództwem pułkownika francuza Beaulieu. Chcieć wchodzić w posiadanie zastawu elbląskiego ze strony elektora znaczyło teraz to samo, co wypowiedzieć Polsce wojnę. Dworowi polskiemu zrobiło się wśród podobnych okoliczności żal ustępstw welawsko bydgoskich, zwłaszcza wśród otwierających się widoków przymierzu francusko-szwedzkiemu; elektorowi nie pozostawało nic innego, jak zapuścić się w mętny dedal negocyacyj dyplomatycznych. Z chwilą zawarcia i podpisania traktatu oliwskiego w roku 1660, przedstawia się następny obraz stosunków i stanu rzeczy między elektorem a Polską. Traktaty welawsko-bydgoskie znajdują się dosłownie i zupełnie spełnione tylko co do Lawenburga i Butowa. Obie krainy objął w imieniu elektora w posiadanie pełnomomocnik jego Wedige von Bonin ku niezadowolnieniu, dodajmy więcej, przerażeniu mieszkańców, którzy od

pierwszych chwil niemal panowania brandeburskiego zarzucali dwór i dygnitarzy polskich zażaleniami na twarde, bezwzględne i niesprawiedliwe postępowanie nowéj władzy.

Za to przedstawiał już zastaw drahimski pewne trudności traktatowego wykonania. W posiadaniu dożywotniem starostwa drahimskiego znajdowała się naówczas Potocka małżonka W. hetmana koronnego. Ustąpić zeń na rzecz elektora nie chciała; siłą jéj rugować nie mógł i nie chciał elektor, bo krok podobny byłby go śmiertelnie skłócił z panami polskimi, których jeszcze potrzebował. Dwór zaś i stany polskie, szanowały zbyt wysoko dożywotnie prawo hetmanowéj, aby ją go dla zadowolnienia pretensyi elektora chcieć pozbawiać.

Takiż sam przedmiot niedopełnionych traktatowych zobowiązań przedstawia, jak co dopiéro powiedziano, miasto Elbląg, a dwór polski tak skory przed trzema laty do odstąpienia go elektorowi, nie myśli zeń wyprowadzać załogi polskiéj, tém mniéj, że stany Księstwa Pruskiego, że rodziny Kalksteinów, Schliebenów, że trybun ludowy królewiecki Hieronim Rohde, wszelkich przeciw podobnemu ustąpieniu w Warszawie dokładają starań, tém mniéj, że królowa Marya Ludwika uważa Elbląg i miasta pruskie za bezpośrednią drogę, tyle ważnéj i tyle potrzebnéj dla swych planów, komunikacyi ze Szwecyą i Francyą. Sprawa drahimska i sprawa elbląska przedstawiały tedy przedmiot nowych negocyacyj dyplomatycznych o wątpliwych rezultatach. Łączyły się przecież z niemi daléj jeszcze dwie inne sprawy, na pozór mniejszéj niby-to politycznéj wagi, a przecież bardzo drażliwéj natury. Pierwszą z nich była sprawa *poczty* w Gdańsku. Korzystając z zawikłania wojennego i z kłopotów Polski, zaprowadził elektor w Gdańsku swoję pocztę i oddał nad nią zarząd niejakiemu Janowi Hörmann. Było to dla skarbu elektorskiego źródłem niemałych dochodów, ale też i dla interesu politycznego brandeburskiego ważnym warunkiem przewag i wpływu na całém południowém nadbrzeżu morza baltyckiego. Komunikacya między Rygą a Hamburgiem szła na Mitawę, Tylżę, Królewiec, Gdańsk, Szczecin, Lubekę. Zająć centralne stanowisko w Gdańsku, jak to uczynił, korzystając z wojny szwedzkiéj elektor, znaczyło to samo, co trzymać w swym ręku węzeł politycznych i handlowych stosunków najważniejszych portów i miast nadbaltyckich. Znaczyło to daléj dzierżyć w swoim ręku tajemnicę stosunków między Polską a Francyą i Szwecyą, czego się królowa Marya Ludwika najwięcéj obawiała. Pod wpływem téj obawy, pospieszyła czém prędzéj po ukończeniu wojny osadzić w Gdańsku pocztmistrza ze *swego* ramienia, w osobie Włocha Franciszka Gratty. Znalazło się tedy, ku niemałemu obu stron

rozdrażnieniu, dwóch pocztmistrzów w Gdańsku po traktacie Oliwskim, jeden elektorski, drugi polski, obaj toczący z sobą ząciętą, niekiedy niebezkrwawą nawet wojnę. Pocztylionowie polscy, dopóki krążyli na terytorium gdańskiém i polskiém nie znajdowali naturalnie przeszkód, od chwili przecież wstąpienia na terytoryum elektorskie odbierano im korespondencyą, przeszkadzano w podróży, zabraniano trąbić. Raz zdarzyło się nawet, że władze elektorskie kazały powiesić opornego pocztyliona polskiego. Wypadki podobne psuły z obu stron wiele krwi, Polacy grozili odwetem, komisarze polscy w Oliwie domagali się przedewszystkiém usunięcia brandeburskiéj poczty z Gdańska.

Otóż *pierwszy* punkt sporny w po-oliwskich stosunkach między Rzplitą a elektorem. *Drugi* był nie mniéj znaczącym i drażliwym, stanowił jakoby ostrzegającą dla Polski na przyszłość *wytyczną* polityki brandeburskiéj. Elektor, zyskawszy zaledwie w traktacie oliwskim niezależność w Księstwie Pruskiém, przemyśliwa o połączeniu go również niezależnym, bezpiecznym dla siebie pomostem z dziedzicznemi krajami. Pierwszy to raz pojawia się w tém dążeniu elektora ów „*skrawek nad Dolną Wisłą*,“ którego się tak natarczywie domagają mężowie stanu brandeburscy z epoki króla Fryderyka I, z którym występuje syn jego w czasie bezkrólewia po Auguście II, około którego streszcza się ze strony Prus interes pierwszego podziału Polski, który wreszcie pokrywa intencyą i początek przekreślenia traktatu toruńskiego z roku 1466 na rzecz Prus, ze szkodą dobrego prawa Polski. „*Pomostem*“ owym dla elektora było przywłaszczenie sobie *prawa przewozu* na Wiśle, pomiędzy miasteczkiem Nowem a wsią Meisterswalde czyli Münsterwalde. Była to po prostu stacya przewozowa na trakcie ówczesnym między Królewcem a Berlinem prowadzącym przez Kwidzynę, stacya, któréj dochody służyły z jednéj strony starostom nowskim (naówczas Butlerowi), z drugiéj właścicielom włości Münsterwalde (naówczas Denhoffom). Korzystając jak we wszystkiém, tak i tutaj z zawikłania wojennego, zażądał elektor przelania owego prawa przewozowego na swą własną osobę, a nie pytając o zatwierdzenie Rzeczypospolitéj zajął bez niczyjego pozwolenia ów przewóz i począł go z obu stron ubezpieczać szańcami. Cel podobnego postępowania był aż nazbyt widocznym. Chodziło o możność bezprzeszkodnéj przeprawy wojsk brandeburskich z dziedzicznych krajów elektora do Księstwa Pruskiego, w zamiarze poskromienia tamtejszych malkontentów; chodziło w dalszéj może przyszłości o ustanowienie paraliżującéj handel między Polską a Gdańskiem stacyi celnéj, takiéj, jaką Prusy po pierwszym podziale Polski ku zubożeniu Polski i Gdańska razem założyły w Fordonie. Nie-

bezpieczeństwo było tu zbyt uderzającém i zbyt widocznem, aby nie zwrócić uwagi Rzeczypospolitéj choćby nawet skołatanéj epoki Jana Kaźmierza i nie uczynić „przewozu pod Nowem“ także jednym z najdrażliwiéj spornych punktów między Polską a Brandeburgią.

Otóż więc stan rzeczy między elektorem a Rzecząpospolitą nazajutrz niemal po podpisaniu i przypieczętowaniu traktatu oliwskiego: *Elbląg*, *Drahim*, *Poczta gdańska*, *Przewóz pod Nowem.* Po za temi wiadomemi i wystawionemi oficyalnie spornemi punktami, kryła się ze strony Polski, a raczéj ze strony poczynającego przychodzić do jaśniejszych pojęć i poglądów dworu polskiego, chęć zaoszczędzenia i ukrócenia tego, co się w chwili niedopatrzenia, w zbytku szczodrobliwości ze szkodą Rzeczypospolitéj na rzecz wczorajszego lennika poświęciło; ze strony elektora chęć co prędszego wejścia w niezależne posiadanie Księstwa Pruskiego i zamiar ubezwładnienia Polski nad Dolną Wisłą. Na tém to tle rozwija się, od chwili zawarcia traktatu oliwskiego między Polską a Brandeburgią, równie niedostrzegalna na zewnątrz jak zacięta na wewnątrz dyplomatyczna walka, któréj tylko: okoliczności, wzajemna słabość, a w nieskąpéj mierze i prywata dygnitarstwa polskiego, nie pozwalają zamienić się, coby lepiéj może było dla Polski, na walkę orężnego spotkania. Rozpatrzmy się teraz w położeniu, środkach i narzędziach obu obozów. Elektor jest wprawdzie o swój interes pruski bardzo dbałym i bardzo nań drażliwym, nie może jednakże chwilowo rozwinąć na téj widowni własnéj, osobistéj działalności, ponieważ ważne sprawy domowe zatrzymują go na miejscu. Nie dość na tém, wymaga opór stanów kliwijskich przeciw panowaniu brandeburskiemu obecności jego nad Renem. Od końca roku 1660, widzimy go prawie przez cały rok w Clewe; interesa zaś swe prusko-polskie powierza w Księstwie Pruskiém i Królewcu obdarzonemu w traktacie oliwskim amnestyą odstępcy Rzeczypospolitéj Bogusławowi Radziwiłłowi i naczelnemu prezesowi Schwerinowi, nadto dygnitarzom księztwa pruskiego wyjątkowo sobie oddanym Janowi Howerbeckowi, Janowi Ulrykowi Dobrzyńskiemu i von der Ostau. Dwaj pierwsi, Radziwiłł i Schwerin mają zadanie trzymania na wodzy opozycyi w Księztwie Pruskiém; trzéj ostatni odbierają kolejno, bądź to razem, bądź pojedyńczo, misye dyplomatyczne do Polski w celu załatwienia wspomnianych wyżéj spornych punktów.

Co się tyczy obozu przeciwnego, *polskiego*, widzimy wprawdzie dwór, mianowicie Maryą Ludwikę, zdecydowanemi naprawić obecnie to, co zgrzeszyli na rzecz elektora ze szkodą Rzeczypospolitéj poprzednio, w czém od malkontentów pruskich, od Hieronima Rohdego, od Kalksteinów, od Schliebenów, od mieszkańców miasta Króle-

wca ustawicznéj doznają zachęty. *Skuteczności* istotnéj jednakże podobnego zamiaru przeszkadzają, nie mniéj położenie kraju i zewnętrzne okoliczności, jak nadewszystko usposobienie panów i dygnitarzy polskich. Jest to, nie zapominajmy, epoka *zwycięzkiéj* wprawdzie wojny, ale wojny przecież i ciężkiéj wojny z Rosyą; jest to daléj epoka słynnego rokoszu wojskowego pod marszałkostwem Świderskiego; jest wreszcie epoka tak hojnego w zgubne dla kraju następstwa, jakkolwiek może zbawczego samo przez się pomysłu Maryi Ludwiki, wyboru następcy Janowi Kaźmierzowi jeszcze za życia. Cóż zaś dopiero mówić o panach i dygnitarzach polskich! Jedyną na prawdę pociechą, że nawet według odsłaniających wszelkie ówczesne niezaszczytne skrytości polskie dokumentów archiwum Berlińskiego, bohater pola bitwy Stefan Czarniecki, jest téż nie dotkniętym żadną skazą bohatérem publicznéj cnoty. *Inni* jednakże, jakże grząski, jakże niepewny przedstawiają grunt dla każdego, ktoby się na nich chciał opierać, mianowicie dla własnego dworu! W. hetman koronny Potocki przedstawia chwilowo w najkorzystniejszym razie nicość, może nieszkodliwą emancypacyjnéj polityce dworu polskiego, ale téż z pewnością w niczém jéj niepomocną. W. marszałek koronny Jerzy Lubomirski, niechętny planom Maryi Ludwiki, pogniewany z dworem, jakże chętnie nadstawia ucha podszeptom elektorskiego dyplomaty Jana Howerbecka, z jakąż wdzięcznością przyjmuje od elektora bogate upominki dla wychodzącéj swéj za mąż córki, z jakim-że niepamiętnym na krzywdy Polski pochopem oświadcza się za kandydaturą do tronu polskiego elektora i radzi mu, by za przykładem króla Henryka IV uznał, „iż Polska jest mszy godną.“ W. kanclerz koronny Mikołaj Prażmowski, nie przedstawiając jako charakter i zdolność żadnego dodatniejszego żywiołu, wchodzi w tajne związki z reprezentantami interesu elektorskiego i bierze od nich, co najdziwaczniejsza nawet już w *tego* rodzaju choćby handlu, nie odpowiednie wcale swéj kanclerskiéj godności podarki. Podskarbi koronny Władysław Rej, Jan Bąkowski podkomorzy chełmiński, obaj ważną w ówczesnych okolicznościach odgrywający rolę, bo będący komisarzami Rzeczypospolitéj do traktowania z elektorem o sprawę Elbląga i Prus, należą niby-to do stronnictwa królowéj i nie są zbyt skłonni do ustępstw na rzecz elektora. Nie przeszkadza to jednakże, że obaj, mianowicie Rej są przedmiotem pieniężnego, licytacyjnego targu między Brandeburgią a niechcącą iść pod jéj jarzmo opozycyą Księztwa Pruskiego, że biorą oburącz pieniądze, że elektor w instrukcyi swéj z dnia 30 lipca 1660 upoważnia Howerbecka do oświadczenia wzgardliwie Rejowi, „iż jeźli sobie stosownie postąpi,“ „*wenn er sich gebührlich anschicken wird*,“ „nasza regencya pruska do-

stanie rozkaz wypłacić mu 3.000 talarów.“ Co się tyczy Bąkowskiego, odbiera Howerbeck w téjże saméj instrukcyi polecenie zawiadomić elektora, „coby *jemu*, Bąkowskiemu, za jego usługę i troskę ofiarować.“ Nie wspominając o innych, odgrywa nadto cała wielkopolska rodzina Leszczyńskich, sąsiadująca swemi dobrami z posiadłościami domu brandeburskiego, jako-to prymas Wacław Leszczyński, przedewszystkiém jednakże wojewoda poznański, później podkanclerzy koronny Jan Leszczyński, rolę agentów elektorskich. Jan Leszczyński jest człowiekiem zaufania elektora w Polsce, donosicielem Howerbecka, kierownikiem jego kroków, w wątpliwych razach nie wahającym się nigdy zdradzać tajemnic dworu, dygnitarzy Rzeczypospolitéj i własnego swego urzędu, ile razy tylko interes elektorski z podobnéj niedyskrecyi czy zdrady może korzystać. Nie inną, choć mniéj wpływową rolę naówczas odgrywa referendarz koronny Jan Andrzéj Morsztyn. Otóż to na nieszczęście filary ówczesne Rzeczypospolitéj, filary chwiejne i spróchniałe dla podtrzymania *jéj* budowy, tém skuteczniejsze w charakterze czynników minującéj ją roboty elektora. Nie koniec zaś na tém. Wydana przez profesora Hirscha korespondencya między elektorem a Howerbeckiem, wskazuje nam więcéj jeszcze osobistości pracujących skrycie dla interesu brandeburskiego. Sądzimy przecież, że dla ocenienia tła i gruntu, na którym się rozwijają po traktacie oliwskim od maja 1660, negocyacye dyplomatyczne między Brandeburgią a Polską, wystarcza co dopiéro z imienia i nazwiska wskazany poczet dygnitarzy Rzeczypospolitéj. W imię prawdy i sprawiedliwości historycznéj należy nam przecież wspomnieć dwie osobistości, wyróżniające się nieobecnością w podobnych robotach, stojące przeciwnie niezachwianie przy obowiązku czci i dobra Rzeczypospolitéj. Jednym jest biskup poznański Wojciech Tholibowski, pogniewany śmiertelnie z Brandeburczykiem o zniszczenie w czasie wojny szwedzkiéj, znajdującéj się pod swym zarządem katedry; drugim biskup warmiński Stefan Wydżga.

Przypatrzmy się teraz i rozpatrzmy w treści i charakterze rozpoczynających się tuż niemal po podpisaniu traktatu oliwskiego między Brandeburgią a Polską, o wykonanie jego stypulacyi, rokowań. Dnia 3 maja 1660 został podpisany traktat oliwski, pod dniem już 28 maja roku 1660, wyprawia elektor do Warszawy, na mający się tam-że odbywać sejm, barona Jana Howerbecka z obszerną instrukcyą, któréj treścią i zadaniem wykołatać za pomocą oddanych interesowi brandeburskiemu posłów i dygnitarzy Rzeczypospolitéj, jak najkorzystniejszą, o ile możności, dla Brandeburgii interpretacyą stypulacyj oliwskich. Mianowicie było rzeczą Howerbecka wyjednać elektorowi ustąpienie zajętego dotąd jeszcze przez załogę szwedzką El-

bląga, *sprzeciwiać się daléj, o ile możności, wszelkiéj zmianie obecnéj ustawy Rzeczypospolitéj*, przez co rozumiał głównie kiełkujący już naówczas plan Maryi Ludwiki w przedmiocie następstwa po Janie Kaźmierzu, wreszcie zaproponować zamianę Elbląga na miasto Braunsberg, starostwo Nowskie i objęcie prawem zastawu starostwa Człuchowskiego. Miał nadto Howerbeck w imieniu elektora ofiarować jego mediacyą w toczących się między Polską a Carem pokojowych układach. Instrukcya ta odsłania dość zrozumiale intencye, ale też i całe niebezpieczeństwo polityki elektora dla Rzeczypospolitéj. *Elbląg* żądany swoją drogą na podstawie traktatowych stypulacyj, miał być według tego zarazem środkiem wydobycia od Rzeczypospolitéj warmińskiego miasta Braunsberga, co mniejsza. Co ważniejsza natomiast, wyciągał elektor rękę po *Nowe*, ów punkt przeprawy na Wiśle mający być dlań środkiem komunikacyi z Księztwem Pruskiém. Starostwo Człuchowskie miało po prostu zwiększać pomorskie posiadłości elektora, a oddane w jego posiadanie zwężać jeszcze ową szyję polską, ciągnącą się wzdłuż brzegów Wisły aż do morza baltyckiego, między krajami elektorskiemi po jednéj i drugiéj stronie.

Owo sprzeciwianie się wszelkim zmianom ustawy polskiéj, mianowicie planom Maryi Ludwiki, znamionowało znów, co mniejsza, stan nieprzyjaźni między elektorem a dworem polskim, co ważniejsza przecież, charakteryzowało ostrzegająco na przyszłość dążność Brandeburgii mieszania się w wewnętrzne sprawy polskie. Elektor obawiał się uregulowania stosunków tronowych w Polsce. Kandydatem korony polskiéj za życia Jana Kaźmierza mógł być prawdopodobnie tylko członek rodziny panującéj, czy to we Francyi czy Austryi. Oba mocarstwa uważał elektor za niebezpieczne dla siebie. Czy to jedno, czy drugie mogło mu być na widowni polskiéj *tylko* groźném. Ztąd rozpoczęta już w roku 1660 przez Howerbecka, prowadzona później przez innych jego dyplomatów konsekwentnie, intryga ku obaleniu projektu sukcesyjnego Maryi Ludwiki.

W propozycyi wreszcie mediacyi pokojowéj między Carem a Rzecząpospolitą odżywa i objawia się dawna, tradycyjna skłonność elektora stwarzania Polsce kłopotów za pomocą dywersyi ze strony moskiewskiéj. Elektor porozumiewał się przez cały ciąg wojny szwedzkiéj z Carem, zdążając ku przystani jakiegobądź przymierza a przynajmniéj porozumienia. Mianowicie widzimy w tém dziele czynnym wyrodnego syna Polski, namiestnika elektorskiego w Księztwie Pruskiém Bogusława Radziwiłła, który już w ciągu roku 1660 wchodzi w stosunki za pośrednictwem niejakiego Piotra Hofmanna z zajmującym Kowno i Wilno dowódzcą wojsk Carskich Naszczokinem. Odgłos tych konszachtów doszedł przecież wiadomości Polski a zwy-

ciężtwa Stefana Czarnieckiego nad Chowańskim, Dołgorukim, Szeremetiewym, o których Howerbeck nie bez pewnego niezadowolnienia i kwasu swemu panu donosi, przeszkadzają opierającéj się na owéj „mediacyi“ rachubie elektora. Z taką to tedy instrukcyą i z takiemi intencyami widzimy w czerwcu 1660, wybierającego się barona Jana Howerbecka na sejm do Warszawy. Ominąwszy Poznań, zatrzymawszy się tylko na przedmieściu jego Śródce *„pod tumem,“* jak powiada, by nie doznać przeszkód ze strony komendanta miasta, przybył Howerbeck do Warszawy około 20 czerwca 1660 i rozpoczął nie mniéj u dworu, jak u najrozmaitszych dygnitarzy Rzeczypospolitéj, usiłowania około zadosyćuczynienia interesowi swego pana. Znalazł na miejscu dwór polski, królową i króla, w. kanclerza koronnego Prażmowskiego, podkanclerzego Jana Leszczyńskiego, marszałka królowéj Opalińskiego, biskupa krakowskiego Trzebickiego; z reprezentantów mocarstw zagranicznych Schlippenbacha posła szwedzkiego, de Lumbres'a posła francuskiego, L'Isolę posła Cesarskiego. Publiczna audiencya, jaką na dniu 24 czerwca uzyskał u obojga królestwa, miała powód zadowolnić najzupełniéj brandeburskiego reprezentanta. Jan Kaźmierz wyrażał się z samemi tylko komplementami dla elektora, dziękował mu za nadesłaną Rzeczypospolitéj amunicyą i działa, dziękował nie mniéj za ofiarowaną w wojnie z Carem pokojową mediacyą. W rzeczywistości jednakże, i po bliższém rozpatrzeniu się w stosunkach miejscowych, miał Howerbeck sposobność przekonać się, że sprawa brandeburska tak świetnie nie stoi, że Polacy o oddaniu Elbląga tak prędko i tak bezwarunkowo nie myślą, że ustąpienie zastawu Drahimskiego z powodu prawa hetmanowéj koronnéj także napotyka trudności, że zaś główną tego przyczyną wrażenie świetnych zwycięztw Stefana Czarnieckiego odniesionych właśnie nad wojskami Carskiemi. Każda klęska Chowańskiego na Litwie czy Białéj Rusi podnosiła czoło Polaków w Warszawie, czyniła ich mniéj skłonnymi do ustępstw na rzecz elektora. Howerbeck dowiadywał się o tém z żalem od zwierzających mu się we wszystkiém, troskliwych więcéj niż o dobro Rzeczypospolitéj, o interes elektorski panów polskich, Jana Leszczyńskiego, Andrzeja Morsztyna i Opalińskiego. W dodatku dodawała ducha nieprzyjaciołom elektora w Warszawie postawa stanów Księztwa Pruskiego, od których co chwila z prośbami o opiekę i pomoc przybywali emisaryusze i nadchodziły błagalne pisma. Rozdrażniały następnie niemało opinią publiczną w Polsce skargi szlachty i duchowieństwa w Lawenburgu i Butowie na rządy elektorskie, upominało wreszcie do powściągliwości w ustępstwach na rzecz elektora usposobienie samegoż, tyle ważnego ze względów politycznych i handlowych dla

Rzeczypospolitéj, miasta Elbląga. Kilku członków rady miejskiéj, nieliczni wyznawcy kościoła reformowanego byli wprawdzie za oddaniem miasta elektorowi. Ogromna większość jednakże mieszkańców luterskiego wyznania, obawiających się panowania kalwińskiego władzcy, pastorowie mianowicie luterscy agitowali przeciw Brandeburgii, objawiali niedwuznacznie chęć pozostania w nierozerwalnym związku z Polską. Gniewało to wszystko i niecierpliwiło do najwyższego stopnia elektora. Gniewowi temu i niecierpliwości daje wyraz w licznych depeszach do Howerbecka; ostatecznie jednakże nie mógł, jak na teraz, doprowadzić rzeczy do korzystnego rezultatu w Warszawie i na sejmie warszawskim. Pod koniec miesiąca lipca r. 1660 donosi Howerbeck, iż misya jego nie odnosi dotąd pożądanego skutku, a że Rzeczpospolita uważa za warunek wstępny do oddania Elbląga elektorowi, bezzwłoczne usunięcie poczty brandeburskiéj z Gdańska. Nadto wyznaczyła Rzeczpospolita ze swego ramienia dwóch komisarzy: wojewodę lubelskiego Władysława Reja i podkomorzego chełmińskiego Jana Bąkowskiego do traktowania w przedmiocie spraw polsko-brandeburskich z komisarzami elektorskimi na miejscu, bliżéj się jeszcze oznaczyć mającém. Na dniu 13 lipca odbyła się konferencya między obu wspomnianymi co dopiero komisarzami polskimi, posłem francuskim de Lumbres'em, brandeburskim Howerbeckiem. Na miejsce mających się rozpocząć negocyacyj przeznaczono miasto Gdańsk, a postanowiono zjechać się tamże w pierwszych dniach miesiąca sierpnia. Pod koniec lipca opuścił Howerbeck Warszawę, przesyłając w depeszy z dnia 24 tegoż miesiąca panu swemu następnie brzmiącą radę: „Miasto Braunsberg, któreby także chętnie (Polacy) przed oddaniem miasta Elbląga zwróconém mieć chcieli, będzie również mogło być klinem popychającym owo oddanie. W tym zaś celu powiadam, że W. E. Mość przeznaczyłaś znajdującą się tamże (w Braunsbergu) załogę do Elbląga. Wojewoda poznański (Jan Leszczyński), który zresztą jest W. E. Mości całkiem oddanym i z tego powodu u dworu prawie podejrzanym, prawi i radzi, abyś W. E. Mość w przedmiocie poczty zechciała cokolwiek ustąpić, ponieważ pod tym względem dwór ma za sobą pozory słuszności a zaręcza, że w takim razie będzie mógł popierać wszelkie inne intencye i interesa W. E. Mości z tém większą gorliwością. Tegoż samego zdania jest Pan Morsztyn.“ Już dnia 4 sierpnia 1660 znajdujemy wszystkich komisarzy na miejscu oznaczonego spotkania, w Gdańsku, mianowicie Reja i Bąkowskiego, Schlippenbacha, L' Isolę i jego sekretarza Kollowrata, Howerbecka i de Lumbres'a. Pierwszym i naczelnym toczących się negocyacyj przedmiotem jest Elbląg, którego Rej i Bąkowski mimo wszelkiéj chęci wy-

zyskiwania kieszeni elektorskiéj, wydawać Brandeburczykom stosownie do instrukcyi dworu warszawskiego się wzbraniają. Mianowicie dokładał właśnie w téj chwili dwór warszawski, przez reprezentanta swego w Hadze de Rye, wszelkich, choć nadaremnych usiłowań, by drogą pożyczki czy to u Stanów Generalnych, czy u prywatnych kapitalistów holenderskich, wydobyć sumę potrzebną na wykup Elbląga. Starania te ponawiały się z tymże samym niekorzystnym skutkiem i gdzieindziéj, choć nawet w razie powodzenia, nie byłyby nigdy zadowolniły elektora. Elektor, ile razy tylko odbierze od Howerbecka wiadomość o zamiarze *wykupu* Elbląga, pisze swemu reprezentantowi cierpkie depesze, aby się w negocyacye o podobny wykup z polskimi komisarzami nie wdawał, ponieważ mu chodzi *głównie* o posiadanie samegoż miasta wraz z jego terytoryum. Jako środek doprowadzenia rzeczy do pożądanego rezultatu uważa elektor nie co innego niestety, jak *przekupstwo.* Najwyższa rada pruska ma mieć w pogotowiu pieniądze dla Reja i Bąkowskiego, choć Howerbeck radzi ostrożnie, by się z datkami nie spieszyć a płacić dopiéro, skoro się za pomocą komisarzy polskich doprowadzi do pożądanego celu. Niespełna trzy tygodnie trwały konferencye gdańskie. Nie doprowadziwszy do żadnego rezultatu, dotyczyły brandeburskiéj poczty w Gdańsku, wykupu miasta Elbląga za pomocą mającéj się zebrać na ten cel sumy, wreszcie układów z samymi mieszkańcami miasta Elbląga, których deputacya przybyła do komisarzy polskich do Gdańska. Z końcem miesiąca sierpnia 1660 następuje, po misyi Howerbecka do Warszawy, po kilkunastodniowych rokowaniach gdańskich, trzeci, jeśli tak wolno powiedzieć, akt negocyacyi polsko-brandeburskich. Nie broniąc więcéj niż dwuznacznego *charakteru* i moralnéj strony komisarzy polskich, Reja i Bąkowskiego, przyznać im przecież w *téj* fazie akcyi wypada pewną zręczność i energią nakładającą wędzidło pożądliwości elektorskiéj. Nie należy zapominać, że do téj chwili znajduje się jeszcze załoga szwedzka w Elblągu pod dowództwem feldmarszałka von der Linde. Według brzmienia traktatów welawsko-bydgoskich, winno było być miasto z chwilą wyjścia Szwedów, oddane załodze brandeburskiéj. Tymczasem było już w Gdańsku Howerbeckowi mocno podejrzaném postępowanie reprezentanta Szwecyi Schlippenbacha, sprzyjającego widocznie raczéj Rzeczypospolitéj, aniżeli Brandeburgii, porozumiewającego się skrycie z komisarzami polskimi i posłem francuskim. O ile Schlippenbach wpłynął na to, co się w kilkanaście dni po konferencyach gdańskich stało w Elblągu i z Elblągiem, nie powiadają nasze materyały. Przebieg jednakże tamtejszych wypadków był następny. Dnia 23 sierpnia wyprawili oficerowie szwedzcy sobie i radzie miasta

Elbląga ucztę; wieczorem zapalono fajerwerki; 24 opuściła załoga szwedzka miasto, poczém tuż za ustępującymi Szwedami wkroczył do miasta Rej, prowadząc z sobą załogę 400 żołnierzy Rzeczypospolitéj pod dowództwem pułkownika Beaulieu. Radzca legacyjny (brandeburski) Hempel skreśla bliższe szczegóły owego zajęcia Elbląga przez Reja i Beaulieu'go w sposób następny. „Przybywszy wieczorem dnia 25 sierpnia do Rothenhöfchen pod Elblągiem, gdzie z feldmarszałkiem Linde, który z resztą załogi szwedzkiéj okrętem odpłynął, odbył spotkanie, miał, za powrotem wieczorem do miasta, znaleść kwaterę i być ugoszczonym przez burmistrza i burgrabiego Hoppego. Gdy Hempel do dnia następnego odwiedziny swe (u Reja) odwlókł, dowiedział się, że Schuee, Peckelmann i inni podżegacze zadenuncyowali reformowaną gminę u Reja, jakoby miała zamiar oddać potajemnie miasto elektorowi, a jakkolwiek gmina owa u prezydującego burmistrza przeciw temu protestowała, pozostało jednakże przeciw niéj owo podejrzenie. Dnia 25 sierpnia wyruszyło jeszcze z miasta 900 dobrze uzbrojonych i umundurowanych Szwedów a wkroczyło 300 Polaków pod dowództwem pułkownika Beaulieu. Polacy zajęli stanowiska na rynku, przy bramie rynkowéj i w innych miejscach i obsadzili bulwarkowy szaniec 24 ludźmi. Bramę malborską, kwidzyńską, również nowomiejską obsadzili mieszczanie swoim żołnierzem, liczącym kompletu ze 400 ludzi, a zostającym pod dowództwem burmistrza Hoppego. Dwie kompanie Polaków, które także z Malborga nadeszły, dostały rozkaz powrotu, ponieważ dżuma pomiędzy niemi grasowała. Wszyscy żołnierze polscy są zakwaterowani na przedmieściach a żywieni z pozaprowadzanych za czasów szwedzkich akcyz." Tak więc znalazł się, dzięki zręczności i pośpiechowi komisarzy polskich, Elbląg w posiadaniu Rzeczypospolitéj, elektor skazanym bądź to na rozpoczęcie kroków wojennych, bądź na podjęcie nowéj, żmudnéj negocyacyi dyplomatycznéj. W niemożności pierwszych, zrezygnował się elektor na drugą i wyznaczył pod koniec sierpnia 1660 trzech ze swego ramienia komisarzy, mających w sprawie oddania Elbląga i innych spornych punktów rozpocząć rokowania z komisarzami Rzeczypospolitéj. Komisarzami elektorskimi byli Jan Howerbeck, Jan Ulryk Dobrzyński i von der Ostau; główną ich podczas rokowań kwaterą miasteczko Preussich-Holland. Miejscem negocyacyi było na przemian bądź to Preussisch-Holland, bądź Elbląg, bądź też inne wsie i miasteczka w jego pobliżu. Ciągnęły się negocyacye od miesiąca sierpnia do listopada 1660 a przedstawiają obraz następny. Jak widzimy z korespondencyi komisarzy brandeburskich, nie jaśnieje moralny i polityczny charakter obu komisarzy Rzeczypospolitéj zbyt czystém świa-

tłem. Obadwa, tak Rej, jak Bąkowski, targując się z Brandeburczykami o cenę swych usług na rzecz elektora, nie odpychają, jakby należało, z zasłużoną wzgardą propozycyj przekupstwa i pokus swéj uczciwości. Czy to obawa opinii ziomków, czy to resztki jakiegoś patryotycznego wstydu, czy wzgląd na dwór, którego interes reprezentują, sprawiają przecież, że w gruncie rzeczy, sprawa elektora nie posuwa się ani na jeden krok naprzód, że zaś komisarze sami ściągają na siebie w depeszach Howerbecka zarzut pracowania dla francuskiego interesu, predykaty kłamców i zwodzicieli. Co zaś niewątpliwa, przeciągają negocyacyą w nieskończoność, występują co chwila z nowemi żądaniami i warunkami, zwlekają pod najrozmaitszemi pozorami termin oddania Elbląga elektorowi. Zachowanie się komisarzy polskich, przedewszystkiém jednakże Reja, nieszkodliwe na ten raz dla Rzeczypospolitéj, jest w swoim rodzaju wielce oryginalne, a mogłoby być przedmiotem politycznéj komedyi, gdyby mniéj poważnego tyczyło przedmiotu. W Reju walczą, przez cały czas pobytu w Elblągu, w Preussich-Holland, przez cały czas negocyacyj z trzema reprezentantami elektorskimi, dwa sprzeczne czynniki, chęć zadowolenia dworu a nadewszystko królowéj, która go darzy swém zaufaniem a po któréj protekcyi wiele się spodziewa, daléj równoczesny apetyt na przyobiecaną „w razie dobrego zachowania się“ nagrodę ze strony elektora. Nie innemi pobudkami kieruje się jego współtowarzysz Bąkowski, choć jemu właśnie oddaje depesza trzech elektorskich komisarzy wątpliwéj wartości pochwałę, iż w porównaniu z Rejem zdaje się być „rozsądniejszym i przystępniejszym.“ W kłopotach swych z komisarzami Rzeczypospolitéj, zalecają reprezentanci elektora panu swemu dość charakterystycznie, w depeszy z dnia 3 września 1660, udać się po radę do bawiącego w dobrach swych Goślinie pod Poznaniem wojewody poznańskiego (Jana Leszczyńskiego). Dygnitarz Rzeczypospolitéj, późniejszy jéj wielki kanclerz, wychodzący na najpoufniejszego agenta i doradcę, szkodliwego konsekwentnie Polsce elektora brandeburskiego,— fakt niezaprzeczenie równie w swoim rodzaju oryginalny, ile smutny. Wróćmy przecież do przedmiotu negocyacyj elbląskich.

Komisarze Rzeczypospolitéj wraz z załogą polską siedzą w Elblągu, załoga brandeburska w Braunsbergu, komisarze elektorscy Dobrzyński, Ostau i Howerbeck w Preussisch-Holland. Nie zapominajmy, że warunkiem wydania Elbląga elektorowi jest zwrot przezeń Braunsberga Polsce, lecz że obie strony nie ufają sobie nawzajem i że elektor zamiast z warmińskiego miasta ustąpić, pomnaża przeciwnie ciągle liczbę swéj załogi. Jest to okoliczność, któréj się komisarze polscy skwapliwie czepiają i około któréj głównie streszczają

swój opór przeciw oddaniu Elbląga elektorowi. Pośrednikiem między nimi a komisarzami brandeburskimi, między Preussisch-Holland a Elblągiem jest niejaki radzca legacyjny Hempel, którego sprawozdania, dość liczne i bardzo troskliwe, stanowią drogocenny przyczynek do charakterystyki nie mniéj ludzi, jak sytuacyi. Między innemi mówi np. w swéj depeszy z dnia 3 września 1660, że gdy Rejowi i Bąkowskiemu w piśmie Howerbecka przywiózł zaproszenie na konferencyą, która według jego, Hempla, propozycyi miała się odbyć we wsi Hausdorf pod Preuschmarkt, obaj oświadczyli gotowość stawić się tamże nazajutrz o drugiéj po południu. Rej zaręczał przy téj sposobności, że jest oddanym interesowi elektora a że nikt w koronie nie jest zdolnym wyrównać mu w serdecznéj dlań życzliwości. Miał, jak powiadał, rozkaz wprowadzić sześć kompanij do miasta, tymczasem poprzestaje na dwóch, które już się tam znajdują na załodze. Jeżeli jednak ma elektorowi Elbląg wydać, winien być pewnym wysokości swojego „*honorarium.*“ W tym samym sensie oświadczył się Bąkowski i otrzymał wraz z Rejem najkategoryczniejsze zaręczenia. Po tego rodzaju początku i wstępie można się było spodziewać, że sprawa elektora z komisarzami Rzeczypospolitéj pójdzie łatwo i gładko a że po prostu będzie zależała od dobicia targu co do sumy, jakiéj za usłużność swą zażądają. Nie należy przecież zapominać, że nawet w obrębie interesu materyalnego i osobistego, były do zachowywania względy, które równoważyły bardzo znacznie ofiarę elektorską. Z jednéj strony ofiarowali, jak wiemy zkądinąd, malkontenci pruscy Rejowi sumę 10.000 talarów, byle tylko Elbląga elektorowi *nie* oddawał; z drugiéj zaś strony stał w odwodzie dwór polski z możnością rozdawania wakansów, starostw, dygnitarstw. Dzięki podobnym powodom, być może że i pewnym względom na dobro Rzeczypospolitéj, widzimy komisarzy polskich w rozpoczynającéj się konferencyi twardszymi daleko i oporniejszymi, aniżeliby się tego po sprawozdaniu Hempla spodziewać było można. Na odbytéj dnia 14 września w Preuschmarkt na terytoryum Rzeczypospolitéj konferencyi oświadczyli, że oddanie Elbląga elektorowi może nastąpić tylko pod następnemi warunkami: 1) za zupełnem ustąpieniem z Braunsberga, 2) za opuszczeniem znacznéj sumy pieniężnéj żądanéj za Braunsberg, 3) za zniesieniem poczty brandeburskiéj w Gdańsku a za dozwoleniem bezprzeszkodnego obiegu polskiéj na terytoryum elektorskiem, 4) za zniesieniem przewozu brandeburskiego między Nowem a Meisterswalde na Wiśle. Na konferencyi dnia 6 września odbytéj we wsi Hausdorf dodali jeszcze komisarze polscy *piąty* warunek, aby siła przyszłéj załogi brandeburskiéj w Elblągu nie przewyższała liczby obecnéj *polskiéj* załogi tamże.

Warunki te, mianowicie co do przewozu pod Nowém i co do liczby brandeburskiéj załogi w Elblągu, zdawały się komisarzom elektorskim tak twardemi, że oświadczyli zgodę na nie ze strony elektorskiéj jako rzecz niewykonalną.

Żądanie to jednakże powtarza się ze strony komisarzy polskich i w ciągu następnych konferencyj, przyczém Rej składa się odebraną w téj mierze od króla z Sambora pod dniem 23 sierpnia wyraźną instrukcyą. Dodajmy zresztą, że nie ostatnim argumentem dla komisarzy polskich w odwlekaniu tradycyi Elbląga elektorowi, jest usposobienie samych-że Elblążan i malkontentów pruskich. Sprawozdania Hempla nie pozostawiają pod tym względem najmniejszéj wątpliwości. Wpływowy kaznodzieja luterski przy kościele nowomiejskim Samuel Corell wzywa swą gminę do oświadczenia czy chce wytrwać przy królu polskim, czy téż pojść pod panowanie brandeburskie. Odpowiedź zawezwanych brzmiała jednozgodnie, iż mieszkańcy Elbląga gotowi oddać krew i mienie za związek z rzeczpospolitą Polską. Nadto nie przestają nadchodzić z Królewca pisma upominające, aby Elbląg nie oddawał się pod jarzmo brandeburskie, pod którém mięszkańcy księstwa pruskiego tyle cierpią i wytrwał wiernie przy rzeczypospolitéj i królu polskim.

Otóż stan negocyacyj polsko-brandeburskich, w ciągu których ten chyba tylko szczegół na wzmiankę zasługuje, że namiestnik elektorski Bogusław Radziwiłł zjechał z Królewca do Braunsberga, by się znosić z elektorskimi komisarzami w interesie wspólnego pana. Najciekawszą może pamiątką jego tutaj pobytu jest list do elektora datowany z dnia 25 września, w którym się żali, że jedną z głównych przeszkód wstrętu Elblążan do poddania się elektorowi są skargi mieszkańców Lawenburga i Butowa na obchodzenie się z nimi władz brandeburskich, tudzież podobne skargi malkontentów pruskich. W charakterystycznym dopisku donosi elektorowi Bogusław Radziwiłł. „Złą radę dali elblążanom królewczanie i buntują ich przeciw w. elektorskiej mości; szlachta w starostwach Elauwskiém i Balgskiém nie chce już także podatków płacić; proszę o prędkie rozkazy, jak się mam daléj zachować.“

Co się tyczy głównego przedminotu układów, jest przez cały ciąg miesiąca września oddanie Elbląga ciągle rzeczą niby to już bardzo bliską i obiecywaną przez komisarzy polskich, w stanowczej chwili przecież nadarzy się zawsze jakaś przeszkoda, bądź to poczta elektorska w Gdańsku, bądź to przewóz pod Nowem, bądź Braunsberg, bądź liczba załogi elbląskiéj, która ostateczne załatwienie rzeczy w nieskończoność odwleka.

Pudobny przebieg konferencyj tém dziwaczniejszy, tém więcéj uderzający, gdy się po kilkakroć zdarza, iż sami komisarze rzeczypospolitéj oświadczają, że oddanie Elbląga tuż niebawem w przeciągu kilku dni nastąpi. Cóż, narzuca się natarczywie pytanie, tradycyą ową w stanowczym momencie regularnie uderemnia? Czy może pozioma chęć wyciągania skąpego Brandeburczyka na większe jeszcze ofiary, jak się tego komisarze elektorscy sami domyślają; czy téż resztki patryotycznego sromu; czy téż może instrukcye króla i Maryi Ludwiki? Przyczyną tego, jak zobaczymy niżéj, tajne wskazówki królowéj liczącéj na przymierze francusko-szwedzkie i nadzieje jéj opierające się na postawie malkontentów pruskich.

Tymczasem nie od rzeczy przytoczyć kilka przykładów przebiegu konferencyi, dowodzących, jak dalece koniec jéj, w sensie dla elektora pożądanym, zdawał się już być bliskim. Tak np. odbywa się na dniu 25 września 1660 rozmowa między Rejem a Hemplem, po której o godzinie 8 rano wzywają przed siebie reprezentacyą wszystkich stanów miasta Elbląga, mianowicie pp. prezydenta Meyeureissa, dwóch radnych Treschenberga i Lamberta, ławników Jacobsena, Ramsego i Hopfa wraz z sekretarzem Beckerem. Zgromadzonym oświadcza Rej w obecności Hempla, iż oddanie miasta elektorowi niezawodnie nastąpi i że jedynie chodzi jeszcze tylko o zabezpieczenie z jego strony dotychczasowych praw i przywilejów. Komisarze elektorscy dziękują Rejowi za podobną deklaracyą, jako za wstęp mającéj tuż nastąpić tradycyi Elbląga, gdy w tém sejm pruski w Chełmnie staje przeszkodą, ponieważ ma się zająć zebraniem summy potrzebnéj na wykup miasta. Nie dość na tém, pojawiają się zaraz potém, w pierwszych dniach października 1660 ze strony Reja i Bąkowskiego Braunsberg, poczta i przewóz, jako nowe przeszkody zabraniające bezwarunkowéj tradycyi Elbląga, a rzecz cała znajduje się wtrąconą ponownie w stan poprzedniéj niepewności. Rej nie pytając o zwierzchnie prawa elektora wzywa Elblążan do uczestniczenia w sejmie pruskiém w Chełmnie, elektor i Bogusław Radziwiłł usiłują straszyć komisarzy polskich a zmusić Elblążan samych zamknięciem portu do ustępstw. Podobne groźby i przymusowe środki byłyby może doprowadziły elektora do celu, gdyby na prawdę był miał zamiar i możność poparcia ich siłą i wypowiedzeniem wojny. O tém jednakże nie mógł wśród obecnych okoliczności myśléć, a tak toczyły się konferencye polsko-brandeburskie w dotychczasowém, błędném kole daléj.

Nadzieje zwłaszcza elektora opierające się na zatrudnieniu rzeczypospolitéj przez dywersyą wojny moskiewskiéj okazywały się dlań płonnemi, ponieważ pospolite ruszenie żmudzkie, choć liczące

mało piechoty a nie mające dział, naciskało załogę carską w Kownie, a Stefan Czarniecki gromił zwycięzko Chowańskiego i nie dopuszczał jego odsieczy w serce Litwy.

Od téj chwili, to jest od pierwszych dni miesiąca października 1660, nie postępują mimo ciągłych konferencyj, mimo nieustającéj korespondencyi między trzema komisarzami brandeburskimi, Bogusławem Radziwiłłem, samym-że elektorem a komisarzami rzeczypospolitéj układy aż do końca niemal roku ani jednego kroku naprzód. Ciągłe komisarzów brandeburskich skargi na nieszczerość Reja, na jego złą wiarę w układach, na jego dwulicowość przeplatają się targami o Braunsberg, sporami o liczbę załogi brandeburskiéj, wreszcie objawami groźnych, a ten raz bardzo niepolitycznych, intencyj elektora co do praw i przywilejów miasta Elbląga. Nie byłto zaiste sposób pozyskania sobie Elblążan i uczynienia ich może zwolennikami interesu brandeburskiego wobec dworu warszawskiego i komisarzy rzeczypospolitej.

Dość powiedzieć np., że elektor drożył się bardzo z aktem tak naturalnym i tak dlań tanim, jakim była amnestya dla tych z pomiędzy mieszkańców Elbląga, którzy się przejściu pod jego władzę opierali. Było to pokazywać zbyt rychło i zbyt wyraźnie samodziercze dążenia, które już były przedmiotem ciężkich skarg i zażaleń niemniéj mieszkańców Księstwa Pruskiego, jak ziem Butowa i Lawenburga.

Łatwo pojąć, do jakiego stopnia wśród podobnych okoliczności wzrastało rozdrażnienie elektora, tém zaciętsze może na wewnątrz, im mniéj wobec Polski mógł mu dać wyrazu na zewnątrz przez zbrojne wystąpienie. W depeszy z dnia 18 października ganił nie bez pewnéj cierpkości postępowanie swoich reprezentantów, nie kazał im wdawać się w jakie bądź koncesye czy to na rzecz Elbląga, czy na korzyść rzeczypospolitéj, czy to w przedmiocie żądań pieniężnych, „zwłaszcza, że to wszystko punkta załatwione już oddawna przez traktaty z Jego Królewską Mością Polską“ a zalecał stać twardo i niewzruszenie przy swych prawach. Tymczasem stało się wykonanie podobnych istrukcyi komisarzom elektorskim tém trudniejszém, że Rej dnia 19 października Elbląg opuścił i samego tylko Bąkowskiego na miejscu zostawił, który mimo obietnic pieniędzy, przyjmowanych skwapliwie i bez sromu, również z ciągle nowemi postulatami i warunkami występował, a oddanie Elbląga zwlekał. Wśród takich to okoliczności powstaje w końcu miesiąca października 1660 myśl wyprawienia Howerbecka wprost na dwór polski, w celu doprowadzenia interesu elektorskiego do pożądanego rezultatu. Pomysł ten przyszedł z upoważnieniem elektora w miesiącu

listopadzie 1660 do skutku. Rej, jak powiedziano, wyjechał z Elbląga, za nim pośpieszył do Polski Howerbeck, na miejscu został tymczasowo tylko Bąkowski z mandatem króla i Rzeczypospolitéj, ograniczonym tylko do możności traktowania w sprawie przewozu przez Wisłę pod Nowem. Komisarzom elektorskim Dobrzyńskiemu i von der Ostau niepozostawało wśród podobnych okoliczności na miejscu nic do roboty; wyjechali tedy również do Królewca a konferencye elbląskie rozchwiały się bezowocnie, pozostawiając, ku niesłychanemu zadowolnieniu Elblążan i malkontentów pruskich, Elbląg w ręku polskim, a elektora skazanego na dalsze czekanie i na konieczność nowéj zmudnéj a wątpliwych widoków negocyacyj.

Zapisując podobny, ujemny dla Brandeburgii rezultat rokowań o Elbląg, byłoby niedokładnością zapomnieć o ważnych, zakulisowych czynnikach, które, pominąwszy co dopiero powyżéj wskazane w nieskąpej mierze nań wpłynęły. Według tego, co późniéj w miesiącu listopadzie 1660 poseł cesarski D'Isola w Krakowie Howerbeckowi powiedział, a co archiwalne dokumenta najdowodniéj poświadczają, tłómaczy się chwiejna i zmienna postawa komisarzy polskich w Elblągu następnemi okolicznościami. Dzięki interwencyi francuskiéj i posła francuskiego de Lumbres'a, wychodzą Szwecya i Polska, a lepiéj powiedziawszy Szwecya i Marya Ludwika sprzymierzeńcami i przyjaciołmi z krwawéj, pięcioletniéj, zakończonéj traktatem oliwskim wojny. Wiadome aż nazbyt dobrze plany królowéj polskiéj obmyślenia swemu małżonkowi następcy jeszcze za jego życia. Francya a za jéj poręką Szwecya robią się zwolennikami pomysłu królowéj. W Szwecyi widzimy z pośród regentów po zgonie Karola Gustawa mianowicie admirała Karola Gustawa Wrangla, hr. Schlippenbacha i Totta pracujących dla téj polsko-francuskiéj kombinacyi. „Połączone starania“ mówi profesor Hirsch w swym komentarzu do dokumentów szwedzko-brandeburskich, „Francyi i królowéj polskiéj wyjednania francuskiemu księciu następstwa w Polsce, dostarczyły do tego pożądaną sposobność. Korzystając z niéj, udało się hrabiemu Klaudiuszowi Tott zawrzeć pod dniem 12/22 września 1661 w Fontainebleau traktat na lat dziesięć, którego tajnym artykułem Szwecya zobowiązywała się, wybór księcia Enghien na następcę tronu w Polsce popierać, przeciw obcym mocarstwom, któreby temu przeszkadzać chciały, bronić, a na ten cel w przeciągu czterech miesięcy, odkąd tego Francya zarządza 12000 ludzi w pole wyprowadzić, w zamian czego Francya objawiała gotowość Szwecyi rocznie 480000 talarów, a choćby nawet do wojny nie przyszło na utrzymanie armii szwedzkiéj 260000 talarów, płacić. Gdy pod koniec tegoż roku opinia publiczna w Polsce coraz nieprzychylniéj dla

tego planu objawiać się poczęła, pozwolił się Tott, gdy mu w styczniu 1662 pierwszą ratę 100000 talarów wypłacono, do modyfikacyi owego tajnego artykułu w ten sposób skłonić, że Szwecya obowiązuje się zbrojną swą pomoc przeciw samymże Polakom obrócić, a zmiana ta została — jakkolwiek sejm polski w maju tegoż roku wybór za życia króla odrzucił, a elektor propozycyą de Lesveins'a, by popierał plany francuskie, odepchnął, przeprowadzenie więc tych planów przedstawiało perspektywę groźnéj wojny—przez rząd szwedzki pod dniem 10 czerwca 1662 zatwierdzoną. Szwecya nie dopisała jednakże odlegle pretensyom Francyi, tak, że dwór wersalski z wypłatą subsydyów się powstrzymał we wrześniu 1662 kawalera de Terlon do Sztokholmu wysłał, by unieważnić powyższy traktat". Tyle dla scharakteryzowania stosunków francusko-szwedzko-polskich po traktacie oliwskim, tyle téż dla ocenienia ich wpływu na konferencye polsko-brandeburskkie w przedmiocie Elbląga. Reprezentant Szwecyi w Oliwie hr. Schlippenbach, który, nawiasowo powiedziawszy, krótko potém ku wielkiemu zadowoleniu elektora brandeburskiego utonął wracając do kraju, był stanowczym, choć cichym przeciwnikiem Brandeburgii i utwierdzał Reja w zamiarze *nie* oddania jéj Elbląga, po za którym to protestem tkwiło naturalnie przymierze między Szwecyą a Maryą Ludwiką. Królowa pisywała do Reja listy upominające, „że nie może się niczém lepiéj przysłużyć rzeczypospolitéj, jak *ocalając* Elbląg". Nie ufając charakterowi chciwego, pragnącego przy podobnym ogniu upiec własną pieczeń Reja, dał nawet dwór warszawski dowódzcy załogi polskiéj w Elblągu, pułkownikowi Beaulieu, rozkaz nie usłuchania go, jeśliby chciał oddać miasto elektorowi, ale oczekiwać w takim razie rozporządzeń królewskich. Pod wpływem takich czynników i okoliczności, nie znajdowała choćby nawet dwuznaczność Reja lepszej rady, jak usunieniem się z widowni elbląskiéj doprowadzić pośrednio do zerwania konferencyi.

W skutek tego i z tą chwilą rozpoczyna się *trzeci akt* dyplomatycznéj akcyi w Polsce czy przeciw Polsce, ale odtąd o rozszerzonym już programie.

(*D. n.*)

K. Jarochowski.

SZEKSPIROWSKA HISTORYA TRAGICZNA
O KSIĘCIU DUŃSKIM HAMLECIE.

(Dokończenie).

II.

Ze wszystkich dramatów szekspirowskich najpopularniejszy, ale zarazem najbardziéj najeżony zagadkami, wymaga Hamlet dla swego zrozumienia i ocenienia, aby starannie odosobniono to co bez sporu zdaniem powszechném wszystkich krytyków leżało w zamiarze autora, od zamiarów domniemanych, przypuszczanych, wnioskowanych przez każdego krytyka z osobna, a takich przypuszczeń krążą całe myriady jak muszki w powietrzu, bo téż olbrzymią jest literatura jednemu tylko Hamletowi poświęcona.

Otóż zdaje mi się, że mogę jako pewnik niesporny wziąć takie założenie: w zamiarze Szekspira było uwydatnić jak najjaskrawiéj przeciwieństwo pomiędzy społeczeństwem zepsutém, zgniłém i trupiém, a czułym i genialnym, ale do najwyższego stopnia niepraktycznym królewiczem. Nie tylko w słowach Hamleta zdradza się to na wieku bez ducha ciążące przekleństwo: *wiek wyszedł z formy i mnież to trzeba wracać go do normy* (out of joint I, 5 — właściwiéj było tłómaczyć: czas wywichnięty ze stawów, a ja przeklęty, żem się rodził na to, aby go prostować); nie tylko całkiem nawet prości ludzie jak Marcello przychodzą instynktowo do przekonania, że jest *coś zgniłego w duńskiem państwie* (I, 5.), — ale proces rozkładu odmalowany pełny, dotykalny w całym ogromie stosunków, charakterów, usposobień i nałogów myślenia w otoczeniu Hamleta, proces tak daleko posunięty, że nie łatwo spaczone prostować, nawet nie oglądającemu się i mającemu serce lwie i wytrzymałą energią człowiekowi. Możeby temu zadaniu niesprostał sam Fortynbras, gdyby był Duńczykiem, gdyby stał w tak przykrych stosunkach familijnych,

któreby go zmuszały być sędzią i oprawcą względem swojej własnéj krwi. Bywają operacye przykre i bolesne, z któremi daleko łatwiéj sobie radzi obcy człowiek, cudzoziemiec. Serca i umysły szlachetniejsze muszą użyć pewnego wysilenia nad sobą, *gdy chcą nieść trud oddychania w zatrutéj atmosferze tego świata* (V, 2.). *Niema* — powiada Hamlet — *na całą Danią nikczemnika, którenby niebył kompletnym ladaco*, a Horacy odpowiada mu: *do objawienia nam tego nie potrzeba, ażeby duchy wychodziły z grobów* (I, 5.).

Słusznie zauważył Gerwinus, że akcya dramatu przeniesioną została w czas przejściowy, że się odbywa na zrębie dwóch epok. W niedawnéj przeszłości rej wodzili ludzie chrobrzy, zakuci w żelazo, którzy zhołdowali Danii i Norwegią i Anglią i rozbijali na lodach z sanek złożone tabory Polaków (I, 1.), a kupom tym przewodził w stal od stóp do głów, od czaszki aż do kostek przybrany (I, 2.) szronem siwizny przypruszony król bohatér, którego majestatyczna postać przechadza się o północy marsowemi kroki po pałacowym tarasie. Po tych krwawych wojnach nastąpiły czasy pokoju, nieczynności, wczasowania. Dzicz troszkę się okrzesała zwierzchu, ale tylko na pozór. Noszą sobole, aksamity, jeżdżą polerować się do Paryża, albo uczyć się do Wittenbergi, fechtują się zręcznie francuskiemi szpadkami, uczeni przez najsłynniejszych francuskich fechtmistrzów, załatwiają interesa międzynarodowe nie z bronią w ręku ale przez dyplomacyą; pod gładką atoli formą siedzi w każdym ukryty dawny człowiek, barbarzyniec, któren często sobie folguje, obżera się, opija i nie pożąda żadnych wyższych nadto uciech i zabaw umysłowych. *Te biby na zabój*, powiada Hamlet (I, 4.), *W pośmiech i wzgardę tylko nas podają, U innych ludów: beczkami nas mienią, I trzodzie chlewnéj właściwy przydomek Hańbi nazwisko nasze.* Mała ta na pozór okoliczność sprowadza siła złego i sprawia, że cały kraj jest, niby niepielony ogród *Bujnie krzewiącym się chwastem porosły* (I, 2.). W całym dramacie ani jednéj rzetelnie poczciwéj figury ludzkiéj oprócz Horacego, któren sam o sobie powiada: jestem raczéj stary Rzymianin niż Duńczyk (V, 2.), to téż tak się dziwi Hamlet, że Horacy przybył do Elzynoru i wróży mu rzeczy następne: *nauczysz się pić tęgo zanim ztąd odjedziesz* (I. 2.). Cała Dania jest niby jedna wielka szynkownia, cały dwór—zbiorowisko najrozmaitszych płazów, głupawych i mało rozgarniętych, jak przystawieni do Hamleta rówieśnicy jego Rozenkranc i Gildenstern, albo wyłamanych do zginania się i wytresowanych fagasów jak Ozryk — *ta mucha wodna*, wedle Hamleta, któren tak go jeszcze charakteryzuje: *ma on poddostatkiem ziemi i żyznéj. Niech bydle jakie będzie panem między bydlętami, Wraz będzie miało swój żłób przy królewskim stole* (V, 2.). Uniżona służbistość i szpie-

gowanie w najrozmaitszy sposób—to są główne ingredyencye, wchodzące w skład téj zaraźliwéj atmosfery. Jaka rodzina taki naród. Na tle wcale nie pociągającego społeczeństwa odmalowane są dwie takie rodziny, których losy ściśle z sobą powiązane, a nawet poplątane: rodzina ministra i rodzina monarchy.

I w życiu dworskiém w średnich wiekach i w repertoarze Szekspira błazen jest ważną figurą, która zwykle tak się użytkuje na scenie, że pod pstrą suknią i czapeczką z dzwoneczkami, starano się okazać jeżeli nie serce wielkie, to przynajmniéj ślady głębszéj myśli w trefnych żartach. Raz podobało się poecie postawić na opak zadanie i uczucia a duszę prawdziwego i skończonego błazna okryć szamerowaną złotem delią wielkiego ochmistrza dworu króla Danii. Wysoki komizm typowéj postaci Poloniusza polega w niczém niezachwianém wysokiem rozumieniu o swoim rozumie, praktyczności i talentach, tém wyższém im na większego się wystrychnął dudka (II, 2.). *Czyż się zdarzyło kiedy*, powiada on, *radbym wiedzieć Aby tam gdzie ja powiedziałem: tak jest, w istocie było inaczéj. Zdejmcie mnie głowę z karku, jeżeli nie wykryję prawdy, chociażby siedziała wewnątrz ziemi.... Jeżeli on jéj nie kocha* (Hamlet Ofelii) *i nie skutkiem tego utracił zmysły, to niech z szambelana zostanę prostym chłopem albo klechą.* Cały zasób umysłowy tego przed królem gumelastycznego człowieka, a przed innemi pyszałka, zawiera się w niewyczerpanéj gadatliwości, zasłuchanéj w płynące z ust własne frazesa i wzrastającéj z wiekiem. Daremnie słyszy z ust króla: *„więcéj rzeczy mniéj sztuki!“* Frazesowanie bez myśli stało się drugą naturą: *Przysięgam o Pani, że się bynajmniéj o sztukę nie silę. Syn wasz oszalał — to prawda — prawda że to nieszczęście, i nieszczęście wzajem, że to jest prawda. Otóż się skleiło coś retorycznego. Szaleństwo czémże jest jeśli nie stanem człowieka szalonego...* Zaufanie w swój rozum, który świeci golizną, nie daje nawet dostrzedz ministrowi, że zeń dworują. Niepojmuje on, że do niego przepija Hamlet (II, 2.), gdy o potwarz pomawia satyryka za to, że ten ostatni twierdzi, *iż ludzie starzy mają siwe brody i zmarszczki i zupełny brak dowcipu obok wycięczenia łydek. Chociaż to waryacya, ale nie bez metody*, odpowiada Poloniusz; tylko szaleni mają tak trafne odpowiedzi. Niktby się nie troszczył o tego *starego dzieciucha, któren nie wyszedł jeszcze z pieluch* (Ham. II, 2.), gdyby nie jego wysokie urzędowe stanowisko, gdyby nie to, że ten dzieciuch rządzi ludźmi, że jest decydującą powagą w rzeczach sztuki z racyi, że uczył się retoryki i grał kiedyś rolę Cezara zabijanego na kapitolu (III, 1.), w poezyi— bo kiedyś układał madrygały, w miłości — bo kiedyś umizgał się, w polityce—bo się uważa za machiawela (III, 1.), bo posiada w zapasie cały arsenał rad mądrych a płaskich, w rodzaju tych, które

daje synowi na odjezdném (I, 3.) a których największą wadą jest, że podają nie zasady postępowania, ale prawidła wywnioskowane *a posteriori* po szkodzie, więc nie nauczą tego co szkody niedoświadczył, a temu kto doświadczył są niepotrzebne (*Przyjaciół, których doświadczysz, Przykuj do siebie żelaznemi klamry; Ale nie plugaw sobie rąk uściskiem Dłoni pierwszego lepszego socyusza; Niepożyczaj drugim ani od drugich, bo pożyczkę daną Tracim najczęściéj razem z przyjacielem, A braną psujem rząd potrzebny w domu*). Ma téż Poloniusz obok rad cały magazyn praktycznych środków w rodzaju podsłuchiwania waryującego księcia, badania go przez nasadzoną córkę, wysyłania (II) sługi Rajnolda do Paryża, aby ten ostatni śledził za każdym krokiem Laertesa, dowiadywał się od innych o jego prowadzeniu się zapomocą krętobadawczych pytań i ojcu donosił. Więc gdy ten minister tak wysoko się wzniósł dla tego tylko, że co chwila wygłaszał: „*obowiązki moje względem Boga i mego władcy, tak samo jak duszę, trzymam w porządku,*“ wiem „*czém jest majestat, czém powinność sługi,*“ że z gorliwości sadził wszędzie swoje trzy-grosze, musiał więc w końcu oberwać, wsadziwszy palec między drzwi, między króla stryja i królewicza synowca, ale zasłużył tylko na taki sąd o sobie: *O, głupio paplający ladaco!* (a foolisch prating knave), bo téż każdy niepotrzebny głupiec u władzy jest szkodliwém ladaco.

Stary Poloniusz wiek cały przeżył nieodróżniając frazesu od myśli i moralności od przyzwoitości światowéj. To pomieszanie rzeczy stało się podstawą wychowania nieodrodnego od ojca i syna — Laertesa. Na pozór jest to gładki kawaler bez skazy, wzorowy dworzanin, chodzący przykład kortezyi i honoru. Na tego kawalera spadają ciężkie losu próby, śród których musi się wykazać z jakiego kto metalu. Ojca mu zabito, siostra skończyła dni swe prawie samobójstwem, nie rozkaz ducha ale zbieg okoliczności każe mu zostać mścicielem. Szekspir z zamiarem uwydatnia tę jednostajność położenia (V, 2, Hamlet: *W obrazie Laertesa widzę Wierne odbicie mojéj własnéj doli*) i rdzenne przeciwieństwo charakterów i czynów. Laertes dowiódł hartu w sobie i stanowczości: „*Możność zaś moją*, powiada on (IV, 5.), *k'temu tak urządzę, że z małą garścią środków wiele wskóra.*“ Ale gdzież się śród téj próby podziały uczucia wiernego lennika i sługi, gdy na czele buntowników godzi on z gołym i podniesionym mieczem na swego suzerena, zasłaniając się tém, że „*kropla krwi zimnéj byłaby we mnie świadectwem bękarctwa, Urągowiskiem przeciw memu ojcu.*“ Gdzież się podziało uczucie honoru, uczciwość rycerska, gdy Laertes nie tylko przystaje na propozycyą króla aby do zakładowéj walki z Hamletem użyć zaostrzonéj szpady zamiast tępego floretu, ale sam z własnego pomysłu dodaje nową zdradę (IV, 7.): *zro-*

bię tak i dla pewności Nabalsamuję ostrze swego miecza (dodajmy, że trucizną). Tylko w uroczystéj chwili konania rozwidnia mu się niecność jego postępowania, równająca go z mordercą: *Przebaczmy sobie wzajem, cny Hamlecie, Niech duszy twojéj nie ciąży śmierć moja I mego ojca, ani twoja mojéj. Wpadłem w ten dół, którym wykopał pod tobą.* Dodajmy jeszcze rys jeden do charakterystyki: ten człowiek taki krewki, tak naturalnie roznamiętniony, nawet w zapamiętałości swojéj jest niewolnikiem, nie prawdy uczucia, ale jéj pozorów, gdy rzucając się do dołu grobowego wygłasza te przesadne wyrazy: *Walcie proch teraz na dwojakie zwłoki Aż usypiecie kurhan tak wysoki, Jak Pelion, albo prujący obłoki Podniebny Olimp.* Ta to przesada głównie razi Hamleta, który cenną rozpaczy nabył szczególniejszéj ostrości jasnowidzenia przy odróżnianiu prawdy uczucia od fałszu, to téż Hamlet zrywa po swojemu maskę z twarzy Laertesa: *Przyszedłeś tutaj jęczéć, w grób jéj skakać dla urągania mi? Daj się z nią razem żywcem pogrzebać—i ja to uczynię, a jeśli prawisz o górach, niech na nas runą miliony włók ziemi, a z sapu powstały kopiec, sterczący w głąb' eteru Ossę w brodawkę zmieni* (V, 1.). Wnet potém Hamlet zwierza się Horacemu: *słysząc wszakże owe przechwałki jego boleści, nie mogłem być panem siebie* (V, 2.). Z zamiarem w téj scenie zestawione zostały dwa nieprawdziwe wyrazy boleści i przesada na seryo i przesada ironiczna.

Przechodzimy do wiotkiéj modrookiéj, jasnowłoséj córki Poloniusza. Obraz Ofelii stał się pospolitym i tkwiącym w pamięci dzięki czarującemu otoczeniu téj postaci w dwóch scenach jéj ostatnich, dzięki téj kupie kwiatów polnych, które ona rozdaje: rozmarynu, stokrótków, orlików, ruty, dzięki gałęzi téj wierzby o sinych liściach, która się obłamała pod ciała jéj ciężarem i tym wodnym liliom śród których trup jéj pływa, nakoniec tym ułamkom ślicznych balad ludowych, które w jéj ustach *„nie wyrażają niczego, Lecz zastanawiają, bo je podnosi słuchacz I zszywa wedle kroju własnych myśli* (Horacy IV, 5). Wszakże już Goethe dał (W. M. Wanderjahren I, 14) téj pięknéj córce Ewy, do któréj przypadają doskonale słowa Hamleta o matce: *kruchości, twoje nazwisko kobiéta (Fragility thy name is woman)*, takie dosadne określenie: cała jéj istota pływa w dojrzałéj słodkiéj zmysłowości. Ten śliczny kwiatek chuchany, cackany, wyrosł na tłustéj ziemi śród wygódek i zbytku, ma wszystkie przymioty wijącéj się rośliny, robi z nim każdy co chce. Kazano jéj odesłać podarki księcia i listy — odesłała; nieprzyjmować go — nieprzyjmuje (II, 1.); kokietować i udawać — udaje i bez wahania się bierze udział w intrydze, mającéj na celu wydobyć z serca jego tajemnicę. Jest to serduszko tak powolne, że nie umie nienawidzieć, ale oddaje się wnet bez podziału i wcale nie jest w stanie bronić się. I ojciec i brat upo-

minają ją surowo (I, 3.): *wstydliwe dziewczę za wiele już waży, Gdy przed księżycem wdzięki swe odsłania*, i zalecają jéj: niedowierzanie nawet saméj sobie. Potulne dziecko wszystko przyrzeka, nie bez utyskiwania na przymus. Nadeszła próba, książę, o którym marzyło dziewczę i którego kochało, o ile może takie bierne serce kochać, odtrącił ją, co więcéj—zabił ojca. Organizm umysłowy niedotrzymał—zwaryowała, ale w tém obłąkaniu w urwanych myślach, jak w drzazgach rozbitego zwierciadła, malują się marzenia, które ją nawiedzały w snach dziewiczych, o zmarłym (IV, 5.): *U nóg jego darń zielona W głowach zimny głaz — Całun jego jak śnieg biały*...., ale oprócz zmarłego i o tém co bywa na św. Walenty: *Wszak nimeś cel życzeń otrzymał, Przysiągłeś się zemną ożenić? — I byłbym był słowa dotrzymał Lecz trzeba było się cenić.* Brakowało jéj tylko okazyi, a mogło się stać co opiewa jéj piosenka: *I weszła dziewczyna do chaty, Lecz z chaty nie wyszła dziewczyną.* Ta bezbronna zmysłowość nadaje szczególniejszą wagę znakomitéj rozmowie Hamleta z Ofelią. Wszystkie wyrazy mają szczególniejszą trafność ze względu na osobę, do któréj się stosują: *jesteś piękną? jesteś uczciwą? Jeżeli jesteś uczciwą i piękną, uczciwość twoja nie powinna nic mieć do czynienia z pięknością. — Idź Waćpanna do klasztoru, naco ci mnożyć grzeszników. Albo jeżeli koniecznie potrzebować będziesz wyjść za mąż, wyjdź za głupca, bo rozsądni ludzie nie wiedzą jakie z nich czynicie potwory... Wara odtąd mężczyznom żenić się. Ci co się już pożenili wyjąwszy jednego* (t. j. króla Klaudyusza) *niech żyją zdrowi, reszta powinna zostać tak jak jest. Do klasztoru, do klasztoru!* (III, 1). Takie ładne, pełne wdzięku kwiaty, jak Ofelia, mogą rosnąć na gruncie społecznym i śród największego zepsucia. Cała warstwa pośrednia między tronem a ludem, którą wyobraża rodzina Poloniusza, jest zupełnie przegniła. Cóż widzimy po nad tą warstwą? O tam, na saméj górze, gnieżdżą się dwa ohydne potwory, które z tronu zrobiły barłóg obrzydliwéj rozpusty: król Klaudyusz i królowa Gertruda.

Gdy bohatérski król Hamlet ojciec umarł nagłą a tajemniczą śmiercią, korona w tém fantastyczném państwie, wedle fantastycznego, przez Szekspira prawodawcę ustanowionego prawa sukcesyi, które, niedyskutując, przyjmujemy za obowiązujące, spadła na żonę jego Gertrudę, posiadającą już 30-letniego i lubionego przez lud syna Hamleta — główną osobę dramatu. Brat zmarłego, Klaudyusz, ubiegł tak szybko serce wdowy a z niém jéj rękę, a z ręką tron Danii, że w miesiąc jeden po owdowieniu już skojarzyło się małżeństwo z *imperial jointress*—panią dziedziczką tego wojennego państwa z nowym uznanym przez stany i podniesionym do spólnictwa korony monarchą, *(nie postąpiliśmy*, powiada Klaudyusz I, 2., *wbrew światlejsze-*

mu waszemu uznaniu, które swobodnie objawione dało krokowi temu sankcyą). Klaudyusz najprawniéj dostąpił korony: nie widać, aby Hamlet syn miał jakiekolwiek do niéj prawo. Boleśnie ukłuł go tylko pośpiech przy zawarciu tego potwornego, w jego oczach, nowego związku matki: I, 2. *Nim zdarła te trzewiki, w których szła za biednego mego ojca ciałem — Nim jeszcze słony osad łez nieszczerych Z zaczerwienionych powiek jéj ustąpił — Oszczędność, bracie oszczędność, Resztki przysmaków z pogrzebowéj stypy Dały traktament na ucztę weselną.* Pod koniec dramatu (V, 2.) Hamlet powiada tylko: *on wcisnął się pomiędzy elekcyą i nadziejami memi.* Te słowa, malujące stosunek polityczny stryja do synowca, znaczą tylko, że gdyby nie stryj -- syn Gertrudy, najbliższy spadkobierca matki, mógłby przez elekcyą stać się spółregentem koronowanéj niewiasty, a teraz po ubieżeniu tronu przez stryja, na jego słodkie słowa: *synowcze Hamlecie, synu mój*, odpowiada z przykąsem: *trochę więcéj niż synowcze a mniéj niż synu* (I, 2.). Rutyna sceniczna nadaje zwykle Klaudyuszowi całkiem niewłaściwą fizyognomią brodatego zbója, jakiegoś ponurego i strwożonego Heroda, mamy zaś do czynienia z naturą daleko głębszą, ze skończonym łotrem, bardzo zręcznym, bardzo przebiegłym, ale wciąż uśmiechającym się, dla podwładnych ujmującym, bo posiada talent, o którym paplał tylko Poloniusz: *świętą miną i uczynkami ocukrować samego dyabła* (III, 1.). W całéj jego istocie nie ma ani jednéj żyłki bohaterskiéj, ani jednego z tych rysów, które uszlachetniają krwawą ale potężną postać Makbeta. Klaudyusz posiada śliską wiarę, zimną krew i kręty ruch węża, nie idzie wprost do celu, ale podpełza, działa za pomocą saméj tylko dyplomacyi, ale pod względem praktyczności o całą głowę przewyższa Hamleta, jako mąż—dziecko, i przewyższa tém właśnie, że się nigdy nie waha i czyni co chce czynić wnet i bez skrupułów: IV, 7. *Kto chce, powinien wraz co chce spełnić, Bo to chce zmienne tyle napotyka Tam i skrupułów, ile jest na świecie Ramion, języków i przygód, a późniéj Owo powinien staje się niewczesném Westchnieniem, które ulżywając szkodzi* (1). W swoim słusznym żalu Hamlet lżąc stryja zbójem, rzezimieszkiem (III, 4.) gdy go zestawia z ojcem, nazywa go Satyrem w obec Hyperiona, tak podobnym do brata, jak ja, powiada Hamlet, do Herkulesa. Sądząc beznamiętnie, trzeba przyznać, że ten król, aczkolwiek tylko dyplomacyą posługujący się, umie rządzić, a nawet choć nie z ochoty, ale z potrzeby, umie stawić czoło niebezpieczeństwu, zasłonić się przed mieczem Laertesa z powołaniem się na „boskość majestatu“ (IV, 5.) i tak

(1) Porównaj Nr. 21 w „Myślach i Uwagach“ Margr. Wielopolskiego. Myśl tam też sama, ale rozwinięta, rozszerzona i przerobiona.

okiełzać napastnika, że wnet pozyskał w nim sprzymierzeńca, z którym wspólnemi siłami układa plan misterny sprzątnienia królewicza (IV, 7.). Uczucie nie wchodzi w zakres polityki Klaudyusza *(Płomień miłości zawżdy mieści w sobie Coś nakształt knota, co moc jego tłumi)*, bogiem jego jest obrachowany interes egoistyczny, wypowiadany gdy trzeba bez ogródek *(Kochałem twego ojca, kocham też i ciebie; To ci powinno dać do zrozumienia)*. Jest to człek zły i szkodliwy o tyle, o ile tego wymaga jego interes, lubi drzemać gdy syty; sama pijatyka stanowi część jego polityki. Kiedy czuwa z czarą w ręku, zgraję opilców dworskich przepijając, *Każdy zaś nowy sygnał trąb i kotłów Jest tryumfalnym hasłem nowéj miary Przezeń spełnionéj* (I, 4.), jest to z jego strony tylko praktyczne zastosowanie do narodu przysłowia, że kto pije—ten śpi, a kto śpi—ten nie grzeszy. Trochę więcéj krewkości i sangwinicznéj porywczości a mielibyśmy z Klaudyusza Augusta II Mocnego, a z Danii Polskę. Uderzające podobieństwo zwiększa nawet miodopłynna fakunda, z ust królewskich płynąca, napuszona, retoryczna, kwiecista, jak oracya z XVII wieku (I, 2. *Sercu naszemu godziło się... zawrzéć się w jeden fałd kiru, jednak czyniąc gwałt naturze, Z zatrutą, że tak powiem, od smutku radością, Z pogodą w jednem a łzą w drugiém oku, Z bukietem w ręku a jękiem na ustach, Na równi ważąc wesele i boleść... ożeniliśmy się* — powiada król). Spać jednak spokojnie nie podobna, zbrodnia wyłazi na wierzch niby szydło z worka, tyran z obawy staje się podejrzliwym, krwi żądnym i nawet doznaje czegoś nakształ zgryzoty sumienia. Nie jest to właściwie zgryzota, ale obawa ognia piekielnego. W straszliwéj scenie 3-éj aktu III po teatrze, jednéj z najpotężniejszych jakie Szekspir napisał, maluje się nie skrucha, ale nieuleczalne rozdwojenie w sobie zbrodniarza (to double business bound), któren chociaż chce i potrzebuje modlić się, ale nie może, bo nie może żałować winy, bo nie może rozstać się z owocami zbrodni, z posiadaniem korony, władzy, żony brata. Nie kając się, bo mu chodzi mocno o posiadanie źle nabytego, grzesznik zdobywa się na rozpaczliwy krok i usiłuje Boga podejść modlitwą (*na cóż łaska, Jeżeli nie na to by przebaczać winnym — Zegnijcie się kolana i ty stalą okute serce zmięknij...*), a czyni to wszystko, chwytając się, jak tonący brzytwy, złudnéj nadziei, że jeszcze wszystko *ujdzie czy naprawi się* (all may be well), robiąc zabiegi w niebie, aby sobie zapewnić posiadanie owoców zbrodni na ziemi.

Królowa Gertruda jest spólniczką tylko łoża i tronu Klaudyusza, ale nie spólniczką zbrodni. Bez wiedzy jéj wlane były do ucha śpiącego pierwszego męża krople blekotowe. Zbrodzień strzegł się odsłaniać przed nią stronę duszy czarną, a posiadł ją przez swoję wielomówną układność, rubaszność i przez zalety fizyczne. Kobiéta

w najwyższym stopniu bierna, nie kobieta a raczéj po prostu *samica*, wieszała się chciwie na szyi pierwszego męża bohatera, a wnet potém z *tego górnego pastwiska zeszła na bagno i padła z lubością w bardziéj jeszcze do smaku przypadające objęcia Satyra* (I, 2—III, 4.). Palące słowa syna w scenie o północy budzą w téj istocie grubo cielesnéj niejaką skruchę (*Ty oczy moje zwracasz w głąb' méj duszy, Widzę w niéj czarne brzydkie plamy, których zmyć nie potrafię*), przerywaną uczuciem fizycznéj obawy przed synem (*Niechcesz mię zabić przecie*). Hamlet nawet nie próbuje pozyskać jéj na sprzymierzeńca i spólniczkę zemsty; znając jéj naturę, on tylko ciska jéj w oczy te pełne krwawéj obelżywości wyrazy: *Gdy cię pijany król weźwie do łoża, Nazwie swą kotką, z pieszczot w twarz uszczypnie, Wtedy za parę ckliwych pocałunków Albo łaskotek niecnych jego palców Odkryj mu wszystko, coś tu usłyszała; Powiedz mu, żem ja w gruncie nie szalony, Tylko szalony przez podstęp...* Nawet ta krwawa obelga nie wywołuje żadnego jęku, a tylko zapewnienie, że matka go królowi nie wyda. Tak dzieląc się pomiędzy poziomém uczuciem życzliwości dla dziecka, a równie poziomém, pozbawionéın wszelkiego duchowego pierwiastku, przywiązaniem do męża, nie zdobędzie się Gertruda na żadne postanowienie, na żaden czyn, którenby ją wydobył z jéj stanu mniéj niż ludzkiego, ze stanu zezwierzęcenia, ze stanu, w którym prawie nie ma poczytalności.

Takie jest tło brudno jaskrawe, z osób i stosunków złożone, na którem zarysowuje się, niby czarna plama, żałobna postać królewicza, postać stojąca nie samotnie, bo połączona i prawie wciąż oparta o drugą, postać kolegi szkolnego, druha, wiernego towarzysza, Horacego. Że Horacy nic nie ma wspólnego z powiernikami tragedyi pseudoklasycznéj, których na to tylko wprowadzano, aby dawali replikę głównym osobom działającym — to nieulega wątpliwości. Zarówno można wziąć też za pewnik, że Horacy nie występuje jako chór w tragedii starożytnéj, jako uosobione sumienie narodu, jako górujące usposobienie ogółu względem pewnego czynu czy wypadku. A jednak Horacy w dramacie nie działa i mógłby być bez szkody dla akcyi całkiem usunięty. Funkcya jego podrzędna: rozmyślnie użył go autor dla uwidocznienia, ile w duszy Hamleta, nawet po skrzywieniu, wypaleniu i zgangrenowaniu jego charakteru wskutek fatalnego składu okoliczności, pozostało jeszcze skarbów uczucia najwznioślejszego i prawie dziecięcéj niewinności i prostoty. By znaleść coś podobnego do téj najidealniejszéj i, że tak rzekę, anielskiéj przyjaźni, trzeba chyba posunąć się od Szekspira do Don Carlosa i markiza Pozy, albo do Zbigniewa i Mazepy w dramacie Słowackiego. Horacy sam się nazywa próżniakiem (*truand* I, 2.), bo nie z jego usposobieniem rzetelném, niezależném, robić karyerę nietylko na takim, ale

na jakimkolwiek bądź dworze. Nie on szuka księcia, ale książę z *poor servant* robi *good friend'a: weź to miano a mnie daj tamto.* Książę go wybrał dla tego, że Horacy ubogi, że nie posiada *na utrzymanie się i okrycie żadnych przychodów, oprócz rzeźkości ducha.* Ani książę temu pauprowi niema powodu pochlebiać, ani Horacy niby materyalnie nie zyskał na przyjaźni z księciem. *Słuchaj*, powiada książę (III, 2), *od chwili kiedy dusza moja mogła być panią swojego wyboru, już ona cię sobie upodobała, boś ty wiele cierpiąc takim był zawsze, jakbyś nic nie cierpiał. Boś ty fortunie zarówno był wdzięczny za jéj umizgi i prześladowania, A błogosławion w kim krew z przekonaniem tak są zmieszane, iż on palcom losu Nie służy za flet do wydania dźwięków Wedle kaprysu... O, daj mi człowieka niebędącego żądz swych niewolnikiem, a w głębi serca mego go umieszczę, W sercu samegoż serca, tak jak ciebie.* Horacy przewyższa Hamleta trzeźwością sądu, wytrzymałością, ale mimo woli ulega naturze księcia bardziéj utalentowanéj i lotnéj i jest względem księcia jak ochmistrz albo piastunka, która nie ma siły potępić zato, czego nie pochwala (naprzykład za przyprawienie o śmierć Gildensterna i Rozenkranca), w końcu chce umrzeć z Hamletem i rwie się do mętów w zatrutym kielichu, mówiąc: *raczéj jestem Rzymianin niż Duńczyk* (V, 2). Tu mimowolnie nasuwają się porównania, z reminiscencyj poetycznych wynikające, a wywoływane jednostajnością sytuacyi. Koniec Hamleta dziwnie przypomina koniec Wallenroda z tą różnicą, że w powieści Mickiewicza Wallenrod namawia Halbana: *I czegóż myślisz, masz nalaną czarę — Moja wypita: starcze, w ręce wasze!* — Ale Halban nie chce, *ja przeżyję i Ciebie mój synu! Chcę jeszcze zostać— zamknąć twe powieki, I żyć ażebym sławę twego czynu Zachował światu, rozgłosił na wieki.* Dodajmy, że Mickiewicz mógł skorzystać dla Wallenroda (1828) z Hamleta, bo jeszcze w roku 1822 w Kownie (Kores. I, 7.) cisnął się przez Szekspira z dykcyonarzem w ręku jak przez uszko od igiełki, a ze wszystkich tragedyj Szekspira najsłynniejszą od wydania *Wil. Meisters Lehrjahren* (1796) był Hamlet. Porównanie obu arcydzieł wypada na korzyść wielkiego Anglika. Halbanowi wierzymy tylko na pół, że nie samo tylko przywiązanie do życia, ale i dbałość o pośmiertną sławę Wallenroda, każą mu przy życiu pozostać, ale czyż mógł druh serdeczny Hamleta zawahać się przed następném uroczystem przykazaniem: *jak upośledzone imię Po mnie by pozostało, gdyby ta tajemnica nie mogła wyjść na jaw, jeśli kiedykolwiek W poczciwém sercu twojém miałem miejsce, Wyrzecz się jeszcze na chwilę zbawienia I poniś trudy oddychania dłużéj W zatrutéj atmosferze tego świata... dla objaśnienia moich dziejów.—* I Horacy pełni święcie przykazanie i będzie całe życie opowiadał: *O czynach krwawych, wszetecznych, wyrodnych, O chłostach trafu, przy-*

padkowych mordach, O śmierciach skutkiem zdrady lub przemocy, O mężobójczych planach, które spadły Na wynalazcy głowę.

Jakkolwiek Horacy człowiek rzetelny i weredyk, jednakże naprzód uprzedzamy się przeciwko jego historyi czy podaniu o Hamlecie. Byłoby to coś nakształt poematu Krasińskiego, kończącego się pieśnią o przebóstwionym, przeanielonym, unoszącym się w gloryi zmartwychwstania. W takie rzeczy nie bawi się wedle słów Krasińskiego stary Will anatom, empiryk, materyalista (Wyjątki z listów Z. K. Paryż 1861 r. 31 i 177), *Will wielki mistrz na dysonanse, wiedzący, że serca pękają, ale nie wiedzący dla czego i za co, Will pełen ducha tytanicznego ale złego, rozumiejący tylko duszę ludzką, a nie ducha ludzkości i dodający ludzi do ludzi jak ziarnka piasku w prawdzie ich codziennéj, a nie wiekuistéj.* Te wyrzekania pochodzą z zasadniczego przeciwieństwa dwóch natur, z których Krasiński mniema i twierdzi, że śmierć i ból o ile są momentem tragicznym, o tyle już mają w sobie zaród zmartwychwstania i dla tego przekłada Szyllera nad Szekspira, podczas gdy Szekspir stawi sobie za zadanie, wytłómaczyć jak najszlachetniejsze umysły psują się i niszczeją z własnéj winy, zanim anioł śmierci dotknie ich swojemi skrzydłami.

Odkładając na stronę kwestyę: kto większy poeta? bo są to dwie wielkości różnorodne, nie dające sie mierzyć jedną stopą, a nie stawiąc nawet drugiéj kwestyi: kto większy tragik, bo większy niezawodnie Szekspir, wracamy do Hamleta, w odcieniowaniu którego Szekspir dowiódł największego mistrzowstwa psychologicznego. Głębia i zagadkowość tego niesłychanie realnego, mimo swoję niezwykłość, charakteru, uwydatniają się szczególniéj od końcowéj sceny z duchem w akcie I. Wszystko co przedtém idzie — to tylko zawiązanie się dramatu, i aż do objawienia się ducha Hamletowi należy do tak zwanéj w technice dramatu *ekspozycyi*, w ciągu któréj postać księcia nie wyłania się z obsłon kiru żałobnego, przykrywających wszystkie jego cechy indywidualne, a odznacza się tylko większym stopniem tak naturalnego w jego położeniu smutku, większą niż u innych ludzi tęsknotą i chorobliwą wrażliwością, odczuwającą boleśnie każden fałsz w życiu, każdę niedelikatność (I, 2) *O czemu to zbyt zsiadłe ciało nie stopnieje, nie skropli się w rosę, czemu zakazane Bożem przykazaniem samobójstwo.* Na słowa matki: „zdaje się“, syn wybucha gwałtownym, pełnym gniewu ale i rozżalenia ustępem: *U mnie nic żadne „zdaje się“ nie znaczy, Niczem sam przez się ten oczom widzialny, Czarnéj żałoby krój konwencyonalny... Żałość na widok stawiana obliczem, Miną, gestami—to wszystko jest niczém, To tylko zdaje się, bo potajemnie Można być obcym temu; ale we*

mnie Jest coś, co w ramę oznak się nie mieści, W tę barwę żalu, liberyą boleści. Ta bezdenna melancholia obejmuje w sobie coś więcéj niż prosty rozstrój nerwów: tkwi w niéj niewytłómaczone i nie wyrozumowane przeczucie strasznéj tajemnicy, która cuchnie aż w niebiosa i zaraża powietrze w Danii, bo król wedle świadomego téj rzeczy Rozenkranca—*to byt, Na którym polega życie milionów! Nie kończy Nigdy majestat dni swoich sam jeden, Jak spadający potok chłonie z sobą... wszystko co było w pobliżu* (III, 3). To też pierwszy wykrzyk Hamleta na objawioną przez ducha tajemnicę jest: (I, 5) *o, moja wieszcza duszo!* (o my prophetic soul). Wykrzyknik ten zaznacza chwilę, w której przeczucie zmienia się w pewność i jak od elektrycznéj iskry zapala się samo działanie. Wprowadzenie widma dokonane jest z mistrzowstwem, w którém Szekspir nie ma sobie równego i w skutek którego zapomocą kilku rysów, otacza on nas atmosferą właściwą akcyi i sprawia zupełne złudzenie, jak czarodziéj, nie wymagając żadnego wysiłku wyobraźni ze strony słuchaczów. Widmo panuje nad całym aktem I-m, czujemy ostre, zimno i świst wiatru morskiego o północy, szum fali morskiéj rozbijającéj się o brzeg i nawet doświadczamy tych tajemniczych dreszczów, które przy ukazaniu się zjawiska mianego za nadprzyrodzone prostują włosy, tak, że *te stają dębem jak na jeżu kolce.* Mamy przed sobą okaz najwspanialszego zastosowania do dramatu pierwiastku fantastycznego, zastosowania, które sprawia na scenie do dziś dnia tak potężny efekt, jak za czasów szekspirowskich. Zachodzi pytanie o przyczynie dla czego? Na to pytanie odpowiedź bardzo prosta.

Dowiedzioną jest rzeczą, którą biorę za pewnik, że u Szekspira, jak u każdego wielkiego artysty, wprowadzony na scenę świat duchów nie jest tylko czczą allegoryą albo udramatyzowaniem zachodzących w duszy bohatera wypadków, że nawet wiedźmy w Makbecie nie są jedynie upostaciowaniem żądz na dnie duszy jego uśpionych, ale istotami iście demonicznemi, że po za duszą człowieka w świecie i przez świat niewidome siły działają i wpływają na jednostkę, unosząc ją po za kres jéj dążeń i zamiarów; jako w powietrzu unoszą się miliony niedojrzanych żyjątek, które, będąc wprowadzone w krew i mnożąc się, zabijają organizm, tak w każdéj atmosferze społecznéj unoszą się niezliczone miazmy zepsucia i grzechu, które postaciować może wyobraźnia. Jakkolwiek wielką i pyszną jest nasza wiedza, i mnoży się co chwila, jednak będzie ona zawsze wyglądała jak mały jasny krążek, a po za tym krążkiem idzie w półcieniu wązki pasek jeszcze niepoznanego, a za tym paskiem czarny przestwór wiecznie niepoznawalnego. Granice tych

trzech obszarów są ruchome i chwiejne. Czasami mroczny cień pada aż na sam środek jasnego krążka naszéj wiedzy, gdy zajdzie wypadek zagadkowy, zmylający wszelkie rachuby. Czasami umysł z tytaniczną odwagą rzuca się w niewiadome, ufając że je posiadł albo posiędzie. Są takie wielkie wybrane umysły, które się ważą na podobne przedsięwzięcia i pragną samych wniebowstąpień i zmartwychwstań i którebym nazwał *metafizycznemi*. Takiemi pół poetami pół wizyonaryuszami byli Dante, Krasiński. W oczach Krasińskiego nawet Szekspir jest empirykiem i materyalistą dla tego, że stojąc twardo na lądzie, niby na samym cyplu Nordkapu, mierzy on tylko okiem głębie morza północnego, to jest pozaświata i nie waży się na wyprawę do samego bieguna północnego.

Stanowczo wyróżniająca Szekspira od płytkich materyalistów pewność o czémś co się ani marzyło filozofom, czy go nazwiemy Bogiem czy z samym Krasińskim (Kron. rodz. 1875 s. 98) *tém niepojętém szatańskiem zerem, które co chwila przetwarza się na coś, ale dopóki go nie znamy przeraża nas tajemnicą nieskończoności*, już stworzyło między Szekspirem a społeczeństwem węzeł umożebniający użycie świata duchów przez poetę ze skutkiem scenicznym. Na to nie trzeba wizyj i zmartwychwstań, na to nie trzeba również prostéj, kruchcianéj wiary, dość gdy autor przytwierdzonym jest, że tak powiem, do téj saméj łodygi, z któréj i ta kruchciana wiara wyrosła, więc bez trudności w duchu téj kruchcianéj wiary użyje wyrobione przez nią obrazy i formy, stanowiące podkład umysłowości i u ludzi najwykształceńszych i u prostaczków. Szekspir dwa razy zużytkował piekło i czyściec w trwogach więzionego Klaudio z „Miarki za miarkę“ (III, 1: *zamienić ciało żywe i gorące Na gliny garstkę, gdy duch wywołany Albo się kąpie pośród fal ognistych, Albo drży w wiecznych zamarznięty lodach, Lub w niewidzialnych uwięziony wiatrach, W gwałtownym pędzie nad wiszącym światem krąży bez końca*) i w widmie starego Hamleta. Rola ducha przeprowadzoną jest w Hamlecie ściśle wedle wierzeń ludowych: zjawia się po północy, znika gdy kur zapieje, płonie w siarczystych płomieniach albo błąka się wypuszczony z marmurowych objęć grobowca po świecie podksiężycowym, póki się nie wypali kał nieodpokutowanych grzechów, bo nieboszczyk zginął bez namaszczenia, bez przygotowania, bez porachunku z sobą. Nietylko rola widma jest ściśle tradycyjną, ale i zachowanie się Hamleta trzymane jest w tymże tonie prostéj wiary (I, 4: *Aniołowie Pana zastępów miejcie mię w swojéj opiece* — (III, 4) *osłońcie mię opiekuńczemi skrzydły*) Iść za duchem Hamlet decyduje się tylko ze względu na to, że *To życie szpilki złamanéj nie warte, A dusza moja jak on nieśmiertelna.* Nawet wpadając w swój

nałogowy sceptyzm, Hamlet nie ducha lecz rozkaz tylko jego podaje w wątpliwość z pobudek najbardziéj zgodnych z wiarą i teologicznych: *błogosławionyś ty czy potępiony! Tchniesz-li tchem z niebios czy wyziewem z piekieł...* (I, 4). *Ten duch mógł być szatanem i nadużywając mojéj słabości i smętności, ciągnie mię może w przepaść* (II, 2).

Na zestawieniu tego obcowania z duchem w końcu aktu II ze znakomitym, bezpośrednio prawie potém, na początku aktu III, monologiem: *być albo niebyć* osnuł *Rümelin* swój, dowcipny i trudny na pozór do zbicia, zarzut przeciwko układowi i budowie dramatu, polegający na tém, że sceny z duchem i monolog polegają na rdzennie przeciwnych zapatrywaniach się na duszę, na dwu przeciwnych porządkach myślenia, bo w pierwszych dwóch aktach Hamlet stoi całkiem na stanowisku grubéj i naiwnej wiary ludowéj w duchy, a w monologu stawi pytanie: umrzéć — zasnąć — może śnić, a więc może i nie śnić—to jest podaje po prostu w wątpliwość dogmat nieśmiertelności duszy, z dodatkiem: *któżby dźwigał ciężar nudnego życia, Gdyby obawa czegoś po za grobem, Obawa tego obcego nam kraju, Skąd nikt nie wraca* (a przecież duch ojca wracał) *niewątliła woli* (III, 1). Przeciwieństwo na pierwszy rzut oka rażące, wada tém ważniejsza, że dotyczy nie drugorzędnych szczegółów akcyi, i ornamentów, ale stanowi kapitalną skazę i szczerbę w posągu głównym, środkowym.

A jednak monolog ten filozoficzny, w żadnym związku z akcyą niebędący, tak charakteryzuje Hamleta, tak zdaniem powszechném do niego przyrósł, że wszelką inną scenę możnaby raczéj obciąć i wyrzucić, tylko nie to sławne: *być albo nie być*, które stanowiło w pierwotném opracowaniu część aktu II, a potem już w drugiém opracowaniu przeniesione zostało do III aktu. Widocznie w tym dramacie myśl zbyt wielka rozsadzała formę. Pierwotnym materyałem była saga pogańska, artystyczne ukształtowanie jéj przeprowadzone zostało w duchu przesądnym wieków średnich, ale uosobione w księciu duńskim zwątpienie, przekroczyło cykl pojęć katolickich i doszło do mety, do któréj sięgało w wieku kończącego się renessansu i początków reformy. Ateuszem nie mógł zostać Szekspir — upragniony ideału artysta, ale już gadano głośno jak się wyraża *Lafeu* w sztuce jego „Wszystko dobrze co się kończy dobrze“ (II, 3), *że czasy cudów minęły, już z cudów się śmiano*, zasada niewzruszalności praw natury stała na porządku dziennym. Nie jest dostatecznie dowiedzionem przypuszczane przez niektórych, naprzykład przez Tchischwitz'a (Shaekspere's Hamlet, Halle, 1868), przejęcie się Szekspira filozofią atomistyczną Giordana Bruno, owszem zdaje się, że Szekspir-artysta nie hołdował wyłącznie żadnemu systematowi filo-

zofii, ale potrącił zlekka w Hamlecie główny filar, na którym się opiera cały gmach wyobrażeń chrześcijańskich.

Nie rozumem, ale zwątpieniem serca kierowany Hamlet uchyla rąbek wielkiéj zasłony: *o, gdyby wiedziano z pewnością, że wypadnie poprostu zasnąć a nie marzyć w grobie, któżby Ścierpiał pogardę i zniewagi świata, Krzywdy ciemiężcy obelgi dumnego, lekceważonéj miłości męczarnie, Przewłoki prawne, butę władz i owe upokorzenia, które bezustannie Cichéj zasługi stają się udziałem,—Gdyby od tego kawałkiem żelaza Mógł się uwolnić.* Po tém badawczém zajrzeniu w próżnię, zazierający cofnął się pobladły: *tak to wrodzona rumiana cera postanowienia* (hue of resolution) *niknie w skutek bladego koloru myśli; tak to sumienie* (nie rozwaga, jak czasami tłómaczą, ale *conscience*) *czyni nas tchórzami*, to jest każe nam żyć i cierpieć. Temat o samobójstwie jeden z najpospolitszych u Szekspira, powtarzany z dziesięć razy i prawie zawsze z naganą i wstrętem. Wprawdzie ginie w ten sposób poetycznie miłosna para kochanków werońskich, ale w usta Limogery w Cymbelinie (III, 4) wkłada Szekspir te słowa: *są boskie prawa przeciw samobójcom*, a w Juliuszu Cezarze (V, 1) Brutus oświadcza wychodząc już z innych pobudek: *nie wiem czemu Ale mi się to wydaje tchórzostwem, Nawet podłością, skracać sobie życie z obawy czegoś, co może nastąpić.* Cała waga monologu leży nie w podjęciu tematu o samobójstwie, ani w takiém powiązaniu tego tematu z dogmatem o odrębném od ciała istnieniu duszy, że ostatni przemaga nad pierwszym, lecz w tém, iż książę duński w swojém usposobieniu pesymistyczném pieścił się z myślą, która otwiéra na oścież wrota samobójstwom i mnoży je, z myślą, że po śmierci ustaje indywidualność i nastaje wielkie nic, w które jednak nie odważył się książę zapuścić myśli jakby kotwicy i wrócił nazad, wyrzekając się wycieczki. W tém zawróceniu nazad zostaje zharmonizowany sceptycyzm Hamleta z jego zasadniczą wiarą i znika a zapomina się wytknięty przez Rümelina dyssonans, bo któż nie wahał się, któż nigdy nie wątpił? Ale poprzedzające postawienie pytań w chwili zawahania się, już wystarczyło do wyznaczenia Hamletowi odrębnego miejsca w literaturze tytanicznéj, która od Eschylesowego Prometeusza i Księgi Hioba idzie do Fausta, Manfreda i Konrada. Z tego punktu widzenia rozważany Hamlet i nie jest pierwszym z rodu i ma nadzwyczaj rozrodzone prawe i nieprawe potomstwo.

Wracam do wątku dramatu. Duch się objawił w całej grozie cmentarza i godziny północnéj i przykazał synowi: pomścij się za mnie na stryju, ale oszczędź matkę. Każdy syn powiedziałby na razie to samo co Hamlet: *pamiętać o tobie? O biedny duchu stanie ci się zadość, dopóki tylko na tym wietrznym globie Pamięć żyć będzie —*

pamiętać o tobie! Wraz pamięć moja z tablic swych wykryśli Wszelkie powszednie tuzinkowe myśli, Książkową mądrość, obrazy, wrażenia... to wszystko, coś mi zalecił, *wyrytém w księdze mojego mózgu pozostanie* (I, 5). — Mało pamiętać — trzeba jeszcze spełnić, a Hamlet nie spełnia i odwleka — w tém sęk, w tém zawiłość dająca powód do tysiąca domysłów i sporów. Rümelin tłómaczy rzecz w ten sposób: nie spełnia—odwleka—bo gdyby nie zwłócząc spełnił i stryja zabił, byłoby już po dramacie. Dramat, a wśrodku jego postać Hamleta, działająca bez planu i ciągu, to tylko naczynia, do których Szekspir wlewał uczucia swoje osobiste, swoję satyrę, wspomnienia bólów i zawodów. — Gdzież tam, co znowu, powiada Werner, w prelekcyach, mianych w Berlinie 1871—1872, pięknyż mi sposób pomszczenia się za ojca! Klaudyusz zbrodnię popełnił w największéj tajemnicy, tron posiadł najlegalniéj, ma za sobą wojsko, dwór, szlachtę. Gdyby można go było zamordować śród dworu i gdyby nawet morderca za nic miał karę, która niechybnie spadnie na królobójcę, toć przecie pamięć ojca zostanie niepomszczoną, bo Klaudysz zejdzie opłakiwany, prawie jako męczennik. Łotra potrzeba wprzód przekonać i zdemaskować. Proste powołanie się na ducha nikogo nie zadowolni. Potrzeba lisiéj przebiegłości, wytrwałości, odwagi. Tym warunkom nie sprostał Hamlet, krew mu zagrała przedwcześnie, pchnął szpadą w kotarę, po za którą domniemywał się króla, zabił nie króla lecz niewinnego człowieka—to jego wina, w skutek któréj bierze nad nim górę Klaudyusz i gubi go, ale gubiąc i sam wpada w sidła przez siebie nastawione—giną oba w katastrofie końcowéj, w któréj sprawiedliwości domierza przypadek, prawie zastępujący Opatrzność. Taki jest wywód Wernera. Dowiedźmy, że oba wywody i Rümelina i Wernera nie mają najmniejszéj podstawy.

Najprzód usuńmy przypuszczenie, jakoby niepowodzenia Hamleta wynikły z jego krewkości, popędliwości i niewytrzymałości w polityce. Nie tylko książę nie dba o koronę, a samo życie waży na wagę złamanéj szpilki, nietylko wedle słów swoich (II, 2) mógłby być zamkniętym *w łupinie od orzecha a uważać się mimo to za króla niezmierzonéj przestrzeni, gdyby nie złe sny*, ale są dwa miejsca w dramacie, w których stoi wyraźnie, że Hamlet pojmował swoje zadanie jako najprostsze w świecie zamordowanie stryja przez zemstę, a wcale nie jako detronizowanie go polityczne. W końcu aktu II, kając się, *że ma chyba wnętrzności gołębia i brak zupełny żółci, że gorszym jest od aktora, któren w niby-wzruszeniu może nagiąć swą duszę do swoich pojęć że, i twarz mu pobladła i łzy pociekły* (*i gwoli Komuż? gwoli Hekubie*), wyrzuca sobie, jako najwyższe niedołęztwo, że *nie napasł dotąd stada sępów ścierwem nędznika.* W akcie III (scena 3

modlitwy Klaudyusza) Hamlet powiada: *modli się i teraz mógłbym to uczynić* (t. j. zabić), *teraz uczynię.* W obu scenach nie przychodzi do czynu nie ze względów polityki, ale przez wymyślone przez Hamleta coraz to nowe wątpliwości i skrupuły sumienia, to jawi się przypuszczenie, że może duch zwodzi, może to był sam szatan; to robi się wniosek, że modlącego się zabić — nie będzie to posłać go do piekła. Sama scena na scenie, ułożona przez Hamleta, nie ma na celu zdemaskowania króla, ale tylko upewnienie się samegoż Hamleta, osobiste i wewnętrzne o tém, o czémby kto inny na jego miejscu upewniać się nie potrzebował. Dwór w odbytém widowisku widział nowy przykład dziwactwa, ale podejrzliwość króla została obudzoną przez myśli niebezpieczne. Nietylko w wykonaniu Hamlet nie postępuje ani na krok, ale cofa się od mety i pozostaje w większém niż wprzódy odosobnieniu, ale ludzie rozsądni muszą unikać dziwaka i waryata.

Sąd Rümelina tak jest płytki, że prawie nie potrzebuje, aby go zbijano. Hamlet trzyma prym w dramaturgii współczesnéj wcale nie przez liryczne ustępy, ale przez głęboką prawdę psychologiczną charakteru, którego grunt i podstawę stanowi, przy złotém sercu i świetnych, błyskawicznych pomysłach, zupełna nieudolność sprostania praktycznemu zadaniu, które nań mimo woli jego spada i uznaném jest przezeń jako obowiązek święty i bezwzględny. Na takiż sam rozkaz z nieba od Apollina, starożytny Hamlet tragedyi greckiéj — Orestes, nie tylko bez wahania się, ale zgoła bez namysłu zabija nietylko męża matki ale i matkę. W mowie do Horacego (III, 2) Hamlet wyraża się ze szczególniejszą pogardą o ludziach niewolnikach żądz, to jest właściwie o masie, o téj tłuszczy ludzi pospolitych, do których stosują się inne jego słowa (I, 5): *wy idźcie gdzie wam każe iść interes Lub skłonność, każdy bowiem na tym świecie Ma skłonność lub interes.* Po nad tą czernią stoją ludzie wybrani, samodzielni, błogosławieni, bo w nich krew, to jest żądza, dobrze zrównoważona z rozsądkiem. Każden z tych niewolników żądz, a jednak tylko zwyczajnych śmiertelników wywiązałby się tysiąc razy lepiéj od Hamleta z ciążącego na nim zadania. Wszakże człowiek szczupło zasobny umysłowo i bardzo zwyczajny—Laertes, poradził sobie wcale nieźle w podobnym przypadku, bo wydobył z siebie stosowną wytrwałość i namiętność i jak toporem odrąbał psychologiczne nici skrupułów moralnych, wikłających Hamleta. Laertes poprostu woła *do czarta z uległością, niech w piekło idą przysięgi!* (IV, 5,) Tymczasem królewicz tak odważny, że w rodzaju sądowo-wojennego pojedynku położył trupem króla norwegskiego starszego Fortymbrasa, że zmieniłby w upiora każdego, ktoby mu bronił iść rozma-

wiać z duchami, że mu się *nerwy prężą jak u lwa Nemejskiego* (I, 4); ten królewicz taki przebiegły, że w chytrościach i podstępach sprostałby najsłynniejszym z przodków, normandzkim królom mórz; ten królewicz prawdomówny, szlachetny i delikatny, którego tak opłakuje Ofelia (III, 1): *o, jak szlachetny duch zwichnięty został: dworaka, wodza, mędrca—ton, miecz, umysł; kwiat oczekiwań potężnego państwa, Wzór ukształcenia, zwierciadło poloru, Cel zwracającéj się uwagi świata—wszystko, wszystko stracone!* ten królewicz, powiadam, sam się biczując moralnie (IV, 4) w scenie z przeciągającem wojskiem młodego Fortynbrasa, uznaje siebie za istotę niższego gatunku, nawet od ludzi-niewolników żądz: *czém że jest człowiek, jeżeli główném jego dobrem i czasomierzem* (market of time) *jest tylko spać i jeść? zwierzęciem, tylko zwierzęciem. Ten, co nas stworzył z tak wielką władzą poglądania wstecz i naprzód, uczynił to nie na to, aby ten bogom podobny rozum butwiał w nas bez użytku.* Tysiącem powtarzanych rysów Szekspir uwydatnił zasadnicze w Hamlecie sprzężenie olśniewającéj i pociągającéj genialności, z zupełną jałowością praktyczną, z impotencyą w czynie, dostrzeżoną już przez Goethego.

W tym kierunku Szekspir nietylko przerobił starą sagę, ale ją całkiem przewrócił. W pierwotném źródle Hamlet gra takąż rolę, jak Junius Brutus na dworze Tarkwiniusza, to jest udaje głupca od urodzenia, by uśpić podejrzenia i w rzekomych dziwactwach rozwija mądrość niezmiernie zręczną i celu świadomą, która go w końcu doprowadza do pożądanego końca, to jest do pozbycia się stryja i posiadania tronu. Z Hamletem Szekspira rzecz ma się całkiem inaczéj. Jedno z najczęściéj stawianych przez krytykę pytań polega na tém, poco i w jakim celu udaje on waryata i czy nie zwaryował bez udania rzeczywiście? Wszakże i Goethe doszedł w swoim komentarzu tylko do połowy drogi i charakteru Hamleta ostatecznie przed nami nie otworzył, nie wykazał wady organicznéj, w skutek któréj bohater nie umie podołać włożonemu nań ciężarowi? dla czego trudne, acz dla innych możebne, przechodzi jego siły? dla czego ta wrodzona nieudolność odejmuje mu możność podniesienia tego tylko ciężaru, ale nie czyni go, wedle zdania Goethego, niezdolnym do pełnienia innych funkcyj społecznych, podnioślejszych ale mniéj skomplikowanych, chociaż wymagających dojrzalszéj rozwagi, a po rozwadze niejakiéj stanowczości woli. Goethe sądzi Hamleta bardzo pobłażliwie, w starciu się poety ze światem uniewinnia prawie poetę. *Poecie przykazano wyrwać jeden tylko chwast; Cóż dziwnego, że poeta się ociąga ze względu na to, iż wyrwać jeden tylko chwast nie warto, kiedy cały świat do szczętu zepsuty i całe pole porosło bujnemi chwastami.*

Z założeniem Goethego, że Hamlet nie przydał się tylko do tego, co nań włożono, rozprawimy się późniéj, teraz pytamy w czém leży organiczna wada umysłu Hamleta? Odpowiedź nastręcza się na pozór jasna i prosta: od zbytniego myślenia, od filozofowania, od zatapiania się w pierwsze przyczyny rzeczy, od doszukiwania się po za oczywistym pewnikiem jeszcze większych pewników, gdy tymczasem grunt przed tą szukającą go myślą coraz daléj ucieka. Takie pojmowanie charakteru Hamleta miałoby po sobie prawdopodobnie dwa ustępy. Jeden z nich w monologu *to be or not to be* te wyrazy: *tak to rumiana cera postanowienia znika przed bladym kolorem myśli*; *tak to zamiary pełne jedności, zbite z wytkniętéj kolei, tracą nazwisko czynu; tak to sumienie czyni nas tchórzami.* Drugi ustęp znajduje się w scenie (IV, 4) w obec wojska Fortynbrasa: *jest-li to skutkiem zwierzęcéj, godnéj bydła niepamięci, Czy trwożliwego i skrupulatnego Przemyśliwania skutków, które biorąc ściśle Zawsze ma w sobie trzy części tchórzostwa I jedną tylko mądrości, że dotąd mówię do siebie: trzeba to uczynić, I kończę na tem, kiedy mi do czynu Nie brak powodów, woli, sił i środków.*

Z témi wyrzekaniami Hamleta przeciwko sobie trzeba postępować krytycznie. Zapomnienia o przykazaniu ojca nie dopuszcza się Hamlet, owszem ta pamięć obok świadomości o tém, że spełnić przykazania nie może, stanowi największą mękę i utrapienie królewicza, zmuszającą go wić się i tarzać w bezowocnéj skrusze. Tchórzem Hamleta nie podobna nazwać, bo przy stosowném podbudzeniu sercowém, mógł on dokazać cudów zręczności i siły i dać dowody ogromnéj odwagi fizycznéj. Co się tycze myślenia, tego ostatniego są rozmaite rodzaje i nie każde myślenie jak upiór krew wysysa z postanowień. Są ludzie, dla których rozmyślanie jest potrzebą a samotność mistrzynią, bo tylko w odosobnieniu rozpuszcza się i zakwita kwiat oderwanéj myśli, a z tego kwiatu myśli pochodzą owoce czynu pełne nasion. Hamlet nie dostrzega, że bierze za jedno zdrową, rumianą cerę postanowienia, z gorączkowym rumieńcem uniesienia. Myśl spędza palące rumieńce uniesienia z twarzy i rodzi postanowienie na chłodno, ale to postanowienie stawszy się czynną siłą, tryska ogniem przy napotkanym oporze i może stać się burzącym gromem. Któż nie zna sceny z samotnych dumań Gustawa-Konrada: *człowieku gdybyś wiedział jaka twoja władza, kiedy myśl w twojéj głowie, jak iskra w chmurze, Zabłyśnie niewidzialna, obłoki zgromadza I tworzy deszcz rodzajny lub gromy i burze.*

Oderwaną myślą można świat zewnętrzny posiąść, a potem nad nim zapanować i wedle woli swojéj przekształcać; ale wprzód nim świat posiąść, tzeba posiąść myśli własne i rząd nad niémi dzierżyć. Pierwiastek woli potrzebny jest w samém myśleniu, chociażby

na to, aby pod jego naciskiem uczucie skropliło się najprzód w przekonanie, a potém skrzepło na postanowienie. Do postanowienia idzie się przez przekonanie, a dla przekonania potrzebna chociażby odrobina wiary, nie w znaczeniu jakiegokolwiek *credo* religijnego lub filozoficznego, ale po prostu w tém znaczeniu, że trzeba odrąbać się od wątpliwości i przylgnąwszy do tego, co w danym przypadku najprawdopodobniejsze, oprzéć się na tém jako na opoce. W tém znaczeniu i scena w celi zamyka się słowami: *zwalać i podźwigać myślą i wiarą.* Nic wspólnego z tego rodzaju myśleniem nie mają fantazye Hamleta, genialne, ale bezwarunkowo jałowe. Wielki człowiek zwalczony, męczony, może karmić w sobie uczucia zwycięzcy, do którego przyszłość należy, ale Hamlet, godząc się z myślą, że mógłby się *zamknąć w łupinie od orzecha*, wynagradza sobie to ograniczenie tém, że *będzie się sądził*, to jest będzie wyobrażał sobie, iż jest *panem nieskończonych przestrzeni.* W gruncie zupełnie mu obojętne to, co jest, rzeczywistość, dobro, użytek, cele w życiu i skutki postępków. Sam on to wypowiada bez ogródek Rozenkrancowi (II, 2) słowami: *w rzeczy saméj nie jest dobrém ani złém samo przez się, tylko myśl nasza czyni to i owo takiém.* Z tym nihilizmem etycznym idzie w parze zupełny, a najniezaradniejszy sceptyzm filozoficzny. Hamlet wiecznie kołysze się, niby na wahadle, na dylemmacie: być albo nie być, albo jest co po za widomym światem albo nie ma; to w scenie z grabarzami, przerzucając czaszki, zaprząta się myślami, które mocno trącą materyalizmem, to w następnéj scenie przed samą śmiercią wpada w leniwy fatalizm i zadziwia zaufaniem w przeznaczenie: *drwię z wróżb—lichy nawet wróbel nie padnie bez szczególnego dopuszczenia opatrzności.* Szekspir sam nigdy nie hołdował fatalizmowi, jego sposób myślenia najlepiéj wyraża przemówienie Kassyusza (Jul. Cezar (I, 2): *przecież czasami, kochany Brutusie, Ludzie panami są swoich przeznaczeń, Jeżeli nisko spadamy, częstokroć Nie jest to wina gwiazd, ale nas samych.* Dla Hamleta służy ten fatalizm za filar, o który się opiera jego praktyczne niedołęztwo. W pomoc mu idą rozumowania: (V, 2) *nie wszystko bywa po dyable co czynimy nagle, owszem czasem niezastanowienie się lepiéj nam służy, niż najumiejętniéj skombinowane plany, co dowodzi, że jakiś dobre bóstwo kształt nadaje naszym działaniom, zgruba ociosanym.*

Więc Hamletowe myślenie jest myśleniem *sui generis*, właściwie nie myśleniem, lecz niedotykającą nigdy ziemi poezyą — *marzycielstwem.* Wielkość szekspirowskiego utworu polega na tém głównie: *naprzód*, że podał on skończony typ, takiego marzyciela, takiego lunatyka, typ któren odtąd będzie się powtarzał nieprzerwanie w literaturze przez ciąg wieków, po wszystkich

krajach i lądach; *powtóre*, że go podał nie jednostronnie, w przebóstwieniu, jakby to był uczynił tuzinkowy jaki pisarz, którenby nie omieszkał przedstawić, jak nieszczęśliwa eteryczna poezya niesprawiedliwie kona zduszona w żelaznych objęciach rzeczywistości, ani równie jednostronnie w karykaturze, jako temat pełen wysokiego komizmu, któren się zawsze wywiązywać musi, gdzie z nierozsądnych zamiarów poetycznych wynikają skutki niedorzeczne, ale w dramacie rozdzierającym serce, w którym widzimy jak się to szlachetne serce truje, jak się ten charakter kazi, jak nizko spada ten umysł, tłukąc się o rzeczywistość, i jak jest w końcu lepiéj, że on się rozbił w starciu z rzeczywistością, aniżeli gdyby ta rzeczywistość oddaną została na pastwę jego urojeniom poetycznym, jego chwilowym szałom i kaprysom. Są dwa prześliczne ustępy w Hamlecie, malujące stopniowy rozrost duszy i jéj upadek. W I, 3: Laertes powiada: *Natura ludzka, kiedy się rozwija, Nietylko rośnie co do form zewnętrznych; Jako wznoszącéj się świątyni, służba Ducha i duszy zwiększa się w niéj także* (*mind and soul* — właściwie umysłu i duszy). W I, 4: zaś Hamlet tłómaczy jak przez *przerastanie* (overgrowth) pewnéj urodzajnéj wady albo nałogu nabytego, kazi się i marnieje charakter, bo *jedna drachma złego niweczy wszystkie szlachetne pierwiastki.* W Hamlecie mamy sprawdzony ostatni z tych przypadków. Cały ciąg dramatu jest obrazem rozwijającego się przerażającego upadku królewicza umysłowego i moralnego. Zatrzymajmy się na głównych w tym procesie zwrotach i momentach.

Hamlet jest człowiekiem natchnienia nie namysłu, poetą, więc istotą kontemplacyjną i książkową. Nie bez przyczyny chce wracać z Elzynoru do Wittembergi. Daremnie się tłómaczy przed Horacym (V, 2): *za ujmę sobie miałem pięknie pisać I zadawałem sobie wielką pracę Nad zapomnieniem tego kunsztu* —ze wszystkiego znać, że to człek, co dużo pisze, wciąż notuje i ma książkę za najmilszą zabawę. W rozmowach z aktorami rozwija on głęboką znajomość estetyki, obok największego wstrętu do jakiejkolwiek roboty ciągłéj, nałogowéj. *Tak bywa we wszystkiem, powiada on:* (V, 1) *im mniéj kto rękę do czego przykłada, tém delikatniejsze jéj czucie.* Hamlet zdolny jest i do czynów świetnych, wymagających podniesienia ducha, nadzwyczajnéj zręczności albo odwagi, lecz tylko pod warunkiem pewnego bezpośrednio poprzedzającego podrażnienia nerwów, sprawionego otrzymaném wrażeniem i tylko dopóki afekt nie ostygł, to jest dopóki czyn może się zjawić w ciągu tegoż samego afektu w sposobie odruchu, zlewając się z uniesieniem w jedną błyskawicę, nie przecinaną przerwami marzenia. — *Niezdołałem*, powiada Hamlet (V, 2) o podrobieniu listu, któren ma zgubić Gildensterna i Rozenkranca, *Do mego*

mózgu z prologiem wystąpić, Gdy on już zaczął swoję rolę. Raz w uniesieniu zaszła przerwa, już uczucie ostygło, rodzą się myśli świetne tęczowe, to nacechowane rzewną tęsknotą, to ironią. Już sprządz je i rząd nad niemi utrzymać nie potrafi królewicz, już nie on ich panem, ale one nad nim panują. Napróżno wmawia w siebie (V, 2): *trzeba mi się śpieszyć, czas krótki, życie człowieka zdmuchnąć jest to tyle, Co zliczyć: jeden.*—Napróżno się forsuje (IV, 2) *odtąd, myśli moje, bądźcie krwawe, lub nie będziecie nic warte!* Mimo wysiłków nad sobą, tego *jeden* Hamlet nie zliczy i albo będzie kręcił się na miejscu, albo pędzony będzie bez wioseł, steru i żagla na wzdętych falach wypadków. Nadto przenikliwy i bystry, ażeby dać na sobie grać jak na flecie, nietylko takim prostakom jak Rozenkranc i Gildenstern, ale komukolwiek bądź, Hamlet, mimowoli i nie chcąc, służy palcom losu za narzędzie do wydawania dźwięków. Ulotnianie się uczucia w fantazyach widoczne wnet po rozmowie z duchem. *Dla Boga* (naprasza się on, I, 5), *wymień mordercę, wymień conajprędzéj, Abym na skrzydłach chyżych, jak modlitwa Lub myśl kochanka, podążył ku zemście.* Zaledwo jednak duch zniknął, Hamlet dobywa zamiast sztyletu pugilares, by ironizując we właściwy sobie sposób zapisać, że *można na ustach nosić uśmiech i być łotrem w Danii przynajmniéj*; a potém... a potém każe przysięgać świadkom widzenia, że będą milczeli, sam zaś zaczyna grać rolę waryata.

Jakiego to jest rodzaju waryacya, prawdziwa czy udana, a jeżeli udana, to w jakim zamiarze? oto pytania, które srodze zaprzątały krytyków i wywoływały nawet ekspertyzy psychyatryczne. Nie podlega wątpliwości, że już od śmierci ojca, a szczególniéj od zamążpójścia matki, był królewicz człowiekiem moralnie cierpiącym, że melancholia rozpościerała nad nim krepowe swe skrzydła, że dusza jego miała blask przyćmiony. Objawienie się ducha wstrzęsło cały organizm, zmieniło stan prostracyi na stan nadzwyczajnéj ekscytacyi równie chorobliwej. I myśl i uczucie są jak gdyby podśrubowane, spotęgowane, podniesione o całą oktawę. Wrażliwość dochodzi do ostrości nadzwyczajnéj, czułość ze zbolenia przeradza się w śmiech spazmatyczny, hysteryczny. Klapiąc zębami i trzęsąc się jak w febrze, Hamlet wpada w ten ton rozmowy niby w malignie, pełnéj skoków, słów urywanych, napomnień i dziwactw, z którego już nie zejdzie, aż do śmierci. Z towarzyszami warty na terasie Hamlet nic nie udawał, biorąc od nich przysięgę, że nie powiedzą dla czego zrobił się dzikim, dziwacznym, odbiera przysięgę dla tego, że czuje, iż odmienił się w sobie stanowczo. Dziwactwo i waryacya stykają się z sobą. By nie dochodzono

przyczyny odmiany, która rzeczywiście zaszła, książę umyślnie sadzi się na niby waryackie dziwactwa, z początku dla zamaskowania tajemnicy, a potém już przez czysty artyzm, bo go domniemana waryacya uwalnia od natrętów, od uciążliwych ceremonij dworu, daje mu możność odosobnienia się, nakoniec przedstawia większą swobodę jego ironii i werwie satyrycznéj. Waryacya jest maską, która nie przystaje szczelnie do twarzy Hamleta. Przez artyzm nie może on odmówić sobie smutnéj pociechy—szydzenia z otaczających. Śród téj nowéj wprawy myśl i uczucie jego nabrały blasku nadzwyczajnego, olśniewającego. Ludzi przeziera on od razu na wskroś i przekłuwa ich szpilkami swego dowcipu. Nawet bardzo nieprzenikliwi głupcy, jak Poloniusz, dziwują się metodzie, którą zachowuje ta waryacya. Do niczego praktycznego ta waryacya nie prowadzi, urzeczywistnieniu zamiarów zemsty nie pomaga,—owszem raczéj szkodzi, bo pod wmówionym w siebie przez Hamleta pozorem, że wchodzi ona do planu działania, Hamlet wymyśla coraz to nowe krzyżowe próby i doświadczenia, nie nad środkami i warunkami dopięcia zamiaru, ale nad pobudkami zamiaru, chce rękojmi pewniejszych od słów ducha, chce za pomocą wędrownej trupy aktorów, użyć ułożoną przez siebie sztukę okolicznościową za probierz: którym jak na wędę, powiada on (II, 2), Sumienie króla na jaw wydobędę.

Widowisko na scenie, tak wybornie urządzone przez Hamleta, pociągnęło za sobą dwojakiego rodzaju skutki. *Popierwsze* sprawiło popłoch na dworze i zgorszenie nie do opisania. Z czynów waryata strzeliła myśl mściciela. Król już przed widowiskiem domyślał się, że (III, 1) *Ta ponura Hamleta skrytość wysiaduje Coś złowrogiego, co wylęgłe z jajka Mogłoby się stać zgubném*; teraz podczas widowiska otrzymał takie ostrzeżenie, że zgładzenie Hamleta staje się dlań prawie zadaniem obrony konieczněj. Stosunek zaognia się z obu stron do walki na śmierć, zamierzonéj z jednéj strony ze sztyletem w ręku, z drugiéj za pomocą podstępu. Dla Hamleta utrudniły się niesłychanie przedmiotowe warunki dojścia do celu, Hamleta to wcale nie obchodzi, czuje się podwójnie podniesionym i rozradowanym, raz, że mu się koncept artystyczny udał (*ha! ha! Nie ma tam grajka jakiego! hej! Bo skoro król jegomość komedyi nie lubi: pewnikiem Król jegomość komedyi nie jest lubownikiem!* III, 2). *Drugim* skutkiem widowiska było to, że powróciło rozdrażnienie nerwowe, które usposabia Hamleta do natychmiastowego czynu bez namysłu (*nimby on wystąpił z prologiem do swojego mózgu*). Nastąpiło przesilenie: *albo teraz albo nigdy!* Z twarzy króla Hamlet przeczytał, jak z otwartéj karty, to samo, co mu już było przez ducha objawione, i przejął się taką

czynną nienawiścią, że woła: *O, teraz gotówbym pić krew i takie rzeczy wykonywać, Na których widok dzień by zbladł* (III, 2.). Działanie dramatyczne dochodzi do najwyższego punktu, do przesilenia i urywa się, jak być musiało, jak inaczéj być nie mogło, skoro przewodnią siłą staje się nie rozum, lecz wzburzona krew albo traf przypadku. Zemsta stręczyła się sama, zupełna, niechybna, nad bezbronnym i odwróconym zbrodniarzem na klęczniku. Hamlet wymyśla skrupuł i wypuszcza z rąk zręczność, która może się nigdy niepowtórzy: *Czekaj mój mieczu sposobniejszéj pory, Kiedy pijany będzie w gniewie, albo we śnie, Albo śród uciech kazirodnych, kiedy Grać lub kląć będzie lub cobądź innego Czynić, co wcale niepachnie zbawieniem— Wtedy go ugodzi tak, aby aż nogi Zadarł ku niebu* (III, 3.).

Zamiast całego czynu schodzi potém rzecz na pół czynu, na rozmowę z matką, do czego potrzeba tylko kruszącéj jak piorun wymowy, a nie innego działania: *ja sztyletami będę mówił do niéj — ale ich nie użyję— niech nigdy w to łono nie znajdzie wstępu Nerronowa dusza* (III, 2). Mimo to panowanie nad sobą książę jest jeszcze człowiekiem niebezpiecznym, najmniejsza okoliczność może go w téj północnéj godzinie, kiedy nad nim roztacza skrzydła duch ojca, przychodzący wzmocnić *nieco zwątlone jego przedsięwzięcie*, — przemienić w jednéj chwili w ślepego zapamiętalca. Ruch za kotarą, krzyk: *ratunku!* rodzą w nim podejrzenie, że sypialnia matki i poufna z nią rozmowa są zastawioną na niego pułapką i że za kotarą czyha śmiejący się łotr. W mgnieniu oka szpada przeszywa przez kotarę Poloniusza: *Czy to król? nie, nie król: bądź zdrów usłużno-wścibski biedny głupcze, Wziąłem cię za coś lepszego* (III, 4.). Znakomita scena z matką, w któréj syn precz odrzuca maskę obłąkania, a łamie jéj serce i kruszy, to jako spowiednik, to jak dziecko pełne synowskich uczuć, należy do najpiękniejszych i nieprześcignionych dotąd w żadnéj dramaturgii. W scenie téj Hamlet wyczerpał się, wydobył z siebie wszystko na co czynnéj woli jego stało, poczém upadł na duchu, stracił ostatecznie wiarę w siebie, przestał nawet śmierć króla knować i stał się podobny do téj książki, którą wertował w obec Poloniusza, mówiąc: *słowa, słowa, słowa!*

Po takiém moralnem obniżeniu się bohatéra działanie słabnie, interes dramatu upada i dramat wlecze się odtąd dość leniwo, przerywany mnóstwem luźnych epizodów, słabo związanych z główną działania osnową. Jest, jest jeszcze jedna różnica pomiędzy trzema pierwszemi a dwoma ostatniemi aktami w stosunku głównych osób działających. W pierwszych trzech król był stroną odporną a Hamlet zaczepną, zanim w skutek swoich błędów nie zwichnął się i nie zeszedł na cień dawniejszego Hamleta. Teraz w dwóch ostatnich król

bierze na się rolę zaczepną, by sprzątnąć swój chodzący wyrzut sumienia i niepokój w osobie królewicza. Hamlet się broni, ale i w upadku ma tyle siły jeszcze, że przy pomocy po części logiki wypadków, po części trafu, konając zgładza jeszcze przeciwnika, płaci za ojca i za siebie i domierza tę wyższą sprawiedliwość, która jest postulatem tak filozofa, jako i artysty, gdy obejmują ogół biegu rzeczy ludzkich z podnioślejszego stanowiska.

Mniéj udatne od trzech pierwszych, dwa ostatnie akty ulegają zwykle w przedstawieniu bardzo licznym obcięciom i skróceniom, tak że zwyczajnie mamy sobie podawane tylko same okrawki, a jednak posiadają one niezmierny interes psychologiczny i nacechowane są takiém mistrzowstwem w badaniu duszy ludzkiéj, że nikt nie może dotąd stanąć pod tym względem do jednéj miary z Szekspirem jako jego spółzawodnik. Sądzę, że w miarę lepszego obeznania się publiczności z Szekspirem, zmieni się i sam sposób traktowania najlepszego jego utworu. Do życzenia byłoby odtworzenie arcydzieła w całości. Do dziś dnia pod wpływem romantyzmu podnoszone były szczególniéj sceny, w których błyskotliwie migocą świetne strony coraz to mieniącéj się postaci Hamleta. Przy wgłębieniu się w tę postać i pojedyńczy badacze i publiczność mogą zagustować w innych stronach tego charakteru, chociaż czarnych, ale odmalowanych z przerażającą prawdą.

Ostatecznie sceniczném jest w dramacie wszystko, co maluje dosadnemi rysami charakter osoby, czy to w jéj przygotowaniach do działania, czy to w samém działaniu i starciach się téj osoby z innemi. Z tego punktu widzenia scenicznym jest monolog *to be or not to be*, ale równie scenicznym i drugi monolog w akcie IV, zkąd braliśmy już przytoczenia, monolog, bez którego charakterystyka Hamleta pozostaje połowiczna tylko i niepełna. Przeciągają wojska norwegskie, idące ku Polsce pod dowództwem młodego Fortynbrasa, dwadzieścia tysięcy żołnierzy, a wszyscy tędzy, co się nazywa chłop w chłopa; a wszyscy weseli, jakby szli na gody. *Pewno na podbój całéj Polski* zagaduje ich Hamlet — *Gdzie tam*, odpowiada rotmistrz, *marny to kęs ziemi, z którego krom sławy żaden nam nieprzyjdzie pożytek, jabym go nie wziął w dzierżawę za pięć dukatów* — *W takim razie Polacy bronić go nie będą. Owszem okopali się. Wartoż tracić parę tysięcy dusz i dziesięć razy tyle dukatów, Za takie zdźbło, za taką łupinę orzecha. Prawdziwie wielkim być nie jest to działać Tam gdzie do tego wielki powód skłania, Lecz wielkomyślnie o zdźbło nawet walczyć Gdzie honor każe... I cóż ja wart jestem gdy oto ze wstydem Widzę przed sobą marną śmierć dwudziestu Tysięcy ludzi, którzy dla chimery, Dla widma sławy w grób idą jak w łóżko, Aby wywalczyć nikczemną piędź ziemi Niedostateczną*

nawet do pokrycia Tych co polegną. Nic głębszego i mędrszego nad te słowa nie znaleść w całym Hamlecie, obok Szekspira psychologa staje przed nami Szekspir socyolog. Wielkość zbiorowego człowieka, narodu, a zatém i społeczna zasługa jednostki nie na czém inném polega, tylko na obowiązku i karności, na duchu poświęcenia się, ważącym zdrowie, mienie i życie prawie za jedno nic, za łupinę orzecha, nie wahając się i nie rozumując, czy to w skutek ślepego posłuszeństwa, właściwego pokonywającéj spróchniałe cywilizacye barbaryi, w skutek przymiotu, któren Słowacki w Lilli Wenedzie nazwał owczarstwem, czy téż w skutek wiary w płonące nakształt pochodni ideały: kraj, ojczyznę, wiarę, czy téż jakkolwiek nazwiemy te w oczach sceptyka widma czy chimery. *Te ideały migają przed oczyma duszy Hamleta, lecz żaden z nich w tę duszę nie wstąpi, nie rozogni jéj, nie napełni, nie przerobi go na bohatéra;* więc pod pewnym względem królewicz taki czuły i taki genialny, jest niższym i pośledniejszym od ostatniego z szeregowców, którzy ochoczo ciągną pod chorągwiami Fortynbrasa. Każden z nich powiedział: powinienem to uczynić i czyni, chociażby przyszło zginąć, podczas gdy na królewicza duńskiego proste ale magiczne słowo: *powinienem* nie wywiera żadnego skutku.

Lecz Hamlet jest poetą, i czego nie wymoże na nim poczucie obowiązku, tego często dokaże po prostu artyzm, miłość dla sztuki, upodobanie nie treści i celu, ale samego procesu działania. W tém umiłowaniu sztuki dla sztuki poświęca się jéj wszystko, tratują się serca, ranią się dusze, w ślad za artystycznemi fantazyami idą śmierć i zagłada. Chociaż nie jestem prędki i drażliwy, powiada Hamlet (V, 1.) ale mam w sobie coś niebezpiecznego. Czego radzę strzedz się... to coś niby maluczka odrobina uczucia, które posiadał potwór Nero, gdy wołał: *qualis artifex pereo!* Konieczność zamaskowania stanu duszy zanim się zemści, zmusiła go udawać obłąkanie, lecz wkrótce tak zasmakował w téj roli, że już ta rola odciąga go od działania, bo mu daje możność rozwijania przez wprawę złośliwéj ironii, werwy satyrycznéj.

Pierwszą ofiarą téj bezlitośnéj werwy staje się Ofelia. Hamlet nigdy właściwie i co się nazywa kochać nie kochał, bawił się tylko jako artysta tym ładnym kwiatkiem. Po scenie z duchem już mu nie w głowie żadna kochanka, ale nadaje się paradny koncept: udać, że oszalał z miłości. Koncept ten tak pięknie odegrany, że na tę plewę łapie się nawet taki stary wróbel, jak Poloniusz. Postępowanie Hamleta względem Ofelii jest po prostu okrótne, słodziuchne madrygały, które on do niéj pisze i cyniczne żarty, któremi ją raczy, tak są cyniczne, że ich nawet nie powtórzył polski przekład Hamleta, to rozdurzają to ranią biedne kochliwe i rozkochane serce. Jest na podo-

rędziu pretekst, tłómaczący okrótne postępowanie: zmawiała się na wybadanie mnie z nieprzyjaciółmi memi. Nagła śmierć ojca z ręki kochanka zadaje cios stanowczy Ofelii—wpadła w obłąkanie wszczepione jéj przez samegoż Hamleta, któren na jéj grobie prawie jego własnemi rękami wykopanym, jedynie przez sam artyzm, po prostu by przesadzić Laertesa w jego żalu, tuza się z tym ostatnim w najmniéj dostojny sposób w samym dole grobowym i wygłasza kłamliwe słowa, które wnet prostuje drwiąc z nich: *kochałem Ofelią—czterdzieści tysięcy braci* z *całą swą miłością nie mogłoby memu wyrównać uczuciu!—A co? jeżeli umiesz szermować gębą, to i ja to potrafię* (V, I.).

Drugą ofiarą fatalności przywiązanéj nie bez przyczyny do postaci Hamleta, staje się minister, wielki ochmistrz dworu Poloniusz. Po zgładzeniu człowieka nawet przypadkowém, nawet przez pomyłkę, chociażby zgładzony był *„kapitalne cielę,“* cóś więcéj mu się należy nad to znęcanie się nad *„bryłą mięsa,“ niż to sprzątanie trupa pod schody, gdzie się ma zebrać kongres robaków politycznych na smaczną kolacyą.* Gorzka ironia wszystko wyżarła w sercu i zajęła miejsce innych bardziéj ludzkich uczuć. Fraszka świat, fraszka ludzie, fraszka ich szczęście i życie, wartoż dbać o tak marne i liche istoty. W arystokratycznem podniesieniu swojéj osobistości, swojego ja, ponad gawiedź i tłuszczę, zaczyna górować egoizm wyuzdany i bezbrzeżny, podścielający świat cały pod nogi swoim coraz to dzikszym fantazyom.

Ten egoizm i to okrócieństwo naiwne dosięgają szczytu w czynie w całém znaczeniu wyrazu zbrodniczym, w katastrofie z Rozenkrancem i Gildensternem uknutéj przez Hamleta, jak się wyraża Stopfer (Shakspeare et l' Antiquité 1880, cz. 2, str. 303) *z dyabelską złośliwością i uciechą.* Ci dwaj, przystawieni do Hamleta wierni słudzy królewscy, są prostemi wykonawcami danych im rozkazów. Kazano im po śmierci Poloniusza odwieść Hamleta do Anglii, dano im list, którego treści nie znają, a w którym Klaudyusz swego lennika króla Anglii zobowiązuje, aby wnet po wylądowaniu ścięto Hamleta. Domyślnie przewidziawszy zdradę, Hamlet dobrał się na okręcie do manatków swoich towarzyszy, dostał list królewski i nietylko go schował ale sfałszował inny z podrobionym podpisem Klaudyusza i królewską pieczęcią, odciśniętą sygnetem odziedziczonym przez Hamleta po ojcu, a w tym sfałszowanym liście była proźba do króla angielskiego, aby stracić rozkazał obu jego oddawców. W ciągu podróży, korzystając z napadu korsarzy na okręt, Hamlet wskoczył na okręt korsarski i został jeńcem korsarzy, a Gildenstern i Rozenkranc powieźli do Anglii, nic domyślając się, swój własny wyrok śmierci i zostali straceni. Byli to ludzie bardzo pospolici, po swojemu uczciwi,

zgoła nic nie winni, śmierć ich nie była potrzebną, bo Hamlet mógł poprzestać na zniszczeniu listu królewskiego; padli ofiarą tylko wskutek tego, że Hamlet przyjął walkę z królem jako pojedynek na śmierć, że pojął ją jako grę o lepsze, i że zasmakował w téj grze przez artyzm. Jeszcze przed podróżą w sypialni królowéj (koniec a. III) Hamlet woła: *o, jakże przyjemnie, gdy na jednéj linii zetrą się dwie przeciwne siły; idzie tu o to aby inżyniera własną jego petardą wysadzić w powietrze, ale sęk w tém będzie właśnie, że ja głębiéj o parę sążni podkopię ich minę i poszlę ich pod księżyc.* Udała mu się sztuka; opisuje ją z całą rozkoszą sztukmistrza, któren dopiął celu; Horacy czuje jak po nim przeszło mrowie, ale sumienie księcia pozostaje czyste i spokojne, bo straceni byli tylko lichemi pospolitemi robakami; bo *Biada podrzędnym istotom, gdy wchodzą Pomiędzy ostrza potężnych szermierzy.* Zepsucie moralne posunęło się już bardzo daleko i synowiec początkowo taki dobry i szlachetny staje się niewiele lepszym od stryjaszka.

Niedawno Renan w dwu dramatach *Caliban* i *Eau de Jouvence* starał się dotoczyć koniec do Burzy Szekspira i przedstawić koleje życia mędrca Prospera po powrocie z odludnéj wyspy do Medyolanu. Ciekawą byłoby rzeczą, gdyby kto zmienił koniec Hamleta i dawszy mu wstąpić na tron po uprzątnięciu ukaranego stryja, podał nam w poetycznym obrazie panowanie Hamleta, z jego zwątpieniem, z jego ściganiem mar wyobraźni, z jego wrodzonym artyzmem i nabytą zupełną ku ludziom pogardą i lekceważeniem. Byłoby to ciekawe panowanie króla poety, które może-by ludziom kazało pożałować czasów króla Klaudyusza, i w końcu którego chóry głosów śpiewałyby — jak w scenie wizyi Orcia w Nieboskiéj Komedyi: o pokrewnym Hamletowi z ducha hrabi Henryku:—*zato, żeś nic nie kochał, nic nie czcił prócz siebie i myśli swoich potępion jesteś, potępion na wieki.* Tragiczna katastrofa, przecinająca nić życia królewicza w zdradzieckim ze strony króla pojedynku jego z Laertesem, wyświadcza mu prawdziwe dobrodziejstwo i ratuje go od jeszcze smutniejszego końca, gdyby stryja przeżył. Nie godzimy się ze słowami Fortynbrasa: *Byłby się wzorem królów okazał, Dożywszy berła.* Sądzimy, że przy swojéj umysłowéj organizacyi, już wyrobionéj w chwili pierwszego ukazania się na scenie, Hamlet nie sprostałby żadnemu większemu zadaniu praktycznemu, ale możemy zapominając skazy i pomnąc na grunt duszy szlachetny, na jéj wielkie przymioty pierwiastkowe powtórzyć, rozstając się z Hamletem, słowa Horacego: *Pękło cne serce, dobranoc mój książę— Niechaj ci do snu nucą chóry niebian!*

Rozstajemy się w Hamletem; rozstajemy się z Szekspirem. Nie objął Szekspir wszystkich rodzajów poezyi, nie wyczerpał wszystkich jéj źródeł. Jest poezya szczególniejszego rodzaju— poezya wiary, re-

ligijna, metafizyczna albo mistyczna, poezya Biblii i Koranu, psalmów i ksiąg proroków, Danta i niektórych naszych wieszczów—szczególniéj Krasińskiego. Kto tego rodzaju poezyą przed innémi ukochał, dla tego spostrzegawczość i ironia Szekspira, mimo przyznaną wielkość utworów, będą zawsze czemś odpychającém, Szekspir pozostanie zawsze mistrzem na dyssonanse i anatomem. Jest jeszcze poezya innego pochodzenia, nie sięgająca po za świat, poprzestająca na skromniejszém zadaniu, idealizująca świat jak on jest, z jego niedoskonałościami i cierniami— nie więcéj, zazierająca w duszę aż do najgłębszych jéj tajników, badająca żywot ludzki w najrozmaitszych jego kolejach, spragniona prawdy i dochodząca jéj nie tylko w ponętném, ale i w okropném, nie tendencyjna, ale wdrażająca człowieka do téj myśli, że jest on istotą w najwyższym stopniu kruchą, ale i odpowiedzialną. Kto stanął u tego drugiego bieguna poezyi, kto sztukę pojmuje jako najpiękniejszy z żywota tego kwiatów, dla tego Szekspir będzie najlepszym mistrzem i niewyczerpaném źródłem nauki, pociechy i uciechy. W 4 pieśni części I-éj trylogii Dantejskiéj, duchy dobre chociaż nie ochrzczone, wyśpiewują czcść Homera; *mistrza najszczytniejszych pieśni Co jako orzeł nad innych wylata: Onorate l'altissimo poeta!* Zmieniając przedmiot czci i stosując do Szekspira to, co Dante powiedział o Homerze, wyrzeczmy:

Cześć olbrzymiemu poecie oddajcie!

Włodzimierz Spasowicz.

PRZYBŁĘDY.

(*Ciąg dalszy.*)

V.

Słońce już zaszło, blado różowy pas otaczał ziemię i zdawało się, że sklepienie nieba na niem spoczywa. I chociaż gwiazdy powoli jedna za drugą zapalały się, aby świecić nocy, czuć było życie w naturze. Żaby zdaleka witały wiosnę, a zbliska chrabąszcze brzęczały. Coś zatętniało, to konie pędzone na paszę, coś plusnęło w stawie, to ryba rzucająca się na komara, coś zaszumiało w powietrzu, pewno nietoperz. Dużo było wesołości, chociaż tak cicho, że aż słychać szelest skrzydeł bociana wracającego do gniazda. Wróble dawno posnęły i jaskółek nie widać.

W chacie Siemieńca okna otwarte. Na środku izby na słomie leżało ciało Kasi Siemieńcowéj, niedawno pani na dziesięciu morgach gruntu, gdy dziś nie zostało nawet na pogrzeb, nawet na trumnę. Na ławie siedział Siemieniec, tuż przy nim na stole stała kantówka, z któréj z rezygnacyą nalał kieliszek, splunął kunsztownie, z lekka westchnął — i,

— Do ciebie Kasiu, rzekł z uśmiechem, wychylając do dna czarę goryczy.

Księżyc wszedł a haftując mgłę na szatę dla ziemi, oświecił wnętrze izby Siemieńcowéj.

Żółta twarz, białe zęby i rzadka, czarna broda, a na twarzy uśmiech smętno-dyabelski, czyniły z Siemieńca jakąś fantastyczną postać. Kasia kościsto-blada, patrzała na niego zamarzniętemi oczyma, nieruchomo a strasznie. Izba była pusta, podobna do otwartego grobu.

— Do ciebie Kasiu, zawołał głośniéj małżonek i wychylił drugi kieliszek. Jedliśmy razem i piliśmy razem. Tyś poszła naprzód, mnie przykazano, że dopiero za tobą pociągnę. A upatrz tam jaką dobrą komorę!

Coś zaszeleściało. Siemieńcowi włosy stanęły kołem. Mysz wypadła z pod słomy, Siemieniec się uśmiechnął.

— Do Ciebie Kasiu! A myślałem, że wstajesz. Jabym-ta wstał do piołunówki. Jedno zycie!

Siemieniec wypił jeszcze dwa kieliszki i również wygłosił dwie głębokie sentencye.

— Do ciebie Kasiu!... Powstał, poszedł do komory i wyniósł z niéj zawiniątko, szczątki bogactwa żony, aby je przy świetle księżyca rozglądnąć.

— Chustka czerwona! Bywałaś w niéj w kościele, bywałaś i w karczmie, niechaj-że wróci do karczmy. Trzy spódnice. O piłaś w nich piłaś, to ta i mąż rozweseli się za nie, a ziemia będzie ci leguśką. Buty nowiutkie z ostatniego jarmarku, i co ci po nich, aby w ziemi zgniły? Rańtuch obszyty aftem, długi bielutki rańtuch! Przespisz w nim do boskiego sądu i staniesz bielutka, jak gołębica.

Rozłożył rańtuch, położył Kasię, zawinął ją jak się patrzy, pochwycił łopatę, kantówkę wsunął w zanadrze, rańtuch z Kasią zarzucił na plecy i daléj w drogę ścieżkami.

Nie oparł się, aż na cmentarzu, Kasię owiniętą w rańtuch, położył na murawie, a sam wziął się do pracy, kopiąc dół wązki, a głęboki.

Sowa mu przyśpiewywała, uśmiechał się do sowy, rozmawiał z nią, popijał z kantówki, i kopał zawzięcie, żeby przed świtaniem stanął świeży grób, w którymby spoczywała, białym rańtuchem owinięta Kasia, czekając ostatecznego sądu.

Siemieniec spełnił swój obowiązek i jak po dobrym uczynku, rad z siebie i kontent, wracał środkiem wsi do chaty.

Na drodze zdybał się z Frankiem.

— A zkąd-ta wracacie, spytał z odcieniem respektu Franek, który przed wojskiem nie raz pożyczał pieniędzy u bogatego jeszcze wtedy gospodarza.

— Ja z pogrzebu, a ty pewno od Hanki, rzekł Siemieniec uśmiechając się osobliwie.

— Z pogrzebu wracacie, powtórzył zdziwiony Franek.

Kasia mi pomarli, słychałeś?

— Słyszałem.

— Nie było na księdza, organistę, grabarza i trumnę. Obeszło się i bez tego, a ona czy tak czy owak, na sądzie Boskim.

— Oj ojcze, ojcze! — zaczął chłopak z wyrzutem, a godziło się córkę takiego bogatego gospodarza...

— No, no Franek, przerwał ze swym uśmiechem Siemieniec, ja-ta pijak, wiedzą o tém ludzie, ale ty mój Franku to, aż ziemia jęczy, gdy ją swémi stęporami tłuczesz.

— A tobie co, zawołał oburzony Frajter.

— Cicho, cicho Franecku, pójdziewa oba w dół, ziemia święta zasypie i nie będzie po nas śladu. Ino się nie gniewaj. Napijesz się piołunowéj — gorzka, a słodka.

Siemieniec wyjął z zapazuchy flaszkę, przepił do Franka i podał mu. Franek pociągnął i splunął, posmakował i jeszcze raz pociągnął.

Wódka ich pogodziła, i przywróciła dobrą harmonią.

— Wy z pogrzebu, a ja pewnikiem na pogrzeb — rzekł z rezygnacyą młodzieniec.

— Tatulo, spytał dobrodusznie Siemieniec. A należy mu się już, stary jak grzyb. .

— Oj okrutnie starzy, odparł z miną smutną Franek, niedomagał całą zimę, a teraz krzypie i krzypie trzeci tydzień...

— No i cóż?

— Ulitowaliśmy się z Baśką i przenieśli go na długą słomę (1). Baśka się bała i poszła do siostry, mnie samemu było jakoś markotno i wylazłem z chałupy na świat.

— Choćwa pożegnać starego i powiedzieć mu do zobaczyska.

Franek jakoś się opierał, lecz Siemieniec pociągnął go za sobą i poszli.

Na równo usłanym snopku prostej, żytnéj słomy, leżał siedemdziesięcioletni staruszek, chudy i żółty, jęczał i cicho zawodził.

— A jakże wam ojcze, spytał głośno Siemieniec, pochylając się ku prostej słomie.

— Ha, mówił starzec, drżącym, cienkim, ledwo dosłyszanym głosem, dzieciska z pościeli zawlokły mnie do samych drzwi, aby ta śmierć jak próg przestąpi, zdybała odrazu. Kiéj cóż,—nawet śmierć przyjść nie chce.

— Przyjdzie ci ona — zawołał Siemieniec.

— Co, co, nie słyszę — rzekł stary.

— Przyjdzie i ona, — wrzasnął filozof.

— Kiéj nie chce, — odparł starzec.

— Ino ją patrzéć. Widziałem ją wedle cmętarza...

---

(1) Jest zwyczaj, że rodzina ciężko chorego przenosi go na słomę prostą, którą rozścielają w izbie na ziemi przy drzwiach, gdyż wierzą, że na pierzu ciężko się kona.

Starzec się obejrzał na drzwi i wzdrygnął.

— Może się ojcze napijecie na drogę—również głośno zahuczał Siemieniec wyjmując kantówkę.

— A cóż-to? — spytał drżącym głosem chory.

— Na odegnanie śmierci.

— A no to nalejcie, chociaż ja jéj ta nie chcę odganiać,—dodał oglądając się bojaźliwie na drzwi.

Franek podał szklankę, Siemieniec ją napełnił do połowy.

— Za wasze zdrowie, albo na letką śmierć—zahuczał nad uchem staremu.

— Prędzéj na to drugie — odpowiedział staruszek.

Siemieniec nalał — starzec wyciągnął drżącą rękę, pochwycił piołunówkę, skosztował i wypił. Pochylił się na długą słomę i legł na wznak...

— Może tatuś już skonali, szepnął Franek.

— No to pij niech spoczywa w Bogu—rzekł już dobrze podcięty filozof.

Franek wypił, piołunówka w kantówce wyczerpana, nie było na drugą edycyą, zresztą karczma zamknięta!

Siemieniec wyszedł, Franek bał się sam zostać i poszedł za nim.

— Gospodarzu, — wołał z cicha dobiegając.

— Czegóż chcesz? Wódki już nie mam to na cóżbym ci się przydał, — zapytał Siemieniec.

— Choćby na dobre słowo, — odparł Franek.

— Ty go ta nie potrzebujesz.

— A juści, że potrzebuję.

Siemieniec przystanął, uśmiechnął się na swój sposób i plunął kunsztownie.

— Tatuś pono pomarli, — rzekł smutnie Franek.

— A kto go ta wie, no ale kiejby?

— Rolę wezmą siostry.

— A ty nic i cóż ci z tego.

— Z półtorasta papierków wyciągnę.

— A dadzą ci to?

— Będziewa się prawować.

— Lepiéj przepij te pieniądze cobyś wydał na prawo.

— Słuchajcie-no gospodarzu podzieliwa się, — szepnął Franek.

— A za cóż to, — spytał poważnie Siemieniec.

— Świadczylibyście oto w sądzie, żem nic nie wzion...

Siemieniec spojrzał surowo na Franka, przystanął i rzekł statecznie.

— Ja ta skończony pijak, wiedzą o tém ludzie. Przepiłem ta swoje. Ale słuchajno Franek, jak jeszcze raz przystąpisz do mnie z tém słowem, to cię tak zamaluję w pysk, że wrośniesz na dwa łokcie w ziemię.

Franek chciał się rzucić, lecz jakoś nie śmiał na byłego gospodarza, Siemieniec zaś dla bezpieczeństwa podniósł kamień.

Franek mrucząc odstąpił, Siemieniec trzymając dla fantazyi kamień w ręku szedł drogą ku chacie, gwarząc sam z sobą.

VI.

Słonko nieśmiało zajrzało do chaty Błażeja Skowrona ojca Franka i dwóch jego sióstr. Zielone łąki, i szerokie błonie perliły się rosą. Wiosna stroiła się w perły, bo kwiatów i róż jeszcze nie było.

Starzec po wypiciu piołunówki słodkiéj a mocnéj spał smacznie. Dopiéro promienie słońca muskając mu twarz, przebudziły go. Otworzył oczy, obejrzał się, popatrzał na długą słomę i drzwi, i zewlókł co prędzéj. Wdział buty, kożuch, białą, okrągłą czapkę nasunął na uszy i wyszedł. Nigdy mu jeszcze słonko nie świeciło tak raźnie, nigdy mu tak nie pochlebiało jak dzisiaj. Stary się uśmiechnął serdecznie i popatrzał jak mógł daleko na zboża i błonie. Dusza jego radowała się, a jakoś na wnętrzu ciepło się robiło. Pociągnął wolniutko za stodołę, położył się do słonka i zasnął smacznie.

Basia Skowronianka zaspała se u siostry, bo i siostra zaspała, dla tego obie w dyrdy biegły do chaty zobaczyć co się z ojcem stało. Za niemi szedł Franek.

Oniemieli wszystko troje, zobaczywszy pustą izbę i długą słomę.

— Franek coś ty zrobił z Tatsiem?—zawołała Basia.

— Wyście ta pierwsze wlazły do izby—odparł Franek.

— Oj la Boga, Franek, Franek, coś ty nam z Tatsiem zrobił, zaczęła zawodzić płacząc głośno starsza siostra.

— Toście chyba wy ze złem w zmowie, bo la was grunt, a mnie ino pieniądze.

— A jakie pieniądze, co za pieniądze? Franek tyś chyba na piękne oszalał! Nie wzioneś to wszyćko, a tatuś nie sprzedali pary wołów, żeby ci resztę spłacić, albo to ludzie nie wiedzą. A to ty chcesz teraz siostry krzywdzić—wołały jedna przed drugą Basia panna i Jaga gospodyni.

— Ej stulcie gęby, perswadował Franek grożąc, bo nie wiecie co prawo powie.

Lecz ani Jaga ani Basia buzi nie stuliły, wybiegły przed chatę i dopiéro zawodzić na swoję niedolę, na Franka, a gwoli rozpaczy, że tatsia nie stało.

— A dyć tatuś zdrowi, rzekła Grocholanka z sąsiedniéj chaty. Ino co zaczęłam doić krowy a tu widzę wyleźli z izby, przeciągli się do słonka i legli sobie za stodołą.

Basia z Jagą pobiegły za stodołę. Franek za niemi. Tatuś skulony, spał se jak się patrzy. Basia nadstawiła ucho, oddychał. Franek także patrzał. Jaga ani słówka nie przemówiwszy odeszła do swéj chaty. Basia skoczyła do stajni obudzić parobka, wydoić krowy, a było ich aże trzy, nastawić śniadanie, dać kurom jeść, gęsi z gęsiorem wygnać na błonie. Roboty huk, a słonko sunie chyżo w górę.

— Franek będziesz dziś orał? spytała w izbie brata.

— Będę ja ci orał, zobaczysz — odparł Franek.

— A jeść chcesz.

— Chcę bo swoje.

Basia nic nie odpowiedziała rwąc szybko z zarobionego ciasta kluski. Widocznie układała jakieś plany, których się Franek bał, bo zazierał siostrze w oczy i siedział w izbie.

Błażej Skowron spał należycie jakby się drugi raz narodził. Dopiéro jak mu słonko zaczęło dopiekać, zwlókł się jakoś raźno i poszedł do izby usadowiwszy się na ławie za stołem.

Ani długiéj słomy, ani Franka już nie było. Basia pocałowała ojca w rękę, postawiła przed nim miskę z świeżemi kluskami i mlekiem.

— Lepiéj wam tatsiu? — spytała.

— A toż to dopiero Siemieniec zadał mi cosik takiego, że mi jak ręką odjon, odparł starzec cicho i cienko. A cóż tam w polu, a gdzie Franek? — pytał ciekawie.

— Parobek orze wołmi, a Franek wyprowadził konia ze stajni, siadł se i pojechał gdziesik, może do miasta, żeby ino konia nie przepił.

— A tu tyle roboty, narzekał staruszek.

Wtedy to Basia, jak się wyrażał Franek, rozpuściła buzię i dalejże na Franka pomstować.

Stary narzekał i przyświadczał, a Basia pomstowała dopóki nie wybiegła do gadziny: do krów, prosiąt, kacząt, kur.

Stary myślał, myślał o Siemieńcu i o tém cosik, co mu zadał i czém go uratował.

Powstał, wyjrzał oknem, obejrzał się w około po izbie, przysunął się do ściany, schylił i z pod przyciesi ze szpary wydobył pudeł-

ko blaszane otworzył je prędko, wyjął dwa papierki, zamknął i włożył w to samo miejsce, tak, że znaku nie było. Schował guldenowe papierki do kieszeni kożucha i wyszedł z izby obzierając się na wszystkie strony. Idąc drogą, co chwila stawał trzymając się żerdzi płota. Zwolna ale się jednak posuwał co raz bliżéj, ku chacie Siemieńca.

Muszki mu brzęczały nad uchem i radowały, wróble świergotały i rozweselały go tyle, że chciał z niemi pogwarzyć, gdy stanął trzymając się ręką kaliny.

— To aż tu, za tą piołunową zielenizną, — zawołał Siemieniec spostrzegłszy starego. Widocznie filozof nasz znał serca ludzkie.

— A ino, odparł stary, tak ci mnie wzmogła na siłach, żem aż tu się przywlókł.

— No to chodźwa do niéj.

— Zara, zara tylko chwilkę se spocznę.—Szepnął stary i usiadł na przyzbie bliski zemdlenia.

Siemieniec o ile lubiał pić z samych kantówek, o tyle miał skłonności i do dobrego pożywienia, o czém mogłaby zaświadczyć nieboszczka Kasia. I jak na szczęście przyrządzał śniadanie z jajecznicy omaszczonéj słoniną.

— Osłabliście tatulu,—krzyczał do ucha starego prowadząc go do izby.

— Starość i niemoc, odparł Skowron.

— Pokrzepicie się. Może to ostatnie śniadanie Siemieńca ale dobre.

— A cóż ta macie?

— Jajecznica ze słoniną.

Stary mimowoli się oblizał.

Po zjedzeniu do krzty z dwunastu jaj jajecznicy, przyjaciele wyruszyli w pochód.

Skowron uśmiechał się jak dziecko gwarząc cicho cienkim głosem. Siemieniec krzyczał głośno w ucho staremu, śmiał się na swój sposób i pluł kunsztownie.

VII.

Karczma była jeszcze pusta, ludzie w polu, lecz widocznie na coś się zanosiło, bo Josek z Joskową ruchliwie uwijali się koło szynkwasu. Wstawiono świeży półbeczek piwa, Josek roztwarzał okowitę na wódkę, Joskowa wniosła z komory dziesięć kukiełek własnego pieczywa.

— A cóż to chrzciny czy pogrzeb? —spytał Siemieniec wesoło, wchodząc do karczmy ze starym.

— Ej! ej! Siemieniec — odparła Joskowa — dawniéj przewodziliście na wyborach, dziś nawet nie wiecie, co się w gminie dzieje; to nie ładnie, to brzydko.

— Ależ przecie nie można ciągle wszyćko robić moja Joskowa. Wy tera bez mała co dwa lata oddajecie Joskowi nowego bachorka, późniéj tego nie potraficie. Siemieniec się uśmiechnął po swojemu.

Joskowa zamilkła.

— No, no, na zgodę dajcie kantówkę piołunówki zawołał zacierając ręce.

— Błażéj Skowron jak się mają, spytał Josek, przynosząc flaszkę wódki.

— Bóg zapłać, gdyby nie ta kańciata, — pokazał na flaszkę — jużby dziś przy mnie kaganiec stał.

— No to pijcie zdrowi — krzyknął w ucho Josek.

— Napijcie się i wy, zawołał stary, kontent, że o nim jeszcze pamiętają, witają go i szanują.

Josek lubiał częstowany wypić kieliszek słodkiéj wódki i wypił go na długie lata Błażeja Skowrona. Siemieniec kazał podać kukiełkę do niéj garnuszek masła, i zaczęła się uczta powoli, a statecznie.

W południe wtoczyła się do karczmy gromada reprezentantów trzech kół, mająca ostatecznie wybrać z pośród siebie wójta.

Jak wiele gmin tak również Brzeziny, w swéj reprezentacyi posiadały dwa stronnictwa równie silne, równie wymowne.

Jedno pragnęło przeforsować wójta umiejącego czytać i pisać, drugie zaś nie posiadającego tego kunsztu. Pierwsze argumentowało swą racyą stanu tém, że wójt powinien wiedzieć, co podpisuje w gminie i starostwie, drugie zaś dowodziło, że chociaż znak krzyża świętego na dokumentach Brzezińskich, ubliża nieco powadze gminy, jednakże wolą ten mały despet niż to, żeby wójt umiejący pisać, umiał ich również obdzierać i „ciągnąć“.

— A jeżeli nie wójt to pisarz potrafi was ciongnąć (1) aż miło, zawołał Barszcz przywódzca partyi postępowéj piśmiennego wójta.

— A jemu zasie od kasy! Wójt ma klucz. — Odparł naczelnik Torysów.

— Dosyć mieliśmy wójtów baranów, albo cieląt, zawołał jeden z Wigów.

— Ale nie smyków (2), rzekł Torys.

---

(1) Smak i elegancya nakazują w mowach, używać *n* zamiast *ą*.

(2) Smykać w przenośni znaczy to samo co kraść.

— A cóż to wy se myślicie każdego smykiem mianować co pisać umie, —krzyknął piśmienny Barszcz.

— Uspokójcie się, rzekam wam, uspokójcie się, zabrał głos przewodniczący, który się usadowił na pierwszem miejscu za stołem.

— Stawiam kwartę wódki—zawołał Golik prawa ręka wójta, że nie będzie po waszéj woli.

Usłużny Josek postawił kwartę wódki w środku gromady.

— A ja garniec piwa, że głupi nie będzie nad nami przewodził, odezwał się Purchla kandydat ze strony Wigów.

— Josek dawaj półgarnca gorzałki, zawołał Mróz dotychczasowy wójt.

— Woliwa głupiego jak smyka, rzekł Golik poważnie.

Głosy Torysów. Woliwa, woliwa.

Wigi. Nie, nie woliwa.

— Dosyć despetu dla gminy, że już drugie trzechlecie się kończy, jak mawa wójta słomianego, zawyrokował Barszcz.

— I było dobrze.

— Oj dobrze, że aż bokiem wyłaziło.

— A cóż-to wam się stała za krzywda? — spytał wójt.

— Krzywda i wielka. Nikt nie wié co ma płacić, a wójtowe konie wypasają nam łąki, a wójtowe krowy wyjadają kapustę, a wójtowa trzoda ryje nasze ziemniaki.

— Zeby was tak paralusz ruszył, — zawołał urażony Mróz, jak to prawda.

— Ej nie pomstujcie, bo ja wam tu na świadków postawię pół wsi — odparł Barszcz.

— Świadczywa wszyscy,—dały się słyszéć głosy ze strony wigów.

— Za szklankę piwa, — dorzucił Golik.

— Nie despetujcie, — krzyczą wigi.

— Nie kłamcie, — odpowiadają torysy.

— Uspokójcie się, rzekam wam uspokójcie się.— Dawał się słyszeć kiedy niekiedy głos przewodniczącego.

— Do was kumtrze, — odezwał się poważnie były wójt do najstarszego wiekiem, powstając i wychylając kieliszek kupionéj przez siebie wódki.

— Pijcie z Bogiem, — odpowiada przewodniczący.

Robi się uroczysta cisza, przerywana sakramentalnemi wyrażeniami.

— Do was kumie, pijcie z Bogiem.

Postępowcy siedzący przy drugim stole raczyli się piwem.

Skorzystał z panującéj ciszy Siemieniec, powstał, uśmiechnął się, splunął kunsztownie i przemówił w te słowa.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus

— Na wieki wieków amen, odpowiedziały jednocześnie dwa stronnictwa; a że nie wiedziano jeszcze o fatalnym pogrzebie jaki Siemieniec sprawił swéj Kasi, słuchano go z ochotą.

— Somsiedzi, kumy,—prawił Siemieniec, już obydzione trzy lata temu jak i ja radziłem z wami, ale bez te wódkę już nie mam nic, i nic mi téż do rady.

— Styraliście wszyćko tak bez miłosierdzia mój kumie, przemówił poważnie kandydat torysów.

— Ha jedno życie.

Filozoficzna sentencya Siemieńca została bez odpowiedzi, i dla tego mówca ciągnął daléj.

— Somsiady i kumy, wójt zawsze ma-ta robotę z papierami, jak szewc nieprzymierzając ze skórą i kopytem. A jakbyświa wybierali szewca coby całéj gromadzie szył buty, tobyświa nie wybrali takiego co nie potrafi butów robić, ze strachu żeby ta skóry nie smykał.

Radosne krzyki ze strony postępowców a milczenie na stronie konserwatystów.

— A to im powiedział,— odezwał się Barszcz.

Siemieniec się uśmiechnął, splunął kunsztownie, i znów zaczął.

— Boita się piśmiennego wójta, co-by nie smykał, a to niech cała gromada umie pisać i czytać.

— My ta gospodarze od roli, protestowali zachowawcy.

— A od czego szkoły? — pochwycił Barszcz.

— Boita się piśmiennego wójta, mówił daléj Siemieniec, a nie boita się kozy. Koza co zobaczy to smyka, bo od czegóż koza ino od smykania.

Torysi i wigi wspólnie zaczęli się śmiać.

Śmiech ten poruszył do żywego Kozę organistę, a zarazem pisarza, który siedząc na ławie przy karczmie, przysłuchiwał się niespokojny o swą przyszłość, naradom, a nie mogąc wytrwać w neutralności, wpadł do karczmy cały karmazynowy, bo zawsze był czerwony i daléj-że na Siemieńca.

— A ty pijaku, chamie, chłopie, toś ty swą babę pochował bez księdza, organisty, grabarza, rzuciłeś ją jak psa do dołu i zasypałeś...

— A ty się ztąd wynoś do chamów, — przerwał butnie Siemieniec, bo tu gospodarze siedzą i radzą nad wójtem, a tobie wara do tego.

— A co wun tu wlazł i szymfuje na gospodarzy, od chamów, przemówił niby do siebie Josek dyplomata niecierpiący Kozy, za jego chytrość i przebiegłość.

— Wynoście się swoim kosztem,— krzyknął przewodniczący, pókiśwa dobrzy, bo — co...

— A to czego ten pijak tu siedzi?— pokazał Koza na Siemieńca.

— Pijak to za swoje,—odparł prezydujący, a że se siedzi w karczmie, to mu wolno bo i on był taki gospodarzem jak my, a wam wara od rady i od gromady...

Koza poznał, że go namiętność za daleko uniosła, lecz chcąc się utrzymać w powadze, pogroził:

— A to sobie szukajcie pisarza lepszego,—zawołał, wyszedł i trzasnął drzwiami, zatrzymując się przy otwartem oknie karczmy, aby usłyszéć jakie wrażenie zrobiła jego dymisya.

— Stu, —mówił niby do siebie Josek, stu na jego miejsce!

— A bo prawda, poświadczyli z dumą gospodarze.

Organista poprzysiągł zemstę żydowi, a spędzając na licho, które go miało aż pod karczmę zagnać, kopnął się do domu pomstując na Siemieńca, ile mu tylko sił starczyło.

Błażej Skowron nie wiedział o co idzie, bo stary, a mało słyszał, ale i on chciał jakoś przypomniéć się gromadzie i dla tego powstał, nalał trzęsącą ręką kieliszek piołunówki, i cicho a cienko przemówił.

— Szczęść wam Boże gromada.

— Pijcie z Bogiem na zdrowie, odpowiedzieli gospodarze.

Najbliżéj Skowrona siedział Barszcz, a więc jemu dostał się kieliszek piołunowéj. A że wódka pochodziła z kantówki, nikt się nie odważył odmawiać. I tak poszło koleją somsiad do somsiada, kuma do kumy, kieliszek przechodził z rąk do rąk, godząc na chwilę zwaśnione stronnictwa.

Błażéj Skowron był dumny z przyjęcia. Zapomniał o długiéj słomie i cieszył się gromadą i szacunkiem ludzkim.

Po wypiciu w zgodzie wódki i piwa, stronnictwa gotowały się do powtórnego starcia, gdy do karczmy wpadły zdyszane Basia Skowronianka i siostra jéj Jaga żona Marcina Jurka, rzetelnie Jurkową zwana.

— Potrzebneście tu!—Zawołał przewodniczący dbały o regulamin obrad.

Kobiéty nie zrażone przyjęciem, pochwaliły Chrystusa Pana, a gromada im odpowiedziała, jak się patrzy. Wtedy wysunąwszy się Jaga naprzód zaczęła, bo Basi jako pannie wstyd nakazywał chować się nieco za siostrę.

— My tu przybiegły za Tatsiem, przemówiła śmiało, na co Basia wziąwszy na odwagę, zbliżyła się do starego i pocałowała go

w rękę, poczém przechodząc od gospodarza do gospodarza, również każdego z kolei całowała, a Jaga prawiła.

— O la Boga, a to jakieś zmiłowanie Boskie nad naszym rodzicem, wczoraj jeszcze leżeli na długiéj słomie, a dziś zdrowiuteńki siedzą se w karczmie.

Stary się uśmiechnął i podrapał dobrotliwie w głowę, gromada po piołunówce jakoś cierpliwie słuchała, a Jaga zachęcona milczeniem, zaczęła wydziwiać na Franka, opowiadając, jak Franek myśląc że tatsia już nie staje, zaczął zaraz gadać o działach, a przecież Franek wybrał wszyćko z ojcowizny, a ino z litości i ze strachu żywią go i trzymają w chacie. Opowiadała daléj, jak Franek porywa z zagrody gęsi i niesie na jarmark, a niedawno porwał półrocznego wieprzka, którego se uchowała Basia, sprzedał go i przepił.

W tem miejscu Basia uznała za stosowne zalać się łzami, co też zrobiła łkając głośno.

W jéj ślady poszła Jaga, u któréj jednak było mniéj łez, a więcéj zawodzeń.

— Czego-to płaczą moje dziewuchy?—spytał Skowron nie słysząc.

— Zawodzą na waszego Franka,—odparł głośno do ucha staremu Siemieniec.

— Ej to łajdak chłopak, — rzekł stary i machnął ręką.

— Wielgi, wielgi, pochwyciła Jaga, i dla tego przyszłyśwa z Basią, po sprawiedliwość i na zaświadczenie, żeby tatuś głośno powiedzieli, że już wypłacili ojcowiznę Frankowi, co-by nas potém nie tyrał po sądach, nie pomstował na obrazę Boską, i nie bił, bo mój nie przymierzając powiedział, że jak go gdzie dopadnie to mu kości połamie!

Gwoli tego że lubiano starego Skowrona, a więcéj jeszcze gwoli tego, że Basi na wiano przypadało z podziału: pięć morgów gruntu, chata, dwie krowy, i jeszcze po trochu wszelkiéj gadziny, i że wielu z wyborców mieli synów do żeniaczki sposobnych, zainteresowano się sprawą ochotnie, folgując nieco wyborom.

— A cóż tam kumie powiecie na to, zagadnął Skowrona Barszcz naczelnik wigów, a ojciec tęgiego parobka odprawiającego swoje wojskowe trzechlecie w Krakowie.

— Kiej nie słyszę, odparł stary.

— Wypłaciliście całą ojcowiznę Frankowi? — zahuczał Barszcz.

— A cobym nie wypłacił? Albo to mało jeszcze nadebrał, to na buty, to na kożuch! na tabak, na wódkę. Ciągnie starego i już.

— A przysięglibyście na to?

— A cobym nie miał przysięgać, abo to dziewuchy nie wiedzą? I zięć wié, i somsiady wiedzą.

— Oj wiewa, wiewa, zawołały córki. A co na smykał, to tylko Matka Boska i wszyscy święci zrachują.

— No to jak starego zabraknie, to my zaświadczywa, nie bójcie się — rzekł poważnie Barszcz.

— A teraz do dom, zawyrokował przewodniczący, gotować staremu jadło.

Basia przysunęła się do ojca, i całując go w rękę zapytała.

— A wkiedy tatuś przyjdą na obiad, bo będą mieli kogutka w rosole.

— O jak ta staremu pochlibia, rzekł Barszcz z uśmiechem, za to że świadczyli na Franka.

— Jakże nie pochlibiać, odpowiedziała Jaga. A toć dobry, że do rany przyłóż.

— Kiej nie mogę się zawlec, mówił zafrasowany stary. Nogi nie chcą już słuchać i jakże zajdę.

— A to niech tu przyniesie, — huknął Siemieniec.

— Gdyby ino chciała,— rzekł stary.

— A dyć przyniosę,—odezwała się Basia.

— A cóż to ojcu co jéj dorobił taką spuściznę żałowałaby młodych nóg,— mówili gospodarze.

— A cobym żałowała, odpowiedziała Basia całując gospodarzy, każdego z kolei w rękę. Jaga poszła za jéj przykładem.

Po odbytéj ceremonii pożegnania, obie siostry cicho wyszły, rade ze szczęśliwie odbytego poselstwa.

W karczmie wśród koła obradujących zaległo głuche milczenie. Torysi spoglądali na Wigów, Wigi na Torysów. Wrzało im coś w sercach, w oczach ognie świeciły, czuć było burzę, lecz żadne ze stronnictw nie chciało jéj wywoływać.

Starcie było nieuniknione, bojąc się jednak jego następstw, parlamentowano.

— No gadaj-ta przecie gospodarze kogo se chcecie mieć za wójta to się kreski zrachują!

— Mikołaj Purchla,—zawołał Barszcz, umie czytać i pisać, zna się na rachowaniu, ma parę dobrych szkap, izbę dużą do rady sposobną, przyodziewę jak się patrzy, chłop setny, pięścią mu nie pogrozisz. Niech będzie wójtem!...

— Niech będzie wójtem! poświadczyli głośno wigi.

I znowu nastała cisza. Setny chłop Mikołaj Purchla spuścił oczy ze skromności na dół, malując na stole zygzaki z rozlanego piwa.

Golik naczelnik Torysów szepnął coś do ucha sąsiada, kiwnął palcem na drugich, powstał i wyszedł z karczmy, a za nim cała par-

tya konserwatystów. Ponieważ do niéj należał przewodniczący, i on zabierał się do wyjścia.

— A gdzież to idziecie — zainterpelował Barszcz przewodniczącego.

— Za drugimi, — odparł tenże.

„Za drugimi“ często powtarzające się wyrazy, we wszystkich ciałach wyborczych i usprawiedliwione w obec wybrańców narodu, dlaczegóż nie miałyby usprawiedliwić przewodniczącego w oczach wybrańców gminy?

Postępowcy zostali sami, lecz ponieważ nie stanowili absolutnéj większości i nadto brakło im przewodniczącego, obrady faktycznie zerwane zostały.

Ani setny chłop Mikołaj Purchla, ani Maciej Mróz nie znający jednéj litery, nie byli, w istotném tego słowa znaczeniu, głowami walczących stronnictw, ani wybitnemi osobistościami w gminie. Były to raczéj pospolite mierności, po za któremi stali ludzie ambitni i chciwi władzy. W gminie, powiecie i kraju jedne i te same objawy płynące z charakteru narodowego, i ścierających się namiętności.

— I cóż kumy będziewa robić?—zapytał Barszcz, patrząc z okna na gromadki Torysów radzących na drodze.

— Chodźwa do nich,— odezwał się jeden z gospodarzy.

— Hale, hale,—przemówił Siemieniec spluwając kunsztownie.

Chciwi dobréj rady otoczyli Siemieńca. Stary Skowron myślał, że to z szacunku dla niego, i bardzo był rad oznakom przychylności gromady.

— Niech-no Purchla postawi dziesięć kantówek piołunówki, to wójtem zostanie — zdecydował z uśmiechem Siemieniec.

— Abo to wrócą — zrobił uwagę Purchla.

— Co nie mają wrócić. Przepijcie do Stacha, tylko szklanką, a Stach niech przepije do Jędrka Gomoły. Bo to ani Stach ani Jędrek nie lubią Golika, ino przez przyjacielstwo z wójtem, trzymają z nimi. A jak ci tylo tych dwóch wejdzie do karczmy, to drudzy za nimi przyjdą. Bo co tam wybierać głupiego jak pień Mroza, żeby w gminie zawdy przewodził Golik. To już lepiéj niech przewodzi Barszcz.

— A niech mnie Bóg ciężko skarze!—krzyknął Barszcz, bojąc się popaść w podejrzenie u Purchli i gromady.

— No, no mój Barszczyku, przerwał Siemieniec nie klnijcie się po próżnicy. Niech Purchla postawi choćby pięć kantówek piołunówki.

Rada Siemieńca została przyjętą. Purchla wydobył piątkę i położył ją na szynkfasie, a za to na stole stanęło pięć flaszek piołunówki. Barszcz podług instrukcyi przepił szklanką z okna do Sta-

cha, stojącego na drodze. Stach trochę się wahał, lecz niechęć do Golika i pełna szklanka szmaragdowego koloru piołunówki, tak go jakoś chwytały za serce, że nie wiedząc sam jak znalazł się w karczmie. Chciał wypić po cichu i drapnąć do swoich, lecz filozof Siemieniec i mądry Barszcz, nie pozwolili na to. Postawili Stacha w oknie i kazali mu przepić do Jędrka Gomoły.

Gomoła również usiłował dla zadośćuczynienia opozycyi obejść sprawę dyplomatycznie, żądając aby mu podano szklankę przez okno. Projekt odrzucano i Gomoła niechętny teroryzmowi Golika wszedł, a zobaczywszy pięć kantówek na stole, rad został, przepijając do Bartka Trznadla. A że Bartek Trznadel był kumem i krewnym przewodniczącego, przepił do niego. Przewodniczący lubił „mocną, palącą a słodką, i w imię zasady, „za drugimi,“ przyszedł. Za nim powolutku przepijając z okna kum do kuma, powchodzili torysy. Wtedy ambitny Golik wniósł ognisty protest, pomstując głośno na torysów, za zdradę sprawy i przysięgając zemstę w postaci skargi, którą obiecał wnieść do starostwa, na nielegalne wybory.

— A no to chodźcie radzić—zrobił uwagę przewodniczący, do stojących na drodze Golika i Mroza.

— Chodźcie, chodźcie radzić—wołał Barszcz a za nim wigi.

— Nie pójdziewa, bośwa mieli wleść do karczmy gromadą i swego okrzyknąć, odparł groźnie Golik, gdy Mróz włożywszy ręce w kieszenie stał dumnie i hardo.

Tymczasem szmaragdowy kolor piołunówki przelewał się z kantówek do szklanek, a ze szklanek znikał zarówno gładko i dzielnie w gardłach wigów jak torysów.

W karczmie zrobiło się wesoło i gorąco:

„Wolę ja ci Purchlę w nocy,
Purchlę w nocy
Niż Golika w dzień,
Niż Golika w dzień.
Bo Barszcz Purchli do pomocy
Mróz głupi jak pień
Mróz głupi jak pień...“

zaśpiewał od serca Siemieniec. Umiał on śpiewać galanto i skoczne krakowiaki składać, a że piołunówka paliła się już w czubach torysów i wigów, dlatego jedni i drudzy razem z przewodniczącym na czele zaśpiewali chórem:

„Mróz głupi jak pień
Mróz głupi jak pień...“

Siemieniec powtórzył krakowiaka pięć razy, a z równąż ochotą i wigi z przewodniczącym na czele wtórowali mu chórem.

Po tak stanowczém i jednogłośném potępieniu kandydatury Mroza, nie było wątpliwości o przyjęciu Purchli na wójta, dla tego Barszcz zażądał od Joska za centa arkusza papiéru, kałamarza i pióra, i zaczął spisywać protokuł, w czem mu Josek z lekka, a dobitnie pomagał. Po skończeniu odczytał go ojcom gminy, przemawiając za Purchlą w ten sposób, że tak setny chłop, potrafi dzielnie bronić honoru gminy i nie da jéj zrobić despetu. A co do smykania nie może być o tem mowy, bo Purchla z łaski Boga ma dosyć dla siebie i jeszcze drugim jak się zdarzy daje.

Po czém, bez niczyjéj opozycyi, okrzyknął Purchlę wójtem, a Purchla na podziękowanie kazał postawić jeszcze pięć kantówek. Ponieważ piołunówki już nie starczyło, ukazała się pomarańczowa z cytrynową. I wtedy uwielbienie dla nowego wójta zmieniło się w liryzm pełen łez, gorących uścisków i rozczulających przysiąg miłości i braterstwa.

VIII.

Gdy się to dzieje w Brzezinach, Franek na koniu starego Skowrona wjechał w uliczkę miasta powiatowego Żarnowca, dotarł do jednego z domków stojących na uboczu, stanął, świsnął i krzyknął. Na to hasło wychyliła głowę z okna młoda jeszcze żydówka, z czarnemi jak węgiel, a palącemi oczyma, druga żona Szmula pokątnego pisarza, kontrabandzisty i pośrednika.

— No, czego ty tak wrzeszczysz, mówiła przyciszonym głosem, żeby cię całe miasto słyszało. Jedż do karczmy, Szmul tam przyjdzie.

— A niech się spieszy, bo mi pilno,—odparł Franek hardo.

Sara popatrzała ciekawemi oczami na żwawego konika Franka, i widocznie szczęśliwa myśl przyszła jéj do głowy, bo szybko pobiegła do drugiéj izby, gdzie na łóżku zagrzebany w pierzynach spoczywał we własnéj osobie Szmul. Na białem tle pierzyn, czarna aksamitna krymka i czerwona broda, okalały szeroką, piegowatą o ostrych rysach twarz Żyda...

— Szmul,—szepnęła głaszcząc pieszczotliwie po rudéj brodzie męża, co oznaczało, że Szmulowi udał się świetny interes, i dla tego po zwycięztwie miał prawo do łask młodéj żony i do spoczynku, co téż uczynił, zjadłszy wpierw dwa jaja na miękko i kawałek chały z jedną cebulą.

Szmul,—mówiła czarnooka Żydówka, a na karminowych jéj ustach, grubych i wyraźnie zarysowanych, ukazał się uśmiech łakomstwa. Zmęczony Szmul otworzył jedno oko, spojrzał na żonę i zamknął je szybko. Sara pochyliła się do ucha męża i głaszcząc go szeptała jakieś dziwne zaklęcia, bo Szmul słuchając uśmiechał się, pomruki-

wał, a przy tem zginał i prostował palce, podobny do głaskanego kota. Sara w zapale opowiadania nie skończyłaby tak prędko swych zwierzeń, gdyby jéj Szmul nie przerwał, oświadczając stanowczo, że Franek musi czekać, poczém obrócił się do ściany i zasnął.

W Sarze gorąca krew południa kipiała, lecz jak dotąd tylko do geszeftów. Nie mogła znieść spokoju i obojętności męża, wyglądała oknem, poprawiała czepek, łamała palce i nareszcie niecierpliwość popchnęła ją ku karczmie. Chciała tylko zobaczyć Franka i zabezpieczyć się, aby nie popadł w żadne inne ręce, bo zwyczajem semickiego plemienia uważała go już za swą zdobycz a zatém i własność.

Trzeba jednak fatalizmu, Franek w karczmie obrabiany był przez współzawodnika Szmula. Zobaczywszy to Sara drgnęła, serce jéj się ścisnęło, oczy zaświeciły, karmin ust zbladł. Nie namyślając się pobiegła do męża ostrzedz o niebezpieczeństwie. Zaledwo jednak kilkanaście kroków uszła, obawa utraty łupu zatrzymała ją. Powróciła, stanęła na progu karczmy i uśmiechnęła się do Franka pokazując białe zęby hieny. Chłopak spojrzał na Żydówkę, wtedy Sara kiwnęła nań zalotnie paluszkiem i poszła w głąb pustego zajazdu, wabiąc go do siebie. Jeszcze raz obróciła się i jeszcze raz zalotnie skinęła paluszkiem. Chłopak był przy niéj.

— Słuchajno Franek, mówiła cicho, jeżeli ty z tym gałganem Mordkiem co nie ma dziesięć centów w kieszeni będziesz geszefta prowadził...

— A czemu Szmul nie przychodzi, przerwał oburzony. To ja jeszcze na Żyda będę czekał— dodał z dumą.

— Ino go patrzéć, szepnęła przelękniona aby Mordko nie przyszedł i Franka nie zabrał. Co ci tak pilno, abo się to pali, — i znów uśmiechnęła się jak mogła i umiała najsłodziéj.

Młodego chłopaka zelektryzował uśmiech i palące oczy Żydówki, a że był śmiały z natury, a tresowany w Wiedniu, objął ją w pół i przycisnął.

Oburzona Sara na samą myśl zuchwalstwa przeklętego goja wyrwała się. Gorąca krew południa buchnęła na jéj bladą twarz, a potém ściekła do serca, rozsadzając je.

— Franek, co ty robisz głupi, szeptała, ja nie Hanka ani Baśka.

— Ale i ty chociaż jucha żydówka, to zawdy ładna.

W głowie Sary myśli przelatywały błyskawicami, a z oczu sypały się iskry.

— Cicho, cicho, to nie należy do geszeftu,—odparła oddychając z trudnością.

— A nie wiesz czy należy czy nie należy, może i należy, rzekł z powagą dyplomaty Franek.

— A z Mordkiem szachrujesz?...

— Nie wiesz czy z Mordkiem czy nie z Mordkiem, bo ja tyla wiem, żem do Szmula przyjechał.

— To nie chodź do karczmy, zawołała.

— A cóż to nie wolno mi siedziéć w karczmie i swarzyć się z żydem?

— No, no ja wiem, że ty nie taki głupi, ja wiem, że ty nie chcesz z łapserdakiem co nie ma dziesięć centów w kieszeni, nawet gadać o geszefcie... No, no, Franek ty nie taki głupi...

— A widzisz żem nie głupi,—rzekł z dumą i pewnością siebie chłopak.

— No to idź do karczmy, a ja biegnę po Szmula. I nie czekając na odpowiedź, wysunęła się furtką z drugiéj strony zajazdu, a biegnąc, rzucała przekleństwa na goja, który się ośmielił ściskać ją, aż do tamowania oddechu.

Franek został sam, rozśmiał się, wsadził ręce w kieszenie sukmany i gwiżdżąc, poszedł wolno do izby.

Mordko obserwował swego klijenta rozmawiającego z Sarą, a że współzawodnictwo ze Szmulem uważał za niemożliwe, postanowił na pośrednictwie coś zarobić.

— Franek ja wiem, że ty ino ze Szmulem chcesz handlować, ale Szmul wielki szacher, ja go będę pilnował.

— A to go se pilnuj, a odemnie wara, rozumiesz, odparł Franek z butą dymisyowanego freitra.

Szmul rychło nadbiegł i również wyprowadził Franka do zajazdu, gdyż w karczmie piło paru gospodarzy, a za stołem siedzieli ciekawi mieszczanie traktując się piwem. W przechodzie doradca prawny a mąż Sary rzucił okiem na konia i uśmiechnął się. Furtką dostali się na ulicę, z uliczki na gościeniec, i idąc po nad rzeczką, długo ze sobą rozmawiali swobodnie i głośno. Franek zwierzał się ze swych projektów i żądał rady.

— Gdyby stary Skowron umiał pisać, to-by zostawił testament, że ciebie robi dziedzicem ojcowizny, a ty spłaciłbyś siostry, rzekł z powagą Szmul.

— Kiéj tatuś radzi wszystko oddać Baśce.

— Jużby tak było napisane! Napisane za bagatel, za dwie stówki.

— A jak przysięgną, że mnie stary spłacił?

— Tego nie zrobią, bo im nie wolno, prawo zakazuje takie przysięgi.

Frankowi oczy się zaiskrzyły z radości. Nie był chciwy, lecz okrutnie lubiał mieć pieniądze i nic nie robić.

— Zeby się to tak, mój Szmulku, stało— przemawiał gorąco, bo one mnie na dziada wykierują.

— Zrobi się ale na to potrzeba gield!...

Szmul stanął wpatrując się badawczo w oczy towarzysza.

— Gield—powtórzył Franek—gield—wymawiał z dumą, dając poznać, że rozumie ten wyraz. Będzie gield, gdy zrobicie co potrzeba.

— Właśnie na robotę potrzeba gield.

— A cóż to z góry będę płacił.

— Zapłacisz z dołu, ale czem robić?

— Abo wy to nie macie?

— Nie mam, zawyrokował stanowczo Szmul.

— A to i ja nie mam.

— Ty masz.

— No, no nie kpijcie se ze mnie mój Szmulu.

— Mówię ty masz—rzekł Szmul klepiąc z uśmiechem po ramieniu Franka. Ty gield masz, stoją one uwiązane przy żłobie w karczmie.

Franek się cofnął przestraszony, Szmul zbliżył się do niego protekcyonalnie, wziął go za guzik od kapoty, i dopóty wykładał, tłómaczył i uczył, dopóki w zgodzie nie wrócili o szarej godzinie do miasta, Szmul do domu, Franek do karczmy. A było tam gwarno i wesoło.

Za stołem na samym przodzie siedziało dwóch woźnych umiejących z godnością dźwigać powagę swych urzędów. Jeden był ze starostwa drugi z sądu. Obok nich mieszczanie. W środku izby stali chłopi. Rozmowa toczyła się o załatwionych sprawach w starostwie i sądzie. Woźni ze stanowiska swego urzędu rozstrzygali kwestye.

— A nie macie miodu— zawołał wchodząc Franek.

— Tyle, że go i bez tydzień nie wypijesz—dał się słyszeć głos z za szynkfasu.

Całe towarzystwo spójrzało z pewnym rodzajem szacunku na Franka, a panowie woźni pośpieszyli zrobić mu miejsce przy stole.

Franek usiadł, karczmarka stawiając miód, przyniosła szklanki, i rozpoczęła się libacya poświęcona lepszym czasom i ocenieniu godności panów woźnych. Byly freiter mówił dużo o Wiedniu, mieszczanie wspominali Kraków, a woźni bronili piękności Tarnowa. Rozmowa szła raźnie i ochoczo, lecz Franek widocznie nie przyzwyczajony do miodu, zaczął trochę majaczyć i usypiać podparłszy się ręką; co widząc woźni oświadczyli za zgodą mieszczan, że miód Fran-

ka rozbiera. Widocznie dla otrzeźwienia Franek kazał podać jeszcze jednę kwartę, wypił odrazu całą szklankę, ponalewał woźnym, a resztę wychylił duszkiem. Gorąco mu się zrobiło, powstał, zaczął się śmiać, a chodząc zataczał się.

— Franek Skowroniak okrutnie się spił—szepnął jeden z gospodarzy.

— No ja—odparł z godnością woźny ze starostwa, bo to trunek nie dla chłopa, a rychtyk dla panów i urzędników. Mrugnął na kolegę, a z dumą spojrzał na mieszczan.

Pijany na piękne Franek rzuciwszy 4-ro centówkę żydziakowi, kazał przyprowadzić sobie konia.

— A pomóżcież mi kumotry wleść na szkapę!

Na prośbę Franka cała czereda z woźnymi na czele ruszyła do zajazdu karczmy. Jeden z gospodarzy trzymał konia za uzdę, drugi podsadzał pijanego. Lecz Franek jako chłop nie przyzwyczajony do trunku panów i urzędników, co z jednéj strony wdrapał się na szkapę, to zdrugiéj zlatywał na ziemię. Dużo było z tego powodu śmiechu i uciechy, konceptów i przechwałek. Dopiéro za czwartą razą jakoś szczęśliwie dosiedział, podziękował za pomoc i ruszył.

Gromada wróciwszy do karczmy debatowała nad tem, czy téż Franek szczęśliwie dostanie się do domu, czemu stanowczo przeczyli panowie woźni.

Lecz gdy Franek chwiejąc się na koniu, wyjechał z miasteczka i skręcił ścieżką wijącą się koło rzeczki, wyprostował się i rozśmiał na całe gardło.

— Choć ja ta chłop, ale do pańskiego trunku więcéj jestem sposobny, jak wy giemajny.

Giemajnami nazywał woźnych.

A tom ich zdurzył—mówił do siebie wesoło. A i Żyd z radą nie głupi, a tera muszą przysięgać za mną...

Franek był w wybornym humorze i pogwizdywał sobie, a tymczasem Szmul wraz z czarnooką Sarą pracowali w swéj izbie przy świetle lampy. Należało na przygotowanych drukach sfałszować świadectwo kupna konia i pieczęć przybić. Szmul fałszował, a Sara kopciła nad lampą pieczęć, aby ją potém odbić mocno zamazaną i niewyraźną.

Gdy wszystko już było skończone, Szmul pogłaskał żonę po twarzy i pobiegł do Franka, a Sara mimowolnie porównywała pożegnanie męża, z uściskiem dziarskiego chłopaka, zawsze oburzona na goja.

Ukryty w zaroślach wikliny czekał były freiter na Szmula, skracając sobie czas, badaniem własnego serca. Skłonność i sympatya

ciągnęły go do Hanki, interes i ambicya utrzymania się na stanowisku odpowiedniém swemu rodowi, nakazywały wytężyć siły, do pozyskania Tereski. Czuł pewien *despet* dla siebie, w połączeniu się z żoną człowieka tak strasznéj przeszłości, i zaczął rozważać jak wielkie dobrodziejstwo wyświadcza Teresce, gdy w tem Szmul przedzierając się przez zarośla zaczął pogwizdywać, na co mu również gwiznięciem Franek odpowiadał.

Przyjaciele wabiąc się, zeszli się nareszcie. Po długich targach i sporach, żyd wcisnął w rękę Frankowi zwitek papierków. Chłopak zaczął rachować guldeny przy świetle księżyca, Szmul po cichu odprowadzał konia, raptem dosiadł go i skoczył w rzekę. Koń nie mógł przez głęboką wodę dość szybko uciekać i dla tego były freiter pochwycił Szmula za chałat, i jednocześnie za nogę.

Zaczęła się walka. Żyd chciał koniecznie wydobyć się ze szponów chłopaka i uciec, Franek pochwycił go jak w kleszcze, sięgnął po uzdę i złapał konia.

— Czego ty chcesz?—szeptał żyd.

— Czekaj póki nie zrachuję.

— Ja nie mam czasu, mnie pilno, noc krótka, puszczaj, i uderzył wicią konia. Lecz koń trzymany za uzdę wił się w miejscu. Chłopak skręcił konia i wyprowadził go z żydem na brzeg.

— Masz twoje pieniądze i rachuj mi je do czapki, a ja potrzymam szkapę.

Przy rozliczeniu okazał się brak dziesięciu papierków, ztąd powstały swary, kłótnie, wzajemne groźby i parę kułaków, które żyd zaaplikował towarzyszowi, a na które Franek również dzielnie odpowiedział. Nareszcie stanęło na tém, że Szmul musiał dopłacić, aby wyrównać umówioną sumę, a za resztę wartości konia, również musiał przysiądz, że własnym kosztem będzie prawował ojcowiznę Franka. I tak rozstali się w zgodzie: chłopak został, a żyd przebywszy rzekę, kopnął się w drogę.

Po półgodzinnym dobrym kłusie, dotarł do Wisły, którą przejechał w bród, opłacił się strażnikowi pół guldenem i znikł drogą prowadzącą do Jędrzejowa na nadchodzący pojutrze jarmark.

Franek legł w wiklinie, a nakładając fajkę widocznie coś sobie przypomniał, bo się zerwał fajkę schował do kieszeni i brzegiem rzeczki pobiegł ku miasteczku. Przy moście oglądał się na wszystkie strony i czając się jak kot dotarł od strony dziedzieńca do chaty Szmula, lekko pukając do okna. Młoda a nerwowa żydówka spała czujnie, zerwała się z łóżka i pobiegła do okna.

— Sara otwórzcie ino drzwi, przychodzę od Szmula bo se zapomniał...

— Gadaj czego — odparła żydówka.

— Otwórz to ci powiem.

Zrozumiała Sara powód wizyty młodego chłopaka, krew uderzyła jéj do serca, dreszcz przeszedł po ciele, lecz oburzenie nad zuchwałością goja — zwyciężyło.

— Nie otworzę ci i uciekaj ztąd, bo jak cię zobaczą, to siebie i Szmula zgubisz — szeptała.

— Nie ucieknę, a otwórz, to się schowam.

W téj chwili Sara nic już nie czuła tylko przestrach z powodu niebezpieczeństwa grożącego jéj mężowi.

— Uciekaj!—zawołała przyciszonym głosem, bo gwałtu narobię.

Franek usłyszał odgłos ciężkich po bruku stąpań zbliżających się do chaty Szmula, zaczął się cofać przyczajony do ziemi, aż póki nie zniknął za stromym brzegiem rzeki.

Sara dyszała z gniewu i obrażonéj dumy, pomimo że gorąca krew południa kipiała w niéj.

X.

Różowa jutrzenka gasiła powoli rozsiane gwiazdy na niebie, rozświecając drożynę nad rzeczką, którą szedł szparkim krokiem Franek w kierunku Brzezin. Gdy już słonko promieniami swemi ozłociło ziemię, dziarski chłopak stanął na bitéj drodze, niedaleko milowego słupa. Stał, oglądał się i nasłuchiwał. Zdaleka zaledwo dojrzany bystrém okiem toczył się wóz w półkoszkach. Na widok ten uśmiechnął się, usiadł na kamieniu, a gdy wóz coraz bliżéj przysuwać się zaczął, położył się i zmrużył oczy.

Wóz nadjechał, siedzący w półkoszkach młody parobek z Pojawia stanął i leciutko zaczął batem śmigać po twarzy śpiącego.

Franek oczy otworzył.

— A toś se posłał co? Galante spanie, bo dobre słanie ha ha... Jędrek lubiał uciesznie gadać i okrutnie się z tego co powiedział śmiać. Wstawaj pojedziemy do Brzezin razem, kupisz kieliszek anyżówki u Żydówki.

— A gdzie mój koń? zawołał Franek zrywając się na równe nogi.

— Co za koń, Bóg cię broń, ha, ha, tyś chyba Franku nie wytrzeźwiał jeszcze.

— Koń tatusia — odparł Franek, przyjechałem na nim do Rozwadowa.

— I zwalił cię na kamienie?

— Nie widziałeś go?

— Widziałem jakąś szkapę, uganiała po łące nad Uszwicą.

— A to moja!—zawołał Franek i pobiegł ku rzece.

— Twój ta koń, Bóg cię broń, powtórzył Jędrek, rozśmiał się, zaciął konie i pojechał.

W Brzezinach wypadł mu popas, zaszedł do karczmy i opowiedział jak zobaczył Franka pijanego, leżącego na kamieniach, jak Franek zaczął się biedzić o konia i poleciał za nim.

Opowiadanie Jędrka słyszała Hanusia, która szyła dnia tego u Joskowéj. Jakoś jéj się niedobrze zrobiło, zbladła, coś ją ścisnęło pod sercem, ręka jéj drżała, po chwili uczuła, że ją twarz piecze. Zaczęła się wstydzić ludzi i nie mogąc wysiedziéć w karczmie, poszła do komory.

Szczęściem czy nieszczęściem, również w tym samym czasie bawiła w karczmie Kubowa sroką zwana. Wysłuchawszy wszystkiego pobiegła wprost do Basi Skowronianki podzielić się z nią ułyszaną nowiną.

Dziewczyna na wiadomość utraty konia, cicho fartuchem łzy obcierała, a ponieważ Kubowa nie wychodziła z izby, ciekawie zazierając gdzie mogła, zwyczajnie jak sroka, dała jéj cztery jaj z któremi Kubowa pobiegła do siostry, a Basia do ojca.

Stary był w polu patrzéć jak parobek orze. Dziewczyna skarżyła, a stary labiedził. Gdy już do woli nawyrzekali, Skowron powlókł się użalić do Siemieńca, a Basia do siostry Jagi rzetelnie Kłębkową zwanéj.

Kubowa w dyrdy przybiegła do lepianki i wykładając jaja z fartucha na łóżko, opowiedziała siostrze historyą Skowronowego konia, co do tyla zaciekawiło Płachcinę, że postanowiła natychmiast pójść na błonie do Przybłędziny.

— Ho, ho, Franek teraz ci pan, za konia pewno dali mu ze sto papierków...

— Pleciecie jak sroka, ofuknęła siostra, niechby kto usłyszał jeszcze; wiecie, że może Franka i wezmą.

— I co mu zrobią, on ta na takie rzeczy frant.

Szły ścieżkami ku błoniu, starsza naprzód, młodsza za nią, a idąc gwarzyły swarząc się, ale tylko troszkę, bo Kubowa zawsze ustępowała siostrze, przez szacunek dla jéj rozumu i wielkiego przywiązania jakie do niéj czuła.

Chatę zastały zamkniętą na kłódkę. Siostry obeszły ją do koła, zajrzały do chlewików, ale się dobyć do nich nie mogły. Za to usłyszały gęganie gęsi, i obie jednocześnie pomyślały sobie, że jeżeli Hancyna kura dobrą była na rosół, to gęś Przybłędziny upieczona powinna wybornie smakować. Tak sobie pomyślały ale nie powiedziały tego głośno.

— A gdzież ci ona?—rzuciła pytanie Płachcina.

— A gdzieżby ino na swych ośmiu zagonach.

I poszły na owe ośm zagonów dziwiąc się żytu i ziemniakom, których ciemno zielone listki wesoło wyglądały z ziemi.

Tereska pełła len, i coś tam ze sobą gwarzyła, gdy niespodziewanie i nagle stanęły przed nią dwie siostry. Bojaźliwa kobiecina, czegoś się przestraszyła, drgnęła na ciele, ale się uśmiechnęła.

Kumy po zwykłych ceremoniach przywitania przysiadły do ziemi i zaczęły pomagać gospodyni w plewieniu, prowadząc pogwarkę, aby ją pociągnąć na słowo. Lecz Tereska jakby zmówiona, odpowiadała jak mogła najmniéj, nie chcąc wspominać swéj przeszłości, ani zdradzać zamiarów na przyszłość. I gdy nareszcie po długich korowodach przyszła kolej do poruszenia sprawy Franka, zerwała się przerażona, przysięgając na wszystkie świętości, że nigdy w życiu nie wyjdzie za żadnego chłopa, że już tak ślubowała Bogu, aby tylko za to, jedyne dziecko, które ma, chowało się na pociechę.

Po zużyciu całéj wymowy Płachciny i przyświadczeń siostry jéj, przekonały się kumy, że sprawę Franka uważać należy za przegraną.

Tereska wracała do chaty, siostry szły za nią chmurne i zamyślone.

— Nie macie troszkę mleka, okrutnie pić się chce, przerwała milczenie Kubowa.

— Mam ci tam z pół kwarty, odparła Tereska. Nie robię ani masła ani sera, bo dziecko mi jakieś nikłe, to mu trzeba choć mlekiem pochlébiać.

W izbie przy piciu mleka, Kubowa robiła rozmaite aluzye do gęsi i kaczek, lecz napróżno, bo Tereska ani się chciała domyślać o co idzie. Nie lubiła po próżnicy rozdawać, gdy jedynak jéj nie miał jeszcze butów z czerwonem obszyciem.

— A to ci skąpa ta bogaczka—zawołała Kubowa na drodze.

— A za cóż to ma dawać— spytała Płachcina, nie chce chłopa i już.

— Hale, hale nie chciałaby, tylo wie, że jak palcem skinie to nie ino Franek przyleci. Przylecą i inni.

Płachcina się zamyśliła, widocznie słowa Kubowéj choć sroki, trafiały do jéj przekonania.

— Kiéj tak, to popamięta mnie ona,— szepnęła.

Gniewne i mruczące kumy poszły wprost do Hanki.

Wieść o zmarnowanym koniu przez Franka biegnąc od chaty do chaty, gruchnęła po całéj wsi. Ludzie stawali, łączyli się w gromadki radząc nad tym ważnym wypadkiem.

Kubowa wywołała Hankę z komory Joskowéj po za stodołę i tam obie siostry oświadczyły jéj stanowczo, że Tereska nie wyda się nigdy za Franka.

— Widocznie po odczynieniu, zbrzydziła go sobie tyla, że się nawet na niego patrzéć nie może, — dodała Kubowa.

Dziewczynie rumieniec radości oblał śniadawą twarz. Pocałowała na podziękowanie Płachcinę w rękę prosząc kumy do karczmy.

Radaby była wybiedz naprzeciw kochanka, ostrzedz go, ale nie śmiała ze wstydu przed ludźmi.

Dopiéro wieczorem omijając chatę przybłędów wypadła na błonie, biegnąc drogą prowadzącą do miasta.

Na samym brzegu lasu wśród choin i krzaków leszczyny, przysiadła tuląc się do staréj sosny. Cicho było i jakoś ponuro, chmury szybko biegły z południa na północ, z po za nich czas od czasu przedzierały się promienie księżyca, tworząc z cieni drzew i ciemności nocnych fantastyczne dziwadła. Widziała je Hanusia i na całem ciele drżała. Zdaleka sowy krzyczały, sarny przebiegały drożynę, lis przesuwał się niziną szeleszcząc suchemi liśćmi, las żył a umysł biednéj dziewczyny wypełniał go duchami. Strach tamował jéj oddech a jednak nie ruszała się z miejsca patrząc wciąż na drogę.

O saméj prawie północy, Franek zakopawszy umieszczone we flaszce pieniądze wydobył się na drogę.

— Franeczku!—doleciało do jego uszu, stanął jak wryty i obejrzał się przerażony.

— Franeczku!—powtórzył jakiś miękki a znajomy głos.

Z za krzaków leszczyny wychyliła się Hanka.

— A mój Franeczku, szeptała przybiegłszy do chłopca, a toć cała wieś pomstuje na ciebie za tego konia. A nie wracajże ty do Brzezin, żeby cię nieszczęście jakie nie spotkało, umyślnie wybiegłam aż tu, a takem się bała, że ledwo we mnie serce kołacze.

Dziewczyna ze wzruszenia oparła główkę na piersi chłopca, chłopcu jakoś dziwnie się zrobiło, objął w pół dziewczynę i przytulił.

Szczęście rozsadzało serce Hanusi.

— A Baśka i Jaga będą podwodzić przeciw tobie— mówiła szybko—a tatuś wydziwiali na ciebie przed gromadą.

— I cóż mi zrobią? rzekł z butą Franek.

— O zrobią ci i dużo... urwała, lecz gorące łzy które wytrysły jéj z oczu, dokończyły za nią.

Przekonany łzami dziewczyny chłopak zamyślił się i jakoś posmutniał, a Hanka zaczęła go prosić i zaklinać aby do wsi nie wracał, przyrzekając sobie w duszy, że pójdzie za nim choćby na koniec świata.

Franek rad nie usłuchał, poszli do wsi razem. Błyskawice oświecały im drogę, a w świetle ich ukazywała się chata przytulona do błonia. Idąc milczeli oboje, Hanusi serce się ściskało, lecz bała się przemówić. Czuli, że chata ta rozdziela ich, lecz wspominać o tém nie śmieli.

Dziewczyna skręciła na ścieżki, chłopak pomknął śmiało drogą, dobił się do ojcowskiéj stajni, legł na sianie i zasnął.

XI.

Nazajutrz rano Franek biorąc na odwagę, wszedł do izby rodzica. Stary Skowron siedział na ławie za stołem, Basia stała przy kominie, a Jaga rozprawiała na środku izby. Lecz gdy się tylko ukazał winowajca, jakaś złowroga cisza zapanowała.

Skowron ojciec drapał się frasobliwie po głowie, Basia zaczęła odcedzać kartofle, Jaga wybiegła. A że młody Skowron był hardy, nie przemówił więc ani słowa, siadając przy stole.

Podano omaszczone kartofle z żurem, Basia rozdała łyżki i zaczęto śniadać, w głębokiem milczeniu. Stary tylko kiedyniekiedy jęknął, i tyle było słychać ludzkiego głosu.

Podjadłszy należycie Franek, wyszedł z izby, a że parobek siał proso, wyprowadził woły z obory, założył do pługa i wyjechał orać ugór.

W tym samym czasie w chacie wójta, toczyła się między dygnitarzami gminy narada.

Wójt chciał aby sprawa Franka wytoczoną była przed jego majestat, a Barszcz mianowany pisarzem w miejsce Kozy, usiłował sprawę oddać zaraz sądom.

Po żwawéj rozprawie Barszcz ustąpił i w południe posłano po Franka. Lecz Franek zwyczajnie jak wojak i do tego „harna śtuka“ odpowiedział, że nie pójdzie na głupi sąd, bo koń był tatusiów, a co tatusia, to bez trzecią część i jego jest.

Odpowiedź oburzyła Purchlę wójta i Barszcza pisarza. Purchla, setny chłop, chciał posłać radnych z postronkami, aby dostawili zuchwalca, lecz Barszcz jako pisarz napisał skargę do sądu i drugiego dnia wieczór, żandarm stawił się przed obliczem wójtowém.

— Przyszli po Franka, rozbiegło się po wsi, a gdy wójt z żandarmem weszli do chaty Skowrona, ludzie powychodzili na drogę.

Po półgodzinie niecierpliwego oczekiwania, ukazał się pierwszy Franek z miną butną, za nim żandarm z wójtem. O parę kroków daléj postępowała Basia, obcierając łzy fartuchem. Na wzniesieniu obok płotu, z miną frasobliwą, stał stary Skowron, kiwał smutnie głową i coś szeptał do siebie.

Przed chatą Kłębka i jego żony Jagi, było pusto, ludzie mówili że to oni podpisali skargę do sądu.

— Nie bój się Franeczku, nie będzie ci nic,— zaczepił idących Siemieniec z uśmiechem sobie właściwym. Nawiedzę ja cię nawiedzę, ino torby zawdzieję...

Krzyk rozpaczy przerwał mowę Siemieńca. Basia w téj chwili przystanęła, otarła oczy i ze wzgardą odwróciła się idąc do chaty.

Hanka z rozkrzyżowanemi rękami biegła ile jéj sił stało. Przypadła do Franka, ujęła go w pół, a łkając i zawodząc tuliła się do niego.

— Naprzód, naprzód, wołał żandarm.

— Cicho Hanusiu, szeptał do dziewczyny Franek, a nie daj-że się na pośmiewisko ludziom.

Lecz dziewczyna nie dbała o pośmiewisko ludzkie, kochała i radaby mówić całemu światu o wielkości swego uczucia. Oderwana od Franka, szła tuż przy nim, zawodząc i skarżąc się Bogu.

Kobiéty stojące przed drzwiami swych chat, wstrząsały smutnie głowami powtarzając.

— Bezwstydnica i już.

Wioska się skończyła, wójt wrócił do domu, Hanka wciąż szła płacząc i lamentując. Napróżno ją jak mógł pocieszał Franek, napróżno przysięgał, że wróci, Hanka wciąż szła zawodząc i płacząc.

— A jeżeli już go tak kochasz, odezwał się tuż pod lasem żandarm, to lepiéj-by było, żebyś pomyślała nad tém, aby Franek miał tabak w areszcie i co położyć na głodny ząb.

Widocznie przemowa żandarma podziałała uspakajająco na Hanusię, bo obtarła oczy, wydobyła z zanadrza gałganek, a gdy go rozwiązała, zaświeciło parę nowych szóstek. Oddała je wszystkie w milczeniu Frankowi.

Franek się troszkę wzbraniał, lecz zachęcony przez Hanusię i żandarma wziął.

Jeszcze jeden potok łez z czarnych oczu, jeszcze jeden gorący uścisk, i żandarm poszedł z Frankiem, a Hanka z załamanemi rękami została patrząc, póki nie znikli na skręcie drogi w lesie.

— Niech się w ziemię zapadnę, zawołała z mocą, niech mnie żywcem pogrzebią, jeżeli cię nie wydobędę.

Dziewczyna wróciła do wsi, dumnie idąc drogą. Kumoszki patrzały na nią z góry, szeptały do siebie i odwracały się od niéj. Dawniéj gdy miała całe dwie morgi i krowę, przebaczały jéj wiele, lecz dziś — wybuchy żalu na publicznéj drodze za chłopcem, który nie był jeszcze jéj... tego darować nie były w stanie.

XII.

Jaś szczęśliwy z wywartéj zemsty na Kubie, pasał Biedrawę z Krasem na Nowych Zajmach i dobrze mu tam było, tem więcéj, że chłopcy namawiali go, aby im centy znosił z domu, w czem ich słuchał, a matka słaba dla jedynaka dawała. Kuba również na Nowe Zajmy pędził swe bydło, ale do chłopców się nie zbliżał. Czasem tylko haniebskie pręgi na bokach Biedrawy kazały się domyślać, że nieprzyjaciel czuwa i dla tego najwięcéj markotno było Jasiowi biedz przez błonie samemu z Biedrawą do domu, bo chłopcy zwykle na Kozieniec wracali do wsi. To téż pędził, o ile tylko mogła nadążyć objedzona Biedrawa, bo Krase leciało jak wiatr do obórki.

Kuba jednak o ile był zawzięty i skryty, o tyle i wytrwały. Nie miał ochoty występować do walki w otwartém polu, lecz za to lubował się w zasadzkach, gdy przeciwnik był słaby, a pewne zwycięztwo.

Jakoś się wydarzyło, że Kuba przed zachodem słońca zeszedł z pastwiska, a Staszek dziwy wyprawiał, pokazując jak Siemieniec kunsztownie spluwa, jak Josek modli się w szabas, a syn organisty oparty o framugę zakrystyi w kościele, przewraca oczy do córki ekonoma z Woli. Wicek okrutnie się śmiał, chłopcy dzielnie mu wtórowali, a Jaś choć z natury cichy i milczący, wybornie się bawił. I tak wśród wesołości, słońce jakoś zaszło, bydło samo zaczęło wracać do domu, chłopcy biedz musieli za niém. Jaś chciał i swoję chudobę pędzić z drugiemi na Kozieniec, lecz Biedrawa z Krasem już była na błoniu. Poleciał za nią, gdy tuż za pagórkiem z poza choin, wyskoczył Kuba przecinając chłopcu powrót do domu. Jaś stanął, zapaśnicy zmierzyli się wzajemnie wzrokiem i w rezultacie młodszy i słabszy rzucił się w prawo, pędząc co sił. Kuba za nim. I pewnoby Jaś uciekł, gdyby nie Kubowy bat, długi a śmigły, którym udało się Kubie okręcić bose nogi chłopca i zwalić go na ziemię. Jaś padając, zrobił ostatnie wysilenie, wymierzając cios wicią w twarz Kubową...

Siemieniec dotrzymał Frankowi słowa, po przepiciu wszystkiego, co zostało po Kasi, zawdział torby i poszedł w świat. Właśnie przechodził przez błonie gdy Kuba biczyskiem okładał Jasia; nie namyślając się długo odegnał napastnika, a Jasia dygoczącego ze strachu i gniewu odprowadził do matki.

Tereska zobaczywszy zbitego jedynaka zaczęła płakać, pomstować na chłopaków i odgrażać się Kubie. Siemieniec radził wójta, tylko nie radził iść do niego z próżnemi rękami. Zrozpaczona kobiéta ułożywszy chłopca w łóżko, wybrała najcięższą ze swych gęsi,

i w towarzystwie Siemieńca zaniosła ją wójtowi, prosząc o sprawiedliwość.

Siemieniec jako świadek opowiedział zajście na błoniu, bo Teresce głośny płacz nie pozwolił mówić.

Posłano po Kubę.

Purchla rzucił okiem na gęś i poznał od razu jéj wartość, lecz i bez gęsi rad był dać wyraz swéj polityce i silnie zarysować stanowisko — rządcy i sędziego, tém więcéj, że sprawa zdawała się być jasną. Za sprowadzonym przez radnego Kubą, przybiegła matka, a za matką siostra. Kobiety zaczęły płakać a zobaczywszy gęś, okropnie wydziwiały na Tereskę i sprawiedliwość. Wójt wpadł w gniew, skinął na parobka, Siemieniec pomógł i chłopak otrzymał dwadzieścia odlewanych powrozów, wśród krzyku matki i lamentu siostry. Kubuś się zerwał, spojrzał strasznie na Tereskę, odepchnął chcącą go utulić matkę i uciekł do chaty, ukryć wstyd i gniew. Wtedy to z ust oburzonych kobiet wypłynęła lawina przekleństw na głowę Tereski. Wypowiedziano jéj całą przeszłość, podpalenie i śmierć chłopa w więzieniu.

Przestraszona kobiecina uciekła, a Purchla zaczął żałować swéj porywczości, kopnął nogą gęś i poszedł do karczmy, a idąc słyszał jak Zawiślaczka z córką na całą wieś pomstowały na babę podpalacza i wisielca i na jéj przekupstwo. Wójt widocznie uląkł się opinii i dla tego skręcił do Barszcza na radę pełen żalu do Tereski.

— Tak mi dziecko skatował i za kogo, za tych przybłędów. A żebyś ty z piekła nie wylazł, rozlegał się głos Zawiślaczki, rodząc w sercu wójtowém wyrzuty sumienia, i potęgując niechęć do matki Jasia.

Na placu został ze swym niezapomnianym nigdy uśmiechem Siemieniec, odpowiadając niekiedy na wykrzykniki Zawiślaczki. Gdy już dobrze przycichło zajrzał do Purchliny, chowającéj gęś do chlewiska, wziął od niéj poczęstnego i poszedł na wieczerzę do Tereski.

Jaś leżał na łóżku rozpalony, cicho jęczał, lecz na pytania matki nie odpowiadał.

Na widok wchodzącego kobiecina zalała się łzami, Siemieniec ją pocieszał przywodząc na pamięć razy wymierzone przez wójta Kubie. Opowiadanie Siemieńca widocznie dobrze wpłynęło na Jasia, bo usiadł na łóżku i jakoś zaczął się uśmiechać radośnie, przywołał skinieniem ręki matkę i szepnął jéj.

— Nie płaczcie matusiu, nie będzie mi nic, ino okrutnie pić się chce.

Matka ucieszona pobiegła po mleko.

— A no to wójt nie żałowali ręki, — spytał chłopiec.

— Dwadzieścia odlewanych, zdawało się, że kamienie z bólu pogryzie. Siemieniec splunął i uśmiechnął się, a Jasiowi oczy dziwnie świeciły.

Gość obdarzony na drogę poszedł w świat, chłopiec po wypiciu mleka zasnął, lecz się zrywał w nocy, krzyczał, groził Kubie i dziwne rzeczy prawił. Wystraszona matka tuliła dziecię do łona, Jaś się budził, całował matkę i zasypiał.

Raniutko zerwawszy się kobiecina pobiegła do wdowy Płonczyny, wyprawiła Nastkę po Staszka, wydoiła Biedrawę, którą wraz z Krasem i własném bydłem, pognał zgodzony za trzy centy Staszek, porobiła porządki, zgotowała śniadanie, sprowadziła do izby małe Płonczyki, z Nastką, zastawiła im jeść, kazała Jasiowi leżéć w łóżku, a sama pognała do miasteczka na jarmark prosiaki.

— Bo czemże chłopcu wynagrodzę, myślała przez drogę. Że ta ojciec jego pił, a któryż chłop nie pije? Że go mój tatuś krzywdził a on bez zemstę podpalił, a potém sromoty nie chciał przeżyć, to za to mają mi dziecko poniewierać?... A czy ja to ludziom włażę w drogę? Nie tylko nie włażę, lecz czém mnie stać, to i pomogę.

Tak rozumowała Tereska, pędząc prosiaki na targ, a w izbie małe Płonczyki z Nastką dobrze się bawiły obok Jasia leżącego w łóżku, któremu boki już siniéć zaczęły. Nie skarżył się choć z bólu ledwo się ruszał.

Nastka przyrządziła dla dzieci żur, a mleko dla Jasia. Wesoło im było, gdy tymczasem Tereska po sprzedaniu prosiaków przysiadła się za szóstkę na wozie gospodarza z Pojawia. A że Pojawiaki znani są, że dobrze piją, a jak sobie podpiją to i tęgo jeżdżą, wróciła migiem z miasteczka.

Każde z Płonczyków dostało obwarzanka, a Nastka trzy sznureczki gipsówek (1). Mała rzesza pełna wybuchów radości pobiegła pochwalić się matce, a wtedy kobieta wyjęła z zawiniątka nowe buty z czerwoném obszyciem, jedną parę dla Jasia, a drugą dla siebie. Jaś w milczeniu wyciągnął rękę, obejrzał czerwone obszycie i buty i ustawił obok siebie. Zapomniał podziękować matce, lecz za to matka go pocałowała, pokazując mu pasek biały wyplatany zieloną skórą, nabijany żółtemi gwoździkami. Chłopcu zaświeciły oczy.

— Matusiu trzeba to schować, rzekł tajemniczo, żeby Kuba nie zobaczył.

---

(1) Gipsówki, korale robione z gipsu.

— A niech on tu tylko zajrzy, to ja mu kości połamię, zawołała kobieta.

— Nikomu nie pokazywać matusiu, nikomu, prosił chłopiec.

— A przecie jak pójdziesz do kościoła to i tak zobaczą wszyscy.

— Wtedy pójdziewa razem z matusią.

— A jakżeby cię matka odbiegła moje dziecko!

— Mam ci tam jeszcze *parę sta* schowane pod belką na strychu, tłómaczyła się ze spóźnionego kupna butów jedynakowi, tylko widzisz mój Jasiu, przysięgłam sobie, że tych pieniędzy na drobiazgi nie ruszę. Może trzeba będzie postawić nową chałupę, bo ta i zimy nie przetrzyma, poprawić stodolinę, dobudować do obórki przegrodę. A może dokupię jaką jałowicę. Trzebaby przyjąć dziewkę i gruntu coś, choćby z morgę zalicytować. Bo widzisz chciałabym cię widzieć gospodarzem, jak się patrzy, to i ty na stare lata matkę przytulisz.

— Wtedy i Kuba będzie się mnie bał, odezwał się chłopiec.

— On się i dziś już ciebie boi, wyrokowała matka.

Chłopiec przecząco kiwał głową i zadumał się jakoś smutnie.

— Nie markoć się mój Jasiu, nie będziesz już pasał na Nowych Zajmach, wyszukamy se jaką miedzę abo przegon, mam powrózek wyprowadzisz na nim Biedrawę z Krasem i wygonisz gdzie sam zechcesz.

Tak pocieszała matka syna, lecz gdy się miało ku wieczorowi chłopiec smutniał, coś go paliło wewnątrz, bo wodę pił i ciężko oddychał. Strapiona kobieta obcierała łzy, skarżąc się cicho.

— Tyle roboty w polu, a tu mi dziecko chore. Wszystko to dla niego i cóż kiej mi chore... Nie miała odwagi, ani wzywać pomsty Boskiéj, ani się odgrażać. Pobiegła szukać pomocnicy.

To też gdy po nocnéj gorączce Jaś oczy otworzył, zobaczył siedzącą na ławie Zawrzykrajkę.

— A toś się dopiero wyspał moje dziecko, słonko już dobrze w górę strzeliło, rzekła łagodnie przędąc kobieta.

— Gdzie matsia, spytał zdziwiony chłopiec.

— A gdzieżby ino na zagonach przy robocie. Kobiecisko haruje od świtu do nocy, a pewno, że nie dla siebie. Jak dorośniesz będziesz miał za co dziewuchy prowadzić do karczmy i cygara, abo papyrusy ćmić.

— Nie zostawili czego? przerwał nie śmiało Jaś.

— Nie zostawiłaby dla jedynaka! Jest ci i mleko z zacierką i maślanka.

Jaś popił maślanki, pojadł troszkę zacierki z mlekiem, legł na łóżku, patrzał przed siebie i milczał. Zawrzykrajka nie znosiła ci-

szy. Bywało gdy siedzi w izbie przy kołowrotku, a nikogo nie ma, sama ze sobą gwarzy.

— I nie przemówisz ani słowa, zagadnęła chłopca.

— A cóż ja wiem? To wy ta macie dużo do gadania to mówcie. Zawrzykrajka tylko oczekiwała wezwania.

— Żeby ci się nie cniło to ci powiem bajkę.

Chłopiec słuchał, a Zawrzykrajka rozpuściła język, mówiąc o zaklętych królewnach ukrytych w zaczarowanym zamku. Jak to je młody chłopak wyratował, bo go orzeł wziął na skrzydła i zaniósł po nad ciemne bory, niezmierzone wody i przepaście, na wielką górę do zaklętego zamku, a król co był dobry, za wybawienie córek, najpiękniejszą z odczarowanych dał mu za żonę.

Jaś podparty na łokciu wytrzeszczył oczy i gębę roztworzył, pochłaniając z ciekawością każdy wyraz Zawrzykrajki. Zaraz z początku opowiadania, postawił się w miejsce młodego chłopaka co wyratował zaklęte królewny, razem z nim cierpiał, bał się i walczył, razem z nim kochał królewnę, a później z nią sprawiedliwie rządził.

Tereska wróciwszy z zagonów przerwała bajkę. Jaś pierwszy raz nie był kontent z powrotu matki, nie chciał wstać z łóżka choć mu było lepiéj, aby tylko zatrzymać Zawrzykrajkę i dalej słuchać i słuchać bajek bez końca.

Zawrzykrajka została i nie dała się długo prosić, opowiadając o dwóch braciach mądrych, a jednym głupim. Jaś się śmiał, ale wolałby słyszéć o zaklętych królewnach i wielkim ptaku co go niósł przez lasy, wody na szczyt gór, aż pod samo niebo.

Wieczorem odwiedził go Staszek przyganiając Biedrawę z Krasem i wtedy mu opowiadał, że Wojtek Kubę wyzywał do walki, lecz Kuba nie chciał stanąć. Że się z Kuby okrutnie śmieli, a potém grali w kamyki i on dziś wygrał dwa centy, i że łysa Frankowi gdzieś się zapodziała, dopiero ją znaleźli w lesie, i widzieli wielką moc borówek tylko jeszcze zielone. Jaś choć sam smutny lubiał wesołego chłopca, grajka, przedrzeźniacza i poetę. A Staszek jak Staszek lubiał wszystkich byle się tylko naśmiać i wybawić, a że miał dobre serce, rad nad Jasiem rozciągał opiekę.

Chłopiec się wyleżał i jakoś raźniejszy wstał, wyszedł na słonko i zaraz spójrzał na granatowe góry, których wierzchołki kryły się w chmurach.

— To po nad temi chmurami jest zaczarowany zamek, pomyślał. Zatęsknił do gór i zaczął rozmyślać o orle i królewnie. I on z ochotą odciąłby palec dla orła, byleby tylko go zaniósł do zaklętego dworu.

Staszek pasł jeszcze dziś Biedrawę z Krasem dla tego Jaś poszedł za matusią na zagony. Patrzał i na ładne żyto i na len smyśny, i na ziemniaki okopywane przez matkę, lecz jakoś był smutny i zamyślony.

— Jużem ci upatrzyła miejsce do paszenia moje dziecko, przerwała zadumę chłopca gospodyni. Na przekopie koło ogrodu dworskiego chwastów moc, a ludzie tamtędy nie chodzą. Pasie tam dziś i Nastka, to będziecie razem. Jutro wygoni jeszcze Biedrawę Staszek bo jutro Zielone-Świątki, wielkie święto pójdziemy do kościoła.

Chłopiec się uśmiechnął na wspomnienie nowych butów z czerwoném obszyciem, lecz wciąż spoglądał na góry, rychło-li chmury z nich nie zejdą i nie zobaczy zaklętego zamku.

Słonko jasno świeciło, ani jednéj chmurki na niebie, drobniutkie listki drżały na wierzbinie, a przed chatami żółty piasek świecił i zielone drobiny tataraku rozweselały oczy. I chociaż w wiosce cicho było i uroczyście, to jakoś raźno.

Ludzie zbici w gromadkę śpieszyli do kościoła, dziewczęta i parobcy naprzód, za niémi gospodarze i gospodynie. Wesoło było i gwarno. Jedna tylko Tereska prowadząc jedynaka za rękę szła sama. Co się zbliży do któréj gromadki i pochwali Chrystusa Pana, odpowiadają wprawdzie, bo przecie nie odpowiedzićć nie można, lecz i na tém koniec. Wstyd było kobiecinie i markotno, lecz się nie oglądała, ani zaczepiała ludzi. Widocznie wpływy rodziny Zawiślaków były silne, a język Płachciny potężny. Nawet Zawrzykrajka nie śmiała się przysunąć i pogwarzyć.

Jaś cały oddany butom, czapce i paskowi nabijanemu żółtemi gwoździkami, myślał sobie, że dobrzeby to było, gdyby go dziś ujrzała zaklęta królewna, i dla tego na inne dzieci spoglągał z góry, z pewną dumą i rad był z siebie. Na cmentarzu przed kościołem zobaczył Kubę, który ręce włożywszy w płotniankę stał patrząc hardo z po za niskiego czoła. Gdy Jasia zobaczył pogroził mu nieznacznie pięścią. Jaś zbladł, przysunął się do matki i również pogroził pięścią Kubie.

Groźbę Jasia dostrzegły kobiety, i zaczęły mówić między sobą.

— Patrzajcie jakie to złe, małe a takie już złe.

— Zwyczajnie przybłęda, wisielcowe dziecko, dodawały drugie.

A że Tereska miała aż cztery spódnice na sobie, nową chustkę na głowie, a prawdziwe korale na szyi, zazdrościły jej i tém więcéj nie cierpiały.

W kościele Jaś rozglądał się na wszystkie strony, przypatrując się obrazom, czy czasem na którym z nich nie zobaczy zaklętéj królewny, gdy matka modliła się gorąco, i tak jakoś serdecznie, że aż łzy z jéj oczu stoczyły się po twarzy. Kumy, które nie płakały, myślały sobie, że przybłędy mają czego żałować i za co przepraszać Boga i dla tego płaczą.

Po nabożeństwie Tereska jakoś się wstydziła cisnąć między ludzi, i dla tego została w kościele, chociaż ją Jaś ciągnął za spódnicę, i wtedy dopiero wyszła, gdy już nikogo na cmentarzu nie było.

— Po co ludziom włazić w drogę, — mówiła do syna.

— A co nam z ludzi—poświadczył chłopiec, i poszli razem drogą przez pustą wieś do chaty przytulonéj do błonia.

Na odwieczerz przybiegła Zawrzykrajka. Jaś nalegał aby mu opowiedziała tę samę bajkę o zaklętych królewnach i wielkim ptaku, lecz Zawrzykrajka, żeby się nie powtarzać, mówiła dziwy o lampie czarnoksiężnika, że w końcu Jaś, nie mógł się zdecydować, co wybrać, ptaka, lampę, czy królewnę. Matka wzięła go na kolana, głaskała i tuliła. I tak fantazyą chłopca rozbudzały cudowne bajki, a serce jego miękło w uściskach matczynych.

Sewer.

(*D. c. n.*)

WALKA Z CENTRALIZMEM
W GALICYI.

(Ciąg dalszy).

II.

Posłowie rozchodzili się jednak w niepewności, czy wiedeńska centralizacya nie zechce znów zachwiać dopiéro co postawionemi fundamentami lepszéj przyszłości. Wiedziano, że w Wiedniu ważą się niemiecko-węgierskie i konserwatywno-autonomiczne wpływy: wiedziano, że chociaż Beust i Belcredi w jedném zasiadają ministerstwie, przecież nie jedne i te same reprezentują tendyencye, oczekiwano zatém z niecierpliwością, kto tam ostatecznie zwycięży. Namiestnik zapewnił kraj w swéj mowie sejm zamykającéj, o szczerych intencyach rządu, aby zadowolnić narodowości, a jego słowa nie zdawały się zapowiadać najmniejszéj chmury na politycznym horyzoncie. Wiedziano zresztą powszechnie, że sesya sejmowa z tego powodu została zamknięta, aby zwołać radę państwa, zapowiedzianą patentem z dnia 20 września 1865, któréj zadaniem miało być ostateczne ukonstytuowanie monarchii.

Patent cesarski zwołujący radę państwa, nie długo kazał czekać na siebie. Nazajutrz po nowym roku wyszło cesarskie pismo zwołujące *nadzwyczajną* radę państwa na dzień 25 lutego 1867 roku. Patent był długi, dłuższy może aniżeli potrzeba, niezupełnie jasny, trochę nawet dwuznaczny, ale ostatecznie trwający przy raz wytkniętym programie, wyrażonym w powyżéj przytoczonym patencie z dnia 20 września i powołujący się na dyplom październikowy, na ową podstawę sprawiedliwych dla narodowości rządów. Patent rozwiązywał sejmy i nakazywał nowe wybory z tego powodu, że sześcioletni peryod wyborczy upływał, a przeto posłowie przez dotychczasowy sejm wybrani mogli byli tylko bardzo krótko zasiadać

w radzie państwa. Zadaniem téj rady miało być *jedynie* obradowanie nad kwestyą konstytucyjną, sejm zaś nie mógł dawać swym delegatom jakiejkolwiek instrukcyi, ale winien im był pozostawić wolną wolę, co do stanowiska jakie uznają zająć za potrzebne, w Wiedniu.

Patent ten przyjęto dość chłodno w Galicyi, pomimo, że Belcredi był na nim podpisany, wiadomości bowiem nadchodzące z Wiednia, kazały czytać pomiędzy wierszami, że akcye autonomistów coraz bardziéj spadają, w miarę jak się zbliża ugoda węgierska.

Przypatrzmy się zatém położeniu w Wiedniu i w Peszcie, była to bowiem najważniejsza chwila w nowéj historyi Austryi.

Hr. Beust był więcej zręcznym aniżeli głębokim politykiem, więcéj intrygantem, aniżeli ministrem dążącym do rzeczywistéj pomyślności monarchii. Powołany na to z Saksonii, aby jakiś ład wprowadzić w wewnętrzną organizacyą Austryi, chciał się przedewszystkiém w ten sposób wywiązać ze swego zadania, aby zadowolnić Niemców, swych protektorów, nie wiele się troszcząc co późniéj nastąpi, rzeczywiście bowiem nie wiele go Austrya obchodziła, jako cudzoziemca. -- Przed przyjazdem Beusta do Wiednia, prowadził głównie hr. Belcredi układy z Węgrami, zadaniem więc było nowego ministra przejąć tę czynność na siebie i jak najprędzéj wysadzić Belcrediego.

Z układami rzecz się tak miała: Węgrzy postawili swe żądania w elaboracie komisyi 67-u. Unia personalna, jakiéj sobie życzyli w głębi serca nie była możliwą, sprzeciwiała się większéj części stronnictw i narodów austryackich, chodziło im więc o to, aby związek istniejący pomiędzy nimi a resztą monarchii jak najbardziéj rozluźnić. Eleborat uznawał téż za sprawy wspólne tylko sprawy zagraniczne i wojskowość. Do ich traktowania, a więc do uchwalania budżetu ministerstwa spraw zewnętrznych i wojny wynaleziono nową instytucyą *delegacyj*, z których obydwie: węgierska i niewęgierska, stanowią osobne ciała, znoszące się pomiędzy sobą na piśmie, a zbierające się dopiéro wtedy w jednéj sali i głosujące nad jednym przedmiotem, jeżeli się w jakimś punkcie nie zgodzą.

Węgrzy wiedzieli o tém doskonale, że w téj mierze ciężką będą mieli z hr. Belcredim przeprawę, gdyż minister pojmował przyszły ustrój państwa w myśl dyplomu październikowego, nie mało się téż ucieszyli, że nowy minister spraw zewnętrznych dalekoby był skłonniejszy do przyjęcia ich propozycyi. Pan Beust dał im nawet cichaczem, po za plecami Belcrediego, do poznania, że się na wszystko zgodzi, 20 grudnia 1866 r. pojechał już z węgierskim kanclerzem państwa Majlathem do Pesztu i tam z węgierskimi ministrami ułożył po cichu podział państwa, na dwie połowy.

Zapytacie się jednak, jakim sposobem zdołał hr. Beust, odrazu pozyskać dwór dla swéj myśli i usunąć tak cenionego jak Belcredi męża stanu. Rzecz się w ten sposób tłómaczy, że plan Belcrediego przedłożenia węgierskich życzeń decyzyi nadzwyczajnéj rady państwa, mógł układy przeciągnąć w nieskończoność, przypuszczać bowiem należało, że rada państwa nie zgodzi się na żądania Deaka, a z drugiej strony Węgrzy będą się przy swoich upierać postulatach. Plan więc zwołania nadzwyczajnéj rady państwa wzbudzał w kołach dworskich pewne obawy, że tylko do nowych doprowadzi zatargów, u niemieckich zaś liberałów był z tego powodu niepopularnym, że oni nadzwyczajną radę państwa uważali za niekonstytucyjną i sądzili, że po załatwieniu ugody z Węgrami, będzie mógł cesarz nie zważać na ustawy konstytucyjne i zwyczajnej rady państwa więcéj nie zwoływać. Nie dziw zatém, że gdy został wydany patent z 2 stycznia 1867 r., zwołujący nadzwyczajną radę państwa, powstał ogromny krzyk pomiędzy adwokatami i profesorami niemieckiémi, którzy utrzymywali, że konstytucya została narzuconą, że cesarz postąpił nielegalnie i t. d.

Korona była—osobliwie ze względu na stosunki zagraniczne—w bardzo trudném położeniu. Nie bardzo nawet bystry polityk mógł przypuszczać po wojnie prusko-austryackiéj, że nowe chmury zbierają się w powietrzu. Pokój Praski jeszcze nie był ratyfikowany, a już Prusy narzucały południowo-niemieckim państwom układy, które je czyniły zależnémi od wzmagającego się w potęgę północno-niemieckiego związku. Sprawa Luxenburska doprowadziła już była z Francyą do ważnych zawikłań, a chociaż europejskiéj interwencyi udało się na chwilę burzę zażegnać, to przecież nikt nie wierzył w stały pokój. W obec takiego stanu rzeczy, chciał cesarz jak najprędzéj uporządkować wewnętrzne stosunki monarchii, aby w razie niebezpieczeństwa, być gotowym do wystąpienia na zewnątrz i mieć silne poparcie w zgodnie idących ludach.

Na tém oparł hr. Beust swoje plany: „dajmy Węgrom — mówił on — to czego żądają, skończmy z nimi, a będą spokojni. Stańmy z tém *fait accompli* przed zwykłą radą państwa, który ona *nolens volens* będzie musiała przyjąć. Przez to samo zresztą, że usuniemy znienawidzoną *nadzwyczajną* radę państwa, zyskamy sobie przychylność liberalnych przewódzców. Gdy się w ten sposób na dwie strony da, to czego żądają — stanie się dzieło pacyfikacyi pracą kilkodniową, a co najwięcéj zajęciem kilku tygodni, podczas gdy plan hr. Belcrediego nie daje nadziei bliskiego uspokojenia węgierskiéj połowy monarchii i w daleką przyszłość odsuwa koronacyą cesarza na króla Węgier."

Zakończyć szybko, *à tout prix*, stało się hasłem nowego ministra, hasło to jednak było nierozważne, przemawiało tylko w imię najbliższéj przyszłości, nie wypływało ze znajomości ludów monarchii, i z trzeźwego ocenienia dalszéj przyszłości cesarstwa. Na wszelkie zarzuty odpowiadał Beust z uśmiechem człowieka pewnego siebie, a trzymając jedną ręką Węgrów, drugą zaś niemieckich liberałów, był pewnym zwycięstwa. W obec takiego stanu rzeczy, nie pozostawało Belcrediemu nic innego, jak tylko podać się do dymisyi, témbardziéj, iż miał wskazówki, że sama korona życzy sobie szybkiego zakończenia sporów, że zatém dymisya będzie przyjęta.

Patent z dnia 2 stycznia był jeszcze ostatnią próbą, kompromisem pomiędzy obydwoma ministrami, z których wszakże jeden tylko działał szczerze, to jest hr. Belcredi, drugi zaś hr. Beust, zadosyć uczynił tylko formie, aby okazać, że jest skłonnym do pojednania, wiedział jednak dobrze, że dzieło jego, prowadzone po za plecami Belcrediego doszło już tak daleko, że za kilka dni przeciwnik będzie się musiał podać do dymisyi, mimo chwilowego kompromisu.

Najtrudniejsza sprawa ludzi uczciwych z intrygantami; pierwsi działają otwarcie, w dobréj wierze, a jeżeli nie mają dość silnéj woli, aby się nie zrazić intrygami, aby wytrwać na stanowisku, odchodzą zniechęceni. Taki był los Belcrediego.

Program Beusta z góry był nakreślony, pierwszym zatém aktem jego rządów, musiało być odstąpienie od zwołania nadzwyczajnéj rady państwa, a zwołanie zwyczajnéj konstytucyjnéj rady. Stało się to *zawiadomieniem* ministeryalnem z dnia 4 lutego 1867 r., niepodpisaném przez cesarza, ale tylko przez Beusta i trzech mniéj wybitnych ministrów.

Rząd czuł potrzebę wytłómaczenia się ze swego postępowania, ze swéj niestałości, a zawiadomienie ministeryalne miało być mostem, po którym miał przejść z dotychczasowéj, do nowéj polityki. Ministerstwo skonstatowało więc w tym akcie, że wprawdzie NPan chciał zapewnić królestwom i krajom nienależącym do korony węgierskiéj, głos w uporządkowaniu monarchii, i rozwiązaniu kwestyi konstytucyjnéj, i że tym celem zwołał nadzwyczajną radę państwa. Krok ten cesarski *nie wszędzie* jednak znalazł spodziewane ocenienie, owszem uległ fałszywemu tłómaczeniu, że jest naruszeniem praw konstytucyjnych, zapewnionych dyplomem z 20 października 1860 r., i patentem z 26 lutego 1861 roku. Nadto w ostatnich dniach zaszła okoliczność, która nie pozwala iść daléj rozpoczętą drogą. Gdy bowiem na dniu 2 stycznia rokowania z Węgrami nie były jeszcze ukończone, doprowadziły takowe dzisiaj do pomyślnego już rezultatu,

a sejm węgierski zgodzi się na wnioski, które zdolne są zabezpieczyć potęgę całéj monarchii.

Przedwstępnym warunkiem praktycznego przeprowadzenia ugody, było zamianowanie odpowiedzialnego ministerstwa węgierskiego, któreby mogło obronić w Peszteńskim sejmie zasady ułożonéj ugody. W obec tych wypadków miał rząd do roztrzygnięcia pytanie: czy nie wypadałoby zaniechać zwołania nadzwyczajnéj rady państwa? — Rząd odpowiedział sobie na to pytanie twierdząco, gdyż celem zwołania téj rady było właśnie usunięcie sprzeczności, jakie zachodziły pomiędzy dawném konstytucyjném prawem węgierskiém, a wolnomyślnemi instytucyami, zaprowadzonemi w obrębie całéj monarchii. Ztąd konkluzya, że skoro ugoda z Węgrami przyszła do skutku, cel, który miała nadzwyczajna rada państwa przed sobą, został osiągnięty, rząd odstępuje téż od jéj zwołania, a zwołuje na dzień 18 marca 1867 r., konstytucyjną radę państwa, celem przedłożenia jéj tych zmian konstytucyi, które się koniecznemi okazują ze względu na ugodę z Węgrami. Następném zadaniem téj rady państwa miało być uchwalenie ustaw, tyczących się rozwoju praw konstytucyjnych w zachodniéj części państwa.

Opinia publiczna w Galicyi przyjęła to obwieszczenie ministeryalne tak, jak je przyjąć była powinna—jako klęskę autonomistów. Fakt rozdzielenia monarchii na dwie części był już zanadto widoczny, aby nie pojąć zgubnych skutków jakie dla nas za sobą pociągnie. Mimo kilku łagodnych frazesów, zamieszczonych w piśmie ministeryalném, poznać było łatwo, że rząd zacznie z jednéj strony opierać się na Węgrach, z drugiéj na Niemcach, ignorując, a może nawet uciemiężając narody słowiańskie.

Tymczasem odbywały się w kraju wybory do nowego sejmu, i takowe mimo nadzwyczaj silnéj agitacyi Ś-to Jurców, którzy naturalnie postanowili teraz bratać się z wiedeńskimi liberałami, aby tylko stać w obozie przeciwnym wszelkim autonomicznym dążeniom — dosyć jeszcze dobrze wypadły. Wszystkie ważniejsze osobistości, które podczas zeszłéj zasiadały kadencyi, znalazły się znów w szeregu posłów; z nowych wybitniejszych osobistości weszło do sejmu: dwóch książąt Czartoryskich, Jerzy i Konstanty, pierwszy przyjaźnią do Czechów zbliżony, wybitny federalista, drugi nie tak daleko idący w kwestyach federalistycznego ukonstytuowania się monarchii, D-r Ignacy Kamiński, burmistrz stanisławowski dość skrajny federalista, wreszcie hr. Stanisław Tarnowski, znany pisarz, redaktor założonego wówczas *Przeglądu polskiego* w Krakowie, który po raz pierwszy miał sposobność wziąść czynny udział w parlamentarném życiu Galicyi, gdyż przy poprzednich wyborach nie

miał jeszcze lat trzydziestu, a przeto nie mógł być posłem obrany. I teraz podobno jeszcze kilka miesięcy nie dostawało do ustawą wymaganego wieku, chętnie jednak nie zważano na tę formalność, aby tylko pozyskać do prac sejmowych tak znakomitą, młodą siłę.

Zresztą główny korpus posłów został ten sam co dawniéj, a hr. Gołuchowski mógł bezwzględnie rachować na większość swych, jak ich zwano „mameluków.“

Zanim zostały sejmy zwołane zaczął się krzątać obóz autonomistów w całéj Austryi, aby się przygotować do walki z nowym centralistycznym prądem. Inicyatywę w téj mierze wzięli Czesi, wysyłając jeszcze przed wyborami Zeithamera do Krakowa, aby się porozumiał z Polakami, co do przyszłego postępowania, a następnie zdał o tem sprawę na zjeździe Morawców, Słoweńców i Czechów, który się miał odbyć w Wiedniu. W Krakowie zebrało się kilku znakomitszych tamtejszych posłów u hr. Adama Potockiego, ze Lwowa przyjechali pp. Ziemiałkowski i Grocholski. Wszyscy krakowscy posłowie byli za niewysełaniem delegacyi do Rady Państwa, p. Grocholski również tego samego był zdania, znając jednak wpływ hr. Gołuchowskiego na posłów ze wschodniéj Galicyi, wpływ, który zresztą nieuważamy wówczas za szkodliwy, dał wyraz przypuszczeniu, że, o ile mu się zdaje, sejm wyśle delegacyą do Rady Państwa. Zeithammer śpieszył się na zjazd do Wiednia, a widząc, że właściwie tylko jeden Ziemiałkowski z posłów, których spotkał w Krakowie, bezwzględnie był za wysłaniem do Rady Państwa — zdał sprawę Morawcom i Słoweńcom, że Polacy zgodzili się również na niewysyłanie. Zeithammer się nieco pośpieszył, a i galicyjscy posłowie, którzy brali udział w konferencyi krakowskiéj, przyszli do przekonania, że wybory z Galicyi wschodniéj, z któréj wyjdą po większéj części posłowie powolni hr. Gołuchowskiemu — rozstrzygną za wysłaniem do rady państwa, że przeto związanie się z Czechami względem niewysyłania, mogłoby być przedwczesném. Nie było więc nic innego do czynienia, jak sprostować zbyt różowe wrażenia, jakie mógł Zeithammer wywieść z Krakowa, w którym to celu pojechali do Wiednia: Adam hr. Potocki, Henryk hr. Wodzicki, Ziemiałkowski, Zyblikiewicz i Grocholski — i tam oświadczyli zgromadzonym Słowianom, że co do postępowania na przyszłość nic jeszcze stanowczego przyrzec nie mogą. Aby w przybliżeniu przynajmniéj nacechować politykę zebranych tam reprezentantów autonomistycznych narodowości, zaproponował Clam-Martinitz ułożenie adresu, któryby cztery reprezentowane przez nich kraje do tronu podać miały. Kilku zebranych tam Polaków nie było w możności brać na siebie odpowiedzialności za przeprowadzenie w lwowskim sejmie tego adre-

su, obiecało jednak Czechom, że staraniem ich będzie przeprowadzić adres stosowny do położenia Polaków w Galicyi.

Postępowanie to naszych delegatów na słowiańskim zjeździe w Wiedniu było jedynie racyonalném, gdyż wszelkie wiązanie się z Czechami w obec nieprzewidzianych wypadków i nieprzewidzianego położenia wewnętrznéj polityki austryackiéj, było zanadto ryzykownem, tém bardziéj, że położenie Czechów w obec Niemców zawsze jest trudniejszém, aniżeli nasze stanowisko; nie byłoby więc rzeczą odpowiednią, łatwiejsze stanowisko zamienić na trudniejsze. Czesi, o miedzę granicząc z Niemcami i mając w swym kraju połowę prawie niemieckiéj ludności, narażeni są ciągle na rodową nienawiść Niemców i na walkę o własność, któreto sprężyny muszą oddziaływać na politykę rządu centralnego. Nasi więc delegaci słusznie oceniać musieli stanowisko Galicyi, jako daleko korzystniejsze w obec Austryi, aniżeli stanowisko Czech i dla tego zdaniem naszém dobrze zrobili pozostawiając sobie ile możności rozwiązane ręce.

III.

Sejm został zwołany na dzień 18 lutego 1867 r., na miesiąc przed zebraniem się rady państwa, z wyraźną wskazówką, że zadaniem téj sesyi ma być, li tylko sprawdzenie wyborów i wybranie delegacyi do rady państwa. Powiedział to namiestnik w swéj mowie, mianéj na pierwszém posiedzeniu. Marszałkiem sejmu znów został mianowany ks. Leon Sapieha, zastępcą ks. Litwinowicz, a funkcye komisarza rządowego pełnił radca Namiestnictwa p. Oswald Bartmański, późniejszy wiceprezydent nemiestnictwa, dzisiejszy poseł do rady państwa.

Ze względu na główne zadanie tego sejmu, musimy kilka słów powiedzieć o liczebném stanowisku delegacyi polskiéj w Wiedniu.

Według statutu lutowego miała Galicya wysyłać 38 delegatów. Przy rozrachowaniu ilości deputowanych do rady państwa, na pojedyńcze kraje koronne, wzięto pod uwagę wielkość terytoryalną, ludność, i wysokość opłacanych podatków. Zasada ta nie została jednak ściśle i sprawiedliwie przeprowadzoną, ale wyzyskaną na korzyść żywiołu niemieckiego, ze szkodą żywiołów słowiańskich. Po sprawiedliwości powinna była Galicya wysyłać o siedmiu delegatów więcéj, a więc 45. Właściwa myśl, która kierowała niesprawiedliwym rożdziałem deputowanych była ta: aby najwięcéj posłów przypadło na Czechy, Szląsk i Morawę, i aby tym sposobem w większéj ich liczbie, łatwiéj ukryć protekcyą żywiołu niemieckiego. Dzięki tym fortelom mieli liberalno-centralistyczni Niemcy, na których się Beust opierał zapewnioną większość w parlamencie. Żywioł autonomiczny

skazany był przez to na chwilową niemoc, ale zawsze połączeni delegaci autonomiczni mieli poważną mniejszość, z którą się trzeba było liczyć w życiu parlamentarném. Zwartemi siłami mogli oni dość niebezpieczne na centralistów przypuszczać ataki.

Najważniejsze zatém pytanie jakie się nasuwało galicyjskiemu sejmowi było to: czy wziąść czynny udział w tym ataku, a wysławszy delegatów do rady państwa mozolną tam toczyć walkę, czy téż rzucić się na drogę biernéj opozycyi i nie iść do Wiednia. Postępowanie w téj mierze nakreślił już sejm z roku 1861, wysyłając wprawdzie delegacyę, ale uchwalając zarazem zastrzeżenia, pod któremi ją wysyła, a mianowicie, aby prawa Galicyi były nie naruszone. Do tego samego postępowania nakłaniała się większość posłów, uznawano potrzebę zredagowania takiego zastrzeżenia, takiego adresu. Powstało też zaraz kilka projektów adresu. W celu skonsolidowania rozstrzelonych pod tym względem myśli, wybrał sejm komisyę adresową i polecił jéj wypracowanie odpowiedniego pisma. Komisya zaś mając materyały w adresach napisanych przez kilku posłów, wybrała posła Kreczunowicza referentem, i poleciła mu z kilku danych adresów jeden zredagować, któryby mniéj więcéj odpowiadał większości zapatrywań.

Komisya poszła utartym już śladem i na przedostatniém posiedzeniu sejmu, z dnia 1-go marca 1867 r., zaleciła wprawdzie sejmowi wysłanie delegacyi do Rady Państwa, ale zarazem uchwalenie adresu do Tronu, aktu ważniejszego aniżeli zastrzeżenie z r. 1861, i odpowiadającego w zupełności wymaganiom chwili. Adres był przedłożony izbie przez pana Ziemiałkowskiego, z powodu chwilowéj słabości p. Kreczunowicza, i zawierał on zdaniem naszém wszystko co cesarzowi wówczas trzeba i można było powiedzieć. Przedewszystkiém przypomniano w nim, że patentem z 2 stycznia 1867 r. zwołał cesarz nadzwyczajną radę państwa, aby krajom i królestwom nie należącym do korony węgierskiéj, zapewnić głos w rozwiązaniu zadania konstytucyjnego, i dostarczyć im wolnéj od dotychczasowych ograniczeń podstawy, do porozumienia się i pogodzenia rozmaitych zapatrywań i wymagań prawnych. Patent ten był dopełnieniem manifestu z dnia 20 września 1865 r., przyjętego przez sejm galicyjski z najwyższą wdzięcznością, manifestu, którym cesarz raczył uznać, że zamiar ubezpieczenia prawnego ustroju konstytucyjnego siłą i znaczeniem wszystkich ludów, nie został spełniony, a przeto otworzył nową drogę do swobodnego porozumienia się królestw i krajów. Sejm wyraził w adresie silne przekonanie, że do tego porozumienia się i rozwoju prawdziwych swobód, może jedynie prowadzić droga wskazana manifestem z dnia 20 września 1865, jeżeli będzie

wolną od wszelkich form, ograniczających wolność wypowiedzenia swych żądań przez reprezentacye. Podnosi więc adres, że pismo ministeryalne z 4 lutego, przejąć musiało kraj obawą, gdyż z niego zdaje się wypływać, jakoby rząd postanowił szukać punktu ciężkości dla dalszego rozwoju konstytucyjnego państwa w instytucyach, potępionych biegiem wypadków, uzyskaném doświadczeniem i prawném poczuciem przeważnéj większości ludów. Rezultaty rokowań z Węgrami, co do przyszłego stosunku korony św. Szczepana do ogółu monarchii, usuwają najważniejsze węgły budowy, która powstać miała na podwalinach ustawy o reprezentacyi państwa z dnia 26 lutego 1861 r. — W obec faktu takiéj doniosłości i tak wielkiego politycznego i historycznego znaczenia, wystąpiły tém jaskrawiéj niestosowności téj ustawy, nieuwzględniającéj różnorodności stosunków istniejących w poszczególnych krajach, nie należących do węgierskiéj części monarchii.

Daléj podniósł adres, że Galicya ma szczególne przed innémi krajami powody obstawania przy dążeniu do urządzeń autonomicznych. Kraj ten przeszedłszy przed stu laty niespełna pod berło austryackie nie wyparł się nigdy swéj narodowéj indywidualności, a przy każdéj sposobności podnosił swój głos, w głębokiém poczuciu prawa i słuszności, dla uzyskania instytucyi zgodnych ze swemi tradycyami i z potrzebami rozwijającemi się w miarę postępu odpowiednich stosunków. Nie tylko bowiem odrębność historycznych tradycyj, lecz niemniéj odrębność potrzeb, wynikających z jego wewnętrznych stosunków, zniewala go do wymagania samorządnych instytucyj.

Dopóki Galicya, co do publicznych urządzeń swego życia publicznego nie ujrzy spełnionych prawowitych swych życzeń i nadziei, dopóty nie zamieszka spokojność w umysłach jéj mieszkańców, ani zadowolenie, będące najsilniejszym filarem potęgi państwa i społeczeństw.

Szczególnie ważnym i dobitnym był następujący ustęp adresu: „Silną i potężną pragniemy widzieć monarchią Twoję NPanie, z któréj losami, losy się nasze złączyły. Wszakże głęboko przekonani jesteśmy, że pomyślność i potęga monarchii zawisła od takiego jéj ustroju, któryby odstąpiwszy stanowczo od systemu gnębiącego żywotność poszczególnych ludów, ubezwładniającego ich siły moralne i materyalne, zapewnił obok wolności osobistéj, *wolność historycznych indywidualności* narodowych, wspólnym węzłem państwowym z dynastyą połączonych.“

Ponieważ ustawa lutowa o reprezentacyi państwa, obejmująca całość monarchii, w znacznéj części wskutek ugody węgierskiéj usu-

niętą została, przeto adres podnosi, iż nie można jéj uważać za obowiązującą, a tém samém i uchwały zwołanéj rady państwa nie mogłyby być konstytucyjnie uważane za stanowcze.

Mimo to oświadcza sejm swą gotowość przystąpienia do wyboru delegacyi na dowód, że żadnemu usiłowaniu zmierzającemu ku porozumieniu się, celem uporządkowania wewnętrznych stosunków monarchii, przeszkody stawiać nie chce.

Na posiedzeniu, na którém komisya sejmowa przedłożyła ten projekt adresu, wiedziano dobrze, że w razie nie wysłania delegacyi do rady państwa, rozwiązanoby zapewne sejm i zarządzono *bezpośrednie* wybory do rady państwa. Było to niebezpieczeństwo dość groźne, po pierwsze bowiem, narażało kraj na to, że będzie miał znów tak jak w roku 1861 znaczną część reprezentantów w siermięgach i sutanach w Wiedniu, a zatém, że jego delegacya nie będzie tam miała dodatniego wpływu; powtóre, że przez wybory bezpośrednie pomijające sejm, zejdzie na bardzo podrzędne stanowisko, i rada państwa nie będzie się potrzebowała nań oglądać. Sejm stanie się mało znaczącém kołem w parlamentarnéj machinie, pozbawioném wszelkiego ważniejszego wpływu.

Rozwiązanie sejmu nie pociągało wprawdzie za sobą zasadniczych niekorzyści na przyszłość, ale na razie bardzo mogło być szkodliwém. Obecny sejm korzystnie był złożony, pod rządami bowiem hr. Gołuchowskiego można było przeprowadzić wybory odpowiadające interesom i uczuciom kraju — jakby jednak przyszłe wypadły wybory — to wielkie było pytanie? ministerstwo mogło znowu rozpasać namiętności, poruszyć agitacye socyalne i anti-narodowe pomiędzy ludem, aby znaleść na ławach sejmowych powolną sobie falangę, składającą się ze Ś-to Jurców i z resztek biurokratyczno-centralistycznego żywiołu. Wpływu tych socyalno-politycznych intryg, któremi rząd niechętny krajowi mógł zatruć każde wybory — należało się bardzo obawiać, nie był to bowiem wpływ przemijający, ale pozostawiał zawsze po sobie niebezpieczny ferment w społeczeństwie, odświeżał zagojone rany i stawał się zarodem przyszłych niechęci. W najbardziéj skonsolidowaném społeczeństwie agitacye wyborcze nie przemijają bez pozostawienia po sobie nie czystego czadu, a cóż dopiéro powiedziéć o agitacyach w społeczeństwie rozbitém, jeszcze nie skonsolidowaném, jakiém było wówczas społeczeństwo galicyjskie.

Mimo tych przewidywań i obaw znaleźli się na przedostatniém posiedzeniu sejmu bardzo znakomici posłowie, którzy stanowczo przemawiali za nie wysłaniem do rady państwa. Pomiędzy innymi

poseł Grocholski sądził, że wysłanie do dzisiejszéj, właściwie szczuplejszéj rady, byłoby zejściem z drogi, którą kraj szedł przez sześć lat ostatnich, byłoby uznaniem téj rady, któréj zakres działania nie pozostawia sejmom potrzebnéj organicznéj siły. Dowodził, że wysłanie delegacyi będzie początkiem skrajnéj opozycyi, w którą kraj musi być pchnięty, jeśli nie będzie chciał mieć *nieméj* delegacyi w Wiedniu.

Najliczniejsze jednak, najbardziéj z rzeczywistością liczące się głosy, przemawiały za wysłaniem do rady państwa i za stanowczém uchwaleniem adresu. W téj myśli mówili hr. Henryk Wodzicki, posłowie Chrzanowski i Krzeczunowicz. Chrzanowski podał sposoby jakiemi się obecnie bronić można przeciw centralistom w radzie państwa. Były w téj mierze trzy drogi, albo, aby wszystkie sejmy autonomicznie usposobione wyprawiły swe delegacye do Wiednia i tam czynnie wystąpiły przeciw zgubnemu systemowi, albo aby się rzuciły w bierną opozycyą, a uważając obecny kierunek za zgubny, nie wyprawiały delegacyi, i nie przykładały ręki do popchnięcia państwa na zgubne tory, albo wreszcie poszły drogą pośrednią, a mianowicie, aby oświadczyły, że dualizm uważają za zgubną, podwójną centralizacyą i że odmawiają stanowczości uchwałom rady państwa obecnie zwołanéj, któréj zadaniem powinno być, przeprowadzić porozumienie pomiędzy ludami Austryi.

Pozostawało pytanie, którą z tych dróg można było przeprowadzić kardynalną zasadę działania. Wyprawienie delegacyi przez wszystkie federacyjnie usposobione sejmy było niemożliwém, bo rząd rozwiązał już był sejm czeski, który najbardziéj stawał przeciw systemowi p. Beusta. Niewyprawienie delegacyi przez wszystkie powyższe sejmy również było niemożliwém, gdyż sejmy: morawski, lublański, i tyrolski już oświadczyły, że wyprawiają delegacyą. Jedyna przeto pozostawała droga uroczystego oświadczenia przez wszystkie autonomiczne sejmy, że dzisiejszy kierunek jest zgubnym dla państwa, i że jedynie zorganizowanie federacyjnéj Austryi, na prawach należnych poszczególnym narodowościom, może jéj dać trwałość i potęgę. Argumenta te skłaniały większość izby do pójścia za wnioskiem komisyi, do zawotowania adresu, jako zastrzeżenia i wysłania delegacyi.

Po przemówieniu sprawozdawcy komisyi, p. Ziemiałkowskiego, popierającego naturalnie adres, odłożone zostały specyalne debaty do przyszłego posiedzenia, które się miało odbyć nazajutrz, dnia 2 marca.

Ów drugi marca tak pamiętną odegrał rolę w historyi konstytucyjnego życia Galicyi, że do dziś dnia bywał jeszcze przypomina-

ny jako dzień zwrotu polityki galicyjskiéj, dla jednych zwrotu pomyślnego, politycznego, dla drugich zgubnego. Rozpoczął on się wnioskiem komisyi adresowéj, którego się jeszcze wczoraj nikt nie mógł spodziewać. Pan Ziemialkowski wszedł na trybunę i przeczytał następujące słowa:

„Komisya wysadzona przeważną większością głosów z łona reprezentacyi kraju mniema, iż uchwalony przez nią projekt adresu jest wyrazem myśli przewodniczących sejmowi, a przeto wyrazem myśli kraju.

„Wszelako *w obec zaszłych wypadków* i w obec niebezpieczeństwa, na jakie przez uchwalenie tego adresu mogłoby być narażone wewnętrzne kraju zadanie, komisya mniema, iż w interesie kraju jest jéj obowiązkiem, cofnąć projektowany przez nią adres,“

Jakież więc były owe wypadki, które zniewoliły komisyą własne zwinąć dzieło, i zaprzéć się swoich idei przewodnich, będących zarazem myślami przewodniemi sejmu i kraju?

Oto namiestnik otrzymał telegram z Wiednia potwierdzający postanowienie rządu rozwiązania sejmu czeskiego, ponieważ tenże uchwalił nieobesłanie rady państwa, tudzież że sejmy, morawski i kraiński tenże sam los spotka, ponieważ uchwaliły adres odmawiający radzie państwa prawa uchwalania z mocą obowiązującą, nakoniec, że sejm galicyjski będzie rozwiązany jak tylko podobną poweźmie uchwałę. Nadto oświadczył hr. Gołuchowski przywódzcom stronnictw sejmowych, że stanowczo musi się podać do dymisyi, jeżeli adres zostanie uchwalony, wobec cesarza przyjął bowiem osobiste zobowiązanie, że ręczy za Galicyą, iż nie będzie stawiała trudności rządowi, w razie jeżeli język polski w urzędzie i w szkołach będzie zaprowadzony. Cesarz dotrzymał słowa, rzeczą więc Gołuchowskiego było także, albo wywiązać się ze swego zobowiązania się, albo się usunąć i pozostawić rządowi swobodną rękę w Galicyi. Położenie przeto bardzo się od wczoraj zmieniło, wczoraj bowiem było trzy drogi postępowania, dzisiaj już tylko dwie: albo bierna opozycya niewysyłanie delegacyi do rady państwa, albo wysłanie jéj bez zastrzeżeń. Trzeba było wielkiego zaparcia się, wielkiego poświęcenia swéj ambicyi, aby odstąpić od drogi, która się dopiéro co uznała za zbawienną, i wejść w upokarzające — wobec ludzi krótkowidzących, położenie.

Do wielu zalet charakteru, które cechują p. Zyblikiewicza, jako jednego z naszych najznakomitszych mężów publicznych, należy bezsprzecznie i to, że w razie potrzeby umie poświęcić wszelkie osobiste względy publicznéj sprawie. Bywało nieraz, że osobiste nawet urazy z lekkiém sercem składał w ofierze krajowi, podawał

rękę niechętnym sobie ludziom, co więcéj, wspierał ich całą siłą swéj powagi, aby ich przy władzy utrzymać, jeżeli tylko powszechne dobro tego wymagało.

Ten sam szlachetny rys charakteru kazał p. Zyblikiewiczowi stanąć 2 marca po stronie polityki praktycznéj, utylitarnéj; kazał mu przemówić za bezwzględném wysłaniem do rady państwa, a tém samém pociągnąć za sobą część tych posłów, którzy się wahali. Był on generalnym mówcą za wnioskiem komisyi, i nie wątpimy, że było to jedno z jego najpiękniejszych parlamentarnych zadań, przekonywać chwiejących się jeszcze posłów, osobliwie że wiedział, iż ściągnie na siebie burzę dziennikarstwa, że się narazi na krzyki opinii publicznéj, aby tylko spełnić to, có sumienie spełnić nakazywało i ratować wewnętrzne dobro kraju.

Pan Zyblikiewicz nie przeczył, że gdyby Galicya była w stosunkach normalnych i zwyczajnych, poszedłby drogą opozycyi. Przydałaby się ona monarchii i krajowi, bo złączywszy naszą opozycyą z opozycyą innych krajów, zdołałaby delegacya sprowadzić monarchyą z drogi niebezpiecznéj, na którą rząd wstępował. Ale stosunki Galicyi nie były normalne. Przez lat 90 pracowano nad dezorganizacyą kraju, doprowadzono do tego, że nawet pojęcia własności nie ustaliły się w niższych warstwach społeczeństwa. Nadto warstwy te były ze sobą w nieprzyjaznem tarciu, któreby łatwo rząd na swoję korzyść mógł był wyzyskać.

„Gdybym zresztą był pewny — mówił p. Zyblikiewicz, że dzisiejszy rząd nie wyexploatuje naszéj anarchii na swoję korzyść, poszedłbym drogą opozycyi. Lecz wątpię, żeby dzisiejszy rząd zachwiał się przed jakimkolwiek bądź środkiem, użyje on wszystkiego co go prowadzi do celu, użyje on i zamętu w pojęciach własności, użyje rozbratu społecznego, jaki panuje pomiędzy ciemniejszymi a światlejszymi, użyje braku poszanowania prawa, czyli innemi mówiąc słowami użyje destrukcyi kraju.“

Ciężkie to było dla rządu potępienie, ale takie odważnie powiedziane słowa prawdy, dalekie od wszelkich przesadnych nadziei, i wszelkiéj ułudy, były złotemi słowami w ustach polskiego polityka. Były one jednym z największych aktów patryotycznych p. Zyblikiewicza, wiedział on bowiem dobrze, że wysłanie delegacyi, będzie, przez łatwo zapalną publiczność polską, przyjęte niemal jako akt narodowéj zdrady, a przecież nie wahał się z otwartą przyłbicą, spójrzéć śmiało w oczy téj grożącéj mu niepopularności. Pan Zyblikiewicz skonstatował w swéj mowie, że, przez dwa lata, odkąd kraj używa wewnętrznego spokoju, stosunki jego wewnętrzne konsolidować się zaczynają i że są nadzieje, że w kilka lat, przy spo-

kojnym rozwoju, możeby się dały zatrzéć ślady 90-cio letniego bezrządu, a wtedy dałoby się dążyć do pewnego celu. Dzisiaj jednak nie pora po temu.

„Pamiętajcie panowie — kończył szlachetny mówca — że puściwszy się na drogę opozycyi, nie wiemy gdzie się zatrzymamy.“

Przeciw wnioskowi komisyi, przemawiali hr. Adam Potocki i hr. Ludwik Wodzicki. Pierwszy przemawiał ze stanowiska ogólno państwowego, sądząc, że wspierać politykę dualistyczną, znaczy gotować zgubę państwa, w którego skład kraj nasz wchodzi, drugi, że wysłanie delegacyi przyczyni się tylko do przedłużenia ery prób i doświadczeń szkodliwych dla ustroju austryackiej monarchii.

Więcéj dotykalne, bliskie argumenta zwolenników wysłania delegacyi, zwyciężyły ostatecznie, a wniosek wysłania delegacyi uchwalony został 99-ciu głosami przeciw 34-m. Po jednéj jak i po drugiéj stronie były szanowne nazwiska, które tém ważniejszą uczyniły powziętą uchwałę. Za wysłaniem głosowali ks. Konstanty Czartoryski, hr. Gołuchowski, hr. Alfred Potocki, ks. Władysław Sanguszko, Wężyk, Ziemiałkowski, Zyblikiewicz — przeciw wysłaniu hr. Władysław Badeni, ks. Jerzy Czartoryski, Grocholski, Krasiński, Krzeczunowicz, hr. Adam Potocki, Sawczyński, Smarzewski, Smolka, hr. Stanisław Tarnowski, hr. Henryk i Ludwik Wodziccy. Rzec nawet można, że po téj stronie były więcéj aniżeli po tamtéj wybitne osobistości.

Ignotus.

(C. d. n.)

ASNYK I JEGO LIRYKA.

(Poezye przez El...y. III. Lwów. 1880. str. 240.).

Obok dwóch dawniejszych tomików poezyj Asnyka, ukazał się niedawno tom trzeci. Czytelnik biorąc go do ręki znajdzie zapewne dużo rzeczy znanych już sobie z rozmaitych czasopism, niemniéj przeto będzie ten zbiorek miłą i ciekawą dla niego nowością: inaczéj się bowiem wydają rozproszone dźwięki i akordy, inaczéj połączone razem i przedstawiające całą sumę działalności poety z lat ostatnich. Może to wyrażenie nie jest zupełnie dokładne, Asnyk bowiem, jak wiadomo, pracuje od niejakiego czasu i na polu dramatycznem, ale nie przesądzając wcale przyszłości, śmiało rzec można, że nie dramaturgia wyjednała mu stanowisko w poezyi, jakie zajmuje, i tęsympatyą ogółu, która acz nie wystarcza może dla serca poety, w tych jednak chłodnych czasach dzisiejszych znaczącym jest objawem. Nie, węzeł zadziergnięty pomiędzy sobą a publicznością poeta zawdzięcza tylko swojéj liryce, a właśnie zbiorek, o którym mowa, skupia w sobie całą najnowszą lirykę Asnyka.

Pierwsze pytanie, jakie mi się nasuwa, gdy mam mówić o tym zbiorku, jest to: o ile poeta pozostał równy sam sobie, o ile poezya trzeciego tomu jest dalszym ciągiem dawniejszéj jego liryki, czy wszystkie struny dawniejsze brzmią i dziś z jednaką siłą, czy téż niektóre dawniejsze zamilkły, a niektóre się nowe odezwały? Mówiąc poprostu, chodzi tu o porównanie trzeciego tomu poezyj Asnyka z dwoma pierwszemi, a to nie pod względem formy, wykończenia szczegółów, barw, melodyjności, w ogóle zewnętrznéj szaty, ale pod względem tego, co jeżeli się nie mylę nieraz już nazywano sokami poezyi, pod względem uczuć, myśli i prądów współczesnych, rytmicznie pulsujących w każdéj żywéj poezyi.

I.

Muza Asnyka odezwała się po raz pierwszy w chwili, gdy w społeczeństwie naszém po żywo obudzonych nadziejach nastąpił zawód bolesny. Zapał patryotyczny ustąpił miejsca rozczarowaniu i zniechęceniu. Nawet mistycyzm nie przybywał, jak po trzydziestym roku, na pomoc i nie lał swych narkotycznych balsamów na serca. Wprawdzie tu i ówdzie odzywały się już nowe hasła, ale tylko spokojniejszym, mniéj rozmarzonym głowom, i silniejszym, mniéj zniechęconym sercom mogły one dodawać otuchy. Ogół cierpiał i nie znajdował żadnéj pociechy dla siebie.

Poeta cierpiał więcéj od ogółu. Obdarzony nadzwyczajną wrażliwością, miał żywsze, niż inni, pragnienia i nadzieje i ztąd boleśniejszego doznawał zawodu. Wychowany w cichéj sferze rodzinnéj, ogrzanéj miłością macierzyńską, która téj wrażliwości pozwalała się jeszcze bardziéj rozwinąć, wykarmiony poezyą romantyczną, dla któréj „ruszyć z posad bryłę świata“ było tylko zadaniem chwilowego uniesienia i zapału, jak np. dla żołnierza zdobycie szturmem jakiéjś twierdzy, w pierwszych dniach rozkwitu swéj muzy spotkał się z żelazną dłonią rzeczywistości, która zatrzęsła nim i rzuciła go daleko od tego rodzinnego ogniska, gdzie tak

> ....spokojnie płynie ludzkie życie,
> Mierzone dźwiękiem słodkobrzmiących godzin.“

od tych miedz zielonych, „gdzie złote mary lat dziecinnych siedzą.“

Zawód osobistych nadziei i powszechnych łączyły się w piersiach poety w jeden nierozplątany węzeł bólu. Uczucia niemocy, żalu, zwątpienia, zniechęcenia obsiadły mu serce. Gdybyż świeża przeszłość krwawa zdolną się była okryć w oczach poety urokiem bohaterstwa, poetyczna jéj wielkość łagodziłaby nieszczęście. Ale nie, tak nie było. Stan jego duszy ówczesny, świeżo po rozbiciu wszelkich mar i nadziei, najlepiéj się maluje w „Śnie Grobów.“ Poeta przez dziką, pustą i martwą krainę, dąży gdzieś przed siebie bez celu, a raczéj z celem zatracenia swojego bytu, który stał się dlań nieznośną męczarnią.

> Daléj więc! przez te wybrzeża samotne,
> Przez mgieł powodzie, przez zaspy śniegowe,
> Przez niebios brudne plamy i przez błotne
> Zacisza bagien, przez stepy jałowe,
> Gorzkie jeziora, piaszczyste wydmuchy...

Oto krajobraz odźwierciadlający usposobienie poety. Ta dzika i pusta kraina to rzeczywistość taka, jaka się odbija w duszy poety-tułacza. Na tych przeklętych ścieżkach spotyka on skrzydlatą po-

stać groźnego ducha przeznaczeń, który chcąc mu niejako dać odpowiedź na wszystkie nieme pytania jego rozpaczy, każe mu iść za sobą i pokazuje mu w alegorycznych obrazach tych, co razem z nim walczyli i cierpieli. Pokazuje mu naprzód w postaci białych gołębi, które lecą spalić się w kłębach pożaru, „tę marną, za poświęceniem goniącą i sławą czeredę sylfów,“ która wprawdzie jest „czystą i ofiarną,“ ale któréj życie „jest jednym ciągiem pragnień i niemocy, błyszczy się chwilę i ginie bez cześci.“ Pokazuje mu daléj wśród kalejodoskopu dantejskich obrazów, jakąś chmurę połowicznych cieni, „bezgłowe karły,“ „mary wpółsenne, liche, niedołężne, gnane boleścią, przestrachem, rozpaczą,“ od których wieje zgnilizna, a które drapią się na szczyt wzgórza, gdzie

Ze łzami w oczach, w błyskawic koronie,
Na piedestale, z złotą harfą w ręku
Siedział lutnista na obłocznym tronie

i ze swéj złotéj harfy dobywał pieśń potężną, co choć była dla nich niedostępną, jednak galwanizowała jeszcze te „spróchniałych kości skrzypiące ostatki.“

I nic więcéj nie pokazał poecie duch przeznaczeń, nic więcéj nie dozwolił mu dojrzeć w groźnéj symbolice, która się wkoło niego rozwijając przedstawiała stan społeczeństwa w danéj chwili; nigdzie ani śladu zdrowego życia, coby się obok próchna, zieleniąc w górę świeżemi prątkami garnęło! Wprawdzie duch przeznaczeń wzywając poetę aby „zerwał dawną z grobami zażyłość“ i rzucił „całą przeszłość marzeń,“ powiada mu „iż grób dzisiejszy ma być kolebką „nowego życia,“ ale jakie to życie, gdzie to niemowlę, dla którego grób ma być kołyską, w którą stronę ma poeta ręce wyciągać ku przyszłości, tego wszystkiego groźny duch mu nie powiedział, i pozostawił go pogrążonego w téj saméj rozpaczy i zwątpieniu, w jakiem go zastał. Mgliste słowa ducha o „odrodzeniu światów“ tak mało miały w sobie pokrzepiającego tchnienia, że poeta w epilogu swéj pieśni grobowéj, równą niechęć jak przedtém okazuje dla dalszego życia i równą niewiarę w jego racyą bytu.

Więc znowu! trzeba boleć i przeklinać,
Trzeba ukochać jaką nową marę.
I nowe tęcze na niebie rozpinać,
Wątpić i wierzyć, i znów tracić wiarę,
A po pielgrzymce męczącéj i długiéj
Minotaurowi znów złożyć ofiarę.

Tak więc zupełne zwątpienie, zupełne zniechęcenie cechuje ten poemat. Przeszłość, teraźniejszość, przyszłość zamalowane najciemniejszemi farbami, a na tém tle posępném jedna tylko postać jaśnie-

je—postać wspomnianego już lutnisty „w błyskawic koronie.“ Imię tego pieśniarza łatwo odgadnąć, jeżeli już nie z wielbiących epitetów, to z tworów jego fantazyi dokoracyjnie w koło niego ustawionych. Oto w jedném miejscu „duch ludu trzaska trumny wieko“ i „u chmur żebra piorunów,“ tam dwie dziewice „jedna wstrząsa kłębek węży i nóż skrawiony,“ druga „w liliowym wianku wiatrom się skarży;“ koło uzupełnia czarny jeździec, krający piersią całun śniegu i wołający: „kto rycerz, niech wstaje.“ Poeta zapatrzony w tę postać lutnisty, górującą nad padołem nędzy i rozpaczy, w ten posąg „w przyszłość obrócon daleką, i zagadkowemi wypełniony runy,“ w zachwycie „nie śmie skłócić powietrza westchnieniem“ ani może znaleźć na ustach wyrazu dla swego uwielbienia.

Nic téż dziwnego, że tak wysoko wyniosłszy poezyą Słowackiego, tak nizko postawiwszy naród, dla którego ta gorączkowa i mętna poezya była za mało dostępną, nic dziwnego, że Asnyk w początkach zawodu swego poetyckiego obiera sobie za mistrza i przewodnika twórcę „Króla-ducha“ i „Grobu Agamemnona.“ Tak samo, jak ten „wielki potępieniec co deptał światów zwyczajne porządki,“ chce on sięgnąć ręką w trzewia narodu i zatargać niemi, chce „duchom wstydu wypalić rumieniec,“ i w Śnie Grobów, gdzie sam tok wiersza i dziki koloryt, przypominają bardzo często muzę Słowackiego, myśl przewodnia, o ile się da ułowić, jest pożyczoną z Króla-ducha. „Przez zniszczenie do odrodzenia!“ taki sens moralny można wyciągnąć ze słów anioła przeznaczeń.

Niech więc nie jęczy cichy proch człowieczy,
Pod stopą, co go depce i uciska,
Bo odrodzenie światów ma na pieczy.
I z woli Bożéj zostaje deptany.
Która mu tryumf ojcostw zabezpieczy.

Brzmi to fatalistyczniéj może, niż chciał sam poeta, ale zupełnie zgodnie z mistyczną nauką jego mistrza, zawartą w Królu-duchu.

„Apostrofa“ pod względem i treści i formy jeszcze bardziéj przypomina „Grób Agamemnona,“ niż „Sen Grobów,“ „Króla- ducha.“ Nie ma tu naturalnie téj siły zrącéj wyrażeń, jak u Słowackiego, ale pycha wcale nie mniejsza, choć daleko mniéj do twarzy z nią uczniowi niż mistrzowi. Słowacki zresztą przynajmniéj jednym wierszem, najpiękniejszym podług mnie z całego poematu „Mówię bom smutny i sam pełen winy“ stara się poniekąd zrównoważyć uniesienia pychy, Asnyk ani na chwilę nie schodzi z sędziowskiego krzesła i przemawiając do oskarżonéj, nazywa ją nie „pawiem i papugą narodów,“ nie „niewolnicą,“ ale znacznie gorzéj, bo „Messaliną,“ która „frymarczy krwią swoją.“ Przypisując jéj nadzwyczajne po-

słannictwo, wierząc, iż miała być przewodnią gwiazdą ludom, iż miała pielęgnować myśl sobie tylko jednéj (?) przekazaną, przeklina ją za odstępstwo od téj myśli, a dla jéj męczarń chce mieć tylko wzgardę i urąganie. Uczeń chce tu prześcignąć swego mistrza w surowości, ale widać że to gniew pożyczany; łamie się on też jeszcze przed końcem pieśni, aby się rozpłynąć w kilku ogólnikowych radach, poetycznie wypowiedzianych.

W „Odpowiedzi“ poeta wyraźnie określa swoje stanowisko z pierwszéj doby tworzenia w przeciwstawieniu do tych „co w ulewie krwawych deszczów przy swéj wierze się ostali,“ i których westchnienia w harmonijny szmer się układają. Takim duchom, jak on, co tylko zgniliznę i nieszczęście widzą w koło siebie, nie pozostało nic innego jak „bez litości, bez bojaźni, w niebo wściekłą pięść podnosić.“ Nie zgadza się to może z nauką, jaką dał poecie w „Śnie Grobów“ anioł przeznaczeń, ale zgadza się z przedstawieniem uwielbionego przez poetę lutnisty, który

W apoteozie swéj posępnéj doli
Jaśniał, jak niebem gardzące wyjątki.

Bądź co bądź jest w tych utworach pisanych pod wpływem uwielbienia dla Słowackiego pewna energia rozpaczy, pozująca trochę, to prawda, ale zawsze energia, któréj daremniebyśmy szukali w późniejszych poezyach Asnyka. Znajdujemy ją jeszcze chyba w dość mętnym wierszu „Do...“ gdzie poeta „nieprzystępny skrusze, a tylko jednéj rozpaczy przystępny,“ lubuje się uczuciami Kaina, które mu pierś przepełniają, i chce aby pieśń jego spaliła gromem wstydu tych, co „w nikczemności pędząc żywot marny, płazowe szczęście nie wielkość obrali.“

Ale to drapowanie się w wielkość, to ciskanie klątw i piorunów za przykładem mistrza, nie trwało długo. Rola ta nie odpowiadała wcale miękkiéj i łagodnéj duszy poety, co on sam musiał prędko poczuć. W „Pożegnalném słowie“ składa on niejako z siebie tę rolę. Po wysiłkach rozpaczliwéj energii, owłada go znużenie.

Godnym zazdrości wydaje mu się los uśpionego Endymiona, do którego co noc na srebrnych promienich boska spływa kochanka, ażeby duszę jego w idealne objąć uściski, jakżeby on pragnął także „wieczność taką zyskać sobie senną.“

I być strażnikiem grobów, które proszą
O łzy i miłość i być tylko cieniem,
Którego skrzydła anielskie unoszą
Między nicością a grobów marzeniem...

Przyznawszy się do zmęczenia, zrzekłszy się niejako pretensyi do roli grzmiącego i piorunującego proroka, Asnyk jednocześnie wy-

dobywa się z pod wpływu Słowackiego, i zaczyna być samym sobą. Poezya jego, która dotąd wrzała i kipiała więcéj sztucznym, niż prawdziwym gniewem, miotała szalone przekleństwa, siliła się na obrazy dzikie a czasem i potworne, dla odmalowania wstrętu poety, teraz zaczyna płynąć cichą skargą w przezroczystych, gładkich wierszach, co tak przypominają spokojny bieg łagodnie szemrzącego wśród traw i kwiatów strumienia.

Na cóż się skarży poeta? Ach, tyle ma tematów do skargi, ile jest stron życia ludzkiego, ile jest rzeczy na świecie, bo zbolałe, smutne i zniechęcone serce we wszystkiém tylko cieniów dopatrzy. Więc skarży się naprzód na to, co jest chorobą wieku, na brak wiary, co ludziom z ramion zdejmuje skrzydła, i niebiosa w pustynię obraca, a nieszczęśliwym od ust odtrąca kielich pociechy, skarży się na wieczny rozbrat pomiędzy „białym ideałem" a brudną, znojną, jeżeli nie krwawą rzeczywistością, skarży się na znikomość wszystkiego co bujne i piękne, na wiek motyli młodości, skarży się na własne losy, na zmarnowanie, i jałowość życia, na przelotność swoich dni młodych, na brak serca, które by dlań było na wieki oddane, na chłód sfery otaczającéj poetę. Skargi osobiste zlewają się w duszy poety tak łatwo i tak naturalnie ze skargami powszechno ludzkiemi, że sam on powiada w „Usprawiedliwieniu:"

Gdy nad szczęściem utraconém płaczę,
To nad czyjem? — nie wiem dobrze sam!

Choroba wieku głęboko zasiadła w sercu poety. W wierszu poświęconym XIX-mu wiekowi odzywają się bolesne jęki, wypowiadające cierpienia całéj myślącéj ludzkości, która skosztowawszy owoców z drzewa poznania wyszła ze snu naiwności, ale na to tylko, aby poznać nagość i nicość swoję. Można powiedzieć, że ile razy dawna wiara się łamie, aby zrobić miejsce filozoficznym badaniom, tyle razy powtarza się historya biblijnego Adama. Ludzkość wypędzona z raju naiwnéj wiary na ciężki dorobek nowych ideałów i pociech, tęskni za tym rajem, i radaby wróciła do niego, gdyby u wrót nie stał ów zimny i nieubłagany archanioł z obosiecznym mieczem, który ją stamtąd wypędził. Ten żal i tęsknotę za utraconym rajem, ten przestrach przed szaremi i jałowemi obszarami, które się przed Adamem po wyjściu z jasności rajskiéj roztoczyły, wymownie wypowiada Asnyk.

Na co się przyda, mistrzu, twa nauka,
Na co się przyda dla błądzącéj rzeszy?
Gdzież masz pociechę, któréj ona szuka?
Gdzież masz tę miłość, która ją rozgrzeszy?
Dałeś jéj ziemi obszary jałowe,

I dożywotnie dałeś jéj dziedzictwo
Ale zabrałeś najlepszą połowę,
Idealnego świata uczestnictwo.
Choć jasne źródła stoją jéj otworem,
Ona z nich przecież rozkoszy nie czerpie,
I woła, sercem upadając chorem:
„Po co ja żyję, umieram i cierpię!“

W jednym z sonetów skarga ma charakter bardziéj miejscowy: cierpienia ogólno-ludzkie kojarzą się z wyjątkowemi cierpieniami społeczeństwa, do którego poeta należy.

Nie myśl o szczęściu, nie myśl o miłości!
Dla nas ten owoc nigdy nie dojrzewa,
My rwiemy inny z przeklętego drzewa,
Co daje wiedzę bytu i nicości.
My znać nie możem uniesień młodości,
Bo już w kolebce truciznę nam wlewa
Widmo haniebnéj i krwawéj przyszłości,
I do snu pieśni straszliwe nam śpiewa.
Więc młodość nasza mija bezpowrotnie
Jak błyskawica wśród bezpłodnéj burzy,
Serce się nasze wypali i znuży,
I nic nie zdoła podnieść go istotnie —
A gdy nie możem żyć i cierpieć dłużéj...
To na wygnaniu giniemy samotnie.

Skargi osobiste częściéj się odzywają. W „Nadgrobku“ narzeka poeta na jałowość swego życia. Pomimo iż sam pragnął losu Endymiona, czuje teraz, że los ten nie jest najpiękniejszym udziałem człowieka i ciężko skarży się na to, że nie dotknął rzeczywistości ręką, że sen mu był życiem, że „senne widma ciągle go kołysały,“ że nie zaznał żadnéj walki, która pokrzepia siły, hartuje ducha, kojarzy serce, „że nigdy ustami nie dotknął drżącemi ust drugich, coby w serce miłość ziemską lały,“ i porównywa siebie do narcyza, co „choć błyszczał rosą uczuć nieustannie,“ jednak

nie znalazłszy nic dla siebie w życiu,
We własném musi utonąć odbiciu.

Skarga na brak serca, któreby przy sercu poety miłością zadrżało, któreby jemu tylko oddane uciszyło jego bóle i troski i pozwoliło zapomnieć w słodkiem upojeniu o wszystkich nędzach świata — skarga ta powtarza się często. Słychać ją w wierszu „Szkoda“ („I serc szkoda, co nie mają oparcia“) „Jedna chwila“ „Różne łzy,“ a przedewszystkiém w jednym z sonetów. „Jednego serca i rąk białych dwoje, coby mi oczy zasłoniły moje, bym zasnął słodko,“ woła tu z żalem poeta i kończy smutném westchnieniem:

Jednego serca! tak mało mi trzeba,
A jednak widzę, że żądam za wiele!

Raz mu się już zdawało (Jedna chwila), że znalazł tę co miała być jego „przeznaczeniem“ i już chciał przed nią uklęknąć i zawołać w nadziemskiej ekstazy słodkim śnie:

„Jesteś wszystkiem co dobre i piękne,
Ja cię kocham nad wszelkie wyrazy,
Kochaj mnie!

Ale to było złudzenie, ona poszła daléj, nie domyślając się nawet uczuć poety.

Ręka w rękę z tą skargą idzie żal za złudnym snem młodości (Stokrotki, Wspomnienie, Gdybym był młodszy, Myślałem że to sen). Każdy mniej więcéj mile wspomina swoje lata młode, żałuje, że znikła już ta świeżość i bujność sił i uczuć, co wieńczyła jego młodość, ale nie w każdym żalu jest równa doza smutku. W kim kwiat młodości opadając zostawił po sobie owoc pogodnego doświadczenia, w tym żal za ubiegłą młodością układa się w epicki ton spokojny, ale kto tak jak Asnyk skarży się na jałowość swego życia, na to, że nic nie znalazł na świecie, coby mógł napoić „rosą uczuć“ swoich, i ciągle „musiał tonąć we własném odbiciu“, komu młodość odbiegając w błękity nie zostawia innego potomka prócz gorzkiego zawodu, ten wspomina o niéj z głębokim smutkiem i żalem, a utrata młodości dla niego jest jakby pogrzebem wszelkich nadziei. W wierszu „Myślałem że to sen“ mówi poeta, że gdy szedł z tą córką „jasnych sfer“, trzymając jéj dłoń w swojéj dłoni, świat przed nim „jaśniał cudnym krajobrazem“, lecz gdy ta, zaprowadziwszy go na brzeg przepaści, znikła nagle, wówczas cały ten świat jaśniejszy pokrył się nocą.

I pozostałem sam — i noc świat pokryła.

Skargę na chłód i jałowość sfery otaczającéj poetę wypowiedział Asnyk w wierszu: „Poeci do publiczności“. Jest to *pendant* do innego wiersza jego, w którym zebrane są ważniejsze zarzuty czynione współczesnéj poezyi. Asnyk podejmuje te zarzuty, a odpowiadając na nie z obżałowanego staje się oskarżycielem. Trzeba jednak przyznać, że w tym procesie między poetą a publicznością, ta ostatnia nie najgorzéj wychodzi. Wymagania jéj są zupełnie słuszne, gdy powiada: „Nie chcemy wrzasku szalonych derwiszy

Co upojeni narkotycznym trunkiem
Kręcą się w kółko bez tchu i pamięci
I myślą, że to cały świat się kręci.
Chcemy tych natchnień, coby w życia zdroju
Ukazywały nową piękną stronę,
Któreby naprzód biegły w każdym boju
Pokrzepiać serca słabe lub zmęczone.
. . . .

I podnosiły wszystkie ludzkie cele
Zdrowe pragnienia budząc w zdrowém ciele.

Poeci a raczéj Asnyk w ich imieniu przyznaje wprawdzie słuszność tym wymaganiom, przyznaje także, że poezya współczesna jest wytworem schorzałéj fantazyi, ale skądże ma czerpać, zapytuje, zdrowych natchnień, gdy świat, który otacza poetów, jest tak mdły, jałowy, bezduszny, szyderczy. Wszystko co niegdyś budziło i rozpalało natchnienie, dziś z imienia tylko istnieje: zabrakło wiary, miłość ojczyzny stała się pustym dźwiękiem, pogasły nawet w piersiach ognie romantyczne, nasze bohatérki zdolne są do prowadzenia miłostek, ale nie do miłości prawdziwéj, nasi bohatérowie nowocześni są jak z żurnala wycięte figurki, nigdzie prawdy i ognia w uczuciu, wszędzie jałowość, fałsz i mierność. Jeśli więc brak nam zdrowych i prawdziwych natchnień, to nie my winni, to publiczność winna.

Miałże słuszność poeta zwalając całą winę na publiczność? Prawda, że poezya czerpie soki w społeczeństwie, wśród którego wykwita, jak kwiat z łona ziemi; ale jak kwiat ma własność wyszukiwania soków, które mu dają blask i życie, tak i poeta powinien szukać tych serc, tych uczuć, które go zdolne nastroić dodatnio. Czy poeci, w imieniu których Asnyk przemawia, zadawali sobie tę pracę? Czy przykładali ucho do serca całego społeczeństwa? czy nie poprzestali czasem na jednéj jakiéj sferze, w któréj przypadek ich umieścił, a z któréj nie umieli się wydostać, aby poznać inne kręgi? Czy wreszcie zawsze wierni byli nieprzedawnionéj zasadzie: „Miéj serce i patrzaj w serce“, to jest czy zawsze umieli dotrzéć przez konwencyonalną powłokę do gruntu uczuć ludzkich? Oto pytania, na które niepodobna odpowiedziéć stanowczo na korzyść dla owych poetów, w obronie których staje Asnyk. Bądź co bądź skarga Asnyka była szczerą: sfera otaczająca poetę nie oddziaływała pobudzająco i zagrzewająco na jego serce i fantazyą. Potrzeba było znaleźć jakiś modus vivendi z tą sferą. Jeżeli co w niéj popłacało, to przedewszystkiém z jednéj strony kunsztowność formy, z drugiéj — ironia, nie owa bajroniczna, burzliwa i wyzywająca, która była tam anachronizmem, ale ta bierna, jałowa, niedołężna protestacya, która znalazła słynnych przedstawicieli w Mussecie i Heinem.

Potrzeba śmiać się więc na równi z wami,
I razem z wami nad przepaścią pląsać,
Potrzeba kryć się ze swojémi łzami,
I z własnych uczuć głośno się natrząsać,
Karmić się co dzień skandalem, plotkami,
Różować twarze i przechodniów kąsać,
Wszystko szlachetne zdeptać, sponiewierać,
Potrzeba śmiać się... śmiać się i umierać

Smutny program, na szczęście niewykonany przez poetę w całéj rozciągłości i owszem sprowadzony do zakresu dość niewinnego. Szyderstwo w ustach Asnyka traci gorycz Heinowskiego cynizmu i staje się nieraz żartobliwym tylko grymasem. Szał bachancki w jednym tylko wystrzela wierszu: „Pijąc Falerno“. Reszta poezyi tworzona w kierunku heinizmu (*Legenda pierwszéj miłości*, *Niezręczny*, *Nawrócenie*, *Karmelkowy wiersz*, *Karnawałowy lament poety*, *Przestroga*, *Niezabudki kwiecie*, *Spóźniona odpowiedź* i t. d.) obiéra przeważnie za przedmiot ironii, czasem dość bladéj, świat niewieści z jego obłudą i bezdusznością. Odzywają się i tony erotyczne (Róża, Rada, Anakreontyk, Dzień i noc) tak przyzwoite i tak wdzięczne, że się mogą swobodnie ślizgać po woskowych posadzkach salonów, a dość przytém zmysłowe, aby i w bezdusznéj sferze budzić zajęcie.

To była jedna część haraczu płaconego sferze, w któréj się poeta zamknął dobrowolnie; druga dotyczyła formy. Filigranowość, lekkość formy stroficznéj, płynność, przezroczystość i melodyjność wiersza doprowadził Asnyk do najwyższego stopnia doskonałości. Niejedna strofa jego to prawdziwe cacko, podobne do tych, co podług staréj mody ustawiano w salonach na etażerkach, aby bawiły wzrok gości. Do czego to cacko białe, złocone, przejrzyste miało służyć, jaka treść była téj strofy, było to rzeczą obojętną, wszystkich zachwycała tylko forma. Naturalnie treść nie mogła być ani zbyt silną, boby rozgniotła tę delikatną budowę, ani zbyt rażącą smak publiczności. Ale poeta wiedział czém ma napełniać te cacka, te filiżaneczki z najdelikatniejszéj porcelany rymotwórczéj. Albo je nalewał sentymentalizmem, zawsze popłatnym u kobiét, co „lubią poezyą zajadać na wety“, (Gałązka jaśminu, Zmarłéj Dziewicy) i naiwnością, która jako sielankowa nowalia również mile jest witaną w salonach (Bławatek, Przebudzona, Nie będę cię rwała), albo wkładał tam czułe listki, jak „Między nami nic nie było“ „Zwiędły listek“ i całe pęki kwiatów „Lilie“, „Dzwonki“, „Fijołki“ i t. d. Niekiedy z tych waz misternych strzelały miłosne zachwyty, trochę naiwne, trochę zmysłowe (Różowa chwilka, Ja ciebie kocham, Ach powiedz), czasem nawet idealniejsze wionęło z nich uczucie, jak w „Uwielbieniu“.

Ale ta twórczość filigranowa, jakkolwiek zjednywała poecie oklaski, robiła go modnym i sławnym, nie długo przecież mogła go zadawalniać. Poczuł Asnyk, że muza jego wysilając się na kunsztowną formę jałowieje, a sfera z któréj czerpał natchnienie, nie zdolna jéj wzmocnić swemi sokami. Zwrócił więc oczy w stronę, gdzie wiecznie biją żywe krynice poezyi — do ludu wiejskiego i tam wysłał swoję muzę — na świeże powietrze. W drugim tomie znajduje się

cały szereg wierszy, piosnek, objętych ogólnym tytułem. „Z motywów ludowych“. Nie trzeba jednak myśléć, że poeta we wszystkich tych utworach brał rzeczywiste motywa piosnek ludowych i rozwijał je; nie, miało to miejsce zaledwie w dwóch, trzech wierszach, w innych zaś albo chciał naśladować ton ludowy, lub tylko wprowadzał dekoracyą wiejską na scenę.

Ale ten zwrot nie wydał rezultatów, jakichby się po nim należało spodziéwać. Poeta zanadto był wdrożony w delikatne cieniowanie subtelnych uczuć, zanadto oddalony od życia ludowego i poezyi ludowéj, aby mógł z niéj zaczerpnąć i odtworzyć potém jéj surową prostotę, szczerość i naiwność. Naśladował ją niejako zewnętrznie, ale się nią nie przejął. Wyprowadzał naprzykład symetrycznie w każdéj strofie, jak to się dzieje w piosnkach ludowych, świat zewnętrzny obok świata uczuć, ale cóż? — symetrya była, refleksya była, nie było śmiałych, wyrazistych uczuć pieśni ludowéj nie było jéj szczerego ducha. Niektóre z tych wierszy nawet i owéj symetryi nie mają, naprzykład wiersz „Czary“: prześliczny, niedościgniony pod względem formy strofícznéj, pełen wdzięcznéj fantazyi i lekkiéj ironii, ale ani z pieśnią ludową, ani z życiem ludu nie mający żadnéj tak wewnętrznéj, jak zewnętrznéj wspólności, oprócz chyba dekoracyi wiejskiéj i tytułu.

Bądź co bądź zwrot ten świadczył, że poeta szukał nowych dróg i nowych sfer dla swojéj poezyi, że się nie zadawalniał ową filigranową robotą, owemi subtelnie malowanemi na porcelanie kwiatami, o których wyżéj była mowa. Jeżeli nie mógł w swoje delikatne strofy zaczerpnąć żywéj poezyi u źródeł ludowych, to mógł szukając natrafić na inne źródła. I w istocie natrafił na nie. Temi źródłami były odświeżone w sercu i w pamięci echa dzieciństwa, ów „Kraj lat dziecinnych“, o którym Mickiewicz powiada:

Święty i czysty jak pierwsze kochanie,
Niezaburzony błędów przypomnieniem,
Niepodkopany nadziei złudzeniem,
Ani zmieniony wypadków strumieniem.

Że ten kraj przypominał się i dawniéj poecie, świadczy o tém „Echo kołyski“, jeden z wcześniejszych wierszy, umieszczony w pierwszym tomie. To co tam matka śpiewa dziecku nad kolebką pełne jest rzewnéj ale pogodnéj miłości, tak niepodobne do innych znanych nam już tonów, które poeta z liry swojéj dobywał.

Pomimo gorzkich prób
Zawsze ach! dobrym bądź,
Z miłością drugich sądź,

I patrz z nadzieją w grób,
Nie zatrać dziecinnéj wiary
Nie żałuj swojéj ofiary
Pomimo gorzkich prób.
O nie mów, dziecię me!
Że marny życia trud,
Że wszystko fałsz i brud
A prawdą tylko złe,
Że trzeba wątpić i szydzić,
Pogardzać i nienawidzić,
O nie mów dziecię me.

Ale to echo było przelotne i nie zwróciło poety w stronę pogodnych uczuć i tonów, nie przywołało go w cudny kraj dzieciństwa, gdzie leżały porzucone przezeń skarby: miłość rodzinna, wiara naiwna, czystość uczuć i świeżość wrażeń. Dopiéro późniéj odezwało się ono w piersiach poety przeciągléj i głośniéj, żywo przypomniało mu owe skarby zapomniane i poeta ruszył po nie, a to co przyniósł ztamtąd zawarł w dwóch dłuższych ustępach lirycznych „Rodzinnemu miastu“ i „Pod stopy krzyża“. W pierwszym tęsknota za złotém dzieciństwem, za cichém ogniskiem domowém rozpływa się w pogodnym kolorycie rezygnacyi i jakiéjś ufności w przyszłość. Nie we wszystkich zapewne, ale w niektórych strofach przewiewa orzeźwiający prąd uczucia.

Jednak nie chciałbym teraz méj żałoby
Zawiesić chmurą nad poczciwym grodem,
Chciałbym na boku pozostawić groby,
A zejść się z życiem szlachetném młodém,
Co jak bluszcz swoją latorośl przeciska
Do słonecznego światła—przez zwaliska.

W drugim wierszu, pełnym czystego uczucia, odzywa się ton głębokiéj skruchy, niejako expiacya za dawniejsze uniesienia pychy. Ta skrucha niosła mu kielich szczytnéj pociechy.

I znów słyszałem te Boskie wyrazy:
„Chodźcie tu do mnie wy, którzy cierpicie.
„Chodźcie tu do mnie leczyć ziemskie zmazy,
„We mnie jest spokój i we mnie jest życie.
„Nie płaczcie próżno na świeżéj ruinie,
„Wszystko przemija, prawda nie przeminie!“

Jakby pokrzepiony i wzmocniony tą wycieczką w „kraj lat dziecinnych“ próbuje poeta dobyć bardziéj męskich tonów ze swéj lutni. I w istocie w „Heraklesie“ struny wydają ton jakby śpiżowy, gdy poeta woła z ufnością w przyszłość tego bohatéra, który jest dla niego przedstawicielem ludowéj siły:

„Będzie zwycięzcą! i przy gromów błysku
Prometeusza z więzów wyswobodzi!

II.

Nastawmy teraz ucho na tony, które dobywał Asnyk z liry swéj w ostatnich kilku latach (od 1872), a zamknął w świeżo wydanym tomie trzecim poezyj. W dawniejszéj jego liryce, jak widzieliśmy, przeważają dźwięki posępne i ciemne, i łączą się w akordy pełne skargi i boleści; skarga jest charakterystycznym tonem, który niemal wszystkie inne powleka barwą swoją. Tutaj w nowszéj inna brzmi harmonia, inny koloryt tonów, inne wieje tchnienie z całości, — ale nie znaczy to, żeby wszystkie dawniejsze smutne tony miały zamilknąć, żeby skarga miała być na wieki pogrzebaną, żeby same nowe i pogodne uczucia wstrząsały strunami liry Asnyka. I owszem, znajdziemy tu jeszcze echa dawniejszych tonów i uczuć, ale coraz rzadsze, coraz podrzędniéj brzmiące w ogólnéj harmonii.

Zacznijmy od tych tonów. Nie brak między nimi nawet i czarnéj nuty rozpaczy. Brzmi ona w kilku ustępach: „Powrót do domu,“ „Tantal,“ „Dla czego wicher tak wieje,“ „W ciemności grobu.“ „Powrót do domu“ maluje uczucia człowieka, który straciwszy wszystko, co miał najdroższego, pełen „spokojnéj, bezbrzeżnéj boleści co się niczego już w świecie nie lęka i żadnéj w sobie nadziei nie mieści,“ zwiedza rodzinną wioskę, gdzie niegdyś spędził złotą i tęczową młodość i udaje się na cmentarz, aby tam paść na jednym z grobowców, prawdopodobnie na tym, który zawierał w sobie jeden z najdroższych skarbów zabranych.

Łza mu z suchego nie pociekła oka,
Ani téż jękiem nie drżała pierś pusta —
Modlitwy nawet nie szeptały usta —
Bo wszystko boleść stłumiła głęboka
Rzucając sercu, co padło zranione,
Nieprzytomności i szału zasłonę.

Rozpacz tu głucha, ciężka, ale czysto indywidualna. i przejściowa, wywołana zapewne utratą drogiéj osoby, podobnie jak inny paroksyzm rozpaczy, zawarty w wierszu p. t. „Wciemności grobu.“ W „Tantalu“ przedstawia poeta jeszcze głębszy szczebel upadku ducha niż zwątpienie i rozpacz, mianowicie głuche odrętwienie, straszny letarg ducha, w porównaniu z którym minione męczarnie są jeszcze czemś godnem zazdrości, bo są świadectwem życia. Poeta woła o dawne męki, tak mu ten sen drewniany jest strasznym.

Wróćcie mi zatem nieśmiertelne bogi!
Grozę mych piekieł i straszliwe kary,
Wróćcie mi widok Erynnie złowrogi

I niezgaszone pragnień pożary!
Niech się rwie Tytan ze swego łańcucha,
Niech pragnie, cierpi — lecz niechaj wybucha!

Ale i to paroksyzm przejściowy, chmura rozpaczy przeciągająca po niebie poezyi Asnyka, tem ciemniéj wyglądająca, im więcéj światła jest na widnokręgu.

Z innych tonów znanych już nam z dawniejszéj liryki, najgłośniejszém echem odzywa się żal za młodością (*Za moich młodych lat*, *Szczęśliwa młodość*, *Astry*, *Przy Kominku*). Westchnienia te jednak krótsze, tęsknota spokojniejsza, taka, jaka się budzi mniéj więcéj w każdéj piersi, na wspomnienie błękitnych dni młodości. „Za moich młodych lat, piękniejszym bywał świat“ to piosnka, którą każdy gotów powtórzyć z poetą. W „Astrach“ ta tęsknota owiana jakimś księżycowym spokojem, który melodyjnym strofom wiele uroku dodaje. Erotyka bardziéj lekka i delikatna niż przedtém, ledwie palcami dotykająca ziemi i wstydliwie całus kradnąca, odzywa się tu tylko paru dźwiękami (*Najpiękniejsze piosnki*, *Na początku*). Wreszcie kwitnie kilka innych kwiatków, naiwno salonowych *Panieneczka*, *Gdy ostatnia róża zwiędła*, i inne) rodzone siostrzyczki dawniejszych strof tego rodzaju; w innych paru wierszach (*Rozłączenie*, *Łabędzi śpiew*), spłacony haracz sentymentalizmowi, to jest owemu sztucznemu smutkowi, który lubuje się więcéj w kostiumie i dekoracyi, niż w saméj akcyi uczucia. Ale heinowskiéj ironii, owego „pląsania nad przepaściami“ i „natrząsania się z własnych uczuć“ nie ma tu już ani śladu. Muza Asnyka wybielała i spoważniała, chód jéj powolniejszy, na twarzy jéj miejsce drgań konwulsyjnych zajął spokój refleksyi, powleczony jakby mgłą rezygnacyi.

Refleksya i w dawniejszéj poezyi Asnyka brała znaczny udział, ale teraz wybija się na pierwsze miejsce. Jest że to ze szkodą, czy z pożytkiem dla téj poezyi? Sama refleksya jak wiadomo, nie może stworzyć poezyi, jeżeli jéj nie przybywa na pomoc fantazya, dająca kształty i kolory, i uczucie, nadające ton obojętnym dźwiękom, ale może pogłębić poezyą, jeżeli będzie zwrócona ku najwyższym lub najżywotniejszym zagadnieniom życia ludzkiego. Ani Faust, ani Boska Komedya nie byłyby pomnikami, na które całe wieki oglądać się będą, gdyby nie nurtowała w nich głęboka refleksya, ku takim właśnie zagadnieniom zwrócona. Jednak jeśli skrzydła fantazyi są słabe, jeżeli poetę spotyka los Ikara, wówczas poezya jego na saméj refleksyi oparta, jest tylko pełzającém rozumowaniem, ubraném w szatę rytmiczną. Na szczęście słowa te nie stosują się do poezyi Asnyka, jakkolwiek i on za wielki nieraz balast refleksyi zabiera na skrzydła swoje i w skutek tego musi je

nieraz zwijać dla odpoczynku, a refleksyi swojéj każe iść piechotą naprzód. Dla przykładu weźmy „Ociemniałego Thamyrisa,“ któremu skąd inąd potém jeszcze będzie się należała wzmianka. Złamany smutnemi kolejami życia, żebrak z wieszcza i władcy, wychodzi on na górę, gdzie mieszkają panny „którym lotnego konia zdrój smakuje“ i błaga je, aby mu rozwiązały zagadkę żywota: Skąd i po co rodzą się w piersiach pragnienia ideału, które nie mają być nigdy ugaszone? Dla czego on, który im właśnie służył, spotykał sam zawody i dziś stoi nad grobem smutny i złamany? Skarga jego zanadto rozwlekła, refleksyi w niéj za wiele, ale refleksyi téj towarzyszy prawdziwy akcent żalu, stąd i fantazya tu nie stygnie jeszcze i użycza téj skardze obrazowych wyrażeń. Piękny jest następnie obraz, jak starzec oświecony blaskiem zachodzącego słońca wyciąga w błękit ramiona błagalne, czekając boskiéj odpowiedzi, i „sili się przedrzéć ciemne swych źrenic zasłony“ i „wytęża ucho w uroczystéj ciszy,“ aby dosłyszéć „śpiewnych dźwięków nadziei, łaski i pociechy.“ Prośba wieszcza wysłuchana; nagle „czarna mgła ustępuje i oczom odsłania — nieśmiertelnéj piękności dziewicze postacie,“ nieśmiertelne grono niebianek spływa z góry na obłoku, aby dać odpowiedź Thamirysowi, ale tu naraz skrzydła fantazyi wymawiają stanowczo posłuszeństwo poecie i te panny, mieszkanki Helikonu, rozdawczynie natchnienia, przemawiają tak sucho i bezbarwnie, jak jakiś profesor filozofii objaśniający znaczenie absolutu. Oto ustęp z ich odpowiedzi:

Wy śmiertelni bieg świata wyłącznie mierzycie
Miarą krótkich dni swoich i w téj jednéj chwili
Chcielibyście to wszystko widzieć już w rozkwicie,
Czego dopiero zasiew bogowie rzucili;
I kiedy wam ich łaska tajną myśl odsłoni,
Wskaże cel, ku któremu posuwać się trzeba,
To wy go chcecie zaraz ująć w swojéj dłoni,
I nie dosięgłszy... próżno oskarżacie nieba.
Nie możecie zrozumieć, że ten tajemniczo
Świecący wam nad głową ideał daleki
Wiecznie nieuchwyconą jest dla was zdobyczą,
Ku któréj się przybliżać należy przez wieki.
Niedoskonałość bowiem waszym jest udziałem,
Nie tryumf, co już żadnéj nie podlega zmianie;
Lecz postęp, okupiony dążeniem wytrwałem —
Dobra, prawdy i piękna wieczne pożądanie.

I tak daléj przez dwadzieścia kilka wierszy ciągnie się sucha refleksya, ledwie gdzieniegdzie ożywiona jakiemś obrazowém słówkiem. Dopiero w ostatnich czterech wierszach słychać lekki szelest

skrzydeł, helikońskie panny, a raczéj poeta w ich imieniu wznosi się nad poziom rymowanéj prozy:

> Przyjdzie czas, gdy pieśń twoja, dziś martwa i głucha
> Znów idealném tchnieniem przejmie ludzkość młodą,
> I ten pośmiertny tryumf tęskniącego ducha
> Będzie za mękę życia sowitą nagrodą.

Stokroćby lepiéj było, gdyby córki Apollina poprzestały były na tych czterech wierszach, główna myśl ich odpowiedzi rozprowadzona aż w pięćdziesięciu kilku wierszach, niceby na tem nie straciła, chociażby wiele ubocznych uwag od niéj odpadło. Nie jest to zadaniem poezyi lirycznéj, ani w ogóle poezyi, konsekwentne rozwijanie jakiejś myśli we wszystkich kierunkach, wyczerpywanie wszystkich jéj zastosowań; do niéj należy tylko budzenie uczuć i myśli, rzucanie ziarna w duszę słuchacza, ziarna, które tam potém samo będzie kiełkować i rozwijać się, i im więcéj własnych soków dusza słuchacza użyczy temu rozwojowi, tém większą radość sprawiać mu będzie zbudzona w nim myśl lub uczucie.

Wybrałem może najbardziéj rażący przykład przeciążenia poezyi refleksyą, ale to przeciążenie nie w tym jednym tylko wierszu Asnyka daje się spostrzegać. Widzimy je również w wierszach: „Odpowiedź przeszłości,“ „Maciejowi Sieczce,“ „Dzisiejszym idealistom,“ „W oczekiwaniu jutra“ i niektórych innych, i naturalnie jest ono tem uciążliwsze, im do niższego rzędu zagadnień refleksya się odnosi, jak np. w wierszu „Maciejowi Sieczce,“ gdzie jest dość pretensyonalna apologia domorosłéj estetyki. W znacznéj części innych utworów lirycznych Asnyka, refleksya stanowi podkład, osnowę, któréj nici przeglądają często przez haft poezyi, nie odejmuje to jednak charakteru poetyckiego tym utworom, a stanowi tylko ich właściwość. Niektóre z nich są dla nas tém bardziéj zajmującemi, że w nich zarysowuje się stanowisko poety wobec współczesnych prądów, co silniéj od niejakiego czasu zaczęły bić o stare mury naszych wyobrażeń i wielkie w nich poczyniły wyłomy. Za dobre to trzeba wziąść Asnykowi, że się nie usunął na bok od téj walki wyobrażeń, że przepuścił nowe prądy przez swoje serce, zmierzył je swojém uczuciem, i rzucił słowo swoje, rozjemcze słowo w wir i wrzawę walki. Poezya jego stanęła tym sposobem na wysokości zadań współczesnych, dopełniła swego obowiązku jako gwiaździsta przewodniczka serc.

Jakież stanowisko zajmuje Asnyk wobec nowych prądów? Możnaby myśléć, że jako poeta wykarmiony czcią dla ideałów, niechętnie, jeżeli nie wrogo, zachowa się względem kierunków, co

odejmują bezpośrednią boskość pochodzenia i człowiekowi i tym jego ideałom, a walkę o byt, wskazują jako główną dźwignię postępu; możnaby spodziewać się, że stanie w szeregu idealistów, u wyłomu starych wyobrażeń i zacznie stamtąd ciskać gromy na wdzierających się śmiałków, a przynajmniéj, że tylko gorycz znajdzie na swoich ustach, jak niegdyś w apostrofie do XIX wieku, że tylko zgrozy i nicości dopatrzy w nowéj nauce. Ale czasy się zmieniły: poeta spokojniejszém okiem patrzy w przyszłość, umie spojrzeniem sięgnąć daléj po za fale czasu, i mijające dysonanse pogodzić w ogólnéj harmonii, w idei postępu. Wie on, że nowe prądy walczą w imię téj idei i stąd ich niepowstrzymana siła; wié, że stare formy pod natarciem tych prądów muszą się pokruszyć, a raczéj przeobrazić się i zastosować do nowych potrzeb i nowych pojęć, dla tego woła do upartych obrońców starych form:

Daremne żale — próżny trud,
Bezsilne złorzeczenia
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia.
Świat wam nie odda idąc wstecz
Zniknionych mar szeregu —
Nie zdoła ogień ani miecz
Powstrzymać myśli w biegu.
Trzeba z synami naprzód iść,
Po życie sięgać nowe,
A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę.
Wy nie cofniecie życia fal!
Nic skargi nie pomogą —
Bezsilne gniewy, próżny żal!
Świat pójdzie swoją drogą.

Z większym balastem refleksyi a więc niższego polotu, ale podobnéj treści jest wiersz: „Dzisiejszym idealistom.“ Podnosi tu poeta straszne hasło walki o byt, ale zdziera z niéj ohydną larwę, ukazując czém się stać może i czém się staje w wyższych kręgach swego rozwoju.

Naprożno chcecie wykluczyć gwałt
Z duchowéj sfery istnienia,
On tylko wyższy przybiera kształt
W głębiach ludzkiego sumienia.
Lecz i tu walka powszechna trwa,
Podległa duchów potrzebie —
A ten zwycięzcą — kto drugim da
Najwięcéj światła od siebie!

Powszechna walka o byt jest tematem innego wiersza (Chór Oceanid), gdzie również refleksya przeważa nad piérwiastkami czy-

sto-poetycznemi. I tu walka o byt, nie występuje jako poczwara łaknąca krwi żywéj, jako noc chłodząca wszystkie blaski ideałów, ale jako „wyraz twórczéj myśli bożéj“ jako odwieczne prawo rzucone przez Stwórcę w bezmiar światów dla utrzymania sprzecznych żywiołów w równowadze i prowadzenia ich ku coraz wyższéj harmonii.

Ty wszystkie wrogie potęgi i władze
W żywéj wszechświata trzymasz równowadze
I gwiazd krążących obejmujesz ster;
Ty z sprzecznych dążeń i kierunków wielu
Wytwarzasz jedność działania i celu, —
Harmonię wszystkich wojujących sfer.

Ale nie myślmy, iżby poeta wyrzekł się swoich ideałów i uwierzył w jedną tylko walkę o byt. Nie, dawne ideały żyją w pieśniach jego, ale tylko zawarły ugodę z nowemi zwycięskiemi pojęciami. W ugodzie téj zrzekły się one tytułu bezpośredniéj boskości, ale za to zyskały prawo nieskończonego doskonalenia się. Kto chce się o tém przekonać, niech przeczyta „Odę do miłości.“ Jest to ewolucyjny rodowód ideałów, tkwiących w zmysłowym pociągu jak w protoplaźmie. „Płomień żądzy znikoméj“ co z miłosnego kochanków uścisku wytwarzając pierwszy węzeł wśród świata zdoła wrogów pobratać, jaśnieje coraz czystszemi blaskami, szczepi miłość w nieśmiertelném pięknie, „boski porządek z zamętu dobywa,“ „wiąże plemiona i rody,“ „uczy wznosić dla bóstwa ołtarze,“ obejmuje całą ludzkość, przeobraża się w szczytną miłość prawdy i cnoty i przemienia ludzi w jasnych półbogów

Którym kochanką świat cały,
A poświęcenie rozkoszą.

Jako wyraz téj ugody dawnych wyobrażeń z nowemi, godnym jest jeszcze uwagi wiersz jeden z szeregu tatrzańskich obrazków, zebranych razem i noszących zbiorowy tytuł: „W Tatrach.“ Jest to „Noc pod Wysoką.“ Ciemność wśród martwego świata kamieni i przepaści napełnia z początku czuwającego poetę smutkiem i strachem. Samotność przygniata go, w jéj „milczącym ogromie.“

Człowiek swą słabość poznaje widocznie:
I chce się cofać przed nieznaną mocą,
Przed rozesłaną na przepaściach nocą,
Przed skrytych potęg gwałtownym objawem,
Przed niezbłaganem bezlitosnem prawem.

Ale powoli duch poety oswaja się z tą ciemnością i samotnością, ucho jego wsłuchuje się w szmery tajemnicze natury, w tę cichą pieśń jéj co płynie w gwiaździste sfery i tam się zlewa z całą

harmonią zaziemskiego świata. Małość jego, jego podrzędność, jako człowieka w obec ogromów wszechświata, i podległość prawom powszechnym przestają go smucić, myśli jego „wyswobodzone z tłoczącéj je grozy“ biegną w ślad za tą pieśnią natury,

Wolny choć prawom powszechnym podległy
Duch mój wstępował na gwiaździste wozy
I tracił z oczu ludzkich istnień chwile
I wydeptany ślad na ziemskiéj bryle,
I zapominał o swojéj obroży,
I o boleści, co go we śnie trwoży.
On się zanurzył w źródle wiecznie żywém,
Poruszającem wielkie koło bytu;
Uczuł się jednem łańcucha ogniwem
Rozciągniętego przez otchłań błękitu;
On znalazł wspólne ognisko żywotów
I związek z całym ogromem stworzenia,
Z wieczystym duchem, co mu podać gotów
Rękę z ciemności, albo z gwiazd płomienia;
Więc w rozpostartéj na przepaściach nocy
Już opuszczenia nie czuł i niemocy,
I mógł się poddać, jako drobny atom,
Téj twórczéj myśli, co przewodzi światem,
I z nieodmiennym zgodzić się wyrokiem,
I odpoczywać jak pod matki okiem.

Jednakże ten przełom w duszy poety, jak już z powyższego wiersza sądzić możemy, nie odbywa się bez trudu i bólu. Gmach nowéj teoryi jest jak ów martwy świat pod Wysoką, pusty, nagi, chłodny, milczący, straszny dla serc, co przywykły uważać człowieka za środek, za najwyższy cel stworzenia, co przywykły czuć ciągle nad sobą łaskawe oko Opatrzności, gotowéj zawsze dla jednostki powstrzymać lub odmienić odwieczny porządek światów, a szczególnie chłodny i straszny dla tych, którzy wiele cierpiąc potrzebują litośnego oparcia. Czuje to poeta i wypowiada w wierszu „Tym którzy smutni.“

Im zimne słowa mędrców nie wystarczą,
I praw koniecznych bezwzględna powaga
Nie będzie dla nich osłoną lub tarczą.
. . . .
Trzeba im pociech, których nie da życie,
Trzeba anielskich uśmiechów w błękicie,
Trzeba litośnéj nad światem opieki
Trzeba miłości wiecznéj choć dalekiéj.

A patrząc na tłum posępnie zadumany, którego ucho nie umie już chwytać archanielskiéj nuty, zapytuje go smutnie, tém smutniéj że mu żadnéj rady dać nie może:

Czego ci trzeba dziś posępny tłumie,
By piersi twoje napełnić otuchą?

Dawniéj łzy miałeś przynajmniéj, w których się idealna wylewała tęsknota i które ci ulgę przynosiły. Zbywszy się wszelkich złudzeń, uznałeś łzy za niegodne siebie i utraciłeś je i dziś cię nawet łza nie pokrzepi.

Jakże się godzą w piersiach poety te żale nad utratą dawnych wyobrażeń i złudzeń z temi uczuciami, które wywołały wojowniczą pobudkę postępu, tak rozgłośnie brzmiącą w niektórych wyżéj przytoczonych wierszach? Rozwiązanie tych sprzeczności nie trudno znaleźć w samychże poezyach Asnyka. Wierzy on wprawdzie, że nowe prądy obalając twierdze dawnych pojęć przygotowują doskonalsze życie ludzkości, wierzy, że na gruzach dawnych ideałów zajaśnieją kiedyś jeszcze czystsze i piękniejsze, że ludzkość ukocha je i w tém ukochaniu znajdzie źródło najwyższych pociech, ale to wszystko kiedyś będzie, a tymczasem smutny jest los pokoleń, którym przypadło żyć w chwili przełomu. Przełom ten napełnia je takim przestrachem, jaki niegdyś zapewne przejmował ludzkość w pierwszych dniach jéj bytu na widok zapadającéj nocy, która gasiła wszystkie blaski dnia dzisiejszego a nie mogła jeszcze natchnąć ufnością w blaski dnia jutrzejszego. Żeby posięść tę ufność, potrzeba stać na wyżynie, do któréj tłum się nie wspina. Więc żal poecie tych ludzi, więc nie chce, by ich gwałtem odrywano od ołtarzy przeszłości, gdzie znajdowali ukojenie, i wzywa młodych rycerzy postępu, aby z czcią przechodzili koło tych ołtarzów, na których jeszcze święty ogień płonie i przy których jeszcze „miłość ludzka stoi na straży.“ Piękny to ten wiersz „Do młodych,“ jeden z najpiękniejszych i najdonioślejszych wierszy Asnyka. Głęboka refleksya owiana prawdziwém tchnieniem poezyi, godząca miłość ludzi z miłością prawdy, świeci jak gwiazda-przewodniczka na ciemnym i wysokim błękicie — poważnie i uroczo. W wierszu tym krzyżują się wszystkie prądy, które przebiegają duszę Asnyka, najwyraźniéj zarysowuje się jego stanowisko, najgłębiéj sięga jego refleksya, a pomimo to, jak już powiedziałem, nie hamuje polotu fantazyi; dla tego wiersz ten przytoczę w całości:

Szukajcie prawdy jasnego płomienia!
Szukajcie nowych nieodkrytych dróg...
Za każdym krokiem w tajniki stworzenia
Coraz się ludzka dusza rozprzestrzenia,
I większym staje się Bóg!
Choć otrząśniecie kwiaty barwnych mitów,
Choć rozproszycie legendowy mrok,
Choć mgłę urojeń zedrzecie z błękitów,

Ludziom niebiańskich nie zbraknie zachwytów,
Lecz dalej sięgnie ich wzrok.
Każda epoka ma swe własne cele
I zapomina o wczorajszych snach,
Nieście więc wiedzy pochodnię na czele
I nowy udział bierzcie w wieków dziele
Przyszłości podnoście gmach!
Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze wznieść;
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy,
I miłość ludzka stoi tam na straży,
I wy winniście im cześć!
Ze światem, który w ciemność już zachodzi
Wraz z całą tęczą idealnych snów,
Prawdziwa mądrość niechaj was pogodzi: —
I wasze gwiazdy, o zdobywcy młodzi,
W ciemnościach pogasną znów!

„Napad na Parnas“ w humorystyczno-satyryczny sposób daje przestrogę przedstawicielom nowych prądów, aby nie wpadali w zaciekłą jednostronność. Drużyna tych nowatorów, uzbrojona w pozytywnych dział baterya, przypasawszy do boku miecz Darwina, z hałasem wpada na Parnas i nuż „w imię świętych praw rozumu“ siec i rąbać, cokolwiek im pod rękę podpadnie. Święte bractwo Apolina, tak mistrze jak czeladnicy i partacze, podnoszą ręce do boga-opiekuna i wzywają jego pomocy. Zjawia się Apollo, z olimpijskiém spokojem staje przed napastniczą rzeszą, samém tchnieniem swojém ucisza ją i tnie długą perorę o zadaniu poezyi. I on chce, by Parnas żył w zgodzie z Minerwą i cenił jéj wyroki „i w kwitnącym Muz ogrodzie wieczne prawdy miał na oku,“ by „wszystkie życia prądy świeże odtwarzał w swojéj pieśni,“ ale nie może pozwolić na to, aby poezya szła w poddaństwo filozofii, aby piękność przestała być dla niéj pierwszém prawem, aby struny lutni „drżące szmerem pocałunków“ miały brzmieć uczonemi rozprawami. W końcu chcąc ukarać napastników, że bez różnicy chcieli wszystko zdeptać na Parnasie, stwarza im nowy rodzaj wieszczy, mianowicie krzykliwemu ich dowódzcy daje złotą lirę w ręce i każe mu w pieśni „streścić światu mądrość nową.“

Wnet Parnasu cały wzgórek
Stanął w niemem osłupieniu,
Słysząc romans dwóch komórek
W pacierzowym tkwiących rdzeniu.

Rozpacz porywa słuchaczy; błagają Nieba, by uciszył dźwięki rozdzierające uszy, ale nieubłagany Bóg nie słucha jęków i pieśń sroży się dalej, aż wreszcie zrozpaczony tłum napastników, nie mogąc

już dłużéj wytrzymać, ucieka z Parnasu na złamanie karku, zostawiając dawnym wieszczom panowanie.

Poeta nie chce zaprzeczać, ani taić, że się romantyzm przeżył. „Przeminął czas, woła on w przegrywce do trzeciego tomu, przeminął czas tęczowéj cudów powieści.“ Pieśń romantyczna straciła dawną swoją moc nad sercem człowieka, nie zdoła go już cieszyć i czarować, odkąd ten wyrzekł się złotych mar fantazyi. W ciężkiéj chwili przełomu milknie ona i mdleje, daremnie róż się zwiędłych czepiając. Nowe prądy nie zdolne zbudzić nowéj pieśni, dopóki nie wytworzą nowych ideałów i czcią dla nich serc wszystkich nie przejmą. Lecz błyśnie ten dzień! dzień odrodzonéj poezyi

A ideału jasny kwiat
Z zbutwiałych obrany liści,
Napełni znowu wonią świat
Zakwitnie pełniéj i czyściéj.

Te same nadzieje, ta sama wiara brzmi w wierszu: „Na zgon poezyi.“ Nie, nie skonała ta „jasnych krain pani i królowa,“ ale schowała się tylko w obłoku, aby tam „dawnych marzeń potargane nici“ przerobić „w ciszy na strój inny świeży,

W którym znów serce stęsknione zachwyci
Nowych kochanków i nowych rycerzy.

Jakiemiż drogami zaszedł poeta do tych pogodniejszych poglądów na życie, na przyszłość ludzkości? Czy sama refleksya doprowadziła go do nich? Refleksyą miał on na usługi i przedtém, a jednak nie wydobywała ona z jego liry nic prócz posępnych dźwięków, nigdzieśmy nie mogli dosłyszéć żywéj nuty nadziei i wiary w lepszą przyszłość. Prawda, refleksya mogła się oczyścić, mogła się stać głębszą i jaśniejszą, ale dlaczego właśnie stała się taką? Mniemam, że tę głębokość i jasność, ten pogodniejszy koloryt, nadało refleksyi uczucie rezygnacyi, które coraz pełniejszą i uroczystszą falą przepływając pierś poety, uspokoiło go i pozwoliło mu pogodniéj na świat patrzéć. Dopóki osobista żądza szczęścia, osobiste pragnienia niezaspokojone dręczyły i męczyły jego serce, dopóty wzrok jego mętny nie mógł dojrzéć żadnéj myśli pocieszającéj w całości zjawisk życia ludzkiego, dopóty ucho jego, czułe tylko na ton skargi, nie mogło dosłyszéć żadnéj harmonii we wrzawie dysonansów tego życia. Dopiéro kiedy płomienie osobistych pragnień przygasły, kiedy skarga umilkła a cicha rezygnacya położyła dłonie swoje na zbolałem sercu, dopiéro wtedy, mógł poeta spokojniéj spojrzéć na świat, a refleksya jego do pogodniejszych dojść rezultatów.

Nuta rezygnacyi odzywa się i w dawniejszych lirykach Asnyka; mianowicie znajduje się w drugiém tomie wiersz p. t. „Rezygnacya.“

Ale jakże ta nuta brzmi tu dziko i posępnie! jak trudno uwierzyć w tę rezygnacyą! Zapewnia tu poeta, że „dziś nic z piersi jego skargi nie dobędzie,“ że „żadne szczęście ziemskie go nie zwabi,“ ale jak trudno uwierzyć w te zapewnienia! Ton przeczy słowom i świadczy, że to skarga przytłumiona drapuje się w szatę rezygnacyi. Oto jak brzmi ostatnia strofa tego wiersza:

Niech się więc kończy owa sztuka ładna,
Co się zwie życiem, w cieniu cichéj nocy,
Bo żadna rozpacz i nadzieja żadna
Nad mojem sercem nie ma już dziś mocy!

Jakże innym, jak prawdziwym jest ton rezygnacyi w późniejszych poezyach Asnyka. Nie ma tu ironii, ani teatralnéj pozy, ani wyzywającego stawiania się względem losu, ale jest szczére zrzeczenie się osobistych pretensyj do szczęścia. Poeta potrafił teraz to uczynić, znalazł na to sposób: „żyć radością cudzą.“ W wierszu „Sam na sam“ godzi się on szczerze ze swoim gościem, który go nigdy nie opuszcza, z nieszczęściem i powiada do niego:

Pozostań na straży
Mojego życia jak wierny towarzysz,
Do twojéj groźnéj przywykłem już twarzy,
I do tych ciosów, którymi mnie darzysz,
I skorzystałem wiele z twéj wymowy,
Nauczycielu wielki! choć surowy.

Dość mi, że w obec ciebie nie złamany,
Na gruzach całéj swéj przeszłości stoję...
Na tych dni kilka nie pragnę odmiany,
Bo nie dbam więcéj już o losy swoje,
Lecz gdy mnie własne cierpienia utrudzą,
Potrafię jeszcze żyć radością cudzą.

Tak, „żyć radością cudzą“ oto hasło teraz poezyi Asnyka. Jeżeli w sercu jego roztli jeszcze czasem jakaś skarga osobista, niezupełnie wygasła, ucisza on ją tém hasłem, jak np. w wierszu „Ucisz się serce:“

Ucisz się serce! — swoich strat
Już nie opłakuj, stroskane;
Ale wschodzący pozdrów świat,
I jego jutrznie różane.
Błogosław nowym życia dniom
Temu, co wschodzi i rośnie,
Świeżym nadziejom, świeżym snom
Świeżéj młodości i wiośnie.

Szczęście, za którém napróżno tęsknił, wszystkie sny swoje nieziszczone i pragnienia przekazuje poeta innym, mianowicie tym „co

twardą pracą i znojem płacą ludzkości święty dług,“ „co będą światło nieść do chat,“ tym „co będą walczyć z widziadłem nędzy i zbrodni,“ w ich ręce składa swoję wiarę, swą miłość i swą nadzieję i tym sposobem „wszędzie coś z swoich znajdzie snów, z uczuć straconych i rojeń.“ I nie pozwala sobie odtąd mówić (w wierszu „Nie mów“), że wszystko, czego sam nie umiał znaleźć w życiu—marą jest zwodniczą

Zdrój czystych uciech będzie innym szumiał
I inne serca poił swą słodyczą!

Ta rezygnacya, to przygarnięcie cudzego szczęścia do własnéj piersi, oczyszcza, odświeża i odmładza serce poety. Jednocześnie na wypogodzoném wieczorném niebie jego duszy zjawia się i gwiazda osobistéj nadziei. Jakkolwiek cel jéj wychodzi za zakres chwilowego bytu, słodzi ona jednak i rozjaśnia doczesną ścieżkę życia poety. Jest to ta sama nadzieja, którą miał Kochanowski, „że przed się za łaty, nie będą jego czułe nocy bez zapłaty,“ ta sama która niejednemu z poetów słodziła i rozjaśniała gorżką i ciemną rzeczywistość, ta sama, którą helikońskie panny, we wspomnianym już raz wierszu Asnyka, pokrzepiają ociemniałego Thamyrisa. Silniejszym i czystszym blaskiem świeci ona w dwóch innych poezyach Asnyka: „Dałem ci moc“ i „W zimowéj nocy.“ Zimowa noc otaczająca wędrowca ze swoją ciszą, martwością i chłodem nie straszy go i nie zdoła zmrozić jego serdecznych nadziei. Patrząc na zimę, myśli on o wiośnie, kiedy jeśli nie jemu „to innym znów świeże kwiaty wyrosną.“ Patrząc na pozorny chłód ludzi, myśli on o iskrach zapału, które drzemią w ich sercach i mówi ze spokojną wiarą:

Jak tylko tchnienia cieplejsze
Czar dawnych uniesień wskrzeszą,
Po śmierci kochać mnie będziesz
Ty chłodna, milcząca rzeszo!

W wierszu „Dałam ci moc“ ta wiara w pośmiertne uznanie, w pośmierte życie w pamięci ludzi brzmi jeszcze silniéj i zlewa się w jeden akord z uczuciem męzkiéj rezygnacyi. Kto czuje w piersiach pragnienie i nadzieję nieśmiertelności, kto czuje w sobie moc nad sercami ludzi, moc przed którą chwilowo zamknięte serca, muszą się kiedyś otworzyć, niechże nic więcéj nie żąda dla siebie: jest to niejako warunkiem nieśmiertelności. W tym duchu przemawia muza do poety:

Tych śpiewnych brzmień, co ja poruszę
Niepamięć nie pogrzebie;
Lecz choćbyś dał swą całą duszę,
Nie żądaj nic dla siebie.

Przebiegłem wszystkie niemal tony poruszone w liryce Asnyka. Widzieliśmy jak z początku były dzikie, burzliwe, szalejące gniewem i rozpaczą, jak potém omdlawszy, zeszły do skarg i jęków wyrażających boleść czy to powszechno-ludzką, czy osobistą, jak obojętniejąc nabierały barwy szyderczéj lub sentymentalnéj, jak wreszcie pod wpływem głębszéj refleksyi i rezygnacyi, stawały się coraz pogodniejszemi. Tym sposobem liryka Asnyka zatacza się szerokim łukiem od burzliwéj rozpaczy do pogodnéj rezygnacyi.

Dotychczas mówiłem o treści, o myślach i uczuciach poezyi Asnyka, teraz pozostaje nam rzucić okiem na jego artystyczną łupinę. Poezya, jak wiadomo, jednoczy w sobie, na swój właściwy sposób, wszystkie inne sztuki piękne, i można o niéj powiedzićć, że ma swoję plastykę, swoje malarstwo, swoję muzykę i architekturę. Mówiąc tedy o jéj formie z tylu rozmaitych punktów można na nią spoglądać.

Pod względem plastyki poezya Asnyka jest dość ubogą. Skutek to najpierw tego, że Asnyk jest *par excellence* lirycznym poetą, następnie skutek to przewagi w nim refleksyi nad fantazyą, nareszcie jest to może poczęści skutek i samego życia poety w kontemplacyjnym obłoku poza wirem i ruchem pracy codziennéj, życia, na które, jak wiemy, sam poeta się skarżył, mówiąc, że nie dotknął nigdy rzeczywistości ręką, że senne widma ciągle go kołysały, i t. d. Otóż kto rzeczywistości nie dotknął ręką, ten i plastyki życia nie może dobrze znać i odtworzyć, a jakkolwiek w liryce nie gra ona takiéj roli, jak w eposie, to tam jednak brak jéj daje się czasem uczuwać. U Asnyka refleksya bardzo często występuje w całéj swéj nagości i suchości, podałem wyżéj dostateczny przykład tego, a nawet w najpiękniejszych jego wierszach przeglądają nagie jéj nici. Ale i tam, gdzie myśl, uczucie odziewa się w zmysłowe obrazy, i tam plastyczne kształty nie mają wyrazistéj wypukłości, a kontury ich rozpierzchają się w niepewném oświetleniu. Żeby się o tém przekonać, dość jest zestawić którykolwiek wiersz Asnyka z pierwszym lepszym wierszem lirycznym Mickiewicza, u którego znów plastyka z pomiędzy wszystkich innych zalet formy wybija się na piérwsze miejsce.

Za to pod względem żywiołu malarskiego bogactwo u Asnyka wielkie. Zaprawiony w szkole Słowackiego, największego kolorysty z poetów polskich, jacy kiedykolwiek byli, potrafi Asnyk dobyć z swéj poetyckiéj palety, wiele kolorów, barw, świateł i cieni. Zachodzi jednak w tym względzie oprócz ilościowéj i jakościowa różnica pomiędzy mistrzem a uczniem: u Słowackiego światła, kolory pałają, iskrzą się, czuć ich oddech gorący, ciągłe rozpryskiwanie się słonecznego płomienia w siedm barw tęczy i kojarzenie się tych barw

ponowne; u Asnyka światła i kolory ani tak gorące, ani tak rażące, bardziéj łagodne bardziéj przezroczyste, przypominają nieraz akwarellowe malarstwo. Nie jest-że to n. p. akwarella ten „Ranek w górach?“

Wyzłocone słońcem szczyty
Już różowo w górze płoną,
I pogodnie lśnią błękity
Nad pogiętych skał koroną.
W dole — lasy skryte w cieniu
Toną jeszcze w mgle perlowéj,
Co w porannem oświetleniu
Mknie się zwolna przez parowy i td.

Czasami jednak malowniczość języka bywa o wiele silniejszą niż w przytoczonym ustępie, jak np. w wierszach: „Noc pod Wysoką“ lub „Ulewa.“ Oto parę strof z ostatniego wiersza:

Na szczytach Tatr, na szczytach Tatr,
Na sinéj ich krawędzi,
Króluje w mgłach świszczący wiatr
I ciemne chmury pędzi.
. . . .
Nie widać nic — błękitów tło
I całe widnokręgi
Zasnute w cień, zalane mgłą
Porżnięte w deszczu pręgi.

Pod względem architektonicznym potrzeba odróżnić w liryce Asnyka dwie rzeczy: budowę strofy od budowy całości. O pierwszéj już była mowa wyżéj. Podziwiałem już lekką jéj kunsztowność i filigranowość; do tych zalet dodać należy wielką rozmaitość, niezwykłe bogactwo form. Budowa całości nie zawsze jest silną, nie zawsze jasne ma linie, nie zawsze uwydatnia się w niéj stopniowanie głównéj myśli lub uczucia. („Ucisz się serce,“ „Giewont,“ „Na zgon poezyi,“ i in.). Rozwlekłość jest czasem tak znaczną, strofy tak luźnie stojące, że w niektórych, nielicznych co prawda utworach, możnaby po parę strof i więcéj wysunąć, a nicby się z głównéj myśli nie uroniło Weźmy naprzykład wiersz: „Na zgon poezyi:“ w czterech ostatnich strofach tego wiersza jedna i ta sama myśl powtarza się z tak małemi zmianami, i tak bez żadnego stopniowania, że śmiało możnaby trzy strofy odtrącić, a wiersz nietylko by nic nie stracił, ale i owszem stałby się o wiele piękniejszym.

Przechodząc teraz do stanowiska muzycznego, które przy ocenie utworów lirycznych jest bardzo ważném, winienem zwrócić uwagę czytelnika na ton liryczny i na muzykalność wiersza. Każdy z oryginalnych poetów lirycznych ma swój odrębny ton; on stanowi jakby duszę jego liryki, nadaje nastrój jego poezyi, w nim wciela się uczucie

przeważające w sercu poety: to też po odrębności tonu można poznawać oryginalność poetów. Jak różnym jest naprzykład ton poezyi Słowackiego od liryki Mickiewicza, ton „Grobu Agamemnona“ od tonu wiersza „Do matki Polki.“ W piérwszym jest zapęd, burza, rozpierzchanie się uczucia w ciągłych wybuchach, w drugim jest ześrodkowanie, skupienie uczucia, wskutek czego nabiera ono nadzwyczajnéj siły, staje się niby miną zdolną rozsadzać skały. Asnyk w piérwszych swych utworach idąc za przewodem Słowackiego, naśladował i jego ton, potém porzuciwszy drogi mistrza, wyzwoliwszy się z pod jego wpływu, i ton jego zarzucił i zaczął śpiewać na własną nutę. Znamy ją, znamy ton liryczny Asnyka, jest to ton cichéj skargi i rezygnacyi. Jest on odrębną właściwością liryki Asnyka i wyciska na niéj cechę oryginalności.

Co się tyczy muzykalności Asnykowego wiersza, to ta powszechnie jest znaną i wielbioną. Pod tym względem może być Asnyk postawiony obok Bohdana Zaleskiego, z którym porównanie jego pod wielu względami byłoby ciekawym przedmiotem badania. Ale muzykalność Asnyka różną jest od muzykalności Bohdana. W zwrotkach Bohdana przebija się śpiewność ludowéj poezyi ukraińskiéj, kiedy u Asnyka melodyjność strof ma jakiś kosmopolityczny charakter, zalatuje z niéj jakby echo prowansalskiéj poezyi. Przytem same dźwięki płynące z liry Bohdana mają w sobie coś metalicznego, jakby ze złotych strun płynęły; u Asnyka bardziéj przezroczyste, jakby szklane.

Tyle o formie. Mówić dziś o miejscu, jakie Asnyk zajmie w szeregu poetów polskich, byłoby rzeczą niewłaściwą, przedwczesną, gdy poeta żyje, pisze i wiele jeszcze może napisać. To jednak można już dziś śmiało powiedzieć, że epoka przejściowa od ideałów romantycznych do nowych, niewyraźnie się jeszcze zarysowujących, znalazła w nim wiernego przedstawiciela, że w poezyi jego odbijają się bóle przełomu pojęć i gdzieniegdzie lekkie świtanie przyszłéj, dalekiéj pogody. Jako taki przedstawiciel zajmie on w każdym razie wybitne stanowisko w naszéj poezyi, tem wybitniejsze, że na ogłuchłém polu téj poezyi, niegdyś tak gwarném i rojném, on sam jeden trzymał lirę wzniesioną i trącał w jéj struny.

Józef Tretiak.

POCZĄTKI SEJMU WIELKIEGO.

(*Sejm czteroletni* napisał ks. Waleryan Kalinka ze Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego. Tom pierwszy w Krakowie. Nakładem i czcionkami drukarni „Czasu" 1880.)

Imię autora w poczcie spółczesnych historyków naszych zgodném a chlubném jaśniejące uznaniem, długoletnie przygotowanie, oraz wyższa nad wszelkie względy sumienność i szczerość jego, nadają niniejszemu dziełu niezwykłą doniosłość. W poczuciu téj doniosłości pośpieszamy zdać z niego sprawę ogółowi natychmiast po odczytaniu pierwszego tomu, nie czekając na dokończenie pracy. Narażamy się przeto na niebezpieczeństwo pomyłek w domysłach, niezręcznego uzupełnienia napoczętych lub nie wykończonych jeszcze konturów, błędnego odgadywania wniosków, z natury rzeczy wielce zawikłanych. Więc uwagi nasze ogólne mogą mieć tylko charakter tymczasowy, a ścisłość możliwą będzie chyba w zakresie faktów konkretnych i twierdzeń szczegółowych, objętych tomem niniejszym. Autor rozrządza bogatym materyałem rękopiśmiennym, czerpanym z *Archiwum Stanisława Augusta* (obecnie będącego własnością p. Pawła Popiela w Krakowie), z *Muzeum ks. Czartoryskich*, z *Archiwum Watykańskiego* i biblioteki ks. Oratoryanów w Rzymie, z *archiwów Tajnych* państwowych wiedeńskiego i berlińskiego, tudzież z wielu dokumentów rosyjskich „nie w takim jednak komplecie, jakby sobie życzył i jakby całość obrazu tego wymagała". Dodając do tego korespondencye i dokumenta czerpane ze zbiorów prywatnych, tudzież zasoby bibliotek krakowskiéj i lwowskich, zbierze się nader obfita skarbnica informacyi historycznéj, prawie kompletna w zakresie polityki zewnętrznéj i dyplomacyi. Gdy jednak ks. Kalince wiele zależy na ocenieniu działalności władz rządowych, niepomyślnym dla niego warunkiem

jest nieznajomość archiwów warszawskich gdzie między innemi znalazłby większą część akt Rady Nieustającéj, co do których powziął mylne przypuszczenie, że zaginęły (I str. 290). Co się tycze znów obrad sejmu czteroletniego, zdaje mi się, że autor nie zdołał skompletować sprawozdań ze wszystkich sesyj. Jestto nader trudne, bodaj nawet niemożliwe zadanie. Dyaryusz wydany przez kancelaryą sejmową obejmuje tylko sto sesyj z liczby 550, więc cztery piąte całości wypada zbierać z publikacyj prywatnych lub sprawozdań dziennikarskich. W dziele niniejszém nie dostrzegliśmy przytoczeń z Dyaryusza „krótko zebranego Dufoura“, który zapełnia lukę pomiędzy d. 6 marca i 11 sierpnia 1789 roku; również nie znaleźliśmy wzmianki o rękopiśmie kompletnym Dyaryusza urzędowego z okresu pojedyńczego składu posłów, złożonym niegdyś przez Łuszczewskiego, byłego sekretarza sejmowego, Towarzystwu Przyjaciół Nauk. Rękopismu tego i my nie znamy i gdzieby się znajdował, nie wiemy; żałujemy przeto, że ks. Kalinka nie był od nas szczęśliwszym. Pomimo wszelkich usterek i niedokładności w redagowaniu, dyaryusze bądź-co-bądź stanowią zdaniem naszém nader ważną podstawę do wnioskowania o wartości prac sejmowych.

I.

Księga pierwsza rozjaśnia nam sytuacyą polityczną i stosunki mocarstw otaczających Polskę w chwili wybuchu wojny tureckiéj z lat 1787—1791. W świetnym barwami i dosadnością charakterystyk obrazie widzimy tu niefortunną kampanią Józefa II z r. 1788 oraz dziwny pochód fantastycznego Potemkina, zakończony rozpaczliwym ale zwycięzkim szturmem Oczakowa. Potém z pliką tajemnych, po większéj części dotąd nieznanych, depesz w ręku autor zapuszcza się w labirynt różnych kombinacyj dyplomatycznych: zdziera zasłonę z „polityki żydowsko-hertzbergowskiéj“, tłómaczy pruski plan zabrania Polsce Gdańska i Torunia za Galicyą, którą, zdaniem Hertzberga, powinna była oddać Polakom Austrya, dobywa na jaw konwencyą austryacko-rosyjską przeciwko zaborczym projektom pruskim, wcale nieznaną w Warszawie nawet Stackelbergowi. Na takiém tle dopiéro uwydatnia się z należytą wyrazistością cała naiwność lub nieudolność politykowania polskiego: z jednéj strony bowiem Radziwiłł „panie kochanku“ zgłaszał się ze swemi usługami do Fryderyka Wilhelma II, a ten zalecał Buchholtzowi, swemu posłowi, porozumiéć się z hetmanem litewskim Ogińskim, z Krasickimi, biskupem Rybińskim, Bnińskim i innemi znanemi mu osobami celem utworzenia stronnictwa pruskiego przeciwnego Rossyi, z dru-

giéj strony od czasu zjazdu kaniowskiego imperatorowa Katarzyna była nagabywaną o przyjęcie pomocy polskiéj przeciwko Turkom, od Stanisława Augusta drogą konfederacyi zawiązanéj „przy królu“ tudzież od Ksawerego Branickiego i Szczęsnego Potockiego drogą konfederacyi wojewódzkich anti-królewskich. O tym ostatnim planie ks. Kalinka powiada, że ,,był pozbawiony równie wszelkiego zmysłu politycznego jak godności narodowéj; możnaby go nazwać haniebném dziełem zdrady, gdyby autorowie zdawali sobie jasno sprawę z jego następstw prawdopodobnych“: ale o projektach Stanisława Augusta mówi z uznaniem. Przymierze zaczepno-odporne z Rossyą miało wytworzyć zaszczytniejsze i swobodniejsze dla Polski stosunki niż gwarancya traktami 1768 i 1775 r. opisana; udział w wojnie tureckiéj miał orzeźwić i podnieść ducha narodowego; Katarzyna musiałaby w takich okolicznościach przyzwolić na podniesienie armii do liczby 30,000, dowództwo nad nią objąłby król, wynagrodzeniem za sojusz miała być Mołdawia. Wszystkie te nadzieje wszakże rozwiały się z dymem, bo Katarzyna, przyjmując ofiarowany sojusz, podyktowała wcale inne warunki: przyjmowała tylko trzy brygady jazdy polskiéj pod naczelną komendę rosyjską i obiecywała tylko zapłatę pieniężną, wcale skromną— po 50,000 dukatów przez lat sześć.

Rezultatem wszystkich tych krzyżujących się planów i wpływów było oświadczenie króla pruskiego, że o żadnych zaborach w Polsce nie myśli, oraz przyzwolenie Stackelberga na sejm konfederacki i na powiększenie wojska nawet bez zawarcia traktatu zaczepno-odpornego.

Wyświetlenie nader zawiłéj akcyi dyplomatycznéj z lat 1787 i 1788 stanowi cenny i trwały dla nauki nabytek; trudność zadania i kunsztowność ekspozycyi podnosi zasługę autora. Paragrafy księgi pierwszéj, traktujące o sprawach „obcych“, zadawalniają nas w zupełności, lecz w dziale spraw „domowych“ pozwolimy sobie zrobić parę uwag i zastrzeżeń.

Zdaje się nam, że wpływy pruskie na Polskę w czasie przedsejmowym są przedstawione w rozmiarach zbyt rozległych. Pisał wprawdzie Stanisław August w styczniu 1788 r. do stronnika swego Prozora o pismach jakichś bez daty i podpisu „latających po Wilnie, które wiele tam poburzyły umysłów“ o „rozhoworze na asamblach“ u tegoż Prozora, że trzeba zaraz związek zrobić, że wojsko pruskie wkroczy na podporę takowego powstania. Ależ Prozor w odpowiedzi swojéj zaprzeczył tym przesadnym wieściom i zapewnił, że o Prusach nikt w Wilnie nie myśli, o piśmie bezimiennego autora nikt już

nie pamięta (1). A w każdym razie zaznaczyć winniśmy, że wymienione przez autora (str. 89), czyli raczéj przez Fryderyka Wilhelma osoby, jako filary stronnictwa pruskiego, podczas sejmu czteroletniego albo wcale żadnego wpływu na obrady nie miały, albo podrzędne stanowiska zajmowały. Tak, Karol Radziwiłł, ani na jedném posiedzeniu nie znajdował się, nie mógł nawet zasiadać w senacie, gdyż z powodu ciążącéj na nim kondemnaty sądowéj odebrano mu *activitatem*, z oddalenia zaś tak mało mógł wpływu wywierać, że ofiara jego — pułku piechoty — była przez sejm ze znacznemi zmianami przyjęta; tylko po śmierci odprawiono za jego duszę nabożeństwo w Warszawie z pompą urzędową. Hetman Ogiński mozolił się nad kwestyą umundurowania wojska i przedstawił raz izbie żołnierza z rydlem przywiązanym na piersiach, ale nie miał téj nawet pociechy, żeby sejm przyjął jego wynalazek. Tyle tylko przypominamy sobie z dyaryuszów o jego działalności sejmowéj; zdaje się, że dość rychło wyjechał do Wiednia na kilkoletni pobyt. Z Krasickich figuruje na liście posłów, od województwa Czerniechowskiego niejaki starosta Korytkowski, nieznany zresztą ani z imienia, ani z mów i czynów; Gadomski, Bniński, generał Sułkowski nie przemawiali bodaj ani razu, Przebendowski znikł bez śladu, tylko Rybiński biskup Kujawski zabierał głos, zasiadał w deputacyach sejmowych i był w niektórych broszurach wymieniany, ale do naczelnych przywódców i on zaliczonym być nie może. Ks. Kalinka skompromitował go mocno, wykrywszy jego przysięgę poddańczą, królowi pruskiemu z części dyecezyi kujawskiéj złożoną, oraz żądanie pożyczki 60,000 talarów na spłacenie długów. Podobne żądania pożyczek ze strony Antoniego Sułkowskiego i Karola Radziwiłła (str. 280) nie mają w oczach naszych doniosłości politycznéj; są to pospolite obroty utracyuszów, które nas nie obchodzą, jeśli ci wpływu nie wywierali.

Stanisław August w téj pierwszéj księdze otrzymał téż nieco za wielką i zbyt chlubną rolę. Wprawdzie sam autor nie żałuje niedoszłego aliansu z imperatorową, wypowiadając słuszną uwagę, że „kiedy słabszy chce się posługiwać mocniejszym, wbrew swojéj woli jemu służyć musi“: jednakże plan czyli pomysł nazywa „misternym“ (str. 94) i przepuszcza bez żadnéj nagany żądanie Mołdawii dla Polski, które przecież nie opierało się ani na tradycyi historycznéj, ani na duchu urządzeń rzeczypospolitéj, ani na instynktach narodowych, ani na możebności w owoczesnych warunkach politycznych. Nie uwzględnił téż ks. Kalinka komentarzy podanych w kilka lat

---

(1) Korespondencya krajowa St. Aug. wyd. przez Br. Zaleskiego 1872 Poznań, str. 77 i nast.

później przez samego Stanisława Augusta, do memoryału kaniowskiego, że zawarty w nim projekt „zrobiłby z Polski prowincyą państwa rosyjskiego" (1). Kto wie, czy pomiędzy pobudkami do proponowanego aliansu nie była najsilniejszą chęć dostania pieniędzy z kasy ambasadorskiéj? ks. Kalinka słuszną zrobił uwagę, że umieszczony w projekcie warunek o „zasiłku od Imperatorowéj" nie przydawał powagi żądaniom królewskim, że król „dobrze obmyślane środki własnym psuł nierządem" (str. 55). Nam się przecież zdaje, że uwaga ta jeszcze nie wystarcza do scharakteryzowania psychicznych pobudek człowieka, który zacząwszy brać pensyą obcą jako elekt przed koronacyą, przyjął tajemnie 100,000 czerwonych złotych na urządzenie dworu (chociaż mu rzeczpospolita hojne wyznaczała fundusze ze skarbu swego), późniéj przez długie lata natrętnie i bezwstydnie żebrał u ambasadorów po 5 lub 10 tysięcy dukatów i urobił sobie do téj operacyi finansowéj wyrażenie techniczne: „wyłabudać pieniędzy" (2). Przez pominięcie tych odrażających wspomnień postać Stanisława Augusta zarysowała się na tle wypadków przedsejmowych w konturach wdzięcznych, nawet sympatycznych. Z lekkomyślnością jego, z dobrotliwą słabością charakteru, jużeśmy się oswoili oddawna; nie znając tajemnych jego rachunków i stosunków skłonni jesteśmy zwykle do wybaczenia mu nawet utracyuszowstwa, połączonego z hojnością dla tylu osób i na tyle pożytecznych przedsięwzięć. Jedna lekka nagana ks. Kalinki nie zmienia tego nastroju w umyśle czytelnika; a dalsza opowieść rozbudzi jeszcze życzliwsze usposobienie dla króla „najusłużniejszego" i najgorliwiej zajętego myślami o polepszeniu losu Polski.

Ks. Kalinka, położywszy zbyt wielką, zdaniem naszém, wiarę w przesyłanych Debolemu opowiadaniach samego Stanisława Augusta, przypisuje mu główną rolę w zabiegach przedsejmowych w przygotowaniu planu, programu i działaczy dla sejmu skonfederowanego. Po rozwianiu się projektów aliansu pisał Stanisław August: „aukcya wojska i poprawki wewnętrzne—oto cała nasza na teraz robota", a ks. Kalinka, wypowiadając wyraźnie swoje uznanie, dodaje od siebie jedno tylko żądanie „poprawy moralnéj narodu" (str. 95). Po za obozem królewskim widzi trzy „najwybitniejsze oso-

---

(1) *Sievers* w raporcie do Katarzyny; patrz Pamiętn. z XVIII w. tom V, str. 32.

(2) Fakta żebraniny są podane z raportów urzędowych u *Sołowjewa* w Hist. Rosyi w tomach XXVI—XXVIII, o łabudaniu pieniędzy Stanisław August pisze niejednokrotnie w korespondencyi swojéj z Ksawerym Branickim, wydanéj przez dr. *Gumplowicza* p. t. „Konfederacya Barska" etc. Kraków, 1872.

bistości a raczéj centra polityczne": Ksawerego Branickiego, Szczęsnego Potockiego i Adama Czartoryskiego. Co do dwóch pierwszych są oni aż nadto spopularyzowani, żeby się czytelnik miał wahać w sądzie o ich projektach; co do ostatniego dowiadujemy się, że trzymał wówczas z Ksawerym Branickim, że na popieranie tego sprzymierzeńca w ciągu lat dwunastu „zmarnował pierwszorzędne w rzplitéj, stanowisko... i kolosalnéj, bo królewskich niemal dochodów fortuny do połowy podobno uszczuplił". Te trzy „najwybitniejsze osobistości" stają w opozycyi, usiłują krzyżować wszelkie projekta królewskie a księżna Adamowa, odkąd wydała córkę swą za ks. Ludwika Wirtemberskiego, marzyła o osadzeniu zięcia na tronie polskim z pomocą dworu pruskiego i dla tego późniéj stała sie w ręku Lucchesiniego „najdzielniejszą sprężyną do dźwignięcia i podbudzania partyi pruskiéj, a tém samém do wywołania gorączkowego przeciw Rosyi antagonizmu" (str. 111). W obec takich żywiołów opozycyi któżby się wahał przyznać słuszność i wyższość Stanisławowi Augustowi? Któżby nie podzielił trosk jego i nadziei wypowiedzianych w liście z 13 sierpnia 1788 r.: „Już to nie pierwszy raz takowe nowiny sieją tutejsze duchy sekretnie pruskie, a otwarcie opozycyjne, ponieważ to czyni influencyą na sejmikach. Opozycya teraz dopiéro wywiera wszystkie starania i sypie pieniędzmi na sejmikach. Mam jednak nadzieję, że *pluralitas* będzie przy mnie, lubo nie tak wielka jak bywała" (str. 119). Sam ks. Kalinka tak żywém się przejął dla niego współczuciem, że całą księgę drugą dzieła swego nacechował ubolewaniem nad zwycięztwami krótkowzrocznéj opozycyi, zamieścił na tytule energiczny napis: „Obalenie rządu" i zmienił używaną dotychczas nazwę stronnictwa „patryotycznego" na „pruskie".

Nie znamy tych rękopiśmiennych materyałów, na których przeważnie oparł pracę swoję ks. Kalinka, badaliśmy tę samę epokę z innego stanowiska i z innych dokumentów; w razie sporu nie moglibyśmy więc walczyć równą bronią; w rozbiorze, z natury rzeczy, nie możemy roztrząsać szczegółowych faktów i twierdzeń 37-arkuszowego tomu: ale sądzimy, że pożyteczném być może zaznaczenie odmiennych, a często przeciwnych powyższym spostrzeżeń, zebranych na naszém polu badań.

Owóż, przeglądając księgę konstytucyj i uchwał sejmu czteroletniego od karty na któréj zapisano 100 tysięcy uchwalonego (a co najmniéj 55,639 wystawionego) wojska, przejrzawszy prawo o podatku ofiary i następnie cały szereg konstytucyj, które stworzyły najrozleglejszy w dawnéj Polsce system podatkowy, odczytawszy chociażby nazwy licznych reform, które nie tylko przekształcały

rząd, ale téż sięgały najgłębszych podwalin układu społecznego— nie zgodzimy się na to, iżby się całe to dzieło mieścić mogło, chociażby *in potentia*, w lakonicznym programacie Stanisława Augusta: „aukcya wojska (do 3o,ooo) i poprawki wewnętrzne, oto cała nasza na teraz robota“. Nie przyznamy też owego dzieła „najwybitniejszym osobistościom“, przez ks. Kalinkę na czele opozycyi postawionym: ani Ksaweremu Branickiemu, który w początkach wichrzył i szkodził nieco, w okresie środkowym nie miał żadnego znaczenia a w końcu wystąpił jako burzyciel prac sejmowych: ani Szczęsnemu Potockiemu, który opuścił rychło izbę sejmową; ani nawet małżonkom Czartoryskim, którzy o tyle tylko wpływu i powagi używali, o ile z prądem większości płynęli.

Najobfitsze i najtęższe źródło natchnień sejmu czteroletniego widzimy... w książce — tak w książce, nie w jéj autorze, który na ławach poselskich nigdy w XVIII wieku nie zasiadał, urzędu żadnego nie piastował, na widowni politycznéj nie ukazywał się, Stanisławowi Augustowi nie był podobno znany, a przynajmniéj nigdy przez niego nie był wymieniony. Książka ta, w r. 1785 wydrukowana, zawiera w sobie krytykę wszystkich urządzeń i wszystkich chorób rzeczypospolitéj; dowodzi, że „z lekkiém podatków pomnożeniem łatwo 100,000 wojska utrzymać możnaby“, że „podatek i kredyt są to dwa prawa mocy, potrzeby“, że Polska mogłaby składać 43.798.251 złp. podatku, a już przy tym dochodzie wystarczyłby skarb na utrzymanie 62.000 żołnierza; domaga się wyzwolenia chłopów, podniesienia miast, fabryk, opieki nad handlem, reformy sądownictwa, dziedziczności tronu; kreśli nawet program postępowania o wiele szczegółowszy od Stanisława Augusta, a mianowicie: „Najpierwéj konfederacya powszechna uprzątnie wszystkie do działania przeszkody, tron dziedziczny postanowi, sejm nieustannym uczyni, większość głosów prawodawczym czynnościom wyznaczy“ (1). Tą książką są „Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego“ wydane bezimiennie przez Staszyca, a zawiera ona coś więcéj nad krytykę i obliczenia cyfrowe, coś takiego, co w piersi Stanisława Augusta ani się zrodzić, ani zmieścić mogło—ból gryzący nad upadkiem narodu i nowe hasło: ratowania go od ostatecznéj zakłady przez rdzenne reformy, odrodzenia przez wszechstronną poprawę.

Ks. Kalinka zna tę książkę, ale się nad nią nie zatrzymuje, zbywając pobieżną wzmianką z dodatkiem że „obudziła pewne zajęcie i acz nielicznych znalazła czytelników“ (str. 97). Jestto ważna i w na-

---

(1) *Stassic:* Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego, wyd. Turowskiego str. 79, 115, 126, 127, 59, 136.

stępstwach wielce szkodliwa pomyłka. Bo książka Staszyca osiągnęła nadzwyczajne, bezprzykładne powodzenie: wywołała w ciągu dwóch czy trzech lat niemniéj jak 22 pism w postaci broszur albo i obszerniejszych od pierwotworu rozpraw (1), dostarczała argumentów dziennikarzom postępowym, przytaczali ją nawet burmistrze, miast odległych jak np. Tarankiewicz burmistrz Mińska litewskiego (2). Że szlachta sejmikująca i sejmująca nie mogła o takiéj książce nie wiedziéć albo, nie czytając nawet, nie odczuć jéj wpływu, to jest chyba po za obrębem wszelkiéj wątpliwości. Ta sama „Korespondencya krajowa Stanisława Augusta", którą się często posługuje ks. Kalinka zawiera widoczne ślady nowych prądów umysłowych, które nie mieszczą się w okólniku Stanisława Augusta: „aby taka uformowana była dla przyszłych posłów instrukcya, któréj celem pryncypalnym, jeśli nie jedynym, byłaby aukcya wojska" (str. 117). Dowiadujemy się przecież z przeglądu instrukcyj sejmikowych nie tylko o jednomyślném żądaniu zwiększenia wojska, ale téż o podatkach, o wyznaczeniu 100.000 pensyi biskupom i zajęciu na skarb dóbr biskupstwa krakowskiego, o stroju polskim, o zastąpieniu ministrów przy dworach zagranicznych cudzoziemców krajowcami, o zniesieniu Rady Nieustającéj, o przywróceniu Komisyi wojskowéj i t. p. Dowiadujemy się, że województwo podolskie „nie czekając na decezyą sejmu, uchwaliło na wojsko podatek i zaciągniętego w ten sposób żołnierza oddało do korpusów już istniejących poszło zatém i bracławskie, które od razu zdwoiło u siebie podymne, przekazując je na fundusz żołnierski". Przytacza to wszystko sam ks. Kalinka (str. 116 — 120), ale, chociaż nie czytał wszystkich instrukcyj—o ile wiemy z cytat i ze stanu materyału — traktuje ogół laudów sejmikowych z lekceważeniem i poprzedza swój wykład posępną charakterystyką anarchii sejmikowéj. Nie przepomniał o szlachcie zagonowéj, któréj „całą mądrością polityczną było wiernie służyć temu, z czyjéj misy jedli" i wołać: „tak być musi, jak pan hetman chce, jak pan wojewoda każe". Z przytaczanych wszakże instrukcyj nie widać, gdzieby wpisane były plany hetmana lub wojewody, jeśli domyślać się mamy Branickiego i Szczęsnego Potockiego, pod tymi tytułami. Nie widzimy téż dokładnéj informacyi czy i gdzie i w ilu województwach lub ziemiach odbyły się w r. 1788 anarchiczne sejmiki, gdzie były „tłumy od samego rana podpiłe",

---

(1) Tyle naliczył Stan. Potocki (Bentkowski II, 95), myśmy przeglądali kilkanaście, a z jednego obszernego dzieła p. t. „Uwagi nad uwagami czyli obserwacye nad książką p. t. „Uw. n. ż. I. Zamojsk." niemałośmy się nauczyli.

(2) Dziennik Handlowy 1787, str. 101.

z trudnością powstrzymywane „od spotkania się na ostre;“ jakie instrukcye „były odczytywane w gwarze, albo odrzucane z pośpiechem?“ Żeby powziąć zdanie o wartości owoczesnych sejmików, żądalibyśmy relacyi sporządzonéj na podstawie statystycznéj, gdyż natrafialiśmy na wiarogodne świadectwa, że już w r. 1785 i „sejmiki były spokojne, i trybunały trzeźwe“ (1). A ponieważ relacyi takiéj nie znaleźliśmy i nie uważamy jéj za możliwą, przeto ośmielamy się wnioskować, że zarys anarchicznego sejmikowania jest niewłaściwym wstępem, czyli raczéj tłem do laudów i instrukcyj poselskich z r. 1788, że charakter ich rzeczywisty nie jest wyjaśniony, że nie jest wyrozumiany nastrój społeczeństwa polskiego, nie jest pochwycony duch, jaki to społeczeństwo owionął w epoce przygotowań przedsejmowych, a który wzmagał się, rozlewał na masy, rozżarzał w ciągu sejmowania i jest właśnie tajemniczém słowem, téj chwili w dziejach Polski, którą nazywać zwykliśmy „Sejmem czteroletnim.“ Listy Stanisława Augusta ducha tego wykazać ani odbić nie mogą, bo sam on do śmielszych pomysłów, do uczuć heroicznych nie był zgoła zdolnym, bo umiał tylko zmyślnością intryganta chwytać ton przemagający w danéj chwili trafnie, ale o oktawę niżéj; uginać się przed wszelką siłą, barwiąc swą słabość sentymentalnemi słowy, które oblewał łzami na zawołanie, goniąc zawsze za popularnością, którą gotów był kupować za jakąbądź cenę — listami, orderami, pieniądzmi, umizgami, deklamacyą byle nie czynem mężkim, nie ofiarą ze swych sybaryckich nałogów i królewskiéj parady.

Ks. Kalinka i w księdze drugiéj pisze całe paragrafy w celu scharakteryzowania społeczeństwa, a nawet ludzi pojedyńczych, ale charakterystyki jego téj saméj zawsze są natury. Zna on tylko społeczeństwo ciemne, anarchiczne, zepsute. „Pieniano się, sejmikowano, bawiono, hulano, jedzono... O polityce a nawet literaturze po domach możniejszéj szlachty nie rozmawiano... Jedna tylko gazeta Łuskiny (Warszawska) gdzie-niegdzie uwijała się“ (s. 97). „Powiększenia wojska naród wyrzekł się dobrowolnie przed dwunastoma laty ze wstrętu do nowych podatków“ (s. 98.). „Na siedm milionów ludności w Polsce po odtrąceniu osób do wojska niekwalifikujących się... pozostanie zaledwo milion ludzi zdolnych do służby...

---

(1) Dzien. Handl. 1787, str. 103. ks. Kalinka oparł swój obraz na Pamiętnikach Koźmiana i Ochockiego. ale piérwszy był wówczas młodzieńcem na szkolnéj ławie, świadectwo jego zatém o sprawach politycznych nie może jeszcze mieć wagi; drugi miał zwyczaj „dorabiania imaginacyą tego czego nie spamiętał“ i właśnie na sejmiku żytomierskim kazał prezydować Protowi Potockiemu zamiast Stempkowskiemu, jak to wytknął sam ks. Kalinka (s. 116 przypis. 2.).

Kraj bez handlu i przemysłu, któremu ludności ubywa... Ilość monety będącéj w Polsce w obiegu nie przewyższa 100 milionów... Teraźniejsze dochody wynoszą 18 mliionów a z trudnością wpływają; na armią tak znaczną (100-tysięczną) potrzeba będzie 50 milionów. To są dzieci, które się dziś cieszą, lecz przyjdzie srogi żal, gdy trzeba będzie płacić" (s. 158, 159). „Zkądże dostarczyć broni i artyleryi w odpowiedniéj ilości, kiedy fabryk krajowych nie było" (s. 160).

Niewątpliwie sprawimy autorowi przyjemność, oświadczając, że jesteśmy w stanie zaprzeczyć wszystkim tym rysom. Żywszy ruch umysłowy rozbudził się już na kilka lat przed sejmem czteroletnim. Uwijała się nie jedna gazeta Łuskiny, ale wychodziły dużo lepsze czasopisma: *Pamiętnik Historyczno-Polityczny* znakomitego publicysty Świtkowskiego od r. 1782, *Dziennik Handlowy* Podleckiego od r. 1786, *Wybór Wiadomości Gospodarczych*, od r. 1786, prócz literackich jak *Monitor* do 1784. *Magazyn Warszawski* (1784—1785). Ukazywały się już poważne dzieła naukowe, jak X. Hieronima Strojnowskiego: *Nauka Prawa Przyrodzonego* etc, 1875, X. Skrzetuskiego: *Prawo Polityczne Narodu Polskiego*, X. Osińskiego: *Opisanie polskich żelaza fabryk* 1782 i t. p., że nie wspomnimy o poetach, o zreformowanych obu Akademiach, o podręcznikach Komisyi Edukacyjnéj, o Towarzystwie Naukowém przyrodników w Warszawie i t. d. Korespondencye nadsyłane z prowincyj, z różnych miast i wsi do czasopism mogą służyć za wskazówkę, że nie wyłącznie tylko „hulano i jedzono." Powiększenia wojska nie wyrzekł się naród „dobrowolnie" w r. 1776 „ze wstrętu do nowych podatków," lecz z powodu okropnéj ruiny ekonomicznéj spowodowanéj przez katastrofę rozbiorową. Nie mogąc tu wchodzić w szczegółowe roztrząsanie produkcyi rolniczéj i handlu wywozowego, powołamy się tylko na znane z Dyaryusza r. 1780 bilanse urzędowe z lat 1776 i 1777, które wykazały deficyt na wartości wywozu w porównaniu z wartością przywozu w cyfrze 26.544.000 w r. 1776 i 17.646.000 w r. 1777. W latach poprzednich 1772—1775 musiało być przecie jeszcze gorzéj. Z obrad sejmu r. 1776 łatwo jest przekonać się, że izba poselska i senat zostawały pod wpływem przerażenia, wywołanego przez deficyt ogromny w dochodach skarbowych. Delegacya w r. 1775 uchwaliła dużo podatków i była pewną, że te dostarczą skarbom Rzpolitéj 30 milionów na utrzymanie służby cywilnéj i 30 tysięcy wojska, ale nadzieje nie ziściły się (1). Lubo

(1) Sam ks. Kalinka przytacza słowa Stanisława Augusta: „na owym sejmie 1775 szczodrą a bardziéj rozrzutną ręką nie żałowali obfitych darów w nadziel przyszłych dochodów niedokładnie obliczonych; w rok potem wszystko to kreślić i mazać musiano,

w r. 1776 ani jednego z uchwalonych poprzednio podatków nie zniesiono, wszakże dochody skarbowe z Korony i Litwy wynosiły w latach 1776 i 1777 po 18.000.000, a w latach 1787 i 1788 po 21.750.000 na rok, a więc nie dosięgły zamierzonych 30 milionów. Ludności w epoce sejmu czteroletniego było nie 7 milionów, lecz 8.790.000, a nie ubywało jéj, lecz owszem przybywało około 1,26% rocznie. Podatki przynosiły w r. 1788 nie 18 ale 21,75 miliona, a wpływały bez trudności, owszem dokładnie prawie bez niedoborów (*retent*), jak przekonywają rachunki skarbowe. Handel w owym czasie już się ożywił, powstało wiele banków, Tepper zaliczany był do najbogatszych bankierów w Europie, fabryki mnożyły się szybko — pańskie, szlacheckie i mieszczańskie, stanęło nawet kilka fabryk broni i kilka młynów prochowych, wartość wywozu przewyższyła ilość pieniędzy wypłacanych za przywozowy towar. Nie sprawdziło się téż przewidywanie, że „przyjdzie srogi żal, gdy trzeba będzie płacić,“ bo i po uchwaleniu nowych podatków płacono je dokładnie, a nadto składano nader liczne ofiary w piéniądzach, klejnotach, broni, koniach, i różnych efektach. Faktów szczegółowych i dowodów nie możemy tu przytaczać; zapewniamy tylko, że je posiadamy ze źródeł zupełnie wiarogodnych, po większéj części urzędowych, i że je złożyliśmy już w obszerniejszéj pracy.

Błędne wyobrażenie o stanie społeczeństwa wywarło wpływ pesymistyczny na ocenę działań sejmowych. Ks. Kalinka surowo sądzi uchwałę o armii stotysięcznéj: „Uchwała zgoła niewykonalna, powagę sejmu i narodu kompromitująca, i chyba tém tylko można ją wytłómaczyć, że ją wydali prawodawcy improwizowani, niewątpliwie w dobréj intencyi, ale nie wiedzący, o co chodzi, popchnięci przez egzaltowane kobiéty i żądzą poklasku uniesieni“ (s. 160). Ośmielamy się twierdzić, że ze względu na zasoby materyalne uchwała była wykonalną; nie była zaś wykonaną w zupełności z powodów intelektualnych, z powodu niedostatecznego uzdolnienia władz wojskowych i ministrów skarbu, a jednak wystawione w rzeczywistości co najmniéj 56-tysięczne wojsko (1) było przecież dwakroć liczniejsze od projektowanéj przez Stanisława Augusta 30-tysięcznéj liczby.

---

gdy się fundusze okazały ledwo w piątéj lub szóstéj części owym zamiarom wyrównywające“ (s. 153).

(1) Liczbę 55.639 głów przed początkiem wojny z r. 1792 na podstawie raportów Komisyi Wojskowéj podaje *Komarzewski* (Coup d'oeil rapide sur les causes réelles de la décadence de la Pologne 1807. str. 222); widzieliśmy jednak w protokółach, że po zaczęciu działań wojennych dokonywały się żwawo pobory rekrutów i kantonistów oraz tworzyły się oddziały ochotnicze.

Tymczasem ks. Kalinka stanowczo potępia każdy krok sejmu wymierzony przeciwko programowi królewskiemu, poczynając od wniosku o głosowaniu tajném po kreskach jawnych. I mybyśmy woleli widzieć w posłach i senatorach odwagę cywilną, szczerość bezwarunkową, charaktery hartowne; zważywszy jednak, że Stanisław August skarbił sobie zawsze stronników dla osoby swojéj intrygą, przekupstwem, obietnicami urzędów, orderami i poparciem obcéj potencyi; że w takim zastępie nie mogło być katonów: sądzimy, że pożytecznym był sposób otwarcia drogi tajemnéj szczeremu zdaniu dla ludzi słabych, skrępownych różnemi względami, gdy wypadało rozstrzygnąć pomiędzy osobistym stosunkiem do króla i ambasady a nowym pomysłem, projektem reformy, protestacyą przeciwko dawnemu systematowi, jakiéj konieczność ujawniła się z rozpraw umysłowi głosującego regalisty.

Z goryczą a nawet z boleścią skreślony jest rodział o wyjęciu wojska z pod władzy departamentu wojskowego a więc i króla. Rozprawy wywiązały się w następstwie uchwały o stutysięcznéj armii. Opozycya nie chciała takiéj siły pozostawić w ręku Stanisława Augusta. My się temu nie dziwimy, wiedząc, jaki użytek zrobił on ze swéj nieograniczonéj naczelnéj komendy w r. 1792, gdy wojna wybuchła. Ale ks. Kalinka dla wytłómaczenia decyzyi sejmowéj widzi potrzebę dociekania dwojakich przyczyn: wpływu pruskiego i anarchicznéj natury społeczeństwa polskiego, które zdaniem jego, nie umiało ocenić zasług króla tudzież jenerała Komarzewskiego na polu wojskowości.

Co do piérwszego ks. Kalinka wykrył z korespondencyi tajnéj, że król pruski chciał wyjęcia wojska z pod władzy departamentu (s. 163), a nawet zniesienia Rady Nieustającéj (s. 167); że poseł jego Lucchesini znajdował się na trzech tajnych naradach w domu Czartoryskich i przewidywał zawiązanie rekonfederacyi, którąby wysłała adres do Berlina, podpisany przez 50 do 60 członków sejmu o wprowadzenie wojska pruskiego w razie, gdyby się utrzymał departament wojskowy (s. 184, 185, 187); że „naczelnicy stronnictwa patryotycznego“ chcieli oddać Gdańsk i Toruń, ale się domagali za to ponowienia gwarancyi granic, zniżenia cła na Wiśle i pomocy w odzyskaniu na Austryakach przynajmniéj Salin Wielickich (s. 186). Są to zapewne ciekawe epizody z początków sejmowania, ale dotyczą one księcia generała i księżny generałowéj ziem podolskich, którym tytuł „naczelników“ stronnictwa patryotycznego niekoniecznie przysługiwać może. Na czele téj rekonfederacyi pruskiéj mieli stać zawsze hetman Ogiński i Radziwiłł „Panie kochanku“ (s. 183), osoby (jakeśmy już wspomnieli) zupełnie obce dziełom sejmu czteroletniego. Od-

krycia ks. Kalinki dostarczają tylko jednego dowodu więcéj, jak zuchwałą, w pomysłach przynajmniéj, jak dalece zdemoralizowaną w pojęciach politycznych była magnaterya owoczesna, jak mała różnica pod względem cnoty obywatelskiéj, zachodziła pomiędzy późniejszymi naczelnikami Targowicy i kolegami ich z przeciwnego obozu. Szczęściem, że sejm czteroletni stosunkowo najmniéj powodował się wpływami magnatów, a ci w ciągu obrad tyle się nasłuchali dotkliwych napomnień, i wyrzutów, i wniosków, że jak pisze król, nie śmieli rugować posłów z miejsc senatorskich (s. 410). Zresztą wymieniona przez Lucchesiniego liczba 50—60 podpisów, gdyby nawet nie była przesadną, świadczy, że wpływ pruski nie zagarniał ani czwartéj części głosów, skoro uchwała o departamencie wojskowym zapadła przy udziale 263 głosów (s. 190).

Co do drugiego autor kreśli zasługi departamentu wojskowego, a w szczególności generała Komarzewskiego i Stanisława Augusta w sprawie reorganizacyi i powiększenia wojska w ciągu lat 12-tu (1776—1788). Zasługi te zasadzają się na wprowadzeniu regulaminu pruskiego i zwiększeniu piechoty kosztem kawaleryi narodowéj (s. 142), na kierowaniu przewyżki dochodów skarbowych ku pomnażaniu liczby żołnierzy (około 2-ch milionów złp. w ostatniem dwuleciu) i doprowadzeniu w r. 1786 wojska do 18.335 głów (s. 140), na zaopatrzeniu arsenału, darowiźnie 200 armat i opatrzeniu fortecy Kamienieckiéj kosztem „własnéj kieszeni“ Stanisława Augusta, a ten koszt wynosił 700.000 złp. (s. 139). Te zasługi nie były przez naród ocenione po części z powodu zawiści, jaką budził Komarzewski swojém stanowiskiem wszechwładném w armii, zasłaniającém władzę hetmańską, a „nieregularném,“ bo jego kancelarya wojskowa powstała bez żadnéj konstytucyi sejmowéj i kryła się poza plecami króla; po części skutkiem gwałtów i wydzierstwa żołnierzy przy zakupach żywności dla siebie oraz przy werbunku; po części zaś skutkiem anarchicznych nałogów społeczeństwa, które nie znosiło „brachium militare“ czyli egzekucyi wojskowéj zarządzanéj przy poborze zaległych pokatków, lub wykonaniu dekretów sądowych; obawiano się téż, aby departament nie wplątał Rzpltéj w wojnę z Turcyą (s. 144—147). Wykazawszy takie właśnie przyczyny niepopularności departamentu i Komarzewskiego, ks. Kalinka uchwałę znoszącą departament tłómaczy przeważnie wpływami pruskiemi, wrażeniem, jakie wywarła deklaracya Buchholtza, nareszcie chwiejnością stronnictwa królewskiego, które przy głosowaniu tajném oddało przeszło 50 głosów opozycyi (s. 190). Walkę tę kończy podniesiony do tragicznego patosu wykrzyk Stanisława Augusta: „Mnie już teraz wszystko cięźéj pójdzie!“ i ubolewanie samego ks. Kalinki: „Cóżkolwiekbądź, uchwa-

ła zapadła, Komisya niepodległa ustanowiona w zasadzie, wojsko niezawisłe od rządu — odżyła buława!“ A wykładając znaczenie téj uchwały z d. 3 listopada, ks. Kalinka stawia ją obok zamachu królobójczego z r. 1771, nazywa „zamachem na życie państwa,“ uznaje, że „większość sejmowa, jakkolwiek ją nazwiemy, opozycyjną, pruską czy patryotyczną, przez swoję uchwałę z d. 3 listopada, źle się zasłużyła ojczyźnie“ (s. 191, 193).

Całemu temu wykładowi przeczymy od początku do końca.

Przypominamy nasamprzód, że Komisya Wojskowa była utworzona przez Czartoryskich na sejmie konwokacyjnym 1764, celem ograniczenia władzy hetmanów, obok skarbowych, które ograniczyły władzę podskarbich. Podczas sejmu rozbiorowego w r. 1775, Ksawery Branicki, faworyt, najserdeczniejszy druh Stanisława Augusta, panoszony przez niego, udarowany Lubomlą i Białocerkiewszczyzną, to jest wyniesiony na stanowisko magnata, otrzymał buławę hetmańską i wyrobił sobie konstytucyą o przywróceniu komendy nad wojskiem, czyli całkowitéj władzy, pozostawiając Komisyi Wojskowéj tylko „likwidacyą i płatę wojska,“ tudzież sąd i egzekucyą dekretów (1). Wszakże nakazana przez Branickiego wojsku przysięga na wyłączne posłuszeństwo sobie, jako hetmanowi, wznieciła popłoch i oburzenie w kraju, a sejm 1776, obradujący pod laską już nie Ponińskiego, lecz szanowanego powszechnie Mokronowskiego, i rewidujący urządzenia delegacyi, ograniczył znowu władzę hetmanów. Komendę zaś naczelną przeniósł do departamentu wojskowego rady przy boku JK. Mci Nieustającéj. Nie jest mi wiadomém, ani nawet zrozumiałém: dlaczego zniesiono wtedy Komisyą Wojskową, gdy skarbowe pozostały obok departamentu skarbowego, a ztąd nie wynikła, o ile wiem, żadna szkoda dla kraju, raczéj pożytek, bo komisye pracowały nieustannie, gdy departamenta w radzie miewały po dwa posiedzenia na tydzień i to nie zawsze z pożądaną akuratnością. Komisye też skarbowe, szczególnie koronna, wytworzyła już przed sejmem czteroletnim wcale dobry ład w manipulacyi dochodów i wydatków, oraz umiejętną i sumienną służbę tak centralną, jak prowincyonalną. Tego o wojsku powiedzieć nie można. Jeśli Stanisław

(1) Czytamy też w Protokółach Komisyi Wojskowéj (księga V. 158) pod d. 19 kwietnia 1775. „Na którym to dniu pod prezydencyą JW. Fran. Xaw. Branickiego Hetm. W. Kor. JOO. JWW... komisarze... zasiadłszy... reasumowali komisyą podług opisu prawa sejmu świeżo skończonego,“ a pod d. 25 kwietnia: „Gdy prawo na blizko teraz skończonym sejmie zapadłe karność, posłuszeństwo, mustrę, ubiór wojska, rozlokowanie dywizyi, jednem słowem komendę generalną wojska od hetmanów wielkich koronnych dependować oznaczyło“ przeto ułożoną została nowa ordynacya i roty przysiąg.

August przez próżną chciwość władzy był sprawcą zwinięcia Komisyi Wojskowéj (co prawdopodobna), trudno mu to do zasług policzyć. Rada Nieustająca, a więc i jéj departamenta, zbliża się do typu dzisiejszych rad państwowych (*conseil d'état*), była władzą nadzorczą, kierowniczą, ale nie mogła skutecznie zastąpić ministeryów z ogromem spraw bieżących do załatwienia i nie miała nawet biur odpowiednich. W departamencie wojskowym prezydować miał jeden z hetmanów (prezydowali téż z początku Branicki, potém długo stary Sosnowski, znany z biografii Kościuszki, nareszcie Ludwik Tyszkiewicz, nie mający wyobrażenia o wojskowości, ale ożeniony z siostrzenicą królewską); często jednak zastępowali ich wojewodowie z powodu nieobecności, a wszyscy niezbyt żarliwie brali się do pracy. Dość powiedzieć, że protokuły posiedzeń departamentu wojskowego z lat 12-tu zabierają ledwie 7 ksiąg, kiedy takież protokuły Komisyi Wojskowéj z czasów sejmu cztéroletniego od d. 21 grudnia 1788 do 22 czerwca 1792, a więc 3½ lat zajmują ksiąg 25. Już ten jeden fakt może służyć za sprawdzian dla tezy ks. Kalinki, jakoby przywrócenie Komisyi Wojskowéj było obaleniem rządu. Dla zaradzenia sprawom bieżącym Stanisław August utworzył przyboczną kancelaryą Komarzewskiego, złożoną z siedmiu urzędników, a mającą stanowić rzeczywiste ministeryum wojny (s. 140). Szczupłeż-to ministeryum! Śladów wybitniejszéj działalności jego nie napotkaliśmy, chociażeśmy sporą liczbę ksiąg wojskowych przejrzeli (1). Wierzymy, że informacye ks. Kalinki są zupełnie dokładne ale, przyjmując je we wszystkich szczegółach bez sprawdzenia, nie widzimy przecież takich zasług, jakie są przypisane Stanisławowi Augustowi i departamentowi wojskowemu. Wszak armia przed rozpoczęciem sejmu cztéroletniego nie istniała. Bo czyż można armią nazywać 18.535 głów, które zaledwo wystarczały do służby garnizonowéj w rozległym kraju? Co były warte 10.000 piechoty, chociażby ubranéj w pruskie mundury, jeśli nie widziała obozu? Czy można mówić poważnie o pracach nad powiększeniem wojska, jeśli to powiększenie wynosiło „500 do 700 głów od sejmu do sejmu" t.j. w ciągu dwulecia? Toć trzebaby przy tym systemacie czekać 53 lata na doprowadzenie wojska do takiéj liczby, jaką sejm za pomocą Komisyi Wojskowéj wystawił, według najniższego obliczenia w ciągu niespełna trzech lat przed rozpoczęciem wojny; dodajmy, że wojsko to od-

---

(1) Znamy nawet specyalną księgę p. t. „Przełożenia I. K. Mcś. Departamentowi Wojskowemu czynione, oryginalne od r. 1776 do 1788." Są tu nominacye generałów i kilka ordynansów z podpisem Komarzewskiego, spis parolów, kilka błahych korespondencyj, kilka patentów i uniwersał o zniesieniu przedaży szarż.

było piérwsze od czasów Sobieskiego manewra polowe w trzech obozach, w r. 1791. Wiele hałasu robiono z gorliwości i hojności Stanisława Augusta, jaką okazał w zaopatrzeniu arsenału warszawskiego; przy bliższém jednak sprawdzeniu okazuje się, że pochwały nie odpowiadały rzetelnéj zasłudze. W sprawozdaniu urzędowém pod datą 29 listopada 1791 o stanie arsenałów etc., które ks. Kalinka, zapewne znalazł w archiwum Stanisława Augusta, (tabl. 7) znajdujemy w istocie 227 dział metalowych, razem z haubicami i moździerzami (bo armat wykazano tylko 127) pod imieniem N. króla St. Augusta, ale radzimy zwrócić uwagę na zakończenie téj pozycyi: „jako i z funduszów od r. 1780 wyznaczonych zrobione jest.“ Dla zrozumienia tego dodatku trzeba przejrzéć rachunki ludwisarni od r. 1780; brak nam jednego okresu od d. 29 lipca 1788 do 27 października r. 1790 a więc z lat dwóch; pokazuje się jednak, że ludwisarnia od sejmu r. 1780 do d. 29 listopada 1791 odlała wszelkich dział sztuk 120 „na conto IK. Mci i Rzplitéj,“ że chociaż na tych działach kładziony był napis: „S. A. R. Reipublicae dedit,“ ale z funduszu jego „szkatułkowego“ figuruje w percepie raz tylko 8.020 złp. dawnéj pozostałości (1); jest to wartość jednéj większéj armaty; reszta była odlana z funduszów Rzpltéj, gdy od r. 1780 sejm przeznaczył na ludwisarnią po 30.000 złp. rocznie. Warto znów zauważyć, że sejm czteroletni wyznaczył na nią 127.500 złp. rocznie, a więc i w tym punkcie „większość sejmowa opozycyjna“ okazała chyba więcéj troskliwości i hojności od Stanisława Augusta. Ludwisarnia, założona w r. 1765 okazała się w r. 1791 wcale niedostateczną z powodu szczupłości i niebezpieczeństwa od ognia, jak to zaznaczono w tymże raporcie urzędowym. O darowiznach zaś Stanisława Augusta dla Rzeczypospolitéj chyba już mówić nie warto; dość rzucić okiem na rachunki skarbów Rzpltéj Koronnego i Litewskiego, żeby się przekonać, że niepraktykowanym nigdy dawniéj sposobem skarby te musiały od r. 1775 opłacać na pensyą i długi królewskie blizko 5 milionów rocznie t. j. prawie połowę tego co kosztowała cała armia 18-tysięczna. Zaprawdę nie mógł ks. Kalinka pochlebniejszéj wymyślić pochwały, jak przyznanie zasług na polu wojskowości człowiekowi, który wspominając o niedoszłych projektach rodziców swoich wyprawienia go do obozu generała rosyjskiego Lievena (w r. 1747), sam napisał o sobie w „Pamiętnikach“ takie świadectwo: „wiecznie żałować nie przestanę, że ich zamiary w tym względzie nie mogły przyjść do skutku; kto, będąc powołany do rządzenia państwem, nie zna sam wojny,

(1) K. W. 68. Inwentarz Arsenałów Warszawskiego y Kamienieckiego y raporta ludwisarni od r. 1769 do 1791, pod wskazanemi datami.

jest jak człowiek pozbawiony jednego z pięciu zmysłów." I nikt jeszcze dotychczas nie wątpił, że Stanisław August tego zmysłu był pozbawiony radykalnie.

Co się tycze generała Komarzewskiego, ks. Kalinka mówi o nim niejednokrotnie z uwielbieniem, zdaje się pod wpływem słów Debolego (którego i my wielce szanujemy, lubo z zasad krytyki historycznéj za sędziego w ostatniéj instancyi nie uznamy), oraz pod wpływem książki p. t. *Coup d'oeil sur les causes réeles de la décadence de la Pologne*, (która się nam nie bardzo podoba). Nie śmiemy zaprzeczać — może to była cicha i nieuznana zasługa, może pobłądził sejm czteroletni, usuwając go od organizacyi nowego wojska. Jeśli tak jest w istocie — szkoda, ale i w tym razie winowajcą głównym być musi Stanisław August. Po cóż marnował zdolnego oficera na posyłki poufne do Stackelberga (s. 141), kiedy miał do takich poleceń Fryzego, który nie gardził 100 dukatami z kasy ambasadorskiéj w r. 1773? Po co wysyłał go do Berlina, do imperatorowéj, do w. księcia Pawła z poleceniami dyplomatycznemi, które krajowi ani pożytku, ani chluby nie przyniosły. Ślepe oddanie się Stanisławowi Augustowi, które przetrwało nawet detronizacyą, świadczy zapewne o stałości uczuć Komarzewskiego, ale zakrawa nieco na przywiązanie bezmyślne szlachty litewskiéj do swoich magnatów, które niekoniecznie na pochwałę zasługuje. W każdym razie, chociażby nie było żadnych innych powodów, już wytknięte tutaj przyczyny czyniły Komarzewskiego prawie niemożliwym w chwili, kiedy się otwarły widoki przymierza pruskiego.

Gdy zważymy nadto, że obawy wciągnięcia Polski w wojnę turecką były zupełnie uzasadnione, że departament wojskowy niegdyś, w r. 1777 zdolnym był posłać zdrajczy ordynans do komendanta kamienieckiego, by obce wojsko do fortecy wpuścił (1), zrozumiemy nawet bez wpływów pruskich i bez anarchicznych narowów pobudki, jakie opozycyą skłoniły do zwalczania departamentu. Ale nie zrozumiemy wcale surowéj konkluzyi ks. Kalinki. Dla czego miała teraz „odżyć buława," kiedy hetmani mieli prezydować — i to po kolei — w Komisyi Wojskowéj jak prezydowali w departamencie, kiedy i tu i tam byli poddani większości głosów, kiedy komisya nie była nowym utworem, ale władzą wskrzeszoną tylko po zamachach z r. 1775 i 1776? Dlaczego uchwała z d. 3 listopada ma być jakiémś strasznémf *coup d'état*, kiedy każda konfederacya wymagała przysięgi od wojska, a każdy sejm uważał się za najwyższą władzę w narodzie? Sejm czteroletni nie stał się rządem, nie zniósł ministeryów, oprócz

(1) *Komarzewski:* Coup d'oeil, str. 250.

Ponińskiego nie zmienił nawet żadnego ministra, ale chciał dawać kierunek naczelny działalności ministeryów, co może niezgrabnie było wykonane, ale się zawsze praktykowało w Polsce a i dziś praktykuje się we wszystkich prawie parlamentach. Żadnym artykułem ani uchwała z d. 3 listopada, ani późniejsze konstytucye nie zatamowały królowi wpływów na Komisyą Wojskową, jakie umiał sobie wyrobić w Komisyi Skarbowéj i w Radzie Nieustającéj; ks. Kalinka widzi jednak tu uszczuplenie władzy królewskiéj i w silnych wyrazach dowodzi, że król wszędzie i zawsze, jako *dux*, *herzog* powinien mieć naczelną komendę „i czuć się głową armii i głową całéj maszyny politycznéj“ (s. 193). W Polsce królowie oddawna już téj władzy nie mieli; w urządzeniach państwowych przeważały żywioły republikanckie, nie monarchiczne: więc ks. Kalinka domaga się, aby opozycya sejmowa zaczęła od wytwarzania nowéj, nieznanéj ogółowi władzy dla króla, z którego niezadowoloną była. Zdaje nam się, że do stawienia takich wymagań ks. Kalinka upatrzył co najmniéj niestosowną chwilę. Jeszczeż nie rozległo się hasło: „król z narodem, naród z królem!“ jeszcze Stanisław August stawał przeciwko narodowi, a stawał od chwili swojego wstąpienia na tron, z niezwykłą jego charakterowi wytrwałością i z poczuciem niechęci ogólnéj ku sobie. Jak wyszedł naród na tém zbrataniu się ze swoim dux'em i herzog'iem? wyjaśnić to będzie ważném zadaniem ks. Kalinki w dalszych tomach. Nie uprzedzając jego sądu, zrobimy jednak zastrzeżenie przeciwko następnemu ustępowi: „Nie przeczymy, że w życiu Stanisława Augusta były chwile i ustępstwa, za które dziś jeszcze, po stu latach, rumienić się trzeba (nie w jego życiu tylko!); wszakże ani razu nie przyjął on tak szkodliwych i upokarzających warunków, jak te które za cały kraj i za niego przyjęła, o które się dopraszała naprzód radomska, późniéj targowicka konfederacya. Bo jest w królewskiém dostojeństwie pewna zasłona, pewna podpora, któréj nie mają prywatni, co na swą rękę z obcymi traktują“ (s. 194). Niestety! i ta maksyma stosowana pospolicie do monarchij dziedzicznych, nie sprawdza się bynajmniéj na Stanisławie Auguście. Namaszczenie królewskie téj tylko dokonało w nim zmiany, że się czuł uprawnionym do żądania większych datków, niż prywatni od ambasadorów rosyjskich, a szczególnie od sejmów polskich; przyjął wszelkie najszkodliwsze i najbardziéj upokarzające warunki, jakie mu z groźbą podawano, a przy obu rozbiorach kraju, robił coś gorszego niż twórcy konfederacyi Targowickiéj: 1) d. 16 maja r. 1771 wystawił Saldernowi rewers arcy-tajemny, bo o nim wiedzieć mogli oprócz Jmperatorowéj tylko Panin i Orłów, z formalném zobowiązaniem „radzić się we wszystkiém I. C. Mci i działać w zgodzie z nią, nie wynagradzać bez jéj

przyzwolenia spólnych naszych przyjaciół, nie rozdawać wakansów i starostw" (1) — sądzę, że to jest skończonym aktem zdrady, gdy król całą swoję władzę i powagę oddaje na usługi obcéj monarchii w czasie, gdy się już toczyły układy o rozbiór kraju; 2) w r. 1793 przed wyjazdem do Grodna, jeszcze w marcu, Stanisław August powiedział na cztéry oczy niejakiemu Little-Page, że „traktat rozbiorowy z pewnością podpisze i że nikomu się z tém nie zwierzył." O tém wyznaniu dowiedział się niezwłocznie od powiernika generał Igelstrom i nie omieszkał donieść Sieversowi ambasadorowi (2). Czy to jest słabość taka, którą można było „podpiérać?" niech każdy sądzi według własnego mniemania, wedle przenikliwości psychologicznéj!

II.

Zwinięcie departamentu wojskowego było krokiem przygotowawczym do zniesienia Rady Nieustającéj: więc i następne rozdziały trzymane są w jednakowym tonie ostréj nagany dla większości sejmowéj. Chociaż ks. Kalinka nie zna archiwów téj rady, jednakże charakterystyka jéj działalności jest w ogóle udatna. Trochę za wiele zasług przyznano departamentom i Stanisławowi Augustowi (s. 307) ale to mniejsza. Nie ukrywa przecież ks. Kalinka i wad i grzechów téj instytucyi, lubo unika jaskrawszych rysów; tak np. dla określenia stosunków ze Stackelbergiem wystarczyłby ten fakt, że marszałek rady np. (Przebendowski) po każdém posiedzeniu przyjeżdżał do niego z raportem o wszystkiém, co się mówiło i że miał na to wyznaczoną godzinę 5-tą (3). Gdy większość sejmowa zapragnęła wyzwolić rząd z pod takiéj zależności, nie dziw że instytucya, zrodzona podczas piérwszego rozbioru podług pomysłu i planu Stackelberga, na wzór szwedzkiéj rady państwa, któréj przedajność i powolność tenże Stackelberg, będąc posłem w Sztokholmie, wyprobował — że ta instytucya musiała budzić nieufność. Ks. Kalinka, pragnąc zapewne doprowadzić kwestyą do zupełnego wyczerpania, podaje raz jeszcze charakterystykę społeczeństwa, a raczéj regestr wad jego, nie szczędząc jaskrawych rysów. Tak np. twierdzi, że „Volumina Legum możnaby nazwać zasobnym arsenałem ustaw rzadko, źle, albo nigdy nieużytych" (s. 296). Rozszerzając swój przegląd aż ku epoce Zygmuntowskiéj i zabaczając o wpływie czasu na przedawnienie wszel-

---

(1) *Sołowjew* — Istorija Rossii, tom XXVIII, str. 289.

(2) *Sievers* — Pamiętniki wyd. Żupańskiego t. V, str. 105; list Jgelstroma nosi datę 27 marca.

(3) Engeström.

kich prawodawstw ludzkich, wylicza spory szereg niewykonywanych ustaw (o pospolitém ruszeniu, popisach wojewódzkich, lustracyach, poborze podatków, utrzymywaniu grodów starościńskich i t. d.), a w końcu powtarza zdanie Hüppego, „że gdy fabrykacya praw kwitła w Polsce w wieku XVII i za Stanisława Augusta, uchwały sejmowe miały zaledwo wartość papieru, na którym je spisywano.“ Alboż to nie istniały Rada Nieustająca i Komisye rządowe, czy nie działały na podstawie Voluminów Legum? Czy nie wpływały do skarbu podatki i czy nie były oparte na konstytucyach sejmowych? Czy starostwa nie podlegały lustracyom i czy nie opłacały jednéj, półtoréj, dwóch i trzech kwart stosowie do zapadłéj uchwały? etc. etc. Za dalekoby nas zaprowadziło udowodnienie tezy przeciwnéj: że prawodawstwo, nawet za Stanisława Augusta, zbyt obfitém nie było, że społeczeństwo polskie odznaczało się rzadkim w téj sferze i zaciętym konserwatyzmem — poprzestaniemy na uwadze, iż przytoczone spostrzeżenia ks. Kalinki i Hüppego z pewnością nie posiadają ścisłości naukowéj.

Walka o Radę Nieustającą szła w parze z obalaniem i niweczeniem gwarancyi. Ks. Kalinka mniema, że bez gwarancyi Polska owoczesna istniećby nie mogła, że z pomiędzy trzech mocarstw ościennych gwarancya rosyjska była dla niéj najkorzystniejszą, że „gdyby między owoczesnymi Polakami więcéj znajdowało się ludzi królowi uległych, między sobą zgodnych, przytém pracowitych i roztropnie korzystających z pola działania, które im było zostawione (przez kogo?), wystarczyłoby ćwierć wieku, by stanąć na stopie o wiele bezpieczniejszéj i nieznacznie a coraz pewniéj wychodzić z kurateli. Być może, żeby do tego nie przyszło za życia Katarzyny... z jéj śmiercią wiele rzeczy musiałoby się odmienić, byleby naród, jak to radziła jedna z broszur spółczesnych, w cichości i skromności *bez reform* gwałtownych, umiał był dokończyć XVIII stulecia“ (str. 209).

Ustęp ten pod wieloma względami jest bardzo ważny; przepuścimy go jednak bez rozbioru, bo zresztą wychodzi on poza obręb właściwych zadań historyi. Domyślamy się przecież z niego, że ks. Kalinka nie mógł obronić się przykrym wrażeniom, spędzając długie lata na badaniu działań sejmu, które zmierzały do przetworzenia narodu przed końcem w. XVIII, a nawet przed śmiercią Stanisława Augusta, zapomocą reform jeśli nie gwałtownych, to przynajmniéj sięgających głęboko. Niejednokrotnie téż musiały zachodzić nieporozumienia pomiędzy materyałem a badaczem, który jest negacyjnie względem niego usposobiony.

Zgodnie z poglądem zasadniczym ks. Kalinka staje wytrwale po stronie mniejszości sejmu „W ogólności argumenta opozycyi były słabe; trudno jest złéj sprawy bronić dobrze. Idąc za świeżym przykładem Holendrów i Belgów, opozycya dała sobie tytuł stronnictwa patryotycznego. Tymczasem w jéj mowach patryotyzmu nie znać“ (s. 172). Mowy zaś obrońców Rady Nieustającéj są przytaczane zwykle z pochwalnemi wstępami lub takiemiż konkluzyami. Zaszczytu pochwał wysokich dostąpił niejaki kasztelan Opacki, którego cała działalność polityczna zmieściła się bodaj w jednym głosie przytoczonym prawie w całości (s. 173), bośmy tego nazwiska nie napotykali nigdzie więcéj. W poczcie patryotów znalazł się tym sposobem Kossakowski, znany biskup inflancki (s. 177), o którym zresztą sam autor na innem miejscu niepochlebne przytacza szczegóły (str. 457, 460 i 277 przypisek 2). Z największém wszakże uznaniem i uszanowaniem mówi zawsze o prymasie Michale Poniatowskim, jak np. „zimny i treściwy, o krasomóstwo się nie kusi; ale jasność poglądu, moc i dobór argumentów, ale sposób ich wyrażenia odpowiadają najzupełniéj charakterowi tego człowieka, który w rodzinie królewskiéj, a podobno i w Senacie i w Izbie rycerskiéj, nie miał równego sobie hartem, odwagą i niezłomną w swym systemie wytrwałością“ (s. 174). Radzibyśmy jednak dowiedzieć się, jak tłómaczy ks. Kalinka depeszę cesarzowéj Katarzyny z r. 1793 o „pruskim sposobie myślenia“ prymasa, z nakazem zmuszenia go do rezygnacyi z godności prymasowskiéj (1). Wtedy nikt już ze stronnictwa patryotycznego nie miał stosunków z ambasadą pruską, bo król pruski przymierze złamał i do drugiego podziału stanął; ale prymas odtąd podobno do systematu rosyjskiego nie nawrócił się, bo samobójstwo jego przypisywano, wedle Kitowicza, wykryciu zdradzieckich jego stosunków z armią pruską oblegającą w r. 1794 Warszawę. Te wypadki wychodzą wprawdzie poza zakres niniejszego dzieła, warto je było przecież mieć na pamięci przy układaniu charakterystyki człowieka, przy pochwalnych dla niego epitetach. Zresztą przy innéj sposobności ks. Kalinka przyznaje, że książę Michał „nie był doskonałym wedle serca Bożego biskupem“ i skarży się nań, że swojém niekanonicznėm domaganiem się biskupstwa krakowskiego, wywołał zabór dóbr biskupich na skarb (str. 453, 464).

Tę samę metodę nieoglądania się na wypadki późniejsze i na próbę czynów, ale z odwrotnym skutkiem stosuje ks. Kalinka do ludzi z przeciwnego stronnictwa. Tak np. Kazimierz Sapieha w od-

---

(1) *Siewers:* Pamiętniki wyd. Żupańskiego. Tom V. str. 244.

dzielnym paragrafie, poświęconym na wyczerpującą charakterystykę człowieka, ukazuje się tylko jako poplecznik Branickiego, jako agent partyi Potemkinowskiéj, jako „tężyzna,“ utracyusz, hulaka, zręczny, ale szkodliwy deklamator, jako kandydat do marszałkostwa w konfederacyi pruskiéj — bez względu na to, że zawsze szedł zgodnie z reformatorami, że nie będąc uprzedzonym złożył przysięgę na konstytucyą 3-go maja, robiąc ofiarę z osobistego przekonania w jednym z punktów kardynalnych, że przysiędze téj pozostał wiernym, że w r. 1794, dobrowolnie złożywszy jeneralstwo artyleryi, bił się jako kapitan, komenderując 4 armatami i tp.

Do charakterystyki całego stronnictwa, czyli raczéj całéj większości sejmowéj ks. Kalinka posługuje się pilnie korespondencyą Lucchesiniego z Fryderykiem Wilhelmem i powtarza z zupełną wiarą dowcip Krasickiego o porównaniu sejmu do organów a Lucchesiniego do organisty. Uporczywie przytém narzuca stronnictwu patryotycznemu takich członków, którychby ono zapewne chętnie odstąpiło: Karola Radziwiłła, Antoniego Sułkowskiego i hetmana Ogińskiego. Nie dostarcza jednak przekonywających dowodów, iżby zgodność pomiędzy niektóremi żądaniami większości sejmowéj a pomysłami dworu pruskiego, wynikała z jakichkolwiek innych przyczyn niż z pomyślnego chwilowo układu stosunków politycznych w Europie wschodniéj. Chociaż w broszurach owoczesnych, a nawet w głosach sejmowych przebąkiwano o latających po Warszawie pruskich talarach, ks. Kalinka na podstawie dokumentów pruskich oczyszcza opozycyą od wszelkich posądzeń o przedajność (prócz biskupa Rybińskiego i Karola Radziwiłła, którzy domagali się pożyczek i Ant. Sułkowskiego, który 100.000 talarów pożyczył w banku Berlińskim); przyznaje nawet wyraźnie, że pod tym względem „stanowisko opozycyi lepsze było, czystsze,“ niż stanowisko partyi królewskiéj (str. 278). A jeszcze czystszém okazałoby się wtedy, jeśliby ks. Kalinka, oprócz wyliczenia 14-tu osób, które pobierały pensyą z kasy Stackelberga (str. 277), spróbował obliczyć starostwa i urzędy rozdawane przez Stanisława Augusta, według wskazówek ambasadorów, wiemy bowiem, że od czasów Repnina narzędziem przedajności w Polsce były nie pensye, zwykle nader oszczędnie szafowane, ale skarbnica łask królewskich, którą zawsze dowolnie rozrządzać mogli. Żałować też należy, iż ks. Kalinka nie zwrócił uwagi na oświadczenie się Staszyca w „Przestrogach dla Polski“ za przymierzem pruskiém, tego samego Staszyca, który przed kilkoma laty w „Uwagach“ napisał z oburzeniem, najgwałtowniejszą może w literaturze Europejskiéj charakterystykę Fryderyka II i polityki „brandeburskiéj.“ Ponieważ Staszyc w sejmie nie zasiadał i z Lucchesinim, ani z Buchholtzem za-

pewne nigdy w życiu stosunków nie miał, do Rosyi żadnych uczuć nienawistnych nie objawiał, przeciw królowi i Radzie Nieustającéj nie występował: więc wyjaśnienie takiéj zmiany w usposobieniach zkąd-inąd stałego w zasadach męża, mogłoby przyczynić się do wyrozumienia najgłębszych pobudek i uczuć, nietylko większości sejmowéj, ale téż społeczeństwa owoczesnego.

Stanisław August w listopadzie 1788 nie rozumiał prądów, przenikających opinią publiczną: „duch opozycyi, pisał on, tak się rozmnożył nienawistnie przeciwko Rossyi we wszystkich stanach i rodzajach ludzi, że to jest prawie nie-do-uwierzenia“ (str. 206). Nie dziwi nas to zdumienie. Ale zadziwiają nas paragrafy 45 i 46, w których ks. Kalinka uzupełnia agitacyą pruską dwoma innemi czynnikami: „tyranią opinii w sejmie i na ulicy,“ oraz „wpływem kobiét na obrady sejmowe.“ Czytamy tu: „Katonów w Izbie nie mieliśmy wcale, ale *caeterum censeo* zburzyć radę wielu posłów w swych mowach powtarzało.“ W kilka dni po nocie Stackelberga rozdawano posłom kartki bezimienne, ogłaszające nieprzyjacielem ojczyzny, ktoby, odwołując się do traktatu z Rosyą, śmiał wstrzymywać wolność obrad. Po sesyi z d. 3 listopada, dawni stronnicy Szczęsnego Potockiego odpruli jego „barwy przyjacielskie“ i rzucili je na wzgardę przed jego pałacem. W izbie wstrzymywano wrzawą, przerwami i szyderstwami głosy mówców z partyi dworskiéj. „Przyszło do tego, że posłowie rozsądnie przemawiający uważali za konieczne głosy swe zaczynać albo kończyć przysięgą, że od nikogo żadnych pieniędzy nie brali. Suchorzewski ośmielił się powiedziéć, że jeżeli przyjdą listy o nowych mordach z Ukrainy, to śmierci swoich pomszczą się na Stackelbergu. Jakaś panna Poniatowska doznawała wielkiego prześladowania od kanoniczek warszawskich. Tych posłów, którzy jadali na zamku u marszałka nadwornego, przezwano pieczeniarzami, ale uchodziło tym, którzy korzystali ze stołów otwartych u Radziwiłła(?) i Czartoryskiego. Nawet stangreci i hajducy wołali: „czekaj ja lepszy bo ja patryotyczny, a tyś pieczeniarski;“ zdarzały się nawet bójki pomiędzy nimi. Damy przesiadywały po całych sesyach na galeryi, dając znaki posłom i senatorom przymilaniem ust, lub marszczeniem czoła, co się im podoba, a co nie podoba. Czartoryska, generałowa ziem podolskich, za każdym ostrym przeciw Katarzynie wyrazem wołała: bravo! w ręce klaskała albo wespół z damami otaczającemi wywijała szalami w powietrzu. Nadto mówcy tacy zaproszeni bywali na wieczorną kompanią do księstwa; wchodzących spotykały panienki z wieńcami i kwiatami ich obsypywały. Szczęsnowa Potocka była téż najczynniejszą agitatorką. „Te dwie damy, skarży się król, i wiele kobiét z niemi trzymających... przeciągają codzien-

nie posłów na stronę opozycyi.“ W dalsze szczegóły nie chce wchodzić ks. Kalinka. „I to cośmy przytoczyć musieli — dodaje on— niemiłe jest i ubliżające godności Polski i kobiéty i tém przykrzejsze dla czytelnika i dla piszącego, skoro mowa jest o kobiecie, która po upadku Rzpltéj niewątpliwie lepsze krajowi świadczyła przysługi i która, co ważniejsza, była matką najznakomitszego człowieka, jakiego Polska w w. XIX posiadała.“

Jako jeden z czytelników wyznaję, że wyliczone tu rysy nie wydają mi się tak dalece przeważającemi. Spokój i powaga surowa, jakiéj ks. Kalinka wymaga, praktykuje się w zgromadzeniach akademickich, ale nigdy prawie w politycznych. Przerywania, szyderstwa, śmiechy dają się słyszéć nawet w parlamencie angielskim; a co się tycze sejmu cztéroletniego, to przejezdny cudzoziemiec podziwiał owszem przyzwoitość obrad, porównywając je z wrzawą spółczesnego Zgromadzenia Narodowego we Francyi (1). Wszystkie inne rysy albo są niewinnemi zupełnie środkami agitacyi politycznéj, albo wyrazem rozbudzonego w społeczeństwie ducha, który wychodził już z pewnością nie z ust, ani z kancelaryi Lucchesiniego, kiedy sięgał aż do stangretów i hajduków. Był czas, i to niezbyt odległy, kiedy paręset kozaków mogło przeprowadzić kilku senatorów z Warszawy do Kaługi, a nikt na przestrzeni całego kraju nie sprobował nawet zatrzymać téj kawalkady. W kilka miesięcy późniéj znalazł się jeden 20-letni poseł, który w Izbie wypowiedział krótką protestacyą; z trudnością potém zdołał się ukryć na kilka godzin u Bernardynów, i przez kilka dni u Misyonarzy, a uciekając następnie za granicę, nie mógł podać do żadnych ksiąg grodzkich swego manifestu i zdołał téj formalności dopełnić dopiéro na Spiżu za pozwoleniem biskupa Węgra (2). Był czas, że taż sama księżna Czartoryska obdarzała czulszemi względami Repnina niż Lucchesiniego. W istocie zmiana była wielka: nie tylko w nowych ludziach — jak np. Julian Ursyn Niemcewicz, Weyssenhof etc., o których ks. Kalinka nie zapomina dodawać po razy kilka uwag, że byli „domownikami“ t. j. niby pieczeniarzami Czartoryskich, — ale nawet w ludziach dawnych, a czasem w starych grzesznikach. I potém z każdym nie już rokiem, ale miesiącem, tygodniem wzmagało się zajęcie sprawą reform, czyli raczéj sprawą przekształcenia całego ustroju Rzplitéj w całém spo-

---

(1) „Niema tu ani śladu owego nieprzyzwoitego krzyku, wrzasku, wycia, a tém mniéj kłótni i szyderstw, o których tak często czytamy w Monitorze, że zachodzą w Zgromadzeniu Narodowém francuzkiém“ (*Biester* u Liskego: Cudzoziemcy w Polsce, 1876. Lwów, str. 286).

(2) Wybicki.—Pamiętniki wyd. Raczyńskiego, t. IV, str, 84—85.

łeczeństwie — nie tylko szlacheckiém ale i w klasie mieszczańskiéj, a nawet włościańskiéj; drukarnie nie mogły zamówieniom podołać, odbitych w owym czasie broszur, dzieł, głosów, petycyj żadna biblioteka skompletować nie mogła, żaden historyk nie odczytał wszystkich; podług świadectwa niechętnego Polsce Inflantczyka-turysty, naród przeniknął się jakimś ogniem, do którego oddawna nie był zdolnym (1). Jesteśmy pewni, że to wszystko nie było dziełem ani Szczęsnowéj Potockiéj, ani Czartoryskiéj chociażby w spółce z Lucchesinim i ze wszystkiemi pannami, które wieńczyły mówców opozycyjnych; po cóż tedy one mają być obarczone tak ciężkim wyrokiem, jaki wydał na nie ks. Kalinka, zbyt żywo wziąwszy do serca skargę Stanisława Augusta, niewdzięcznego zdobywcy serc niewieścich, a niegdyś podobno i serca generałowéj ziem podolskich? Nie śmiemy narzucać, ani formułować obecnie zdania swego o wartości dwóch naszkicowanych tu stanów opinii publicznéj, czyli raczéj usposobienia narodu, tak różnych na przestrzeni jednego dwudziestolecia: twierdzimy tylko, że ich wyrozumiéć niepodobna ani z korespondencyi Stanisława Augusta, ani z Pamiętników Kitowicza, ani z rękopismu Kossakowskiego, oraz że użyty przez ks. Kalinkę wyraz „tyrania“ o Warszawie z r. 1789 jest, co najmniéj, zbyt mocny, gdyż może czytelnikowi nasuwać przypomnienie gilotyny, teroryzmu sans-culotte'ów i t. p. scen rewolucyi francuskiéj, która się właśnie wtedy zaczynała.

Nareszcie zaprzeczyć raz jeszcze musimy i myśli przewodniéj i napisowi księgi drugiéj: „Obalenie rządu.“ Departament Wojskowy odbył ostatnie swe posiedzenie d. 11 listopada a d. 21 grudnia nastąpiło już otwarcie Komisyi Wojskowéj, która zbierała się codziennie, częstokroć po dwa razy; jakkolwiek trafnemi są krytyczne uwagi ks. Kalinki nad wadliwością jéj składu i przewagą komisarzy cywilnych nad wojskowymi (str. 281, 282), to jednak nie godzi się spuszczać z uwagi, że dzieła jéj, w porównaniu z dziełami Departamentu Wojskowego, są olbrzymie tak w zakresie organizacyi wojska, jako téż zaopatrzenia arsenału. Departament interesów zagranicznych, według wyznania samego ks. Kalinki (str. 258) istniał tylko z imienia; ustanowienie więc Deputacyi Interesów Zagranicznych d. 10 listopada odejmowała tylko bezpośrednie kierownictwo Stanisławowi Augustowi — czy ze szkodą dla kraju? Chyba że nie: pomimo wadliwości urządzenia i braku tradycyi dyplomatycznéj, posłowie jéj lepszego przecież doznawali za granicą przyjęcia, prowadziła ona

(1) „In der That setzte er (sejm) die Nation in ein Feuer, dessen man sie seit lange nicht mehr fähig geglaubt hatte“ — *Reise eines Liefländers* von Riga nach Warschau etc. 1802 t. IV, str. 29.

zaszczytniejsze układy (ze Szwecyą, Holandyą, Anglią, Francyą, Turcyą, Prusami, Kaunitzem) niż Stanisław August ze swą kancelaryą. Jeśli sekret dyplomatyczny nie był zachowywany pomiędzy 16 członkami deputacyi, toć i w departamencie i w otoczeniu królewskiém tajemniczość nie była bynajmniéj ściślejszą. Zniesienie Departamentu Skarbowego nie wywołało najmniejszego zamięszania w biegu interesów, bo zresztą przy bardzo szczegółowych badaniach działalności zarządu skarbowego, napotykaliśmy chyba zupełnie błahe ślady interwencyi Departamentu w czynności Komisyi Skarbowéj w ciągu całego poprzedniego okresu. W sprawach policyjnych nastąpiła zwłoka, ponieważ Komisya Policyi zagaiła swe posiedzenia dopiéro d. 4 lipca 1791 r.; zważywszy jednak, że dawny Departament Policyi, jak widzimy z protokułów jego, trudnił się wyłącznie prawie administracyą funduszu propinacyjnego i porządkowaniem miast niektórych; zważywszy, że sprawa miejska wytoczyła się przed sejmem w r. 1789 w postaci wielce skomplikowanéj; że otrzymała rozwiązanie takie, na jakie nigdyby się nie zdobyli ani Rada Nieustająca, ani sam Stanisław August przy wszystkich swoich niezaprzeczonych na tém polu zasługach: wnioskujemy, że ta zwłoka była nieuniknioną, konieczną, a w skutkach dla kraju dobroczynną. Zwinięty był zupełnie tylko Departament Sprawiedliwości. O ile działalność jego była pożyteczną lub dokuczliwą? nie wiem. W każdym razie przecież są to sprawy procesowe, prywatne; wszystkie sądy pozostały czynnemi; sejm zreformował swemi konstytucyami sądownictwo graniczne, asesorye i trybunały; wyznaczył deputacyą do zredagowania Kodeksu Praw; narzekań na zatamowanie lub spaczenie wymiaru sprawiedliwości nie wywołał żadnych: nie widzę tedy zasady do postawienia mu w tym punkcie zarzutu.

Oto są wszystkie departamenta Rady Nieustającéj. Czyliż zniesienie jéj sprowadziło anarchią, nieład, albo jakiekolwiek zamięszanie w biegu spraw państwowych? ks. Kalinka tak mniema i wyrazem „anarchia" posługuje się zwykle, skoro mówi o „sejmie rządzącym" (np. str. 495), ale akta władz wszystkich i suma dzieł dokonanych nie usprawiedliwia tego wyrazu.

III.

Księga III pod ogólnym tytułem „sejm rządzący" obejmuje dzieje roku 1789: wycofanie wojsk rossyjskich z Polski, trwogi ukrainne, podatki i wojsko tudzież przygotowania do przymierza z Prusami. Koloryt w niéj jest już mniéj ponury, kontury osób działających mniéj ostre. Charakteryzując skład sejmu podług fachowych uzdolnień, ks. Kalinka oznacza wartość jego nieco niżéj od rzeczywi-

stości: tak np. do rzeczy finansowych zna „jedynego“ Moszyńskiego, który „miał nieco doświadczenia i nauki w rzeczach skarbowych; on też ułożył najlepszy projekt podatkowy, który... nie został przyjęty“ (str. 409). Tak skromnemu określeniu znacznie więcéj członków mogłoby sprostać: jako minister zasiadał i przemawiał często podskarbi Kossowski, człek nie uczony i nie pomysłowy, ale z techniką skarbowości dobrze obeznany, gdy od r. 1764 uczestniczył w Komisyi Skarbowéj Koron.; od roku zaś 1775 przewodniczył jéj z przykładną pracowitością i gorliwością, jak świadczą jego podpisy i cyfry na wszelkich raportach, rachunkach, dyspozycyach skarbowych. Na ławach poselskich zasiadał od ziemi gostyńskiéj, od r. 1764 pisarz tejże Komisyi Skarbowéj Koronnéj czyli dyrektor jéj biura, na każdym niemal sejmie zaszczycany pochwałami, urzędnik sumienny i gorliwy, rzeczy polskich przynajmniéj dobrze świadomy, skoro Czacki odwoływał się do jego wyjaśnień w badaniach swoich finansowo-historycznych. Sam Czacki już od końca r. 1786 sprawował z nadzwyczajną gorliwością i ofiarnością urząd komisarza skarbowego, projektował i przeprowadzał ulepszenia w administracyi, pisał dla deputacyi interesów zagranicznych uczone noty o stosunkach cłowych i potrzebach handlu wywozowego; posłem wprawdzie nie był, ale głos jego z komisyi dochodził: zresztą niedługo zaczął osobiście przemawiać w izbie, jako delegat Komisyi Skarbowéj Morski, poseł, późniéj kasztelan kamieniecki, wychowaniec korpusu kadetów, umiał ułożyć wcale dobre sprawozdanie z rewizyi czynności Komisyi Koronnéj z lat czterech. Strojnowski, poseł wołyński, wystąpił wprawdzie z dziełami ekonomicznemi dopiero na początku XIX wieku: niezawodnie jednak posiadał i zdolności i pewne wykształcenie teoretyczno-finansowe podczas sejmowania, jak świadczą głosy jego. Takich zaś posłów i senatorów, którzy „nieco doświadczenia nabyli“, urzędując jako komisarze skarbowi, znalazłoby się kilkunastu. A Moszyński miał wielką sławę nawet za granicą i pruscy dygnitarze jak np. autor cennego dzieła o Polsce, Holsche, tytułują go mianem „znakomitego męża stanu“. Biegłym był wszakże nie jako finansista-teoretyk ale jako rachmistrz-statystyk; jako obywatel zaś, lubo nie brał nigdy pensyi cudzoziemskich i posiadał reputacyą nieskazitelnéj prawości, odegrał taką rolę w r. 1793, że o mało nie trafił na szubienicę razem z Kossakowskim i Ożarowskim. Był sknerą i ta zapewne wada wyrodziła w nim egoizm krańcowy, który nie pozwalał mu na popieranie szczere jakiegokolwiek projektu, zmierzającego do uszczuplenia intraty z dóbr. Żywioł wojskowy, obliczony na 13 do 14 osób, w istocie był słaby i niezdatny, ale temu sejm nie winien, kiedy w narodzie oddawna wojskowość

znikła. W imię sprawiedliwości, żądalibyśmy wszakże od ks. Kalinki dodatku, że Stanisław August i otoczenie jego nie lepiéj też znało się na kwestych wojskowych oraz, że wykonana przez Rzewuskiego lustracya wielu oddziałów wojska była pożyteczną.

Nie pominął też ks. Kalinka, powtarzanego zwykle a najczęściéj przez samych mówców sejmowych, zarzutu o gadulstwie i nieładzie w obradach (str. 406 nast.); dodał jednak, lubo w innym miejscu (str. 573), że podobnie działo się w zgromadzeniu francuskiém pomimo obecności w niém tak utalentowanego do walki i prac parlamentarnych szermierza, jakim był Mirabeau (1). Mybyśmy ujęli jeszcze trochę ciężaru temu zarzutowi, zwracając uwagę na nowość i trudność rozbieranych na sejmie przedmiotów. Zgromadzenie francuskie miało po za sobą długi okres przygotowawczy w agitacyi literatów i tak zwanych filozofów, którzy nowy ustrój społeczny opracowali już w zasadzie i w ideałach; w Polsce myśli reformy krążyły od lat kilku zaledwo i w szczuplejszych kołach; dopiero podczas rozpraw zwolennik jakiejś reformy nawracał większość; dopiéro tą drogą wyjaśniały się zasady i środki możliwe. Łatwo nam widzieć wszystkie wady sejmowania, gdy pisarz XIX w. ustawi przed oczyma naszémi zwierciadło mądrości: nie zapominajmy jednak, że wiele rzeczy, które się dziś wydają prostemi i jasnemi jak słońce, przedstawiały się zagadkowo umysłowi człowieka z w. XVIII. Lubo więc odczytywanie sprawozdań sejmowych wymaga w istocie dużo cierpliwości, a nawet wytrwałości: skłonni przecież jesteśmy do pobłażania czyli raczéj do wyrozumiałości tém bardziéj, że przewlekanie rozpraw w pierwszym roku w znacznéj części wynikało z regulaminu r. 1768, zwanego zwykle Repninowskim, który zalecał roztrząsanie projektów przez punkta i słowa; sejm usunął tę metodę uchwałą z d. 21 lutego 1791 i odtąd obrady poszły już żwawo.

W ocenie uchwał pojedyńczych ks. Kalinka surowo gani zabór dóbr biskupstwa krakowskiego i rachunkiem, zaczerpniętym od biskupa Skarszewskiego (str. 475) wykazuje, jak błahe skarb odniósł korzyści z tego zaboru. Obliczenie nie zgadza się z rachunkami Komisyi Skarbowéj i Kosowskiego, nie uwzględnia pracy kuźnic samsonowskich i suchedniowskich na opatrzenie wojska obróconych. Wadą prawa o biskupstwach było chyba oznaczenie zbyt wysokich pensyj dla biskupów—po 100.000 złp., gdy w bogatéj Francyi prawie

(1) A wszelkie wyrzekania na sejm polski bledną w obec obrazu Konstytuanty francuskiéj, nakreślonego przez *H. Taine'a*: Les Origines de la France Contemporaine. La Révolution Tome I Paris Hachette 1878 str. 145—153, 161—165.

jednocześnie wyznaczono tylko po 10.000 liwrów rocznie. Bo że władza narodowa we wszystkich krajach europejskich reformowała posiadanie dóbr kościelnych, to było rzeczą znaną i praktykowaną już przed końcem XVIII wieku, poczynając od czasów reformacyi.

Uchwała o podatku, zwanym ofiarą 10-o grosza, w oczach ks. Kalinki „stała się tylko patryotyczną przechwałką, zapał narodowy płomieniem ze słomy“ (s. 438). Uwierzywszy wyrzutom i oskarżeniom, rzucanym w zapale sporu przez posłów i publicystów, autor odniósł małą wydajność tego podatku do „długich nawyknień sobkostwa i nierzetelności“; zarzuca też sejmowi, że obliczenie podatku oparł na wyznaniach właścicieli ziemskich lub ich ekonomów przed komisarzami wybranymi z grona tychże właścicieli ziemian: zarzuca społeczeństwu krzywoprzysięstwo; ubolewa nad odrzuceniem projektu Moszyńskiego o szacowaniu dóbr „podług tranzakcyj“ czyli kontraktów sprzedaży, dzierżawy, zastawu w ostatniém dziesięciuleciu zeznanych. I w tym punkcie musimy wziąć w obronę sejm i społeczeństwo. Suchorzewski, zacny Zakrzewski, a szczególnie Trypolski w głosach swoich (1) wykazali niedokładność w przepisach samego prawa, oraz niejednostajność w szacowaniu zboża i cen pańszczyzny, jako główną przyczynę różnic w taryfach ofiary; był przytoczony przykład uderzający na dobrach Smilańskich księcia Potemkina, z których Komisya Bracławska wyliczyła tylko 105.000 a Kijowska 150.000 złp. podatku, chociaż obie z równą sumiennością czynność swoję wykonywały. Znalazło się ogółem tylko 13 ziem i powiatów, w których intrata była podana ogólnikowo i na wniosek marszałka sejm kazał przesłać napomnienie owym 13-komisyom. Przy reformie tak wielkiéj, skomplikowanéj i zupełnie nowéj, uchybienia w instrukcyi i w wykonaniu są nieuchronne, to raczéj zasługuje na podziw, że nowy podatek, zdaniem dzisiejszych nawet finansistów (np. prof. Bilińskiego) był mądrze pomyślany w zasadzie i głównych zarysach; co do wykonania zaś dość powiedzieć, że cała czynność ukończoną została niespełna w pół roku, bez żadnych kosztów dla skarbu przez 1.200 osób ze szlachty osiadłéj; taką operacyą nie wiem czy zdołałaby wykonać najsprężystsza administracya biurokratyczna. Odrzucenie projektu Moszyńskiego o szacowaniu dóbr podług tranzakcyj nastąpiło wcale nie z pobudek sobkostwa, ale w chęci przyśpieszenia operacyi szacunkowéj, a że się sejm w tym razie nie omylił, świadczy dowodnie działalność Deputacyi Koekwacyjnéj, do któréj wchodził sam Moszyński i która podług jego projektu postę-

(1) Dziennik Czynności Sejmu Gł. Warsz., sesya 188 z d. 3 listop. 1789, sesya 225 z d. 23 lutego i sesya 249 z d. 19 kwietnia 1790 r.

pować miała: cóż uczyniła? Pomimo sześciu prolongat, aż do r. 1792, do ostatniéj limity sejmu nie ukończyła dzieła swojego; pozostało po niéj, o ile nam wiadomo, kilka plik do żadnego użytku nie zdatnych. Rząd pruski, mając do czynienia z małą stosunkowo częścią rozebranego kraju, jeszcze w 1804 r. nie ukończył szacunku dóbr podług dowodów hipotecznych, mianowicie w departamencie płockim. Czyliżby skarb rzplitéj lepiéj wyszedł na tych dokładnych procederach? Zresztą czyliż tak źle wykonaną była czynność komisarka? Z głosów sejmowych wnosić należy, iż dziesiąty grosz był obliczony sumiennie tylko w województwach ruskich, że największe nadużycia działy się na Mazowszu i w Wielkopolsce, a jednak Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, w tych właśnie prowincyach operujące, wzięło ofiarę za podstawę do udzielania pożyczek swoich. Co dziwniejsza, podatek ten do dziś dnia po upływie blisko stulecia, po zmianie tylu rządów, jest osią systematu podatkowego w Królestwie Kongresowém.

W sprawie miejskiéj ks. Kalinka nie chwali „żałobnéj procesyi" mieszczan, ich manifestacyj i memoryału z frazesami zapożyczonemi przez Kołłątaja u rewolucyonistów francuskich, ale zresztą przyznaje Dekertowi wielkie zasługi, a sejmowi dobrą wolę (1).

Z gorącém uznaniem ks. Kalinka mówi o Komisyach Porządkowych cywilno-wojskowych, jednakże przy zamknięciu tomu dodaje, że „na prowincyach przywłaszczyły one sobie władzę sądową i wielu ludzi, może niewinnych, umęczyły więzieniem, batogami i karą gardłową" (str. 573). Nie znamy faktów takich, a nawet uważamy je za nieprawdopodobne, chyba słowa te mają się stosować do komisyj prowiantowych, które dopuściły się nadużyć podczas panicznéj obawy buntów chłopskich na Rusi, ale które nic spólnego nie miały z utworzonemi późniéj Komisyami Porządkowemi. Nie wiemy téż, na jakich dowodach oparł ks. Kalinka twierdzenie, że „Komisya Wojskowa zaciągała żołnierzy, a skarbowa odmawiała im żołdu i musiano rozpuszczać to, co zaciągniono" (str. 573). W aktach obu magistratur widzieliśmy zawsze dowody życzliwego i gorliwego współ-działania; niejednokrotnie owszem komisarze obu władz porozumiewali się na wspólnych konferencyach, a żądania Komisyi Wojskowéj były załatwiane zwykle w ciągu tego samego dnia.

---

(1) W szczegółach zakradły się tu pomyłki: Bars Franciszek nie był bankierem (str. 503) lecz adwokatem i jednym z najznakomitszych ludzi owéj epoki; monopolista tytuniowy nazywał się nie Rafanowicz (tamże) ale Andrzéj Rafałowicz: Kraków liczył w r. 1778 niespełna 9.000 mieszkańców (str. 507), ale bez Kazimierza, Stradomia i Kleparza, podług naszéj rachuby w r. 1788 Kraków z przedmieściami liczył około 20.000 mieszkańców.

Ozdobą księgi trzeciéj, nieoszacowanym jéj klejnotém jest charakterystyka rezydenta w Petersburgu Debolego i korespondencya z nim Stanisława Augusta. W istocie „jedyna to w swoim rodzaju korespondencya dyplomatyczna. W niéj role piszących zupełnie wywrócone: poseł zdaje się przesyłać instrukcye, przestrogi, upomnienia, nawet wyrzuty pełne patryotycznego zapału, niekiedy i oburzenia; a król słucha, tłómaczy się, czasem odpiera, lecz zwykle w końcu poddaje się“ (str. 521). Cały ten paragraf wart przepisania, gdyby miejsce pozwalało. Zanotujemy przynajmniéj dwa rysy 1) Deboli przedstawiał jak niewłaściwém jest, aby król przesyłał wszystkie wiadomości a nawet raporta swych agentów Stackelbergowi i aby do takiego pośrednictwa używany był Komarzewski (str. 522) 2) w r. 1789 Deboli został zwolennikiem przymierza pruskiego i wciąż przekonywał Stanisława Augusta, że należy się zbliżyć do przywódców większości sejmowéj, szczególnie do Małachowskiego (str. 521). Ks. Kalinka wybornie uwydatnił piękne strony i wysokie cnoty nieznanego dotychczas dyplomaty i wydostał z ukrycia znakomite a czyste imię.

W paragrafie ostatnim, oglądając się na epokę opowiedzianą, ks. Kalinka łagodzi znacznie sądy lub zdania wygłoszone przy wykładzie faktów pojedyńczych, to téż czytelnik zamyka książkę z usposobieniem pogodniejszém a przynajmniéj spokojniejszém, niżby przewidywać można z księgi drugiéj. I tu jednakże powtarza się motyw główny dzieła, że sejm, wydarłszy władzę królowi, pochwyciwszy ją dla siebie, wywołał anarchią.

Zwalczaliśmy ten pogląd może ze zbyteczną zaciętością. Nie chcielibyśmy jednak popaść w podejrzenie, iż pracy ks. Kalinki uszanować i ocenić nie umiemy. Pzeciwko takim posądzeniom zastawimy się oświadczeniem, żeśmy się z niéj dużo uczyli. Część dyplomatyczna, stosunki i plany dworów, kombinacye polityki zagranicznéj skreślone są w sposób wyczerpujący piórem mistrzowskiem. Nie godzimy się z szanownym autorem w pojmowaniu spraw domowych. Spotkaliśmy się w badaniach na jednéj epoce, aleśmy patrzyli na społeczeństwo z dwóch wielce różnych stanowisk, my z dołu, ks. Kalinka ze szczytów, z kancelaryi dyplomatów, z tronu Stanisława Augusta. Ztąd różnica rezultatów i wniosków. Pogodzenie ich wszakże nie jest niemożliwem; pochlebiam sobie nawet, że przy końcu badań, na ostatnich kartach prac naszych, znajdzie się jeśli nie jednomyślność, to przynajmniéj zgodność jakiéj z ksiąg początkowych nie możnaby wywróżyć.

Tadeusz Korzon.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Z przeszłości. Fragmenty dramatyczne przez Maryę Konopnicką (Wydawnictwo E. Orzeszkowéj tomik 57). Wilno 1881. str. 104. — *Wisła.* Fantazya przez Laokadyę Jordan-Wierusz. Warszawa 1880 r., str. 32.

Wierszy u nas dzisiaj nie brak, ale prawdziwéj poezyi — bardzo mało. Nie może być zamiarem krótkiego sprawozdania rozpatrywać przyczyny tego zjawiska, dość tu zaznaczyć jego istnienie, powszechnie i to nie od dzisiaj za fakt nieulegający zaprzeczeniu uznany. Z roku na rok wybłyska „ze złotych obsłonek“ jakiś kwiatek, który na chwilę pozyskuje spółczucie „kochanków poezyi,“ lecz niebawem kwiatek ten więdnie, żółknie, tak, że go trzeba umieścić pomiędzy kartkami księgi wspomnień. Takiemi kwiatkami były swojego czasu poezye Mirona, późniéj Ordona, jeszcze późniéj Maryi B(artusówny)... Rok 1880 przyniósł nam „pierwiosnki“ p. Maryi Konopnickiéj, nie dla tego, jakoby dopiéro w roku zeszłym po raz pierwszy pojawiły się, ale dla tego, że o nich dopiéro w roku zeszłym zaczęto pisać z uwielbieniem, z entuzyazmem, że dopiero wtedy barwę i woń tych kwiatków zauważono. Jakże krótko jednak trwało upojenie! Ci sami, którzy nie mogli oderwać oczu od „pierwiosnków,“ którzy widzieli wszystkie piękności razem w nich zebrane, spojrzeli już zukosa na „fragmenty dramatyczne;“ ani ich woń ani barwa nie przypadły już im do smaku.

I dla czego? Oto wyłącznie chyba dla tego, że pani Konopnicka obrała za temat fragmentów swoich przedmiot, który dla pewnéj części nie społeczności ale prasy naszéj wydaje się wstrętnym i niebezpiecznym. Przedmiotem tym, jest walka genialnéj jednostki z têm czego nie można nazwać inaczéj jak po prostu rutyną: rutyną społe-

czną, polityczną, naukową, artystyczną, kościelną. Rutyna ta ma niewątpliwie za podstawę jakieś wielkie ideje, które były lub jeszcze dotąd są żywotnemi; stosowanie atoli idej tych do życia, staje się z biegiem czasu martwym formalizmem, krępującym rzutniejsze jednostki w ich swobodném dążeniu do prawdy lub piękna. Można mieć najgłębszą cześć dla samych idej a mimo to występować do boju z ich widomemi przedstawicielami, którzy idej tych właściwie już nie przedstawiają, lecz spoczywając na laurach zdobytych przez swoich poprzedników, chwaląc się z zasług, położonych niegdyś nie przez siebie, uważają za rzecz dla siebie dogodną zatrzymać w pewném oznaczoném miejscu ruch myśli ludzkiéj a płomień uczuć ludzkich skierować ku jednemu tylko ognisku. Powstawanie przeciwko rutynie uważa się przez niektórych za bunt przeciwko samym ideom; a nawet malowanie takiego powstawania poczytuje się za rodzaj występku. Ci obrońcy niby-to idéj a właściwie rutyny, występują przeciwko wrogom rutyny pod hasłem wielkiém i pięknem— solidarności narodowéj. Mieliby zupełną słuszność, gdyby zbyt często nie zapominali o tém, że solidarność owiec, biegnących kupą za prowodyrem nie może być ideałem ani ludzi rozumnych, ani ludzi szlachetnych, i że gdyby wszyscy zostali wiernymi zwolennikami *takiéj* solidarności, wówczas niepodobna byłoby mówić o jakimkolwiek postępie w rozwoju społeczeństwa, a co większa solidarność taka nie ku szczęściu lecz ku zgubie prowadzićby mogła.

Słowa te wysyłam raczéj pod adresem tych publicystów, którzy we fragmentach pani Konopnickiéj widzą jakiś groźny zamach na kościół i którzy za zasługę obywatelską poczytują wystąpienie przeciwko nim, aniżelibym miał je zwracać do samych prac uwielbianéj przez cały rok poetki. Uważam je owszem za tak niewinne, że nawet rozważny konserwatysta gorszyć się niemi nie powinien. Nie podrywa to jeszcze znaczenia kościoła, że Hipatya została zabita przez tłum chrześciański pod dowództwem mnicha, albo że Wezaliusz lub Galileusz przez inkwizycyą więzieni byli. Same te fakta wzięte osobno mogą dowodzić, że i wśród zakonników chrześciańskich, mogły być takie same namiętności, jak wśród zachowawców ateńskich, którzy Sokratesa na śmierć skazali, a powtóre, że kościół w rzeczach naukowych powagi nie stanowi i częstokroć mylić się może. Nie tylko pojedyńcze fakta, ale instytucye nawet całe mogą świadczyć, że kościół w danéj chwili nie pojmował lub nie spełniał swego nadania; konserwatysta może to uznać, a jednak o samym kościele zwątpić nie potrzebuje. Zdaje się nawet, że w tym właśnie duchu i p. Konopnicka napisała swoje fragmenta; przedstawiając bowiem bolesne losy bohatérów swoich nigdzie nie oskarża kościoła

wprost, lecz tylko ludzi pojedyńczych albo korporacye kościelne, a jednemu z obrońców Galileusza kardynałowi Bandini wkłada w usta słowa następne:

. . . . Słuchaj, jeśli kościół
Pochwyci wielką postępu pochodnię
I nieść ją będzie przed pracą ludzkości;
Jeżeli sztandar wolności rozwinie
Po nad ścieśnione granice czczych sporów
I godną bóstwa swobodę obwleści
Dla niezależnych umysłów i duchów;
Jeżeli schwyci przewodnią myśl ruchów
Wieku, co na świat wydaje w boleści
Tryumfy prawdy, jeżeli sam wniesie
Pochodnię wiedzy w zwątpienia otchłanie
I w drodze takiéj wyprzedzić się nie da: —
To będzie wielkim!... to będzie tak wielkim,
Jak Bóg gdy wyrzekł: niech światło się stanie;
I czasy jego nad których poziomem,
Wybłyśnie, będą wielkiemi czasami!...

Kto w ten sposób przemawia, ten zapewne zburzyć kościoła nie pragnie.

Tyle o tendencyi. Co się tyczy wykonania artystycznego, nie można go nazwać zadawalniającém. W talencie p. Konopnickiéj zawsze więcéj widziałem żywiołów retorycznych aniżeli istnie poetycznych, cecha ta we fragmentach wystąpiła o wiele jaskrawiéj niż w poezyach lirycznych luźnie drukowanych. Są wprawdzie i tu niepospolitéj piękności ustępy, są wymownie skreślone rwania się duszy do światła, są wzloty myśli wgórę; ale nie ma tego, czego w poezyi, zwłaszcza dramatycznéj, przedewszystkiém szukamy, nie ma ludzi prawdziwych, rzeczywistych. Zarówno Hipatya, jak Wezaliusz i Galileusz są to nerwowi, rozgorączkowani retorowie, którzy niczém więcéj jak retorami nie są; umieją dobrze deklamować, prawić ogólniki nie oryginalne wprawdzie, ale podniosłe i do umysłów mniéj przygotowanych łatwo przemawiające, a czasami chwytające za serce, brak w nich atoli rozmaitości temperamentu i charakteru, jaka w jednostkach ludzkich nieraz tak wybitnie się uwydatnia; są to raczéj tyrady uosobione, aniżeli ludzie z różnorodnemi ustosunkowanemi uczuciami, pragnieniami i popędami. Nic tu nie znaczy uwaga, że trzy te osobistości znajdują się w jednakowéj kolizyi, boć właśnie w odmiennén zachowaniu się wśród analogicznych stosunków odbija się odmienność usposobień ludzkich. Ale nie tylko główne postaci są jednostajne; toż samo mniéj więcéj powie-

dzieć można o wszystkich innych, nawet podrzędnych, nawet z ludu. Wszędzie skłonność do rozumowania, subtylizowanie wyrazów, posługiwanie się wyszukanemi przenośniami, wszędzie niemal brak prostoty i naturalności. Stosunkowo najwięcéj różniczek drobnych znajdujemy we fragmencie trzecim, opowiadającym losy *Galileusza* (uporczywie *Gallileuszem* nazywanego). Tu jest przynajmniéj w osobie kardynała Barberiniego szczypta ironii, która umysłowi jasnemu i rozważnemu, nie chcącemu jednak pozbawiać się korzyści wysokiego położenia w hierarchii, nasuwa pomysły i frazesy drwiące spokojnie, bez uniesień, a więc wybornie kontrastujące z patetycznym nastrojem innych osób, które tą patetycznością w końcu nużą.

Zdaje się, że poetka rozmyślnie lekceważy sobie rzeczywistość, bo jak w pojęciu duszy ludzkiéj zeszczupliła ją ogromnie, tak samo w pojęciu chwil dziejowych nie umie czy nie chce dopatrzéć różnic, ale przedstawia wszystkie powleczone kolorytem jednostajnym. Ci mnisi, którzy nastają na życie Hipatyi, w niczém się nie różnią od mnichów i księży z XVI i XVII wieku, tak jakby to były niezmienne jakieś symbole, a nie żywe osoby. Lekceważenie rzeczywistości widoczne jest również w budowie fragmentów, gdzie nieprawdopodobieństwo dość znaczną odgrywa rolę i nawet w drobnych szczegółach, w takich np. jak zaliczenie Justyna do szkoły aleksandryjskiéj, choć do niéj nie należał, jak umieszczenie Bonifacego ósmego w wieku XV, choć tenże żył w końcu XIII-go, jak rozprawianie o *giermkach* w Aleksandryi i t. p. niewłaściwości. A kiedy już mowa o tych szczegółach, warto także dotknąć kwestyi uwielbienia, jakim poetka otacza Galileusza. W uwielbieniu tém poszła oczywiście za zwyczajem dość dawnym, nie zdając sobie sprawy z tych odkryć, jakie porobiły nowsze poszukiwania, odnośnie do życia tego astronoma. Gdyby się p. K. była zastanowiła nad tém, możeby powściągnęła swój zapał, możeby doszła do przekonania, że Galileusz nie ma prawa liczyć się do grona tych dzielnych mężów, co myśli swoje najgłębsze gotowi poprzéć ofiarą życia bezwarunkową. Galileusz, jak się okazuje z akt procesu, był to człowiek utalentowany i uczony, ale chętnie naginający się do wymagań spółczesnéj rutyny, a w obronie swojéj wobec inkwizycyi nie tylko daleki od śmiałego przeciwstawienia się panującemu prądowi, ale używający nawet kruczków sofistycznych dla usunięcia wszelkich podejrzeń, jakoby miał wyznawać wyklętą teoryą Kopernika. Stąd też owo sławne *e pur si muove* poczytuje się dzisiaj za wyrażenie w ustach Galileusza wobec inkwizycyi niemożliwe; a początek powstania jego, odnoszą do stosunkowo bardzo świeżéj daty. (Zobacz artykuł prof. Reuscha w *Contemporary Review*, r. 1880, zeszyt październikowy). Nie uspra-

wiedliwia to bynajmniéj prześladowców Galileusza, których słusznie napiętnować należy, ale nie dowodzi, żeby Galileusz chciał był zostać męczennikiem swoich przekonań.

Jeżeli teraz zechcemy sobie zsumować a raczéj sformułować ogólne wrażenie, to wyznać będziemy musieli, że pomimo wady artystyczne, fragmenty pani Konopnickiéj nie spadają na poziom pospolitych wyrobów wierszopisarskich, co zapewne przyznać zechcą nawet przeciwnicy tendencyi przez poetkę przeprowadzonéj. Objaśniamy zdanie nasze. Znaczenie utworów p. Konopnickiéj niewątpliwie ma źródło w żywiole myślowym tych fragmentów, w tém, że poetka potrąciła o zagadnienia ważne i interesujące. Poetyczne wyrażenie potęgi cywilizacyi, pracy ludzkiéj, niekończącéj się nigdy, przez trudy, cierpienia i męki dobijającéj do krainy światłości, obudza uczucia szlachetne, napawa słodką nadzieją, że usiłowania chociażby napozór drobne nie zginą dla ludzkości, bo jak słusznie i pięknie powiada Wezaliusz:

Mylisz się, Sylvio, ta praca zagasła
To ostudzone ogniwa łańcucha,
Którego nowe przeguby i skręty
Nazwane jutrem myśli i przyszłością
My dziś w ognisku wykuwamy ducha.
Strażnica wieków zdaje swoje hasła
Nowozaciężnym szermierzom wyłomu.
W czasie nie ginie nigdy trud podjęty
Ani energii przerobionéj suma.....
A myśl, co w ciszy o wszechświecie duma,
Niech się nie zdaje stracona nikomu...
Wieki ją przyszłe odnajdą, obaczą
I o nią wielkie ruchy swe zahaczą.

Niech sobie co chcą gwarzą ci, co z akademicką powagą odradzają poetce zapuszczanie w sferę teoryj filozoficznych i sporów scientyficznych, jako podcinających skrzydła wszelkiéj fantazyi, dla mnie rzeczą jest niewątpliwą, że myśl ratuje ułomne artystycznie dzieło, czy to będzie na wielką skalę poemat jak Faust, czy fragment maleńki, jak twory pani Konopnickiéj.

Czém jest ułomna poezya bez podpory myśli, można widziéć np. z fantazyi p. n. *Wisła.* Wiersze wogóle są tu dość poprawne, język częstokroć obrazowy, pomysł pomimo fantastyczności dość jasny, a jednak wrażenie jakiego doznajemy po przeczytaniu tego utworu, jest ujemne. Rybak jakiś dostaje się w moc nimfy Wisły, która go zaprowadziwszy do swego podwodnego państwa, otacza miłością gorącą. Biedakowi jednak nudzi się w głębi fal wodnych.

a gdy przypadkiem usłyszał skargi mnóstwa dusz zamordowanych przez nimfę, gdy się sam przypatrzył, jak Wisła utopiła młodego chłopca wraz z matką, porzuca ją i zostawia jéj przestrogę, żeby „odmieniła swe życie.“ Przestroga ta miała poskutkować, odtąd jak powiada autorka ofiary Wisły są mniéj liczne. Pomysłem tym przeniesieni zostaliśmy w czasy fantastyki romantycznéj, kiedy nie chodziło tyle o myśl, ile o nadzwyczajność i cudowność wydarzeń. Gdyby *Wisła* ukazała się była choćby o 30 lat wcześniéj, możeby znalazła wielbicieli; dzisiaj wydaje się utworem nie z tego świata, wydaje się sennėm marzeniem duszy, która w bladych kształtach odtwarza to, co niegdyś wyczytała w książkach lub zasłyszała z ust ludu. Fantazya ta nie zadawalnia ani dążności do prawdy, ani rwania się ku ideałom; nie ma ani subtelności ani siły; słowem jest klejonką efermeryczne tylko znaczenie mającą. Jeżeli zaś miała to być dobrze ukryta alegorya wymierzona przeciw kokieteryi, to możnaby zapewnić autorkę, że kokietki czytając „Wisłę“ prędzéj się znudzą aniżeli poprawią.

Die Sommernacht. Aus dem polnischen des Sigmund Krasiński von Heinrich Blumenstock (W X-ym roczniku pisma zbiorowego „Dioskuren,“ str. 145—176).

Pan Henryk Blumenstock znany jest jako gorliwy rozpowszechniacz wśród Niemców wiadomości o poezyi polskiéj ostatniego okresu. Za główny organ propagandy obrał sobie pismo zbiorowe wydawane od r. 1873 przez urzędników austryackich w Wiedniu, zwane *Dioskuren.* W każdym prawie jego roczniku znajduje się krótka i zwięzła ale zwykle trafna charakterystyka jednego z wybitniejszych poetów naszych. W ten sposób zapoznał p. B. Niemców z Bohdanem Zaleskim, z Antonim Malczewskim, z Mickiewiczem i z innymi. W przeszłym roku (t. j. w IX roczniku „Dyoskurów“) podał na 21 stronicach analizę „Nieboskiéj komedyi,“ obecnie otrzymujemy całkowity przekład „Nocy letniéj“ Zygmunta Krasińskiego. Wielkie i szczere zamiłowanie w pięknościach poezyi naszéj odbija się w pięknie dokonanych studyach i w tym pierwszym pióra jego przekładzie poetycznéj prozy. Nie wiemy, jak się ona spodoba Niemcom, ale nie sądzę, ażeby ich zbytecznie raziła, toć oni przyzwyczajeni są do daleko większych nie powiem swobód ale wybryków stylu Jana Pawła; a niektórzy lubują się w nich nawet. Tłómacz trochę łagodzi niektóre rezykowne wyrażenia poety naszego, robiąc smakowi spółczesnemu ustępstwo. Tak np. zaraz z początku frazes: „I w jéj *kibici* coś znękanego, bezsilnego było“ oddaje przez: „Und

in ihrer *Haltung* war etwas Schlaffes, Kraftloses.“ W innném znów miejscu, kiedy Krasiński mówi, że dziewczyna „znikła jak myśl co sobie *konchy* glinianéj *ulepić* nie mogła na ziemi,“ tłomacz zadawalnia się skromniejszém słowem: „du bist verschwunden, wie ein Gedanke, die thönerne *Form* auf Erden nicht zu *gestalten* vermochte.“ W innym natomiast ustępie przemienia mniéj zwykłe formy na toż samo wyrażenie ale w języku niemieckim pospolite. Poeta powiada: „Wysepki kryły się za drugiemi, każda wieńcem sitowia *opierścieniona*,“ tłómacz nie opuszcza ani jednego rysu, lecz inaczéj je trochę ustawia: „Die kleinen Inseln bargen sich, die einen hinter den andern, jede *umringt* von einen Kranze von Schilf.“ Nie znaczy to bynajmniéj, żebym ganił tego rodzaju tłómaczenie; sądzę owszem, że ono wybornie się nadaje do rekomendacyi naszych poetów wśród Niemców.

Wiadomo, że „Noc letnią“ poprzedza wiersz, majacy swoje niepospolite retoryczne piękności, ale niezmiernie zawile w pierwszym mianowicie ustępie zbudowany. Wiersz ten podaje p. Blumenstock w tłómaczeniu Zygfryda Lipinera, bardzo zdolnego poety, który dał się chlubnie poznać i własnemi utworami i przekładami z Mickiewicza. I teraz nie zawiódł p. Lipiner reputacyi swojéj; wiersz jego odznacza się taką wiernością, że jest niemal dosłowną, a przytem taką swobodą, jak gdyby płynął z pomysłu oryginalnego. Dla próbki przytaczam kilka wierszy:

Dafür dass Du an Lüge nicht geglaubt
An goldne Goetzen, Wahn und Eitelkeit
Dass du in dieser würdelosen Zeit,
Da tief in's Grab die Welt gebückt ihr Haupt,
Nicht mit ihr gingst zur Grabe der Gemeinheit:
In heil'ger Liebe, heil'ger Herzenseinheit
Sei dir, o Schwester, dieses Lied geweicht.

Nie tylko myśl tu oddana w zupełności, ale nawet forma wierszowa zachowana; a tam gdzie tłómacz pozwala sobie odstępować od oryginału, nie obniża go wcale, jak to ma miejsce w przestawieniu wyrazów wiersza „w świętém współczuciu i świętéj miłości,“ gdzie trafnie użyte słowo „Herzenseinheit“ nie jest osłabieniem słowa „Liebe.“

Mythyczna historya polska i Mythologia słowiańska, wyłożona i wyjaśniona przez d-ra Kaźmierza Szulca. Poznań, 1880 r. 8-ka str. 243.

Dwadzieścia trzy lata temu p. Szulc ogłosił broszurę p. n. „O głównych wyobrażeniach i uroczystościach bałwochwalczych

naszego ludu, z powodu prac J. Lelewela: Bałwochwalstwo Słowian i R. Berwińskiego: Studia nad literaturą ludową," Poznań, 1857, str. 64, w 8-ce.

Niektórzy pisarze (mówi autor na str. VI ostatniego swojego dzieła) przyjęli lub pochwalili poglądy w broszurze téj wypowiedziane; ale ponieważ w ogóle zapatrywania i wywody autora nie doznały dotąd ani ze strony krytyki polskiéj, ani niemieckiéj żadnéj zaczepki, postanowił on przygotować drugi nakład, uzupełniony ustępem opuszczonym w piérwszem wydaniu „o pogańskich naszych historyach" i innemi szczegółami „w czasie ćwierć wieku zebranemi." Otóż tym „drugim nakładem" jest w nagłówku wypisane, dość obszerne dzieło p. Szulca.

Zanim do rozpatrzenia dalszych jego szczegółów przejdziemy, winniśmy zaspokoić ciekawość czytelnika, wyjaśniając mu, co znaczy ów „ustęp opuszczony w piérwszym nakładzie." Zatrzymujemy się nad tym charakterystycznym szczegółem, malującym ludzi i czasy.

„Kiedy przeczytałem ś. p. pp. Sewerynostwu Mielżyńskim w Miłosławiu (opowiada autor str. IV), u których wakacye zwykle przepędzałem, powyżéj wymienioną pracę (o bajecznych dziejach Polski)w rękopisie, prosili mię, ażeby opuścić z niego w druku ustęp, wykazujący że nasze podania historyczne nie przedstawiają osób rzeczywistych, tylko mityczne, bóstwa w postaci bohatérów."

P. Szulc uległ prośbom państwa M. i usunął ustęp o mitycznych dziejach Polski w broszurze z r. 1857, ale dziś nie miał już dawnych skrupułów i wcielił go do ostatniéj swéj pracy, skutkiem czego urosła ona do rozmiarów czterykroć przewyższających książeczkę z roku 1857.

Przed ogłoszeniem jednak ostatniego dzieła swojego, „ażeby pozyskać objektywną pewność, że się nie zbłąkał na bezdroża i nie dopuścił przesady w poglądach i wywodach, autor postanowił pracę swą poddać krytyce sfer kompetentnych" (str. VII) i w tym celu czytał ustępy jéj w r. 1876 w obec Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego, a potem temuż Towarzystwu oddał rękopis „na jego użytek." W skutek tego wybrano komisyą do zdania sprawy z pracy p. Szulca, złożoną z pp. Rymarkiewicza, Dydyńskiego i Dunina.

Opinia tych panów wypadła na ogół pomyślnie dla rozprawy pana Szulca.

P. Rymarkiewicz nazywa ją wprawdzie „uczoną mozaiką" i znajduje, że z cudzych przytoczeń „autor sam mało robi wniosków i mało wykazuje wyników," że „metoda taka prowadzi do rozwlekłości;" ale obok tego wyznaje, że mu rozprawa pana Szulca „sprawiła w czytaniu przyjemność" i że jest „w guście badań Hanuscha

lub Jak. Grimma"; sądzi przeto, iż kosztem Towarzystwa wydaną być powinna w oddzielnéj książce.

Ks. Dydyński wątpi o wielu twierdzeniach p. Szulca, ale że zapatrywanie się jego na Kraka, Wandę i t. d., jako na pierwotne bóstwa, rzuca takie światło na początkowe dzieje Polski, w jakiém nikt ich dotychczas nie roztrząsał," oraz że „rozprawa mieści w sobie wszystko to, co o przedmiocie wzmiankowanym powiedziéć się da," poleca rozprawę do druku w całości w przyszłych Rocznikach Towarzystwa.

Hr. Dunin wytyka wprawdzie panu Szulcowi „pomijanie badań uczonych rosyjskich, między któremi Iwanowski i Samokwasów wybitniejsze zajmują miejsce," ale uważa pracę jego „za rezultat i zbiornik wszelkich do obecnéj chwili dokonanych badań w téj gałęzi archeologii" i doradza wydanie jéj w całości.

Tak brzmią w streszczeniu referaty uczonych mężów ze „sfer kompetentnych." Na podstawie ich udzielono panu Szulcowi zapomogę do wydrukowania w mowie będącego dzieła.

Zobaczmy teraz co sam autor o niém trzyma, bo i to wpłynąć musi na nasze zdanie, gdyż im wyżéj postawione są roszczenia autorskie, tém surowszą być musi krytyka i odwrotnie.

Tytuł już zapowiada nam nie jakieś urywkowe badania o Krakusie, lub Wandzie, ale „Mythologią słowiańską." Cieszymy się więc nadzieją, że otrzymujemy dzieło upragnione, które nam zastąpi chybiony „System mitów słowiańskich" Hanusza i dopełni czego obszernemu dziełu Afanasjewa brakuje. W téj nadziei utrzymują nas i następne słowa autora: „Przed pojawieniem się pracy mojéj O głównych wyobrażeniach... naszego ludu, nie spostrzeżono w wiadomościach historycznych o bóstwach słowiańskich żadnego systemu mitologii słowiańskiéj. Tak Hanusch, jak Lelewel starali się tylko wytłómaczyć znaczenie pojedyńczych bóstw słowiańskich... Lelewel, wychodząc z zasady, że „język może być źródłem do wyrozumienia bałwochwalstwa," przedsięwziął wyjaśnić za pomocą etymologii wyrazy: Bóg, Bies, Niebo... i inne, ale w najnieszczęśliwszy sposób tego dokonał, nie chcąc, czy nie umiejąc zastosować się do orzeczenia Schleicherowego, przez niego przytoczonego: hors la méthode (linguistique) point de salut!" (str. III). Daléj znowu twierdzi p. Szulc, że broszura jego „otwierała całkiem nowe poglądy na nasze zwyczaje i obyczaje" (str. V.). O Lelewelu powiada (str. 229) że „najfałszywsze miał pojęcia o mitologii i lingwistyce." W inném miejscu tak prawi: „Jeżeli choć główne tylko utrzymają się moje pojęcia i twierdzenia, o czém nie wątpię, runąć musi cala budowa dotychczasowych studij (*tak*) nad literaturą ludową i zapatrywań na dzieje

nasze bajeczne" (str. 224). „Całe dzieło R. Berwińskiego, całe dzieło Bielowskiego *Wstęp do dziejów*, a Szajnochy *Lechicki początek* w niwecz obrócić się muszą, bez dotknięcia ich się nawet (*tak*), w obec mego wykładu tych rzeczy" (tamże). Na str. 58 p. Szulc utrzymuje, że pewne prawdy mitologiczne wiedział przed poznaniem dzieła Grimma, ale dodaje, „ponieważ to było, jak na ówczas, jeszcze zbyt śmiałe twierdzenie i nie łatwe do wykazania... przeto druk tego ustępu odłożyłem" (zkądinąd wiemy, że przyczyniły się do tego i prośby pp. Mielżyńskich). Na str. 101 autor wyraża się o sobie, że „ostatecznie rozstrzyga rzecz o Piaście," a w przedmowie (str. VI) przypomina nam, iż p. Kirkor książeczkę jego, nazwał „uczoną i głęboką."

Widać z przytoczonych wyżéj orzeczeń panów członków komisyi dla ocenienia pracy p. Szulca i z własnego jego o sobie mniemania, iż mamy tu do czynienia z dziełem, roszczącém sobie prawo do piérwszorzędnéj wartości; ton jego wymagań i świadomości swych zasług jest tak wysoko nastrojony, jak tylko to być może. Otóż poczytujemy za obowiązek sumienia starannie się téj pracy przypatrzyć i wartość jéj raz jeszcze ocenić, aby kiedyś p. Szulc nie mógł się uskarżać na brak recenzyi i odwoływać się do nieistnienia „zaczepek krytyki."

Wyglądać to może jako zarozumiałość z mojéj strony, iż się poważam przesądzać pracę, o któréj trzech światłych mężów wyrok wydało, tém bardziéj, że zdanie moje o niéj będzie bardzo od ich opinii odmiennėm. Ośmiela mię wszelako ta okoliczność, iż jak to widać z referatów panów recenzentów poznańskich, oraz z innych ich prac, dotychczas drukiem ogłoszonych, nowsza lingwistyka i nowsza mitologia porównawcza są dla nich zupełnie obcemi, co zresztą nie ubliża ich zasługom na innych polach położonym. Sąd ich przeto o pracy p. Szulca, może być uważany przez fachowych lingwistów i mitologów za zgoła nieobowiązujący.

Rozpocznijmy przegląd książki p. Szulca od zbadania podstaw jéj argumentacyi. Jeden rzut oka wystarcza, aby dostrzedz, iż główną dźwignią rozumowań autora są wywody językowe, jak to jest i być musi w zaciekach nad paleontologią mitologiczną, — a taką jest niewątpliwie wiaroznawstwo słowiańskie.

Otóż powiedzmy z góry i szczerze: p. Szulc puszcza się na morze porównań językowych bez żadnéj metody, bez żadnego zasobu naukowego, rozpiąwszy jedynie żagle bujnéj wyobraźni. Tem więcéj to razi, gdy sobie przypomnimy jak ostro skarcił Lelewela za podobne wybryki. Podaję nieco próbek, aby dać pojęcie, jakiemi bezdrożami etymologicznemi autor wędruje.

Jakiś bóg *Sabatios* (zapewne Sabazios) ma być „identyczny“ (ulubiony wyraz autora) z *Sawą* i naszą *Sobótką* (str. 21.). Sawa ma znaczyć po serbsku świtanie; tymczasem w słowniku serbskim nic o tém nie wiadomo: Sawa znaczy tam imię, znane i u nas z Ukrainy, oznacza także nazwę rzeki; jest tam wprawdzie wyraz *saba*, oznaczający poranne wołanie kapłanów muzułmańskich, ale to wyraz turecki, najmniejszego związku nie mający ani z Sabaziosem, ani z sobotkami, ani z Sawą. *Czesław* to wedle autora Czechosław (s. 74.). *Ułan* to tubylec, osiadły na *łanie* (str. 74.). Od nazwy rzek *Roś* i *Ruś* p. Szulc wywodzi imiona Rusinów, Rossyan, Prusaków i Rusałek. Świadczy to wyraźnie, że autorowi obcemi są liczne, a poniekąd ważne prace o początku imienia Rusi; nie słyszał téż oczywiście ani o Miklosiću, ani o jego słownikach, ani o jego rozprawie o Rusałkach; z nichby się dowiedział, że nazwa Rusalii i Rusałek jest obcego pochodzenia (z łacin. *rosalia*). *Szmigus*, autor wyprowadza od smagania się; zapewne o niemieckim wyrazie *Schmackostern* nie słyszał (str. 92.). *Siemik* u pana Szulca to *ziemik*, a *siomucha* to *ziemiucha* (str. 115); tymczasem oba te rusińskie wyrazy pochodzą od *siedm*, bo oznaczają piątek *siódmego* tygodnia po wielkiéj nocy. Tu annektuje autor i starożytnych *Semnonów*, bo „wyraz ziemia, powiada, wymawia się po polsku jak *źemńa*, a z niemiecka jak *semna; źemńanami* nazywają dzisiejsi Polacy rolników.“ Imię *Wanda* raz p. Szulc etymologizuje podług p. Römera (str. 43—45); drugi raz (str. 122 i 124) wywodzi na własną rękę od imienia bogini *Bendis*, która jest toż samo co Anta, Wanta, Beda, Boda, jezioro Wan, Buana, Wanadis i td., a Korybanci to są po prostu Cory-Benty. Tu już p. Szulc prześciga nieśmiertelnego etymologa Czarkowskiego! Co najdziwniejsza i najzabawniejsza, że szanowny autor jednę nazwę wywodzi kilku sposobami, z tą jednak ostrożnością, iż czyni to w różnych miejscach książki, mniéj lub więcéj od siebie odległych. Tak np. *Kupało* ma sześć różnych etymologij: na str. 130, 132, 133, na 134 dwie i jedną na str. 214. Prowincyonalną nazwę rośliny *bielica* autor wywodzi od pnia *biel* i ma się rozumiéć „utożsamia“ z Baalem, Balderem i Belbohem (str. 131); o istnieniu wszechsłowiańskiego wyrazu *bylije* (pols. byle) i o tem że *bielica* jest u nas zamiast *bylica* autor zdaje się nie wiedziéć. Wyrazy *macierzanka*, *dziewanna* i *jasionek* wydają się autorowi szczeropolskiemi; mógłby jednak wiedziéć, gdyby poszukał, że prawie z pewnością wszystkie trzy są obcego pochodzenia. Str. 189: pierwastek *le* daje p. Szulcowi wyrazy *les* czyli (?) *las*, *lech*, *lécha*, *po-le*, *Polach* czyli *Polak*. *Gwiazduch* to Gwiazd-duch (str. 211.). Sanskryt pokutuje u autora, ale tak pokaleczony, że go ledwie poznać można. I tak czytamy np. o bóstwie *Wischnu* (str. 97); dowiadu-

jemy się, że jakiś *Parganjas* był bogiem deszczu (str. 65); że „u Indjan“ (jakich?) *Morana* oznacza śmierć (str. 80). Greczyzna nie mniéj ciekawa; Minos np. to „według wymowy nowogreckiéj i Reuchlińskiéj“ ma być toż samo co księżyc (str. 116). Litewszczyzna również niepoprawna: na str. 62 dowiadujemy się o bogu *Korcho*, albo *Korchu*, zkąd nasz wyraz *Kurhan* (str. 137); szkoda tylko, że Litwini brzmienia *ch* nie posiadają! Częstuje nas też autor i Narbutowym *Sotnarem* (str. 135); rzecz dziwna, że sławnego *Pizia* pominął. Gdzie p. Szulc przytacza słowa lub ustępy rusińskie, oraz rosyjskie, tam co słowo popełnia przynajmniéj dwie niedokładności (str. 164, 155, 198). Tam gdzieby mógł się dowiedziéć o prawdziwym słoworodzie, nie chce go poszukać. Przytacza np. całe pięć stronic, z Kreka „Einleitung in die slav. Literaturgesch.“ o bożem narodzeniu, a na str. 220 tak przytoczenie kończy: „Okoliczność ta... jest dowodem, że w tym czasie szczególną cześć oddawano bóstwu małżeństwem się opiekującemu, *a więc Ladzie, Ko-ladzie*.“ Wygląda to jakby cytacya z Kreka; ale jako żywo, profesor ten nigdy podobnego frazesu nie wyrzekł: wyrazy podkreślone dopisał sam p. Szulc, dla poparcia swego wywodu nazwiska *kolad*, *kolędy*. Gdyby chciał być sumiennym, toby oznajmił czytelnikowi, że tenże Krek na str. 311 swojego dzieła tak nazwę tę objaśnia: „Najprostszą drogą pójdziemy, gdy *koleda* uważać będziemy za wyraz zapożyczony z *calendae*;“ tegoż zdania są wszyscy lepsi językoznawcy słowiańscy.

Trzebaby chyba całą książkę napisać, aby wytknąć wszystkie błędy etymologiczne p. Szulca. Otóż na tak chwiejnéj podstawie lingwistycznéj buduje on swój *systhem* (!) *mythologii* słowiańskiéj. Oczywiście, jaka podstawa, taki gmach.

W kilku słowach z architekturą jego się załatwimy, bo szczegółowe zbijanie tego stosu błędów, jaki nagromadził autor, ani dla publiczności za pożyteczną, ani dla siebie za stosowną rzecz nie poczytujemy.

Ten szumnie ogłaszany *systhem* p. Szulca jest to stara, świeżo odegrzana teoryjka troistości bogów; nowsze badania oddawna przekonały o zupełnéj bezpodstawności jéj i mieliśmy czas zapomnieć o niéj, zapominając jednocześnie o pierwszéj broszurze p. Szulca. Teraz znienacka pojawia się znów dawno pogrzebiony upiór; widać że nie był przebity osinowym kołkiem; niechże moja recenzya odda mu tę ostatnią usługę.

Trójcą tą mitologii słowiańskiéj ma być podobno słońce, księżyc i ziemia; woda jest „reprezentantem ziemi“ (str. 130). Wedle teoryi p. Szulca wszystko w mitologii może być wszystkiém, zupełnie tak samo jak i w etymologii wywodzi on co chce z czego chce,

wszystko ze wszystkiego. Ulubionym wyrazem jego jest „identyczny;“ co przez to rozumie np. kiedy mówi o jakiemś bóstwie lub obrzędzie słowiańskim w połączeniu z bóstwem lub obrzędem np. frygijskim? nad tém się zapewne autor nie zastanowił, bo jedna chwila poważniejszego rozmyślania przekonaćby go powinna, że ani wyrazów, ani mitów, ani bóstw, ani obrzędów „identycznych“ niema i być nie może. Ale p. Szulc nie chce wiedzieć o tém i wmawia w nas, że Rytygier z podania o Wandzie jest „identyczny“ z Rugardem, Radamaszem, Radamantem, Radahostem, Czernobohem, że Bendis jest „identyczną“ z Seleną, Hekatą, wielką matką bogów Kibelą, z Kupałem i t. d. Nawet macierzanka jest u autora „identyczna,“ z dzięcieliną, a Wanda z Belbohem!

W ten *systhem* troistości bóstw słowiańskich wtłacza autor wszystko co ma pod ręką: wszystkie wzmianki kronikarskie, wszelkie nazwy bogów i bogiń trackich, frygijskich, greckich i indyjskich, bez krytyki, bez wahania, bez miłosierdzia. Troistość jest dla niego dogmatem, jest czemś, o czém powiada „moje stanowisko,“ „mój *systhem.*“

Sposób tworzenia p. Szulca jest następny: przepisuje on około 200 stronnic z cudzych dzieł i rozpraw; w niektórych miejscach oznacza początek lub koniec przytoczeń cudzysłowami; w innych nie zadaje sobie tego trudu. Oto np. rys charaktyrystyczny, jak sobie z moją rozprawą, „Piękna Meluzyna i Królewna Wanda“ postępuje. Przepisuje z niéj dosłownie parę kart (str. 118 i 119); a potém tak ciągnie: „Podobne do téj powieści są podania...“ i tu znów przepisuje mnie bez cudzysłowów; toż samo i w dalszym ustępie, poczynającym się od słów: „Podobne do powyższych powieści...“ i daléj na str. 120; potém raczy przytaczać nazwisko moje, ale bez cudzysłowów: a na str. 121, niby zakończywszy cytatę z mojéj rozprawy, rozpoczyna od ustępu: „Jeczcze lepiéj wyjaśniają znaczenie naszego podania o Wandzie, smoku i Rytygierze bajki Glińskiego i t.d.“ Zdawałoby się, że to już własne słowa pana Szulca; ale gdzież tam, to moja rozprawka defrauduje się jeszcze daléj bez paszportu cudzysłowów aż do str. 122. I tak samo autor postępuje i z innémi. Kogóż tu nie wypisuje! Konst. Tyszkiewicza, Lisieckiego, Römera, Grimma De Gubernatisa, Rogawskiego, Chodakowskiego, Kruszyńskiego, jakiegoś „badacza“ z gazety „Politik“ (kilka stronic) i wielu, wielu innych; przytoczenia bywają czasem ośmiostronicowe; niektórych nawet p. Szulc nie raczy tłomaczyć: Ogromny ustęp po niemiecku zajmuje cztery stronice drobnego druku. Przytoczenia traktują różnorodne przedmioty: o kurhanach, spór K. Tyszkiewicza z p. Szulcem dotyczący usypalisk, opisy bab stepowych, opis „Bendidyi;“ autor nie

oszczędza nam najdrobniejszych szczegółów i zamiast np. streścić list Chodakowskiego i wyjąć z niego to tylko, co do rzeczy potrzebne, czytamy go w całéj rozciągłości z takim nader ciekawym początkiem:

Nowogród, 28 grudna 1820.

„W tych dniach rozkopałem sopkę za Wołchowcem, znaną mogiłę Gostomysła, pierwszego posadnika Nowogrodzkiego; przekopawszy do czarnéj ziemi nietkniętéj, na podstawie któréj ta mogiła usypana, znalazlem gęsią głowę, szczękę końską z zębami, szczęki psie i wiewiórkowe i mnóstwo gęsich nóżek...“ i t. d. i t d.

Czytając książkę p. Szulca, jest się jakby odurzonym wśród gwaru różnojęzycznego zbiorowiska: sprzeczne zdania nowszych i starszych autorów, górująca nad niemi ciągle ta sama zwrotka autora, groch z kapustą etymologiczny, — wszystko to otumania biednego czytelnika. Wyznać jednak trzeba, że dopóki się czyta obszerne cytaty z różnych pisarzy, sens jako tako połapać można; ale gdy się rozpoczną własne wywody autora, wtedy następuje istna wieża babel. Sposób dowodzenia jego przypomina zaciekłego adwokata, który wszystko naciąga i nakręca na swoję korzyść i powtarza jedną rzecz kilkadziesiąt razy, w nadziei, że podsuwając ją często słuchaczowi, przekona go nakoniec. Dla niepoświęconych taki bigos przytoczeń i języków wydaje się może imponującym: na wtajemniczonych zaś w zakulisowe życie książkowe cały ten pseudo-uczony aparat robi wrażenie komiczne.

Chcąc iść krok w krok i sprzeczać się z nim o każdą piędź ziemi naciąganych dowodów, trzebaby stracić zbyt wiele czasu. Wybierzmy na próbę parę faktów i przypatrzmy się im uważniéj.

Na str. 4 twierdzi p. Sz. że od zapatrywania się dziejopisa na historyą polską bajeczną zależy całe jego stanowisko historyozoficzne. Czy temu kto uwierzy?

Księżyc ma być „identyczny“ ze smokiem, a dyoskurowie „identyczni“ ze słońcem i księżycem; *ergo* jeden z dyoskurów = smokowi.

Podanie o Kraku (czyli Kruku, według autora) ma być ludowem od najdawniejszych czasów, „a przynajmniéj z II wieku po Chrystusie.“ Dlaczego „przynajmniéj“ i dlaczego z II, ale nie z III lub VII wieku po Chrystusie?

Na str. 69 autor zapewnia, że nie „znaleziono nic w jamie wawelskiéj i *nie znalezionoby zapewne nic* w mogile Krakusa.“

Do najsmutniejszych okazów napuszonego a w gruncie bezzasadnego i bezowocnego zaciekania się należą takie np. stronice jak 59 i nast., 66, 74 i dal., 76, 124, 133, 136, 180, 186, 210.

Zasób wiadomości autora, mimo paradne pozory, jest bardzo szczupły, jak na pisarza, który prawi o „swoim systhemie mythologii.“ Z nowszych pisarzy jeden De Gubernatis był mu trochę znany. Maks. Müller, Tylor, Benfey, Kuhn, Lubbock, Thiele, Schultze, Afanasjew, Orest Müller, Kotlarewski, Stasow, Wesełowski, Miklosić i wielu innych zdają się być zupełnie obcemi p. Szulcowi; również czasopisma, zawierające dużo zasobu wiaroznawczego, jak Zeitschrifty Jagicza, Steinthala, albo Czasopismo Muzeum Czeskiego i inne nigdy go ku sobie nie znęciły. Za to święcie wierzy w Rękopism Królodworski, Kollara, Pieśń o półku Igora, Narbutta i t. p. wątpliwe podpory.

Polszczyzna p. Szulca wiele pozostawia do życzenia. Co znaczą np. takie jakieś międzynarodowe słowiańskie formy, jak Czarnoboh, Bielboh albo Bielbog, Radahost, Lado z drugim przypadkiem Ladona (niby *Cato*, *Catonis*), Prowe, Provena, Provenowi i t. p.? Do jakiego języka należą te postacie gramatyczne? Autor pisze *wreście*, *uślachetnienie*, *Richard*, w *fragmentycznéj* postaci, za pomocą *nich*, przed dwudziestu *cztery* laty, *decydywniejszy* wpływ, *rodzai*, *krai*, *studii*, ale za to *pisarzów;* nie rozumie dobrze wyrazu *uroczysko* (28, 69); daléj pisze, że coś dowodem jest *na* to; na str. 57 bóg mówi do konia: „Ponieważ dla żarcia nie dałeś sobie czasu wyrządzić mi przysługi;“ doprawdy, mniejbyśmy się dziwili, gdyby taką polszczyzną koń do boga, ale nie bóg do konia przemawiał! Daléj czytamy: *niż* zamiast nim, zanim; „Knut św. został *zażgany*“ 105; „U Thiethmara jest świętokradztwo co myszy pozywa,“ frazes zgoła niezrozumiały; kopiszcza 133; porównując 154; wynależycielka 167; znaczy *tyle co* (so viel als); smok skoczył z *obłok* na ziemię 184; *wrażebne* znaczy u autora wrażliwe; *tyczydeł* (?) 236 i t. p.

Oprócz tego w pisowni ma szanowny autor swoje dziwactwa, które chętnie wybaczylibyśmy, jako tak nazwane „Privatvergnügen,“ gdyby przynajmniéj były konsekwentnemi; że wyraża grecką tetę przez *th*, w *mythologija*, *methoda*, to choć niezwykłe u nas, ale dające się wytłómaczyć; ale co robi *th* w *systhemie*, *ethymologii?* Wszak tu greczyzna ma nie *th* ale *t*. Raz pisze *Phaedrusa* 97, nawet *pajoński* (peoński) 122, a gdzieindziéj *archeologji;* trzebaby tu pisać *archaeologji*, chcąc być sobie wiernym; toż samo i z *ph* i *f*, raz *Persephona*, *physicznego*, to znów *Porfyriusza*, *nymfa*, *nimf*, *theosoficzne* i t. d.; raz *Kyrillos*, a drugi raz *Kyryl; słowiański* ale *Sloveniec;* raz *Ditmar*, a gdzieindziéj *Thiethmar* i t. d.

Korekta książki jest dość niestaranna; na str. III w krótkim frazesie francuskim widzimy trzy grube błędy; str. 42 interpelator zam. interpolator; 51 wstrętem zam. wtrętem; 80 Darga zam. Durga; 90

sûrga zam. sûrya; 95 Briol zam. Bréal; 102 Sajur Veda zam. Jadżur V.; 116 Britomortis i Britomatis zam. Britomartis; str. 126 frazes cały „U Łasickiego...“ bardzo zabawnie wygląda skutkiem złéj korekty; str. 126 Wójcickiemu przypisane Pieśni białorus.; str. 133 Proklas, Hesychus zam. Proklus, Hezychiusz; 135 Gibon zam. Gibbon; 133 i 214 Dobrawski zam. Dobrowski.

Z żalem prawdziwym, zdobyć się musiałem na surowy, może nawet nieco gorzki sąd o pracy p. Szulca. Ale kogo jak mnie oburza nadużywanie szanownéj chorągwi nauki dla prowadzenia pod jéj osłoną starych rupieci, ten mnie zrozumie i wybaczy zbyt ostre może słowa. Czas nam przecie zmężnieć, nie płodzić i nie tolerować mrzonek ubranych w pawie pióra niby — uczoności.

Streszczając tedy rzecz moję, mniemam, że książka pana Szulca jest nieużyteczną i szkodliwą, bo szerzy fałsze naukowe, dyskredytuje naukę lingwistyczną i mitologiczną przed ogółem, a piśmiennictwo nasze przed swoimi i obcymi. *Jan Karłowicz.*

Wiara Słowian z obrzędów, klechd, pieśni ludu, gusel, kronik i mowy słowiańskiéj wskrzeszona. Napisał Romuald Świerzbieński. Warszawa, 1880 (str. 42 in 4-to).

Oto, łaskawy czytelniku, druga praca z dziedziny mitologii słowiańskiéj. Autor jéj, kandydat prawa a doktór medycyny, napisał kilka rozpraw lekarskich, wydał wielkie dzieło pod tytułem „Rozwój uspołecznienia Rzymu,“ a obecnie obdarza piśmiennictwo nasze owocem swych badań mitologicznych. Z książki o „uspołecznieniu rzymskiém“ poznaliśmy d-ra Świerzbieńskiego, jako badacza w poglądach i wywodach wielce samodzielnego, — jako człowieka silnych przekonań, który też, dla tego pewnie, lubi przemawiać apodyktycznie i częściéj nakazuje, przyjąć wygłaszane przez siebie zdania, aniżeli o prawdziwości ich przekonywa, — jako pisarza oryginalnego, mającego wielką łatwość w tworzeniu neologizmów, utrudniających czasami zrozumienie rzeczy, którą wykłada.

Przymioty te znajdujemy w rozprawie o „wierze Słowian“ spotęgowane do znacznie wyższego stopnia: nowotwory językowe, wynik chwalebnego puryzmu, zostają tu w przykładnéj zgodzie z jawnemi rusycyzmami, a stałość apodyktyczna wykładu niczém niezachwiana i nie cofająca się przed niczém. Autor statecznie unika utorowanych dziś w nauce ścieżek, na roztrząsaniu zdań cudzych czasu daremnie nie traci, jedne pomija milczeniem, drugie wręcz odrzuca, inne jedném obala słowem, idzie naprzód przebojem i docho-

dzi do upatrzonego z góry celu, odbywszy jednym tchem długą drogę, wytykaną regularnie, niby słupami wiorstowemi, osłupieniem, jakie czytelnika na każdéj stronie rozprawy na nowo ogarnia.

Wszystko, czego obrzędy, klechdy, pieśni, gusła i mowa dostarczyć mogły na udowodnienie założonéj tezy, zostało tu skupioném i wyzyskaném z wzorową starannością; nadto, wiele rzeczy, które przeciw téj tezie buntowniczy opór stawiać były zdolne, uległo w bezkrwawéj walce i mimowolny haracz jéj złożyło. W liczbie tych ofiar największe należy się spółczucie lingwistyce, którą autor, niby nowy Madéj, rozciągnął na bolesném łożu swéj etymologii i bez miłosierdzia dręczył.

Pisarz bizantyński Prokopiusz wyraźnie mówi, że Słowianie nie znali Roka (fatum); d-r Świerzbieński wié o tém bardzo dobrze, zaczyna jednak swój wykład od twierdzenia wprost przeciwnego, że Rok „był u Słowian Istotą Najwyższą.“ Gdzież dowody? Najważniejszym ma być mowa słowiańska: poznajmyż się z nią bliżéj.

Rok jest słowiańskim synonimem przeznaczenia, *rokowy* to tyle co fatalny, *roki* znaczyło termin sądowy a *srok* znaczy termin wogóle; *rokowanie* to narada sądowa, a „w zamierzchłéj starożytności było pytaniem się Roka, naprzykrzaniem się mu;“ *wyrok* jest osądzeniem przez *prorokinie* winowajców, „których na *uroczysko* przyprowadzali *narocy*, pod wodzą *otroków*:“ więźniowie ci związani byli *trokiem*. „*Wyrocznia* oznacza władzę sądzącą.“ *Urokiem* zwano czar, ale tak samo zwano i „opłatę, grzywny,“ a dziś znaczy to w Rosyi „robotę przymusową,“ albo lekcyą uczniom zadaną; ztąd wniosek, że pierwotnie urokiem była kara na mocy wyroku domierzona. *Uroczym* jest ten, kto wzrokiem swym lub pochwałą może przyprawić o śmierć niemowlęta przy piersi, czyli jak się autor wyraża, noworodków. Możnaby zapytać: jakiéj to winy dopuszczały się niemowlęta słowiańskie, że były tak łatwo urzekanemi, skoro nam dopiéro co powiedziano, że urok znaczy karę sądową? albo: jaki można dopatrzyć związek między oczami uroczemi a wyrokowaniem sądu? Odpowiedzi na to nie doczekamy się, więc idźmy daléj. „*Uroczysko* jest widownią uroczystości Roka,“ a „kiedy Rok stał się *Rokitą* (czartem), uroczyska i ich strumienie, porosłe *rokiciną*, stały się postrachem.“ *Uroczystość* — to dzień obrzędów Roka, odprawianych na uroczysku przez jego kapłanki, prorokinie, „dziewy biegłe w proroctwie (poroctwie);“ nie ostrzegł jednak autor, aby ktoś wychodząc z tejże zasady, polskiego *prorok* i rosyjskiego *porok* nie wziął za jednoznaczne. Rok, jak czytamy daléj, miał swoje wojsko, w którém oficerami byli *otroki*, a szeregowcami *naroki*. Jakżeby się ucieszył nieboszczyk profesor Burzyński, gdyby doczekał był tego objaśnie-

nia, rozprawa jego o *narocznikach* wzrosłaby może o jeden wcale zajmujący ustęp. Oprócz wojska, Rok miał nadto oprawców, zwanych *trokami*, którzy za pomocą troków rzemiennych dusili winowajcę. *Obrok* u nas zasypuje się koniom, a w Rosyi jest ceną dzierżawną; ztąd wniosek oczywisty, że Rok posiadał dobra na własność, rodzaj apanażów, które wypuszczał w dzierżawę *obrocznikom*, a ci mu za to wypłacali się, dostarczając utrzymanie służebnikom Roka, oraz — jest to nasz domysł — obroku koniom, gdyż armja Roka musiała mieć przecie kawaleryą, a gdzie kawalerya — tam i furaż. (Że w téj armii byli i *rakietnicy*, to już z saméj ich nazwy jest cale oczywiste). „*Sroka* też od Roka pochodzi:" była ona stróżem *soroku*, to jest obszaru, obejmującego czterdzieści wsi, otoczonych jedną miedzą. Nakoniec, *soroczyca* czyli zprosta koszula, to biała szata prorokiń.

Tyle wydobył na początek z mowy słowiańskiéj d-r Świerzbieński cegiełek, z których ułożył mocny fundament pod swą budowę mitologiczną a na jéj szczycie osadził tę prawdę, że Słowianie uznawali Roka za Istotę Najwyższą, za wszechmocnego stwórcę świata i że „Bóg słowiański jest istotą stworzoną, cielesną: przeto Rok nie jest bogiem, a (!) stwórcą bogów." [1]).

W interesie całéj budowy, a mianowicie w interesie Roka, żałować wypada, że poczet rozebranych przez autora wyrazów nie jest wyczerpującym. Zasób dałby się bez trudności podwoić. Autor pominął np. następujące: Brok (miasto), bruk (któryby się przydał ulicom Broku), droczyć się, grok (którego nie należy mięszać z grochem), krok, mrok, okorok (czyli szynka), prok (pożytek, trwałość), prywarok (wyraz, mający znaczenie w kuchni żołnierskiéj), roka (mityczny ptak legend wschodnich), rokieta (uroczysty strój kanoniczy, a więc kapłański), suròk (zwierzątko zasypiające na zimę), szlafrok (rodzaj szaty, służący do osłonięcia „soroczycy"), tarok (gra w karty). Po zamianie głoski *o* na *a*, przybywają jeszcze wyrazy: batrak, brak, burak, draka, durak, frak, Grak (u Kadłubka), krak (kruk), rak, rakarz i nieborak. Uzupełniwszy w ten sposób słowozbiór rokowy, śmiało można nakreślić obraz pogańskiéj sobótki, to jest uroczystości, która „tyczy się Roka." Spróbujmy więc.

---

[1]) Poważnego sprawozdawcę z „Kłosów," Nr 811, który się zgorszył „*jowialnością*" dostrzeżoną w styczniowym zeszycie „Ateneum," ostrzegamy w tém miejscu życzliwie, aby, unikając nowéj zgrozy, nie czytał tego, co daléj następuje. Szanownego zaś recenzenta z „Kuryera Warsz." Nr 13, zachęcając uprzejmie do odczytania dalszego ciągu niniejszéj ramoty, mamy sobie za obowiązek zapewnić go, że niebezpieczeństwo zetknięcia się z trądem „*pozytywizmu*" wcale mu nie zagraża.

Każdego zawsze *roku*, „gdy słońce *raka* zagrzewa,“ lud zewsząd drogami bez *bruku* dąży do *Broku* na *uroczystość* Kupały, to jest solennéj kąpieli w rzece Bugu czyli bogu. Słońce skryło się za bory-lasy, *rak* świsnął, na ziemię spada *mrok*, wieszcza *sroka* skrzeczy, mądry *kruk kracze*, lud na *uroczysku* skacze, a dziewy-*prorokinie*, ująwszy się pod boki, tańczą mierzonemi *kroki*. Widok to jest *uroczy*. Dziarskie parobki *batraki*, co wiedzą gdzie zimują *raki*, wziąwszy z sobą pęk *troków*, idą spiesznym *krokiem* niedaleko nad brzeg Bugu i łowią ryby i *raki*. *Naroki* zaś tymczasem rozniecą ogień „*Swaroka*,“ ale nie dla „uczczenia *Roka*,“ jeno dla zgotowania stypy. Niczego do niéj nie *brak*. W kotle z kipiącym warem, skromny jak zając *surok* i tłusty *okorok* używają gorącéj kąpieli, dla uczczenia wielkiego Kupały. Guślarz dorzuca *prywarok*, miesza, probuje i spluwa, i rzecze: „na psa *uroki*!“ Potém na ziemi siada, i poczyna się biesiada, czyli uczta na cześć biesa, na cześć *Rokity*. Bankiet to wyśmienity! Jedzą mięso i *pierogi* i *raki* i *buraki*. Jest i *obrok* duchowny, bo najmędrszy z *duraków* prawi o mężnym *Graku*, co zabił strasznego smoka. Zaschło w gardłach, więc piją, piją piwo marcowe, tęższe niż zamorski *grok*. Nie poszło im to w *prok* — popili się *nieboraki*. Jeden z drugim się *droczy*, a gdy u wszystkich *szeroka* natura, powstała ogólna *draka*. Nuż dopiero *naroki* wiązać muszą *wrogów* w *troki*, a *rakarz* vel oprawca *trokami* ich też smaga. Ładnie się zabawili na twą chwałę, Kupało, i na twą, wielki Łado! Lado-Kolado!

Powyższy obraz sobótki nie ma pretensyi do wierności fotograficznéj; lecz i o wielu wywodach autora „Wiary Słowian“ możnaby powtórzyć za Krasickim: „wszystko to być może jednakże i t. d.“ Damy tu kilka przykładów.

Linde i W. A. Maciejowski utrzymywali, iż pierwotnie sądem mianowano naczynie, w które wota składano. Pan Świerzbieński przeczy temu, bo „sędziowie głosują, nie zaś wotują.“ Uwaga słuszna, ale z drugiéj strony nie ulega wątpliwości, że według „Sądu Libuszy,“ dziewy sądowe zbierają głosy w „osudie svaté,“ czyli w naczynie, a lechowie liczą wota, — a przecież autor nasz wierzy w autentyczność tego poematu czeskiego tak niezachwianie, jak w Roka. Natomiast nie wierzy on, aby wyraz *zakon* pochodził od *konu*, i woli wyprowadzać go z *kąta*. Jeśli to prawda, to również prawdą jest, że *but* powstał z *buntu*. W innéni miejscu powiedziano znowu, że wyrazy *wojewoda* i *dowód* pochodzą od *wody*. Bardzo to być może, bo rymujący z wojewodą *woziwoda* ma, jak wiadomo, ciągle do czynienia z wodą; nie domyślamy się jednak, dla czego autor w niezwykłéj wstrzemięźliwości poprzestał na dwóch tylko wyrazach i z jakiego

powodu w tym *wywodzie z wody* pominął *zawodny zawód* etymologa-*paliwody*, który wziąwszy *rozwód* z lingwistyką, *dowodnie zwodzi* siebie samego, bo chyba nie czytelników.

Powiada p. Świerzbieński, że „śmierć równa wszystkich,“ ale nie objaśnia, dla czego podjęła się ona tego trudu, skoro i bez niéj „w Słowiańszczyźnie z czasów Roka była równość gromadowładna.“ Powiada nadto, że „dawniéj, gdy podróżowano konno lub piechotą, miedze były jedynemi drogami;“ nam się zdaje, że w pustych krajach miedz nie było, a gdy komu wypadało jechać, nie czekał na zrobienie miedzy, a lubo wiemy o zwyczaju objeżdżania granic, obstajemy przy starém mniemaniu, że droga służyła i służy do przejazdu z osady do osady, nie zaś do kręcenia się wokoło jednéj wioski. Przeciw przenoszeniu św. Ottona z katedry bamberskiéj na bremeńską (str. 38) zakładamy *veto*, gdyż to do atrybucyi stolicy apostolskiéj należy, lubo i papieżowi trudno byłoby dokonać podobnéj tranzlokacyi infułata, ze względu na śmierć jego, zaszłą przed 742 laty.

Nie jesteśmy jednak uparci z zasady. Że „prorokinie zbrodniarzom, wyrokiem potępionym, zadawały jad,“ — gotowiśmy się zgodzić z doktorem Świerzbieńskim, zwłaszcza, gdy wedle zdania niektórych, toksykologia znajduje zastosowanie w sztuce lekarskiéj; ale na cóż się nam taka zgodność przyda, kiedy zaraz na następnéj stronie sam autor spór w tym przedmiocie wszczyna. Przypomniawszy sobie może, iż Sokrates umarł od trucizny, nie dozwala prostym złoczyńcom ginąć w jednakowy sposób z mędrcem ateńskim i każe ich dusić rzemiennemi stryczkami.

Z całéj książki naszego mitologa jedno zdanie najlepiéj przemówiło nam do przekonania; oprze się ono bezwątpienia wszelkim krytykom i zostanie istotną zdobyczą naukową. Pozwolimy sobie przytoczyć je tutaj: „Rok jako duch niewcielony, nie miał posągu, obrazu, ofiarnika i kątyny.“ Dodajmy od siebie, że duch ten, nie mogąc znaleść miejsca ani w niebie, ani w wodzie, ani na Łyséj Górze, tym Olimpie słowiańskim, obrał sobie wyłączne siedlisko w rozbieranéj przez nas monografii i w niéj wyłącznie pokutować będzie. Requiescat in pace.

Przed złożeniem pióra nasuwa się nam mimowolnie porównanie dwóch naszych mitologów. Jeśliby podobało się komu nazwać d-ra Kazimierza Szulca ciężkim erudytem, to d-r Świerzbieński zasługiwałby raczéj na miano poety z okresu najbardziéj rozbujałego romantyzmu, poety szkoły nie tyle ukraińskiéj, ile stepowéj. W istocie, pegaz, którego dosiadł autor „Wiary Słowian,“ biegnie lotem ptaka, gdzie go oczy niosą, ku ułudnym majakom stepowym. Ru-

mak, do którego Bajron przywiązał swego Mazepę, nie dotrzymałby mu kroku. Nie dziwilibyśmy się też, gdyby zziajany czytelnik, nie mogąc podążyć za autorem, zawołał nań z Malczewskim:

Ej ty na szybkim koniu gdzie pędzisz kozacze?
Czyś zaoczył zająca?

I pytanie byłoby słusznem, bo autor w samej rzeczy napotkał na swéj drodze zająca (str. 3); ale, niestety, nie posłuchał wróżebnéj przestrogi, nie poszedł za znanym sobie przykładem Puszkina, nie wyrzekł się podróży, nie zawrócił do domu, i zając przyniósł mu niepowodzenie.

Niech nam autor wybaczy wesoły nastrój sprawozdania: daleką od nas myśl ubliżania mu osobiście. Ale lubimy długi spłacać, a za podarki podarkami odwdzięczać; za chwilę więc wesołą, która się nam z jego łaski dostała, chcieliśmy wywzajemnić się wedle skromnych sił swoich.

= Wydawnictwo **Dzieł Juliana Bartoszewicza** pomimo gorszącéj obojętności ogółu nie ustaje. Dziwnym to jest doprawdy objawem ze strony społeczeństwa, które przyjaciele i nieprzyjaciele obwiniają o zbyt wielkie przywiązanie do przeszłości, że rozpraw i opowiadań o téj przeszłości nie tylko nie rozchwytuje, jakby z owéj charakterystyki wypadało, ale nawet nie kupuje o tyle, ażeby pokryć można koszta wydania dzieł historyka, który w swoim czasie tak szeroki miał rozgłos. Syn Kazimierz, chcąc uczcić pamięć ojca, ogłasza utwory jego w wydaniu zbiorowém, które zawiera nie tylko rzeczy dawniéj już drukowane, ale też całkiem nowe z rękopismów po Julianie pozostałych. Pierwsze dwa tomy objęły „Historyą literatury polskiéj potocznie opowiedzianą“ w drugiém pomnożoném wydaniu (r. 1877); cztéry następne mieszczą w sobie „Historyą pierwotną Polski w pierwszém wydaniu z rękopismu. Tom VII zawiera „Szkice z czasów saskich“ Tom VIII i IX zawierają „Studya historyczne i literackie“. Tu właśnie, a mianowicie w tomie najświeższym, dziewiątym napotykamy kilka interesujących artykułów, pozbiéranych z rozmaitych czasopism, gdzie dotychczas rzadko komu były dostępne. Są tu i rozprawy treści etnograficzno-historycznéj („Chazarowie i Połowcy“); są przyczynki do dziejów wieku XVI i XVII („Starania domu rakuskiego w XVI w. dla pozyskania korony polskiéj“, „Elekcya Michała Korybuta“, „Poselstwo księdza Jędrzeja Załuskiego do Portugalii i Hiszpanii 1674—75“, „Podróż bezimiennego księdza francuskiego do Polski za Jana Sobieskiego“); są rzeczy rozjaśniające ustrój dawnéj rzeczypospolitéj („Księga kapturów rzeczyckich“, „Hetmań-

stwo“); są szkice przedstawiające nam pewne osobistości literackie („Kasztelania połaniecka Jana Kochanowskiego“, „Ksiądz Wojciech z Konojad Dębołęcki“, „O kasztelanie brzeskim Matuszewiczu jako poecie“); jest wreszcie króciutki artykulik opowiadający dzieje „Teatynów w Warszawie“, którzy na chwilę za czasów Augusta III zostając pod zarządem Portalupiego przyczynili się do podniesienia szkolnictwa choć w szczupłym zakresie. Wszystkie te artykuły, odznaczające się pewną właściwą Bartoszewiczowi żywością czy gorączkowością opowiadania, uszeregowane są według czasu, w którym zostały napisane; w tomie dziewiątym od r. 1853 do 1858. Chociaż w wielu poruszonych tu kwestyach mamy już dzisiaj lepsze informacye, mimo to zasługują artykuły te na poznanie.

— Zasób dzieł z zakresu **dziejów Polski** zwiększa się z każdym niemal tygodniem. Jakoż do podanych przed miesiącem rozpraw i opowiadań obecnie już dopisać nam przychodzi trzy prace historyczne. Pierwszą i niewątpliwie najważniejszą jest obszerne, 544 stron obejmujące dzieło profesora uniwersytetu Jagiellońskiego *Stanisława Smolki* p. n. „Mieszko Stary i jego wiek“ (Warszawa nakład Gebethnera i Wolaff). Dzieło to zasługujące na rozbiór szczegółowy uwieńczone zostało nagrodą przez Towarzystwo historyczno-literackie w Paryżu. Drugą pracą wydaną również nakładem czynnéj firmy Gebethnera i Wolffa, jest opowiadanie historyczne p. *Klemensa Kanteckiego*, wielce zajmującym sposobem prowadzone o rzeczy, która niemal w przysłowie u nas weszła, a która mimo dawniejszéj (z r. 1850) rozprawy Juliana Bartoszewicza, należycie dotychczas obrobioną nie była, tj. o „Sumach neapolitańskich“. Wrażenie, jakie wyniósł z rozpatrywania historyi sum tych, streszcza autor w słowach następnych: „Wyznajemy, że mniéj nam żal samych sum, które oddawna wróciły do Polski w dość wysokich procentach wypłaconych przez długie lata, jak raczéj tylu niepospolitych sił, steranych na wyprawach poselskich do Neapolu i Madrytu, które nie miały innego wyższego zadania i celu, jak tylko staczać nieustannie nużące utarczki z dłużnikiem, podczas gdy ten wszelkiemi sposobami starał się wywieść w pole wierzyciela i za jakąbądź cenę uwolnić się od uciążliwych zobowiązań“. Trzecia wreszcie praca, o któréj wzmiankę zrobić chcemy, ma o tyle związek z historyą naszą, że opowiada o losach bardzo bliskich nam narodów, które w walce z Niemcami prawie wyginęły albo się wynarodowiły. Jest to „Pogląd na dzieje Słowian zachodnio-północnych między Łabą (Elbą) a granicami dawnéj Polski od czasu wystąpienia ich na widownię dziejową aż do utraty politycznego bytu i znamion narodowych“ (Gniezno, nakład autora, 1881, str. 469). Autorem téj obszernéj rozprawy jest znany z monografii

o Biskupstwie warmińskiem dr. Sieniawski, nauczyciel w Düseldorfie, który jak sam o sobie powiada, mógł tylko chwile wolne od obowiązków urzędu mozolnego poświęcać pracy, pozwalającéj mu „obcować z bohaterami przeszłości słowiańskiej“ i zastępującéj „niejako w oddaleniu pożycie wśród rodaków“. Ta tęsknota za krajem i przebywanie wśród Niemców na téj ziemi, którą oni wynarodowili, przejmuje autora goryczą i pobudza go do zbyt częstych wycieczek przeciwko germanizmowi. Krytyczną ocenę téj pracy podamy niebawem.

— Znakomite dzieło zmarłego w r. 1875 *Fryderyka Alberta Lange'go* „Geschichte des Materialismus und Kritik seiner Bedeutung in der Gegenwart“ doczekała się przecież i u nas przekładu, na który zewszechmiar zasługiwało. Przekład ten, dokonany przez Dra Aleksandra Świętochowskiego, wychodzi w Warszawie (nakładem B. Lesmana) zeszytami p. n. **Historya filozofii i jéj znaczenie w teraźniejszości**. Zmiana tytułu wydaje nam się niewłaściwą, a jeżeli tłómacz motywując ją powołuje się na samego autora, to widocznie szukał dopiéro w słowach jego takiéj myśli, jaką zgóry powziął; Lange bowiem powiada tylko, że nie bardzo chce bronić właściwości tytulu swéj książki jako *historyi* nie zaś jako historyi *materyalizmu*. Widać to zaraz ze słów bezpośrednio następujących po oświadczeniu, że dzieło jego dąży właściwie do *wyjaśnienia zasad:* „Dla zaspokojenia jednak tych czytelników, dla których *historyczne* przedstawienie, bodaj nawet wadliwe jest rzeczą główną, część pierwsza otrzymała osobny spis i wykaz“. Nie idzie tu więc o to, że autor objął w swéj książce coś więcéj niż materyalizm, ale o to, że dzieło nie tyle jest historyczne, ile krytyczne. Dobrze tedy byłoby, gdyby po ukończeniu dzieła dodano kartę tytułową, przywracającą rzeczywisty napis książki Langego. Tłómaczenie wogóle jest wierne i staranne. Dwa dotychczas wyszłe zeszyty (str. 192) obejmują zarys dziejów materyalizmu w starożytności i w okresie przejściowym, ciągnącym się u Langego aż do wieku XVII.

— Pod koniec roku 1880 wyszedł tom V-y **Dzieł Adama Mickiewicza** w wydaniu „przez dzieci autora dokonaném“. Pomieszczono tutaj kilka takich wierszy, i utworów prozaicznych, które się już w poprzednich tomach znajdują, jak np. wiersz z r. 1818 „Już się z pogodnych niebios oćma zdarła smutna,“ „Zdania i uwagi,“ „Słowa Najświętszéj Panny i Chrystusa Pana,“ „O duchu narodowym,“ „Posiedzenie izby deputowanych,“ „Projekt obrony przed trybunałem berlińskim“, „Nekrolog Stefana Garczyńskiego,“ itp. Daléj znajdują się tłómaczenia polskie utworów napisanych przez Mickiewicza po francusku, a mianowicie ułamki „Konfederatów Barskich,“ „Jakóba Jasińskiego,“ artykuł

o Puszkinie, fragmenty z „Historyi przyszłości", „Kogo wybrać za męża" itp. Zupełnie nowych rzeczy jest bardzo a bardzo mało; największą ciekawość pod względem nie artystycznym ale psychologicznym budzi fragment poetyczny, o którym taką notatkę poety czytamy: „Miałem sen w Dreźnie 1831 r. marca 23, który ciemny i dla mnie niezrozumiały. Wstawszy zapisałem go wierszem. Teraz w roku 1840, przepisuję dla pamięci". Niewątpliwie przepisał go Mickiewicz po zapoznaniu się z Towiańskim. Sen widocznie wywołany był świeżém jeszcze wspomnieniem rozłąki z Henryką Ewą Ankwiczówną, a wyrażał silną tęsknotę i brak jaśniejszéj nadziei na przyszłość. Daléj są drobne wiersze z albumów, tudzież sześciowierszowy urywek z tłómaczenia Zofijówki na język łaciński. Utwory prozaiczne są małoznaczące („O darze polaków dla p. Lafitte" „Bracia nasi w Szwajcaryi", „O naszych żołnierzach", „Katechizm," „Kilka próbek etymologiczno-słownikarskich". Oto prawie i wszystko, co jest nowego w tym piątym tomie. Smutna to rzecz, że dotychczas nie mamy dobrego wydania pism największego poety naszego; wszystkie bowiem dotychczasowe są tak niedbałe, tak nieumiejętne, że wstydzić się tylko można. A kiedy téż pomyślimy o studyum nad Mickiewiczem. Słowacki pod tym względem jest szczęśliwszy. Oto właśnie donoszą nam, że już wyszło we Lwowie drugie wydanie sumiennéj pracy p. Antoniego Małeckiego p. n. *Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła w stosunku do spółczesnéj epoki*; wydanie to obszerniejsze jest od pierwszego i obejmuje 3 tomy.

═ Zaledwie miesiąc upłynął od napisania notatki o **powieściopisarstwie** naszém, a już możemy znowu donieść wielbicielom Kraszewskiego o dwu nowych, osobno wydanych jego powieściach. Jedna z nich, zatytułowana: „Pan z panów" jest przedrukiem z czasopisma i wyszła we Lwowie; przedstawia zaś w osobie bohatéra wzór niejako dla arystokracyi rodowéj, jak ma swój majątek i znaczenie zużytkować dla dobra społeczeństwa; druga zaś jest całkowitą nowością; ma ona tytuł „Pod blachą", odnosi się do końca wieku XVIII i obrazuje w wybornie nakreślonych szkicach wesołe życie Warszawy tak smutnie kontrastujące z ówczesnemi losami kraju; książę Józef, książe de Ligne, pani Vauban, pani Grabowska, Bogusławski i wiele innych postaci pochwyconych z historyi, choć niekiedy pod zmienionemi nazwiskami przewija się po kartach powieści napisanéj żywo i zajmująco. Mówiąc już o płodności niezmordowanego powieściopisarza, nie zawadzi wspomnieć, że osiem pism warszawskich drukuje teraz jednocześnie 8 powieści Kraszewskiego. „Tygodnik illustrowany" podaje do oglądania „Barani Kożuszek", „Kłosy" „Kunigasa", „Wiek" „Pannę półkownikównę", „Bluszcz"

prezentuje nam „Samę jednę“, „Biesiada literacka“ „Było ich dwoje“, „Kuryer Warszawski“ drukuje w „Pocie czoła“, „Romans i powieść opowiada dzieje „Śniehotów“, „Gazeta Warszawska“ dzieje „Męczenników“. A zapewne drukuje się już także jedno z dalszych ogniw cyklu powieści z dziejów Polski.

= Oddawna trwający spór o autorstwo nader sławnéj i wielce rozpowszechnionéj książki **O naśladowaniu Chrystusa** zdaje się zbliżać ku końcowi. Jak wiadomo, za autora długo bardzo uchodził Tomasz z Kempen (*a Kempis*) augustyanin, ale już w roku 1605 Bernard Rossignoli jezuita wynalazł rękopism dziełka, „o naśladowaniu“, w którym jako autor wymieniony jest wyraźnie Jan Gersen, opat benedyktynów w Vercelli, zmarły r. 1245. Gdy przytém spostrzeżono, że w rękopiśmie tego arcytworu mistyki z r. 1441 sam Tomasz z Kempen nazwał się tylko przepisywaczem; powstało rozdwojenie w poglądach na czas powstania i autorstwo tak popularnéj książki. Zarówno katoliccy jak protestanccy uczeni podzielili się na dwa obozy. Jeszcze w roku 1873 pastor hamburski Karol Hirsche w obszernéj pracy p. n. „Prolegomena zu einer neuen Ausgabe der Imitatio“ dowodził, że autorem książki „o naśladowaniu“ nie mógł być kto inny jak Tomasz z Kempen. Liczba atoli „Gersenistów“ wzrastała ciągle: Scaiola, Berthardi, Mella, Blanchet, Ducis, Canetti starali się obalić dowody przeciwników Gersena. Jednym z najgorliwszych Gersenistów jest obecnie uczony benedyktyn wiedeński *Celestyn Wolfsgruber*, który kilku rozprawami i dwoma wydaniami książki „o naśladowaniu“ (1879) bardzo silnie stanął w obronie autorstwa Gersena. Tymczasem w Londynie 1879 wydał Karol Ruelens fotograficznie odtworzony ów rękopism „naśladowania z r. 1441, gdzie Tomasz z Kempen sam się tylko za przepisywacza podaje. Ostatniem w téj kwestyi dziełem jest pismo *Wolfsgrubera* wydane w Wiedniu 1880 p. n. „Giovanni Gersen, sein Leben und sein Werk de Imitatione Christi“, gdzie nader jasno a gruntownie cały przebieg dyskusyi dotyczącéj autorstwa przedstawia. Według tego dzieła autorem książki „o naśladowaniu“ jest Włoch Jan Gersen z XIII stulecia benedyktyn. Książka ta odpowiadająca potrzebom duchowym wieków średnich przedostała się z Włoch przez Austryą do Hollandyi, gdzie w Tomaszu z Kempen, znanym autorze pism pobożnych znalazła tak wielkiego czciciela i rozpowszechniciela, że ją wreszcie jemu samemu przypisano. Znawcy zwracają uwagę na to, że takim jedynie sposobem można sobie wytłómaczyć różnice, zachodzące co do pomysłów i języka pomiędzy rzeczywistemi utworami Tomasza z Kempen a przypisaną mu książką „o naśladowaniu Chrystusa.“

— Z pracami **lingwistycznemi** coraz częściéj spotykać się nam zdarza: w téj chwili mamy właśnie pod ręką dwie broszury p. Karola Appela w języku rosyjskim napisane. Jedna zawiera: 1) rozbiór pod względem dyalektycznym i syntaktycznym „Psałterza Puławskiego“, świeżo wydanego w przedruku homograficznym przez bibliotekę Kornicką (Zamietki o drewnie-polskom jazykie, II), oraz 2) dalszy ciąg uwag nad słoworodem ludowym w języku serbskim, małoruskim i czeskim (*K sławianskomu narodnomu słowoproizwodztwu, III*), do których dostarczyła autorowi materyału Miklosiczowa gramatyka porównawcza języków słowiańskich. W drugiéj broszurze (*Kriticzeskija i bibliograficzeskija zomietki. I. Nowiejszyje trudy o polskom jazykie*) pomieścił p. Appel krótkie uwagi krytyczne nad najnowszemi pracami pp. Matusiaka, Zawilińskiego, Kryńskiego, Hanusza i Praska. Nic prawdziwszego nad zdanie autora, którém swą pracę przypieczętował, że „tendencyjność w dziele naukowém — chociażby zasadnicza myśl onego była całkiem słuszną—wywiera zawsze złe na czytelniku wrażenie“. Zgadzając się na to, nie jeden wszakże czytelnik, pamiętny na francuską przestrogę „les extremités se touchent“, gotów by powiedzieć, że i objektywizm (o zachowanie którego autor dość gorliwie stara się), jeśli jest zbyt wygórowanym może nie koniecznie przyjemne wrażenie sprawić. Zresztą, to rzecz gustu i usposobienia, które bywają nader rozmaite: My np. mówiąc o rozbiorze *dzieła*, (niech nam p. Appel ten wyraz wybaczy) prof. Małeckiego, zamknęlibyśmy się ściśle w granicach gramatyki, a kwestyą „szczerości“ jego recenzenta zostawilibyśmy sumieniu tegoż, albo psychologom z powołania. Ustaleniem daty, od któréj p. Kryński począł uzupełniać swą wiedzę lingwistyczną, niechby się zajął przyszły jego biograf. „Odcienie patryotyzmu“ i stosunki dziennikarstwa polskiego byłyby wdzięcznym tematem dla każdego utalentowanego publicysty. P. Appel, lubo go w kumy nie proszono, nadaje gramatyce Małeckiego imię „sześciorublowéj“; jesteśmy przekonani, że profesor lwowski nie pozwoliłby sobie nazwać pracy warszawskiego lingwisty *dziesięciokopiejkową*, chociaż taką jest cena jéj księgarska.

— **Lafontaine, Seine Fabeln und ihre Gegner**, przez *Wilhelma Kulpe'go*—(*Leipzig*, *1880 r.*). Pierwsze 35 stronnic poświęcone są życiorysowi Lafontena ur. 1621 † 1695. Ojciec przeznaczał syna do stanu duchownego i w 19 roku życia oddał go do seminaryum w Reims, gdzie jednakże młodzieniec w rok się znudził i do domu powrócił; tutaj słyszał raz, jak oficer garnizonu czytał odę Malherbes'a o zamordowaniu Henryka IV i to go prawie skłoniło do czytania autorów takich, jak: Malherbes, Bokacyusz, Aryost i Machiavelli; nocą uczył się poezyi na pamięć, w dzień deklamował je, chodząc

po lesie. Wnet znurzyło go to i zaczął sam pisać poezye: czytał teraz Rabelais'a i Marot'a, ale ktoś znowu podsunął mu Horacyusza, Terencyusza, Wirgiliusza i Kwintyliana. Mając 26 lat ożenił się z piękną 15-letnią dziewczyną Maryą Héricurt; szczęście pożycia małżeńskiego pozostawiało jednak dużo do życzenia i za wzajemną zgodą rozeszli się oboje. Nieco sławy miał już Lafonten z powodu prac swych nad Terencyuszem, gdy Fouquet, znany protektor sztuk pięknych ofiarował mu miejsce swego domowego poety z pensyą 1000 fr. rocznie i obowiązkiem napisania poeamatu co kwartał. Fouquet prowadził życie na wysoką skalę, mieszkał w wspaniałym pałacu, za sekretarza miał Pelissona, Le Notre robił plany ogrodów, Le Brun malował, Moliére pisał dla jego teatru. Wpływ tego otoczenia był bezwątpienia znaczny w rozwoju talentu Lafontena. Bajek nie pisał jeszcze wtedy. Po upadku swego mecenasa znalazł się na dworze księżniczki de Bouillon jako przyjaciel domu i tu powstały jego opowiadania, które wyszły r. 1665, a których powstania, jako plamy swego życia mocno żałował. W r. 1664 dostał się do Paryża i tu u wdowy księżnéj orleańskiéj został szambelanem. Paryż miał teraz quatuorvirat: Rasyna, Boileau, Moliéra i Lafontena; wszyscy żyli z sobą w przyjaźni i wywierali na siebie wielki wpływ moralny, tak iż Rasyn sprawił pojednanie Lafontena z żoną i sprowadził go z drogi szydzenia z religii. Po śmierci księżniczki Orleańskiéj znalazł schronienie nasz poeta w domu Pani La Sabliére, która otaczała się uczonymi oraz talentami. Teraz właściwie zaczęły się lata jego mistrzowstwa. W r. 1684 d. 2 maja został przyjętym Lafonten jako członek akademii, której dyrektor przemawiał: L'académie reconnait en vous, Monsieur, un génie aisé, facile, plein de delicatesse et de naiveté, quelque chose d'original i t. d." Na życiorysie opiera się następnie krytyczna ocena Lafontena jako *człowieka*, *bajkopisarza*, *moralisty* oraz *filozofa*. Wykończając wartościową swą pracę, p. W. Kulpe podaje bardzo wyczerpujący rozdział o Lafontenie i jego przeciwnikach, co się specyalnie odnosi do Lamartine'a i Lessinga. Ten ostatni przyrównywa Lafontena do wybornego strzelca, który miał dalekonośny łuk z drzewa hebanowego, a oglądając go raz, pomyślał sobie; „jest nieco za gruby, szkoda!" I poniósł go do rzeźbiarza, aby ten na luku piękne obrazy wyrzeźbił. Rzeźbiarz wykonał tu więc całe polowanie. Strzelec ucieszył się, ale gdy napiął cięciwę, łuk mu pękł w rękach. Ze względu na bajkę możnaby raczéj do takiego strzelca przyrównać samego Lesinga, który istotnie swój bajkopisarski łuk zbytecznie naciągnął. Co się tyczy Lamartina, ten robi Lafontenowi zarzut egoizmu, szyderstwa i braku serca. Atoli własne prace znakomitego bajkopisarza, dzieło H.

Taine'a, obecna praca p. Kulpego i inne w całéj Europie dostatecznie zarzuty podobne w nicość obracają. Lafontenowskiéj moralności hasłem była *moralność prawdy*.

= **Revue de l'histoire des religions**. Pod tym tytułem od początku roku zeszłego zaczął wychodzić w Paryżu dwumiesięcznik poświęcony wyłącznie historyi religii. Głównym redaktorem jest *Maurycy Vernes*, autor kilku rozpraw i dzieł z zakresu historyi religii żydowskiéj, z których się wyróżnia: *Histoire des Idées Messianiques*. W gronie współpracowników są wymienieni: *A. Bouché-Leclercq*, autor znakomitych dzieł: Kapłani Rzymu starożytnego (1871), Historya wróżbiarstwa w starożytności (4 t. 1880). *P. Decharme*, autor Mitologii Grecyi starożytnéj (1879), assyrolog *Stanisław Guyard*, Egiptolog *G. Maspero*, *Tiele* profesor historyi religii w uniwersytecie lejdejskim, autor świeżo na język francuski przetłómaczonego „Podręcznika historyi religii“ (1880). Pięknie skreślamy wstęp, wykazujący potrzebę i cel wydawnictwa oraz stanowisko naukowe redakcyi otwiera szereg prac poważnych. Z niego to wyjęte słowa są wypisane na każdéj okładce. „Przegląd ten będąc pismem ściśle historycznémn usuwa wszelkie prace noszące charakter polemiczny lub dogmatyczny.“ Treść każdego numeru przedstawia cztery działy. *Pierwszy* stanowią rozprawy specyalnemu jakiemuś poświęcone zagadnieniu. W dotychczas wyszłych zeszytach (5-ciu) są zawarte *A. Bouché-Leclercq'a*: Wróżbiarstwo italskie (rozprawa ta weszła następnie jako rozdział do wzmiankowanego powyżéj dzieła jego). Historya obrządków religijnych, świątyń, świąt i kasty kapłańskiéj u Hebreów—według *Wellhausena* (Geschichte Israels, 1878). V. Duruy: Religia państwowa za czasów cesarstwa rzymskiego. Bóg najwyższy w mitologii indo-europejskiéj *I. Darmestefera*, znanego z kilku specyalnych prac poświęconych mitologii indyjskiéj i perskiéj. *Tiele'go:* W jaki sposób odróżniać w mitologii greckiéj żywioły obce. Dział *drugi* składają prace nazwane *Bulletins critiques da la religion.* Są to wyczerpujące, wyłącznie przez specyalistów pisane sprawozdania o studyach nad każdą religią po szczególe. Dotychczas wyszły takie Bulletyny o religiach: greckiéj, żydowskiéj starożytnéj i talmudycznéj, egipskiéj, asyryjsko-babilońskiéj, galskiéj, chrześciańskiéj (piérwotnéj). Dział *trzeci* mieści w sobie rozprawy drobniejszych rozmiarów, sprawozdania, krytyki i wiadomości. Nakoniec *czwarty*, nosi zręczny tytuł ogólny *Dépouillement des périodiques et des travaux des sociétés Savantes* i zaznajamia z ważniejszemi publikacyami we wszystkich naukowych wydawnictwach peryodycznych. W obec obudzonego w skutek tylu odkryć nowych w dziedzinie historyi, językoznawstwa i etnografii zainteresowania się przeszłością rodu ludzkiego, studya nad początkami

i rozwojem religii coraz większego nabierają znaczenia. Dotychczas kwestye tego rodzaju były podnoszone i traktowane odpowiednio do swéj wagi w kilku pismach naukowych jako to: *Journal Asiatique*, *Revue Archéologique*, *Transactions of the Society of Biblical Archaeology*, *Zeitschrift der Duetschen Morgenländischen Gesellschaft*. Pismo poświęcone specyalnie *Historyi Religii*, ześrodkowując rozproszone studya, stać się może pomocą nieocenioną dla badaczów téj gałęzi umiejętności ludzkiéj, a nadto badania same posuwać daléj na raz wytkniętéj drodze.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

„Polskij wopros“ w dziennikach rosyjskich.– Czy wyraz „primirenije“ maluje należycie obecny stan rzeczy. – Czego potrzeba, ażeby nastąpić mogła ugoda?—Reformy finansowe, ich treść i najogólniejsze znaczenie.—Nowe pisma w Warszawie; „Prawda“, „Romans i powieść“, „Gazeta Kolejowa“, „Gazeta Swiąteczna“.

Mamy do zaznaczenia fakt ciekawy, dzienniki warszawskie rozpoczynają polemikę z dziennikami petersburskiemi, na polu, które było dotychczas dla nas nie przystępném. Czytelnicy nasi przypominają sobie zapewne, jak po skończonéj wojnie wschodniéj, kilku publicystów petersburskich odzywało się parę razy: iż mogłoby być korzystném dla państwa rosyjskiego, dojście do porozumienia i szczerego pojednania z Polakami, którzy przecież stanowią znaczną część ludności w państwie, a zarazem niemałoważny element siły wśród szczepu słowiańskiego. Odezwy te nie znalazły wtedy chętnego posłuchu wśród ogółu prasy rosyjskiéj, wywołały kilka złośliwych odpowiedzi ze strony ludzi, którzy nienawiść do Polaków uważali za jeden z głównych warunków swego patryotyzmu, prędko też głosy pokojowe przycichły.

Jednakże donioślejsze fakta życia narodowego polskiego, nie przestały zwracać na siebie uwagi prasy rosyjskiéj: z powodu jubileuszu Kraszewskiego wygłaszała ona bardzo rozmaite opinie, a przed dwoma miesiącami obchód rocznicy 29 listopada we Lwowie i w Krakowie, urządzony dla weteranów, którzy brali udział w wypadkach roku 1830 i 1831, wywołał u jednych pełne żółci i jadu napaści na cały naród polski, u innych zaś znalazł trzeźwą i przedmiotową ocenę, wytłómaczenie samego faktu i jego powodów, wolne od niedorzecznych podejrzeń, i nie dopatrujące w obchodzie owym niebezpieczeństwa dla wewnętrznego pokoju w państwie rosyjskiém.

Kilka dzienników i pism peryodycznych rosyjskich zapatruje się na narodowość polską bez jawnéj nienawiści, o interesach jéj, o należnych jéj prawach, odzywają się one nawet przyjaźnie, pomiędzy niemi najprzód wymienić wypada „Wiestnik Europy,“ i wy-

dawaną od nowego roku przez redakcyą tegoż pisma gazetę „Poriadok,“ za nimi idzie, drugi rok życia licząca „Strana,“ czasem „Nowosti“ czasami „Mołwa,“ a od niedawna „Gołos“ zdaje się szczerze wszedł na tę drogę, po któréj i młoda „Zaria“ kijowska kroczyć obiecuje, o innych mniéj znanych u nas nie umiemy powiedzieć dokładnie jakich trzymają się zasad. Lecz jest téż nie mało dzienników rozmyślnie nam nieprzyjaznych, zapewne dla tego, że szanowne rzemiosło podszczuwacza najlepiéj się opłaca, bo najłatwiéj u tłumu znajduje posłuch. Pisma téj kategoryi usiłują ciągle pobudzać przeciwko Polakom władze rządowe i roznamiętniać społeczeństwo rosyjskie, przypominając mu wrzekome niebezpieczeństwo „polskiéj intrygi i szlachto-papizmu.“ W pierwszym szeregu téj zbieranéj drużyny stoi, mężnie jak zawsze, stary weteran niezaszczytnych bojów, fechmistrz w walce na oszczerstwa nieustępujący biegłością osławionemu Cassagnacowi, artysta, na polu wszelkiego rodzaju denuncyacyj istotną cieszący się sławą, jedném słowem p. Katkow, królujący dotąd w podupadłych na znaczeniu i popularności „Moskiewskich Wiadomościach,“ wtórują mu harmonijnie a serdecznie, redagowane wprawdzie bez talentu, ale usiłujące trzymać się barwy oficyalnego patryotyzmu „Petersburskie Wiadomości,“ echo tych złośliwych insynuacyj odbija się w „Kijewlaninie,“ a do jednego z nimi tonu nastraja się często p. Suworin, potężny redaktor „Nowego Wremieni,“ która to gazeta ma pretensyą być Times'em petersburskim, i dla tego nie trzyma się stale żadnych zasad ani opinij. Lecz w Petersburgu nie ma City londyńskiéj, a zatém niema często zmieniających się interesów tego najpotężniejszego emporyum kapitałów ruchomych, więc i p. Suworin nie kieruje się w swych deklamacyach interesami publiczności, któréj służy, ale raczéj chwilowemi instynktami w tę lub ową stronę skłaniających się namiętności, a może po prostu chęcią pisania inaczéj aniżeli współzawodniczące z nim gazety. To też czasami zdarza się mu wspaniałomyślnie uznawać, że Polacy mogą używać praw równych z innymi poddanymi cesarstwa, ale czasem téż raczy dostrzegać, że naród polski jest zgniłym, i jako taki może być tylko szkodliwą zarazą, dla pełnego siły i życia narodu rosyjskiego.

Wszystkie te, przyjazne czy wrogie nam, odezwy publicystów rosyjskich, dowodzą, że nie my jedni czujemy i widzimy, iż sprawy narodowości naszéj nie idą po właściwéj drodze, że pomiędzy praktyką życia a słusznemi jego potrzebami i wymaganiami zachodzi tak wielka niezgodność, iż pomimo milczenia rządzących i rządzonych, wyradzać się z niéj musi kwestya polska, gazety bowiem rosyjskie nazywają ją „polskij wopros.“ Kwestya narzuca się obu obok siebie

żyjącym społeczeństwom, i dzisiaj już domaga się rozwiązania przynajmniéj w umysłach ludzkich, w pojęciach ludzi myślących o przyszłości, póki nie doczeka się w praktyce życia skierowania na drogę właściwą zajęcia się nią szczerego i czynnego.

Niepodobna nam odgadnąć czy i o ile opinje wyrażone przez publicystów zwracają na się uwagę w sferach rządzących, i które z nich chętniéj tam są słuchane. Fakt, że w ostatnich czasach zmieniły się nieco warunki, wśród których pracować musi prasa warszawska, i że do pewnego stopnia tolerowane są odezwy polemiczne, odpierające ciskane na nas przez nieprzyjaznych nam ludzi zarzuty i potwarze, mógłby mieć pewne znaczenie, gdyby data jego urodzin nie była tak świeżą, nieledwie wczorajszą. Wreszcie przysłowie ostrzega, że jedna jaskółka nie przynosi wiosny, a i z kalendarza wiadomo, że wiosna jeszcze nie nadeszła.

Cóżkolwiekbądź, należy przyznać, że dzienniki nasze nie omieszkały korzystać z uchylenia szczelnie dotąd zamkniętéj furtki, czytaliśmy już w nich, obok dość ostrych odpowiedzi, wyraźnie wypowiedziane zdania, iż gotowe są do dyskusyi na polu interesów praktycznych, któremi zająć się obecnie jest właśnie na czasie.

Nam mającym sposobność tylko raz na miesiąc odzywać się do publiczności, trudno brać czynny udział w ogniu krzyżowym polemiki, wymagającéj odpowiedzi natychmiastowych; niemniéj jednak usiłować będziemy, o ile okoliczności na to pozwolą, przyczynić się do wyjaśnienia stanowiska naszego, zajmując się rozpatrywaniem kwestyj specyalnych.

Ponieważ cała dyskusya nie wyszła dotąd z dość mglistéj sfery ogólników, możemy zaznaczyć, że przyjęte przez publicystów rosyjskich wyrażenie „primirenje z polakami,“ wskazuje tylko u niektórych pewną skłonność do szukania środków pojednawczych, nie odpowiada jednak dzisiaj jeszcze usposobieniu ogólnemu, w opinii publicznéj uchodzi dotąd raczéj za mrzonkę niż za realne dążenie, bo nie znajduje stwierdzenia w stosunkach polityki wewnętrznéj w państwie. — „Primirenije“ — zgoda czy ugoda, może nastąpić pomiędzy stronami mającémi zarówno *prawo wyboru* między zgodzeniem się a niezgodzeniem. Ażeby módz mówić o ugodzie, potrzeba mieć choćby możność swobodnego rozpatrzenia się w warunkach, które objawy naszego obecnego życia krępują.....

Z resztą ugodę zawierać mogą tylko ludzie ku temu powołani, to jest mający potemu prawo i siłę.

Publicyści rosyjscy, tak samo jak nasi, mogą tylko traktować o tych rzeczach akademicznie, na polu teoretycznych po-

glądów, roztrząsać czy takie lub owakie postępowanie byłoby lepszém lub gorszém, szukać wskazówek do wynalezienia jakiegoś modus vivendi, przy którym obie narodowości mogłyby rozwijać się spokojnie, nie szkodząc sobie nawzajem, lecz owszem dopomagać jedna drugiéj do osiągnienia prawych i prawnych celów, do jakich dążyć musi każde cywilizowane społeczeństwo.

Teoretyczne wyjaśnienienie kwestyi, odszukanie i wskazywanie interesów, któreby mogły być wspólnemi, a takich, jak sądzimy, znajdzie się nie mało i to pierwszorzędnego znaczenia dla stron obu, może przynieść dużo korzyści, wyrabiając w opinii publicznéj poglądy trzeźwiejsze, które ze swojéj strony mogą skłonić władze odpowiednie do przedsięwzięcia kroków właściwych na polu praktyki życia, i wtedy dopiéro będzie można określić bliżéj ów *modus vivendi*, i wtedy też będzie rzeczą właściwą mówić o polityce ugodowéj.

Tymczasem jedno wydaje się nam niezawodném, że jak narzekanie, użalanie się lub żebranie, nie zgadzałoby się z poczuciem własnéj godności, tak znowu roznamiętnianie byłoby niepolityczném a więc szkodliwém; zbyt wiele bowiem obecnie mamy trudności do zwalczenia w sprawach dnia dzisiejszego, zbyt wiele jest do rozgmatwania mocno zadzierzgniętych a duszących węzłów, zbyt mało wolno nam było o tém mówić, zbyt rzadko mówienie nasze znajdowało posłuch, ażebyśmy o przyszłości z zimną krwią rozprawiać mogli; póki więc węzły nie rozluźnią się do pewnego stopnia, póki swobodne i spokojne patrzenie na rzeczy nie stanie się możliwém, powtarzać tylko wypadnie: gniew jest złym doradcą, rozwaga — nigdy zbyteczną. Gdyby nam jéj zabraknąć miało, w ostateczności z dwojga złego wybierając, wolelibyśmy wstrzymać się całkiem od dyskusyi, stosując do danego wypadku teologiczną definicyą *patiens quia aeternus* aniżeli oliwy do ognia dolewać.

Do szczegółów podanych w ostatniéj kronice o zniesieniu podatku od soli możemy dzisiaj dodać, na podstawie reskryptu ogłoszonego w „Gońcu urzędowym,“ że ówczesne przewidywania nasze co do kwestyi obniżenia cła, kwestyi mającéj specyalne znaczenie dla Królestwa, sprawdziły się prawie w zupełności. Przypuszczaliśmy, że obniżenie cła, sięgnie połowy opłacanego dotąd — otóż wymagane do 1 (13) stycznia r. b. 38½ kop. zredukowane zostały do 20 k. metalicznych od puda. O wpływie jaki to obniżenie wywrzéć może na praktykowane u nas ceny soli nie będziemy się rozwodzić, témbardziéj, że każdy z czytelników może sam sobie wyjaśnić tę sprawę, bodaj na podstawie danych, o których w styczniu mówiliśmy.

Jeżeli jednak w kwestyi cła od soli przywożonéj, udało nam się przewidziéć niejako wysokość redukcyi, to co do nowych opłat, mających zastąpić dochód od soli, zawierzyliśmy zbytecznie dziennikom — nie podatek dochodowy bowiem, jakeśmy to za nimi powtarzali, ma wypełnić szczerbę w dochodach skarbu, odłożono go na później, a tymczasem ustanowiono dodatkowe opłaty mianowicie:

a) do ceny kupieckich świadectw i biletów I i II gildyj i świadectw dla subjektów,

b) 10% dodatek do każdego rubla cła opłacanego od towarów zagranicznych i

c) zdwojono opłatę za skład towarów na komorach celnych.

Zniesienie podatku od soli i nowowprowadzone opłaty są dopiéro, jak wnosić można z najpoddanniejszego raportu ministra finansów, początkiem innych ważniejszych finansowych reform, które bodaj zmierzać mają do ulg dla uboższych klas ludności Cesarstwa, dotychczas nadmiernie przeciążonych rozmaitemi opłatami na rzecz skarbu państwa.

Nowe te opłaty dotknęły dość znacznie przemysł i handel: za świadectwo 1-éj gildyi płacono dotąd r. 265, obecnie będzie za takowe pobierano rs. 500, druga gildya opłacała dotąd od 25 do 65 rs. teraz będzie płaciła 30 do 100 rs.; bilety zaś na zakłady handlowe i przemysłowe za które pobierano dotąd stosownie do gildyi i miejscowości od 5 do 30 rs. teraz będą kosztowały od 10 do 50 rubli. — Ograniczono też samą ilość biletów, które przy świadectwach gildyjnych wydawane być mogą dla 1-éj gildyi do 10, dla 2-iéj do 5-iu, dla drobnego handlu do 3, pragnący mieć większą ilość biletów, obowiązany jest wykupić nowe odpowiednie świadectwo.

Wszelkie wnioski co do wpływu jaki na rozwój naszego handlu i przemysłu mogą mieć tak znaczne dodatkowe opłaty, jak na teraz byłyby przedwczesne, w przyszłym roku chyba będziemy mogli zakomunikować coś bardziéj stanowczego, obecnie tyle tylko pozwolimy sobie dodać, że dopłaty te nie wywrą prawdopodobnie zgubnego wpływu w tym kierunku. Przemysł nasz choć młody i względnie od niedawna opodatkowany już i teraz dość znaczną sumę dawał budżetowi dochodowemu.

Opodatkowanie przemysłu i handlu w Królestwie, miało miejsce po raz pierwszy w roku 1851. Wówczas preliminowano w budżecie Królestwa zaledwie 70,000 rub., rzeczywisty wszakże dochód zawiódł oczekiwanie. Zebrano bowiem tylko 53,000 rubli. Wogóle aż do roku 1868 dochód skarbu z tego źródła, ani razu nie przeniósł 55,000 rubli, a najmniejszą summę widzimy w r. 1862 zaledwie 36,000 rub. Zamierzenia budżetowe były też bardzo umiarkowane, w osta-

tnich latach nap. przed ostatecznem zlaniem budżetu Królestwa z budżetem Cesarstwa wynosiły one po 40,000 rub. rocznie. Począwszy od 1868 roku dochód skarbu z handlu i przemysłu w Królestwie zwiększył się znacznie po wprowadzeniu przepisów i opłat obowiązujących w Cesarstwie. Z 350,000 rub. preliminowanych w r. 1868 wzrósł on w roku 1879 do 878,000 rub.: jako rzeczywisty dochód roku poprzedniego.

Do obliczenia przypuszczalnéj sumy jaką dodatkowe opłaty do świadectw kupieckich i biletów przynieść mogą z Królestwa, wzięliśmy wykaz świadectw wykupionych w r. 1878, jako najpóźniejszy z ogłoszonych — z obliczenia wypadło, że dopłaty te dadzą dochodowemu budżetowi przeszło 180,000 rubli.

Nie mając nic w zasadzie przeciwko opodatkowaniu handlu i przemysłu, nie możemy powstrzymać się od kilku uwag ogólniejszéj natury, nastręczających się nam z powodu tego bezpośredniego podatku.

Jakkolwiek słusznem jest pociągnięcie przemysłowców i handlujących do udziału w zaspakajaniu potrzeb skarbu, to wszakże zastosowanie go w państwach w których nie istnieje jeszcze podatek dochodowy, prowadzi do tégo, że większy ciężar podatku spada na kapitalistów czynnych, ludzie zaś ograniczający swe operacye do wypożyczania zebranych lub pozyskanych bez pracy zasobów, żadnego nie płacą podatku. Następnie obowiązujące u nas opłaty od przemysłu i handlu, obciążając nieznacznie pewne kategorye zakładów np. prywatne banki i apteki, zapewniające znaczne zyski założycielom i właścicielom, sięgają do najbiedniejszéj klasy, od któréj za prowadzenie jakiegokolwiek przemysłu bez pomocy rąk obcych, w gronie rodziny, pobiera się po 2 rs. 50 kop. na rok. W tym ostatnim wypadku, nie może być mowy o zyskach, praca rzemieślnika korzystającego jedynie z sił własnéj rodziny, jest pracą podjętą wyłącznie dla zapewnienia téj rodzinie możliwéj egzystencyi, w takich warunkach i dla takich celów praca staje się nie tylko obowiązkiem, ale koniecznością nawet, opodatkowanie więc takiéj pracy, nie przynoszącéj wcale zysków albo bardzo ograniczone, jest właściwie opodatkowaniem samego dziennego wyżywienia i nie powinnoby być źródłem dochodu skarbu, a jednak ta forma pracy opłaca więcéj niż dwudziestą część ogólnego dochodu z handlu i przemysłu jaki skarb pobiera z Królestwa.

Nareszcie co do nowych dodatkowych opłat do biletów I i II gildyj, wypada zaznaczyć, że ustanowienie ich w jednostajnéj normie dla miejscowości trzeciéj, czwartéj i piątéj klasy (po 10 rs. do dawniejszéj ceny pierwszych i po 5 rs. do ceny drugich) sprzecznem

jest z samą zasadą dzielenia kraju na klasy. Jeżeli bowiem stosownie do stopnia rozwoju przemysłu i handlu w danéj miejscowości, zaliczono ją pierwotnie do niższéj kategoryi i obciążono niższemi opłatami, to obecne zrównanie pod względem dodatkowych opłat, mniéj przemysłowych i handlowych miejscowości z bardziéj przemysłowemi i handlowemi nie zdaje się mieć dostatecznéj podstawy.

10%-owe podwyższenie cła od wszelkich towarów zagranicznych z wyjątkiem soli, i obowiązek opłacenia tego dodatku w monecie brzęczącéj, zdaje się być tylko dalszym ciągiem finansowéj reformy inaugurowanéj w tym kierunku w roku 1877; pomimo bowiem domysłów niektórych publicystów, niezdaje się nam aby na to nowe postanowiénie wpływały zamiary odwetu Niemcom za ich politykę cłową z roku 1879, względy powyższe grały tu chyba tylko bardzo podrzędną rolę, inaczéj zmiany byłyby zaprowadzone w saméj taryfie i to z charakterem wybitniejszym ceł ochronnych, gdy jednak obowiązująca taryfa nie uległa żadnym modyfikacyom, a sankcyonowana w r. 1877 zasada opłaty cła w złocie od wszelkich towarów przywożonych z zagranicy, pozostała niezmienioną, przeto nowo-ustanowiony ogólny dodatek i obowiązek opłacania go także w monecie brzęczącéj, nie pozbawiając wcale reformy roku 1877 cech operacyi finansowéj, znamionuje tylko dalsze posuwanie się w tym kierunku. Próba dokonana w roku 1877 nie zawiodła pokładanych nadziei, pod względem finansowym bowiem przyniosła dobre rezultaty, zapewniając skarbowi przypływ złota, nie wywołała zmniejszenia dochodu skarbu z opłat celnych. Oprócz bowiem przewidzianego zresztą obniżenia dochodu skarbu w r. 1877, z racyi zwiększonego przywozu towarów zagranicznych w ostatnich miesiącach roku 1876, poprzedzających wprowadzenie reformy, dochód następnych lat nie jest mniejszym niż w latach poprzedzających, a nawet istnieje pewna przewyżka.

Czy nieurodzaj roku ubiegłego nie wywrze złego wpływu na wysokość dochodu skarbu za rok bieżący, a przeto czy obecna podwyżka nie przypada pod tym względem w złą porę? tego przesądzać nie możemy, gdyż jest to rzeczą przyszłości. Co się zaś tycze wpływu tego nowego podniesienia cła na handel z za granicą, to sam fakt iż dochód skarbu z ceł nie wzrastał w ciagu czterech lat ostatnich a utrzymywał się prawie na jednéj wysokości, zdaje się dowodzić, że gdy dotychczasowa opłata cła w monecie metalicznéj, wstrzymała do pewnego stopnia rozwój tego handlu, nowe podwyższenie opłat celnych tém mniéj oddziałać może na zwiększenie przywozu towarów z zagranicy, zwłaszcza w obecnéj chwili, gdy wzmiankowane już wyżéj złe urodzaje roku ubiegłego, same przez się, przemawiają

przeciwko możliwości utrzymania się handlowych stosunków z zagranicą nawet na dotychczasowéj wysokości.

Gdyby wszakże przywóz towarów miał się utrzymać na obecnéj wysokości, nowe podwyższenie opłat celnych przyniosłoby skarbowi dość poważną sumę już z samego Królestwa. Udział naszego kraju w sumie ogólnego dochodu skarbu z cła, równał się dotąd prawie 18,000,000 rub. kredytowych 10%-owy więc dodatek zapewniłby jeszcze 1,800,000 rub. Jest to dodatek mogący powstać z samych ceł przywozowych, wywozowe bowiem, w rzędzie ogólnych dochodów z cła, zajmują bardzo podrzędne miejsce; wspomnieliśmy też wyżéj, że obok podwyższenia cła zdwojono także opłatę za skład towarów na komorach celnych.

Zwiększenie dotychczasowego dochodu skarbu z tego źródła zawisło wyłącznie od dobréj woli lub możności kupców i handlujących, od nich bowiem zależy zabranie, po dokonaniu przepisanych formalności, towaru z komory lub zostawienie go na składzie na czas dłuższy (za cztery dni żadna opłata się nie pobiera). W obec tego nie będziemy się nad tém dłużéj zatrzymywać i powiemy tylko, że dotąd Królestwo przynosiło składowego około 60,000 rub. rocznie, zdwojenie więc opłaty za skład towarów, może dać drugie tyle. Jednakże wpływ obu tych nowych opłat, a zwłaszcza pierwszéj, sięgnie głębiéj aniżeli samo oddziaływanie na handel z zagranicą, podwyższenie cła i obowiązek opłacania go w złocie, musi mieć znaczenie poważne przy normowaniu się cen towarów wogóle. Dopókąd przemysł nie może się obejść bez zagranicy i nie jest w stanie zaspokoić potrzeb miejscowych, dopóty, pomijając wszelkie inne względy, wysokość cła musi oddziaływać na ceny wyrobów krajowych. Ogólne to prawidło stosuje się témbardziéj do naszych warunków, gdy przy niskim kursie rubla, zmuszeni nadto jesteśmy do opłacania cła w złocie. Obok powyższych reform podatkowych, przedsięwzięte zostały środki ku podniesieniu kursu rubla kredytowego. Nie myślémy wdawać się w szczegółowe rozumowanie nad tém co sprowadziło tak ogromny upadek kursu, zaprowadziłoby to nas za daleko, określimy więc tylko w najogólniejszych wyrazach, że przyczyną tego zjawiska jest głównie niepomyślny ekonomiczny stan państwa a po części i nadmierny obieg powierczy.

Raport ministra finansów złożony Najjaśniejszemu Panu w wigiliją nowego roku, wskazując na deficyt 50 mil. w budżecie, przedstawia zarazem, że nie można się spodziewać dojść do stałéj równowagi w budżetach, bez ograniczenia wydatków, na najkosztowniejsze dotychczas ministeryum wojny i bez zmiany gruntownéj w samym systemacie opodatkowania, która to zmiana dozwoliłaby dzielniéj

rozwijać się siłom ekonomicznym kraju. Towarzysz zaś ministra finansów, w niedawno ogłoszonéj w pismach publicznych pracy, zwraca uwagę na to, że reformy li tylko finansowe, nie doprowadzą nigdy ludności krajowéj do stałego dobrobytu, który to dobrobyt jest główną podstawą potęgi finansowéj państwa, że do tego potrzebne są reformy administracyjne, dające więcéj swobody w ruchach, więcéj łatwości w zarobkowaniu, więcéj pewności we wszelkiego rodzaju przedsiębiorstwach. Uznanie pośród sfer rządzących konieczności takich reform, znajduje dotychczas wyraz w rewizyjach senatorskich w Cesarstwie, mających zbadać potrzeby i warunki danych miejscowości i powstrzymać samowolę władz niższych i pośrednich; w powtarzanych coraz częściéj pogłoskach, zapewne czerpanych z dobrego źródła, o mającéj nastąpić zmianie systemu pasportowego, o wprowadzeniu samorządu ziemstw i miast w tych częściach państwa, które dotychczas go nie posiadają, a także w przedsiewziętych reformach podatkowych. Te ostatnie nie mają ograniczyć się do dokonanego zniesienia podatku od soli, przynoszącego ulgę najbiedniejszym warstwom ludności, przeciwnie mają one pójść daléj, zapowiadają bowiem zniesienie i innych bardziéj uciążliwych podatków, wiemy téż o opracowywaniu zasad podatku dochodowego, którego zadaniem będzie ustosunkowanie ciężaru podatkowego do stopnia zamożności opodatkowanych. Do reform, których dobroczynne skutki nie mogą być doraźne, i które jako paljatywy nie sprowadzą znacznych zmian w kursie rubla, do czasu podniesienia ogólnego ekonomicznego stanu zaliczamy środki przedsiewzięte ku zmniejszeniu obiegu powierczego.

Przed paru miesiącami mieliśmy sposobność wspomnieć, że ilość biletów kredytowych będących w obiegu, czyli suma bezprocentowego długu państwa równała się przeszło 960,000,000 rubli, z których 417,000,000 rub. stanowiły pozostałą część biletów wypuszczonych na potrzeby ostatniéj wojny. Widoma hipoteka tych biletów kredytowych — fundusz wymiany, nie należała do zupełnie wypłatnych, równała się bowiem 154,000,000 rubli w złocie i srebrze i 19,500,000 rub. w metalicznych papierach wartościowych — wogóle więc 173,000,000 rs. Otóż pożądane od dawna zmniejszenie obiegu powierczego, a co za tém idzie lepsze zabezpieczenie biletów kredytowych, zainaugurowanem zostało w reskrypcie z d. 1 Stycznia st. st. ogłoszonym w „Gońcu Urzędowym“.

Zdecydowano się na umorzenie najprzód biletów kredytowych należących do kategoryi „czasowo-wypuszczonych“, w ogólnéj sumie na 417,000,000 rs. Umorzenie tych biletów nastąpi wszakże nie odrazu, tak dla braku odpowiedniéj sumy zapasu

metalicznego, jakoteż i z uwagi na potrzeby handlu i przemysłu, ma być ono dokonaném w ciągu lat ośmiu, po 50,000,000 rs. corocznie. W roku bieżącym zaś umorzonych będzie 67,000,000 rs. z których 17,000,000 rs. polecono zapłacić Bankowi Państwa natychmiast, a pozostałe 50,000,000 rs. pokryte będą w ciągu roku.

Umorzenie coroczne oznaczonéj sumy długu państwa, w biletach kredytowych dokonywać się będzie przez ciąg całego roku, zniszczenie zaś samych biletów, w miarę nagromadzania się ich w kasach Banku Państwa „żeby nie wywoływać trudności dla handlu i przemysłu“. Wypływa więc z tego że, spłata bankowi bezprocentowego długu państwa, może następować prędzéj niż samo zniszczenie obiegających biletów, które regulować się musi tak żeby, zostawić handlowi i przemysłowi pewien czas przejściowy do stopniowego oswajania się ze zmniejszającą się ilością znaków obiegowych.

Nie znaczy to wszakże że bilety kredytowe pozostaną w obiegu po spłaceniu ich przez skarb państwa, cała sprawa redukuje się do tego że, wycofanie ich i zniszczenie musi następować powolniéj niż spłata, że zatém jeżeli ta część długu państwa o któréj mowa, 417,000,000 rs. ma być przez skarb zwrócona w ciągu lat ośmiu, to ostateczne zniknięcie tych opłaconych biletów kredytowych, w téj części która przed upływem lat ośmiu nie będzie jeszcze zniszczoną, może nastąpić nieco późniéj, jeżeli będą tego wymagały potrzeby handlu i przemysłu.

Obok powyższego zmniejszenia obiegu powierczego bilans Banku Państwa z d. 22 Grudnia st. st. wykazuje korzystną zmianę w funduszu wymiany. Zmiana ta wprowadzoną została w skutek przedstawienia Ministra Skarbu i polega na tém, że wskazane wyżéj metaliczne papiery wartościowe na ogólną summę 19,000,000 rs. zostały zeń wycofane w zamian za złożone 18,000,000 rs. w złocie. W ten sposób fundusz wymiany Państwa reprezentują obecnie 170,340,000 rs. w złocie i 1,140,000 w srebrze.

Ze wszystkich pism, zapowiedzianych przed nowym rokiem, „Wiosna“ tylko nie dopisała i nic dziwnego — na wiosnę, jak już powiedzieliśmy jeszcze zawcześnie, choćby ze względów niezależnych od redakcyi, reprezentowanéj przez jednę „Jaskółkę“... Inne zajęły swoje stanowiska i przedstawiły się łaskawym czytelnikom. Zróbmy krótki ich przegląd, ażeby zobaczyć, co one nowego i dobrego nam przynoszą.

Na czele szeregu staje *Prawda* choćby dla samego tytułu. Piękne to hasło, a przytém wypowiadane z talentem niepospolitym. P. Świętochowski to zdolność piérwszorzędna, publicystyczna *par excellence;* dowcip gryzący, bystrość i pewność wzroku w dostrzega-

niu śmieszności i niedorzeczności, namiętność w ściganiu wszystkiego, co się mu wydaje złem, przewrotném, zacofaném, fałszywem, styl świeży a błyskotliwy: oto zalety, które pociskom tego publicysty nadają lotność i doniosłość, a słowom jego zapalonych jednają zwolenników. To też i w redagowanem przezeń piśmie zalety te odbić się musiały: w „Prawdzie“ jest dużo ruchu; a objawy życia są chwytane szybko i przedstawiane z werwą; dążność postępowa uwydatnia się wszędzie wyraźnie. „Prawda“ umie doskonale wydrwić takich publicystów rosyjskich, co to z małą dozą rozsądku a z wielką—zarozumiałości, powtarzają niedorzeczne napaści na nasz naród i jego inteligencyą („Zmarnowane strzały“ w Nr. 1; „Liberum veto“ w Nr. 3); wybornie wyśmiewa naszę skłonność do wytwarzania sobie złudzeń politycznych z najbłahszéj okoliczności („Liberum veto“ w Nr. 4); trafnie kreśli w ogólnych zarysach zadania chwili obecnéj („Myślę więc jestem“ w Nr. 1); literaturą zajmuje się pilnie.

Największe zalety jednak mają swe cienie. Nie chcemy tu robić zarzutu, że postęp głoszony ogniście pozostaje bez nieodzownéj naukowéj podstawy, część bowiem umiejętna dotychczas jest dość słabo reprezentowana. Ażeby mieć prawo zarzut tego rodzaju sformułować i stwierdzić, potrzeba większéj liczby faktów, boć żadne pismo w czterech numerach nie może jeszcze wykazać się w całości swego programu. To zdaje się nam ważniejszém, że publicyści w „Prawdzie,“ jako ludzie bystrego umysłu a prędkiego słowa, nie liczą się ze swojemi sądami, jakby je sami lekceważyli. Mniejsza, że z armatami robią wyprawę na wróble, utożsamiając całą prasę warszawską z odosobnionemi jéj głosami i dobrowolnie wytwarzając dla siebie ostre przeciwieństwo konserwatyzmu z postępem (zob. rzecz o fragmentach p. Konopnickiéj w Nr. 2); mniejsza, że społeczeństwo nasze malują jako niedojrzałe, ale to tak niedojrzałe, że na jego „obraz“ żałują jeszcze „ram“ politycznych („Pod datą dzisiejszą“ Nr. 2); ale to już chyba złém nazwać można że po artykule wstępnym 1 numeru, w którym zaznaczona żywotność społeczeństwa naszego, nastąpił artykuł wstępny w numerze 4, gdzie się czyta, żeśmy utracili siłę duchową i materyalną tudzież zdolność utrzymania się przy życiu... Niewątpliwie jest-to tylko *lapsus calami*, lecz taki *lapsus* u zdolnego publicysty stanowi błąd wielki. A nerwową łaskotliwością chyba wytłómaczyć sobie można frazes w tymże artykule następny: „Żeśmy postradali samodzielność, żeśmy przeszli przez chłostę klęsk i zawodów, że nas opasał wianek mogił — wszystko to, choć straszne, mniéj boli niż ten *przeszywający chichot prasy niemieckiéj*, którym ona przyjmuje najczulsze z naszéj strony odezwy“. Doprawdy? To ten publicysta, co tak drwi dowcipnie

z *Nowego Wremeni* i spółki a prasie warszawskiéj wyrzuca zmarnowane strzały, ten sam publicysta jest tak dziwnie wrażliwy na chichot prasy niemieckiéj, że aż go mniéj boli stracona samodzielność? Ten zaś korespondent lwowski, który nadużywając wspaniałego pseudonimu *Juniusa* zarzuca całemu społeczeństwu galicyjskiemu (Nr. 4), że ono „popadło w duchową jałowość i żyje tylko fałszem i obłudą", to chyba porównać się da do owego publicysty z *Niwy* (Nr. 147), co to na podstawie wieści o oszukaństwie, zarzucaném jednemu z wekslarzy, ciska błotem w twarz całemu stanowi kupieckiemu, mówiąc, że „człowiek z poczuciem honoru i uczciwości współzawodniczyć nie może" w robieniu interesów z ludźmi tego zawodu. Ci publicyści w tém są podobni do siebie, że, bawiąc się wiatrówką rozumowania, ustrzelili odrazu dwa bąki, jeden logiczny a drugi społeczny; bąk logiczny brzęczy coś o tém, że firma ich inteligencyi publicystycznéj nie jest zbyt „solidna", bąk zaś społeczny, drażniąc bliźnich, natrąca coś o braku taktu. Co do publicysty z *Niwy* mamy go za wytłómaczonego po części: wszak-to on pracę myślenia pozostawia innym, a sam w kwestyi stosunku ziemiaństwa do kupiectwa umie tylko rzucić uwagę, iż „byłby może czas pomyśléć o środkach zaradczych" na to, żeby... oszukujący nie ciągnęli korzyści z oszukiwanych... Ale z *Juniusem* jest trochę inaczéj. On zapewne strzeże się „duchowéj jałowości" jak zarazy; a ponieważ pisze „pod wzniosłém godłem prawdy", strzedzby się więc powinien, żeby z pod pióra jego fałsz nie wyprysnął?...

Dla rozmaitości przechodzimy do pisma lekkiego i taniego. *Romans i powieść* tém się różni od „Tygodnika romansów i powieści," że na pierwszéj stronicy daje drzeworyt, czasami oryginalny, najczęściéj cudzy, i że w początkowéj literze, rozpoczynającéj nową powieść, mieści miniaturowy wizerunek jéj autora. Od „Biblioteki romansów" zaś różni się i tém jeszcze, że przekłady utworów cudzoziemskich przedstawia w sukience polskiéj czystéj i dość starannie skrojonéj. Dobór powieści zasługuje na pochwałę: jest Kraszewski, jest Ebers, jest Daudet, a i stary Dumas nie bardzo wadzi. To tylko zauważyć-by należało, co zresztą i do jednoimiennych kolegów „Romansu i powieści" z równą słusznością zastosować można, że pismo polskie powinnoby więcéj utworów polskich pomieszczać, a nie zasadzać operacyj swoich na handlu przywozowym.

„Gazeta Kolejowa", jak wiadomo, „pragnie wyprowadzić sprawy kolejowe na widok powszechny i stać się organem pośredniczącym między interesami ogółu i dróg żelaznych". W numerach, które mamy przed sobą, znajdujemy parę ciekawych artykułów a między innemi: „Wywóz zboża za granicę przez Warszawę" i „Co powinno

służyć za podstawę do sądu o dobrém gospodarstwie na drogach żelaznych". Z dołączonych do pierwszego tablic, o ilości przewiezionego zboża w ciągu czterech lat od 1876 do 1880 widzimy, że pomimo to iż świat handlowy nic nie zrobił w celu wytworzenia w Warszawie targu na zboże Cesarstwa, Warszawa dzięki wyłącznie swemu geograficznemu położeniu góruje w przewozie zboża nad konkurującemi z nią traktami lądowemi. Drugi artykuł pióra p. Lassaud opatrzony jest także w tablice ułożone na podstawie sprawozdań 42 zarządów dróg żelaznych o dochodzie brutto tych dróg i wydatkach przez nie poniesionych, znajdujemy także stosunek wydatków do dochodów i dochód netto. Z dróg Królestwa, Warszawsko-Wiedeńska powinna stać na pierwszém miejscu, gdyż w r. 1879 stosunek ten równał się 59.23 % a na ostatniém znalazłaby się Nadwiślańska, dla którój obliczony stosunek wydatków do dochodu wynosił 98,94%.

Słów jeszcze parę o pisemku, przeznaczoném dla maluczkich a mogącém wywrzéć wpływ wielce dobroczynny.

Cztery piérwsze numera „Gazety świątecznéj" przedstawiają się bardzo sympatycznie. Oprócz działu „nowin z kraju i ze świata," pomiędzy które wpleciono zręcznie przestrogi dla mniéj oświeconych ludzi pożyteczne, znajdujemy tu praktyczne wzkazówki do zakładania *gospód chrześciańskich*, artykuł zachęcający do szanowania drzew, popularnie opisany żywot Długosza, ostrzeżenie o omylności przepowiedni kalendarzowych o pogodzie, wiadomości mogące interesować rolnika, jak np. o zakładaniu sadzawek rybnych na moczarach, o sadzeniu ziemniaków, o zasadzeniu odsépów piaszczystych wikliną i t. p. Daléj idą: ,,Kroniczka kościelna, korespondencye, oceny zboża. W odcinku czytamy powieść ludową Kazimierza Promyka „o strasznym zbóju." Najwięcéj nas ucieszył dział korespondencyj, nadsyłanych do „pisarza gazety świątecznéj" i odpowiedzi przez niego dawanych, wskazuje bowiem, że pismo to obudziło żywe zajęcie w sferach, dla których jest przeznaczone; że między redakcyą a czytelnikami zawiązuje się stosunek serdecznéj poufałości. Dla podtrzymania tego stosunku redakcya wpadła na myśl drukowania zagadek, których rozwiązanie daje prawo do bezpłatnego premium. Że pomysł ten był szczęśliwym, przekonywa długa lista osób, które rozwiązanie zagadki nadesłały. Taki początek pozwala rokować pomyślnie o dalszych losach „Gazety świątecznéj," zwłaszcza jeśli sfery inteligentne zechcą ją popiérać tak przez nadsyłanie stosownych wiadomości, jak i przez dostarczanie pisma tego ludziom nieoświeconym, ale garnącym się do oświaty. Pan Jan Rola z nad ujść Wieprza daje w tym względzie piękny przykład.

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Za Redaktora, **Piotr Chmielowski.**